
3 1761 07143121 7

FR. RAWITA GAWROŃSKI.

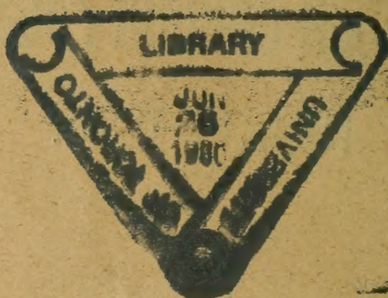
KONFEDERACJA NARODU POLSKIEGO

W ROKU 1876.



F. Rogowski

LWÓW.
NAKŁADEM „KURJERA LWOWSKIEGO“.
1909.


LIBRARY
JUN
1980

Na skreślenie, bardzo pobieżne i bez pretensji do wyczerpania przedmiotu, tego smutnego obrazu, który pragnę roztoczyć przed czytelnikiem, złożyły się rozmaite powody. Przedewszystkiem kierowała mną chęć bodaj częściowego odkrycia prawdy. Trudną to było sprawą, i nie wiem, czy mi się udało. W tym lesie intryg, wzajemnych potępień i sądów, oszczerstw nieraz, nie łatwo się zorjentować, nie łatwo wydzielić z plew patrjotycznych czyste ziarna, miotane na piaski nieurodzajne. Zdarzenia te, tak od nas niedalekie, już przybierać zaczęły formy belletrystyczne, już się stały przedmiotem opowiadań fantastyczno-historycznych. A jednak, to nie poezja i powieść, lecz ustęp ze smutnych dziejów narodowego życia. Można nieszczęśliwe usiłowania rozważać i opisywać, ale na potępienie nie czas jeszcze. Zbyt bliska perspektywa nigdy nie daje dokładnego pojęcia o prawdziwości obrazu.

Do wyświetlenia tej chwili, którą opisać zamierzyłem, posłużyły mi:

1. Garść dokumentów w formie odezw, instrukcji etc.

2. Pamiętnik Karola Brzozowskiego, odnoszący się wyłącznie, od chwili zawiązania się K. N. P., do utworzenia się R. N. w Wiedniu d. 26. lipca 1877 r.

3. Wspomnienia Ksawerego Gebharda, bardzo czynnego członka Rady Konfederackiej, uczestnika wielu robót, lub posiadającego pierwszorzędne informacje. Człowiek ten pracował w K. N. P., od początku aż do wygaśnięcia własną niemocą.

4. Korespondencja Wład. Kulczyckiego z Gebhardem i K. N. P. Koszczyc nazywał Kulczyckiego »Ulisesem« Konfederacji, a był to tylko zdolny polityk, któremu brakło pola do polityki; w pracy niezmordowany, w miłości ojczyzny gorący, w przekonaniach społeczno-narodowych Maracik na małą skalę. Gotów był wywieszać wszystkich »panów«, byle »zrobić« Polskę.

5. Broszura Koszczyca, wydana w Chicago w r. 1890. p. t. Ruch narodowy w r. 1876. Nigdy w życiu mojem nie stykałem się z Koszczycem, sąd mój przeto o nim opieram na jego własnej broszurze. Pisał ją, ażeby uchronić ostatnie wypadki od zapomnienia, ale ktoby chciał budować historję według faktów podanych przez Koszczyca, stworzyłby coś dziwnego. Umysł niespokojny, nierówny, wypaczony, zupełnie pozbawiony zdolności patrzenia prosto, sądzenia jasno i bez uprzedzeń, oglądania faktów i zjawisk w realnem oświetleniu. Pobłażliwym był tylko dla tych, którzy się z jego poglądami godzili, dla innych szczególnie, jeśli ich spotykał na swojej drodze, bywał popędliwie niewyro-

zumiały. Między ironją a oszczerstwem nie dostrzegł granicy. Jako materjał historyczny broszurka ta może mieć tylko znaczenie informacyjne. Co do faktów wymaga sprawdzenia i kontroli wielkiej.

Otóż jest wszystko, czem rozporządzałem. Mało, ale zawsze prawie materjał pierwszorzędny, rękopiśmienny, nieznany i niedostępny dla szerokiej publiczności, a zgromadzony wyjątkowo w moich rękach. Jeśli do tego dodam jeszcze:

6. Wspomnienia majora Sokulskiego (Rps. z Bibl. Muzeum w Rapperswilu), które mogą służyć jako ilustracja stosunków panujących na Wschodzie, to już mogę zamknąć cały znany mi materjał.

Jest jeszcze opowiadanie p. Antoniego Chołoniewskiego (Świat 1907 r.). Napisane pięknie, barwnie, żywo, może być z przyjemnością czytane jako artykuł literacki.

Czy już więcej nic do tego przedmiotu nie ma? Gdzież jest korespondencja z Sapiehą, Gołuchowskim, Johnstohnem, hr. Brédy, Kornelem Ujejskim, Henr. Janko, z Guttrym i ze Wschodem? Gdzie są protokoły posiedzeń K. N. P. i Rad prowincjonalnych? Wiemy skądinąd, że w mieszkaniu Dra Karola Wiedmana odbywały się posiedzenia różne, a nawet oddawano mu do przechowywania, w krytycznych czasach policyjnej nagonki, korespondencję K. N. P. — co się z tem stało? Wreszcie co się stało z papierami po śmierci Koszczyca? Wprawdzie korespondencja jego posiada małą wiarogodność historyczną, ale, jako materjał drugorzę-

dny, do oświetlania niektórych faktów przydaćby się mogła.

Braknie zupełnie korespondencji Z. Miłkowskiego z Johnstonem. Całe archiwum Konfederacji N. P., o ile wiemy, zostało zniszczone w obawie przed rewizją domową. Najważniejsza część zatem, bo źródłowa, materjału odnoszącego się do działalności K. N. P. zginęła bezpowrotnie. Wiem także od najbliższej rodziny Kornela Ujejskiego, że korespondencja jego dotycząca Konfederacji, jakoby zniszczoną była. Ci, którym się uda odszukać nowe dokumenty, uzupełnią pracę moją.

Znane mi zatem są braki materjałów i braki w pracy mojej, a jednak nie waham się oddać ją ogółowi w tem przekonaniu, że są tacy, którzy o tych usiłowaniach naszych, pracach, złudzeniach i nadziejach nic albo bardzo mało co wiedzą.

I.

W r. 1876. znowu wisiała nad Europą wojna wschodnia. Nie będę pisać ani o genezie tej wojny, ani o polityce, która do niej wiodła, gdyż nie wypadki wojny mam zamiar przedstawić, lecz usiłowania polskiego społeczeństwa, reprezentowane w jego najniecierpliwszych jednostkach, do związania losów swoich z tą wojną. Napoleon I. zatruł nasz naród ideą możliwego odzyskania samodzielności państwowej przy pomocy tak zwanej »wojny europejskiej« i przy współudziale w tej wojnie całego narodu. Pociągnął nas w wir wytworzony przez siebie, olśnił sławą swoją, wyzyskał nasze nieszczęście i miłość ojczyzny i zastrzyknął truciznę nadziei, że tylko walka orężna może zapewnić narodowi przyszłość. Nie tylko idea była tu winną i nie tu miejsce roztrząsać pytanie, dlaczego była winną. Dość, żeśmy prawie w każdej wojnie szukali zbawienia dla siebie, a gdyśmy udziału w niej nie brali, lub brać nie mogli, uważaliśmy, że ta właśnie wojna byłaby nam przyniosła wyzwolenie. Nie chciałbym być posądzonym o fałszywe wnioski z tego, co powiedziałem. W przyszłość trudno patrzyć, a jeszcze trudniej określić drogi, wiodące do niej. I usiłowań ganić

nie mam odwagi. Jeżeli są złe — niech je sam naród sparaliżuje wolą swoją i postawą. W takich chwilach wola wyraża się bardzo jasno. Nirwana może być uważana jako szczęście jednostki, ale nigdy jako szczęście narodu. Do przyszłości przez świadomie określone drogi iść trzeba, drogi te noszą ogólną nazwę — czyn. Walka orężna jest tylko jedną z dróg, najkrótszą i najniebezpieczniejszą.

Jak wszystkie spiski polityczne, tak i ten, o którym mówić mamy, z kolei, o ile nam wiadomo, ostatni, powstał z inicjatywy kilku ludzi gorącego i miłującego kraj serca, ale tak zapalnych, że rozwaga przychodziła dopiero — po czynie. Dla czystości zamiarów tej grupki przyłączyło się, jak to zawsze w takich razach bywa, kilku ludzi, których dobrej woli nie mamy może prawa podejrzywać, ale o umysłach awanturniczych i wybujałych. Jak niegdyś tacy ludzie znajdowali odpływ dla swojej energji na kresach ukrainnych i na Wołoszczyźnie, tak teraz dla ostatnich kilku pokoleń, Turcja stała się owem »przepiórczem polem«, na którem różni ludzie szukali dla siebie szczęścia. Żadnego »hospodarstwa« nie było wprawdzie dla zdobycia już, ale stały otworem urzędy dragomanów, paszów, ministrów, a bejowskie sukmany, barankami obszyte, dziś jeszcze pokutują na galicyjskiem Podolu.

Wszyscy ci, którzy dali impuls do założenia Konfederacji Narodu Polskiego we Lwowie, należeli nietylko do pokolenia roku 1863.,

ale do tej kategorji ludzi, którzy uważali, że ostatnia orężna, a nieszczęśliwa walka, nieskończona jeszcze; że naród zawarł tylko przymusowy rozejm i wyczekuje stosownej chwili do rozpoczęcia nowej walki. Było w takich ludziach więcej zapału niż znajomości rzeczywistego położenia tej części narodu polskiego, na której terenie odegrany został nowy dramat na tle dziejowych losów ojczyzny. Grały jeszcze niedawne a potężne napięcia patrjotyczne śród licznych jednostek, ale większość była zgnębiona, rozbita, upośledzona i niezdolna do jakiejkolwiek walki. W nowem pokoleniu, które udziału w roku 1863. nie wzięło lub bardzo mały, powstała idea t. zw. »pracy organicznej«, równie krańcowej jak nieprzejednanej walki, która usypiała dziś w imię różowej przyszłości, siły zaś rzucone w jednym kierunku rozgrzeszała z apatji narodowej. Na tem tle rozbudzała się błędna, fałszywa i gorsząca samokrytyka własnych dziejów, własnej przyszłości, własnych usiłowań. Była ona tem gorszą, że opierała się nie o naukę, lecz o tezy sformułowane a priori i używane do walki publicystycznej. Jedni wierzyli w to tylko, że póki idea jedności państwowej żyje w sercu narodu — póty żyje Polska; drudzy wierzyli, że Polska wówczas dopiero będzie, gdy ziemię naszą pokryją setki tysięcy kominów fabrycznych. Inżynier stał się bohaterem życia i powieści. Ta cicha wojna domowa dwóch idei, nie pozwalająca obliczyć obu armji walczących, jednych karmiła pognębieniem, drugich goryczą.

Myśl zawiązania Konfederacji Narodu Polskiego powstała w gronie niedawnych jeszcze żołnierzy r. 1863. i wypłynęła z potrzeby zorganizowania się w przewidywaniu wojny rosyjsko-tureckiej. Idea państwowości polskiej była tak silną w naszem społeczeństwie, że pomimo niedawnych klęsk, naród w najgorętszych swoich jednostkach protestował przeciwko istniejącemu porządkowi rzeczy. Mając wszystkie drogi publiczne zamknięte, protest wyrażał się w spiskach i potajemnych knowaniach, które, przy pomyślnym zbiegu okoliczności przybierały szersze rozmiary. Od nieszczęsnych wypadków końca XVIII. w. nigdy w Polsce nie brakło ludzi, którzy szli za ideą protestu, działali w imię tej idei, wreszcie organizowali społeczeństwo do samoobrony. Byli to fanatycy miłości Ojczyzny i obowiązku względem niej, którzy stanowisko, mienie i życie składali na ofiarę wielkiej idei. Nie czas jeszcze sądzić ich w pewnej równowadze ducha i nie nam przystoi wydawać wyroki potępienia za — nieszczęścia. My możemy tylko opowiadać zaszłe wypadki w związku z innymi, o ile zdołamy przedrzeć się przez mgły tajemnic spiskowych i starać się zachować w opowiadaniu najwięcej objektywności.

Powiedziałem już, że myśl zawiązania K. N. P. powstała we Lwowie i nie odrazu przybrała na siebie postać jasno zorganizowanego spisku — jasno postawionej idei. Nawet tytuł zrodził się później. Nieporozumienia polityczne między Rosją a Turcją, szczególnie po ukończeniu wojny serbskiej, pozwalały z łatwością przewidywać nową wojnę — Rosji

z Turcją, a sytuacja polityczna była ciągłym przedmiotem dyskusji. Zajmowano się nią goręcej w Galicji niż gdzieindziej, gdyż Galicja właśnie była najbliższą terenu spodziewanej powszechnie — jak się okazało później słusznie — wojny. We Lwowie i Krakowie, a głównie we Lwowie — skupiły się rozbitki niedawnego K. N., tu przemieszkiwał w komplecie prawie cały Komitet Galicji Wschodniej, z »narwanym«, a raczej bałamutnym i ambitnym księciem Adamem Sapiehą, tu miała siedlisko najkrzykliwsza »tromtadracja« polityczna. Słowem, grunt był podatny, atmosfera bardzo przyjazna dla nowej roboty spiskowej. W sąsiedniej prawie Turcji była także spora garstka emigrantów z r. 1863. na rozmaitych urzędach i stanowiskach. Odbywała się tedy korespondencja, nieraz bardzo ożywiona, między Lwowem a Stambułem.

Według opowiadania jednego z uczestników lwowskiej konspiracji, myśl zawiązania K. N. P. powstała w końcu Marca 1876. i wyszła od Teofila Szumskiego, współpracownika G a z e t y l w o w s k i e j. Dał do niej impuls niejako nastrój politycznego położenia w Europie. Chwila dla nas była beznadziejna — a widmo wojny dwóch państw wydawało się błędnym ognikiem, który łudził i niewiadomo dokąd mógł zaprowadzić. Ale błyszczał. Szumski, przyszedłszy w końcu Marca 1876. do swego kolegi z powstania Ksawerego Gebharda, po długiej dyskusji na temat nowych prądów, ogarniających społeczeństwo, odezwał się w końcu: »zabierzmy się do pracy organizacyjnej, wezwijmy naród

do współdziałania, do gromadzenia środków, którymi w danej chwili możnaby było skutecznie poprzeć sprawę polską w dyplomacji, prasie i na polu walki«. Nasuwała się myśl: z kim zacząć tę akcję, mającą charakter spisku? Szumski widocznie już przedtem miał taką samą rozmowę z innymi, już się porozumiał, już szukał współtowarzyszy, badając myśli i uczucia najbliższych sobie ludzi, gdyż odrazu wymienił Wacława Koszczyca (Wołodźko) i Edmunda Riedla. »We czterech — rzekł — będziemy stanowić zawiązek Komitetu«. Trzeźwemu i rozważnemu Gebhardowi wydało się to niemożliwem. Czuł, że dla poparcia wielkiej idei niewystarczą cztery nieznane nazwiska. Był tedy tego zdania, że inicjatywa do pracy powinna wypłynąć z serca Polski — z Warszawy. Szumski jął się dowodzić, że Warszawa, przygnieciona żelazną ręką, głosu zabrać nie może; jeżeli będzie mogła działać — poddamy się jej rozkazom. Perswazje Gebharda, ażeby na czele ruchu narodowego stanęli ludzie znani i poważni, nie znajdowały u demagogicznie nastrojonego Szumskiego uwzględnienia. Był on tego zdania, ażeby tylko dać początek — ludzie potem się znajdą. W czasie dyskusji padło nazwisko Agatona Gillera, który mógłby na czele spisku stanąć. Pokazało się, że Szumski z nim już mówił. Giller politykował, badał, zajął stanowisko wyczekujące. Miał on już siebie za powagę i z powagami tylko chciałby pracować. Zasłaniał się tem, że nie może należeć do żadnego tajnego sprzymierzenia, gdyż hr. Alfred Potocki, namiestnik, zagroził mu wydaleniem, a na propozycję,

ażeby zagranicą zawiązał Komitet i na czele jego stanął, odrzekł, że taki Komitet nie miałby wobec kraju powagi, gdyż, narażając cały naród na niebezpieczeństwo, sam siedziałby spokojnie. Obiecał akcję spiskową wspierać ale na propozycje mianowania różnych osób, od wypowiedzenia swojej opinji uchylił się.

W końcu Marca 1876 zeszło się czterech ludzi w mieszkaniu Edmunda Riedla: Gebhard, Koszczyc, Szumski — gospodarz był czwartym; ludzie ci mieli stanowić zawiązek Komitetu. Jeżeli Szumski reprezentował zapalny element bombastycznego patrjotyzmu, Riedel i Gebhard byli przedstawicielami umiarkowanej i ostrożnej rozwagi, to Koszczyca śmiało można nazwać pewnego rodzaju demokratycznym maniakiem na punkcie konspiracji. Człowiek niespokojnego ducha, niespokojnej myśli, podejrzliwy, bezwzględny w sądach i wyrokach, najlepszego myślenia o sobie, a najgorszego o innych, zarozumiały i ambitny, nie znosił koło siebie nikogo — oprócz posłusznych wykonawców. Polskę miłował wprawdzie gorąco, ale dziwną Polskę i w dziwny sposób: on ją sobie wyobrażał jako bryłę martwego ciała, z którą można robić różne experymenty dowolnie i bezkarnie — w imię dobra. Pełen tajemniczości i tajemnic, wszędzie widział szpiegów, zdrajców, a hrabiów i książąt gotów był mordować bez pardonu za jakieś winy przodków, o których on jeden »wiedział najlepiej«. Z takim niezrównoważonym człowiekiem praca nie zapowiadała się spokojnie. Zarozumiałość jego była bez granic. Sam o sobie

mówił, że »duszą tego kierunku — myśli nawiązania stosunków z Turcją — był Wacław Koszczyc. Pisywał korespondencje ze Wschodu, siedząc we Lwowie, i wierzył, że miał rozgłos, który mu dał możność wejścia w stosunki ze światem tureckim i polskim«[1]. Faktycznie stosunki te były samołudzeniem się ambitnego i zgorzkniałego człowieka, pełnego jednak chorobliwej energji. O kolegach swoich z K. N. P. nie lubił mówić, pomijając ich nazwiska bądź milczeniem, bądź lekceważeniem.

Gdy się tedy inicjatorowie przyszłej akcji, niemającej jeszcze tytułu, zeszli u Riedla, Koszczyc zażądał przysięgi »na wierność służbie narodowej«. Był to efekt konspiratorski. Widzieliśmy nieraz, że dla zdrajców przysięga nie była obowiązującą. Uspokojono go tem, że przysięgę taką można będzie złożyć wówczas, gdy komitet zostanie uzupełniony. Na tem wcale nie zakończyły się zastrzeżenia Koszczyca: żądał on, »ażeby do Komitetu nie wprowadzać żadnego hrabiego, księcia i szlachcica«. Na to słusznie odpowiedział Riedel: »jeżeli mamy działać w imię niepodległości Polski, to nie róbmy żadnej różnicy. Mamy pracować dla narodu, a naród składa się z różnych warstw, — w obliczu zaś Polski wszystkie równe. Niepowinniśmy odpychać nikogo od ołtarza ofiarnego. Kto chce szczerze i z przekonaniem sprawie ojczystej służyć, naszym obowiązkiem powinno być — ułatwić mu tę służbę«. Oczywiście, argumentem Koszczyca było — »że magnaci zgubili Polskę«.

[1]) Ruch narod. w r. 1876. Chicago 1898. str. 7.

Ledwie uspokojono jego demokratyczne sumienie tem, że »z tych magnatów, którzy sprzedali Polskę, już proch tylko pozostał. Następcy ich już nic do sprzedania nie mieli«.

Owo posiedzenie organizacyjne zakończyło się tem, że postanowiono w gronie najbliższych sobie osób, kolportować myśl, że »wobec zbliżających się wypadków trzeba coś robić«. Jednem słowem postanowiono »budzić« społeczeństwo, mówić wszędzie, że »trzeba działać«. Był to pewnego rodzaju sposób badania opinji, tworzenia nastroju. Owej grupce entuzjastów, o różnych temperamentach, charakterach i umysłach, przyszedł z pomocą wypadek. W Maju t. r. Władysław Niegolewski, miał bardzo gorącą mowę w parlamencie niemieckim w obronie języka polskiego i praw, poręczonych przysięgą królów i traktatami. Mowa ta wywołała śród patrjotycznie nastrojonej części społeczeństwa entuzjazm. Z powodu tej mowy »czwórka« zebrała się znowu w mieszkaniu Szumskiego i na propozycję Riedla postanowiono wystosować do Niegolewskiego adres. Do tego potrzebne było poparcie prasy. Upoważniono Gebharda i Riedla do udania się do Jana Dobrzańskiego, redaktora G a z e t y n a r o d o w e j i Tadeusza Romanowicza, redaktora D z i e n n i k a p o l. Dobrzański przyrzekł poparcie, Romanowicz odmówił, motywując odmowę tem, że Niegolewski spełnił tylko swój obowiązek, żadne przeto nie należą mu się podziękowania. Nadaremnie starano się zmiękczyć wyrok uwagą, że nie wszyscy posłowie spełniają obowiązek, trzeba przeto wyróżnić tych, którzy go

spełniają. Nic to nie pomogło. Romanowicz nie znosił cudzej inicjatywy. Nie dał się nakłonić i zakończył audjencję niegrzecznem: żegnam panów. Riedel odpowiedział spokojnie: bez jednego żołnierza odbędzie się wojna.

Nie zaniechano wszakże myśli adresu do Niegolewskiego. Zajmowali się nią główne Riedel, Gebhard i Szumski. Obliczono, że kasetka z adresem będzie kosztować 70 zł. reń., a podróż 50 fl. — wielka suma dla tych, którzy nic nie mieli do dania, oprócz pracy swojej, sił i uczuć. Na posiedzeniu »czwórki« d. 26. Maja stanęła tedy znowu sprawa adresu. Poinformowano Koszczyca. Projekt cały wydał mu się bardzo skromnym. Koszczyc miał artystyczne pomysły: »tanie mięso psy jedzą — zawyrokował — adres powinien być oprawnym w świńską skórę, klamry i emblematy ze srebra oksydowanego, a kasetka z drzewa hebanowego, rogi srebrem kute, wieczko ze szkła kryształowego«. »O pieniądze — mówił — trzeba się postarać«. Na piękną propozycję Koszczyca nie zgodzono się jednak. Zaczęto składki od własnej kieszeni. Gebhard dał 10 złr., Riedl 10 zł. Koszczyc nic nie dał, i nie można się temu dziwić: był to człowiek zarobkujący piórem. Śmierć głodowa częściej mu zaglądała do oczu, niż honorarja chudo i rzadko wypłacane. Ostatecznie, dzięki usiłowaniom Gebharda i Riedla zdołano zebrać śród mieszczaństwa lwowskiego potrzebną sumkę. Getritz, introligator, także uczestnik roku 1863., adres pięknie oprawił, dał kasetkę — i deputacja, złożona z Riedla i Szumskiego wyjechała w Poznańskie.

Trafiono na zjazd kilku posłów w domu Niegolewskiego. Gościnny gospodarz przez trzy dni zatrzymał deputację u siebie. Szumski przedstawił mu, że zawiązała się we Lwowie organizacja polityczna — jeszcze faktycznie nie istniała — w celu prowadzenia prac przygotowawczych na wypadek wojny Rosji z Turcją. Niegolewski uznał ją za rzecz potrzebną i radził widzieć się z Aleksandrem Guttrym, czynnym bardzo człowiekiem z r. 1863. Na pierwszym wstępie rozbiła się rada Koszczyca — rozpoczęła się konferencja z hrabiami i szlachcicami. Przypadek chciał, że właśnie Niegolewski doradzał rozumne unikanie masowej organizacji, dopóki nie będzie pewności, że można będzie ją zatrudnić. Tego samego zapatrywania był i Guttry, przyrzekając skomunikować ich z Warszawą, prosił tylko o program i odezwy. Nie obeszło się i bez koniecznego kłamstwa. Chcąc nadać sobie więcej znaczenia, Szumski zaręczał, że do organizacji lwowskiej należy wielu bardzo poważnych obywateli. A tymczasem K. N. P. znaną była zaledwie „czwórce". Komitet zaś, mający kierować całem sprzysiężeniem, nie istniał jeszcze. Przypadkowe zetknięcie się z Ks. Poznańskiem, przychylne przyjęcie myśli zorganizowania się, nawiązane już niejako życzliwe stosunki, sprawiały „czwórce" pewne zakłopotanie wobec braku organizacji i braku osób, któreby można było postawić na czele. Prywatnej korespondencji Koszczyca ze Stambułem nie można było brać na serjo, gdyż każdy fakt przedstawiał się temu człowiekowi w ogromnem powiększeniu, w oświetleniu fantastycznem

i przesadnem. Na najbliższem posiedzeniu Gebhard zaproponował zaprosić do mającego powstać Komitetu hr. Artura Gołuchowskiego, uczestnika powstania r. 1831. i niezbyt szczęśliwego organizatora wyprawy na Wołyń w r. 1863. Koszczyc zaoponował. Przeprowadzono głosowanie — trzy głosy padło na hrabiego. Postanowiono wysłać do niego z propozycją Gebharda, jako podkomendnego z r. 1863. hr. Gołuchowskiego. Gebhard wyjechał natychmiast do Łosiacza, majętności Gołuchowskiego. Po bardzo serdecznem powitaniu, rozpoczęła się rozmowa o sytuacji politycznej na Wschodzie i o mogącej wyniknąć stąd wojnie, do której i Austrja może być wplątaną. »Na ten wypadek — mówił Gołuchowski — Polacy powinni być gotowi stanąć przy boku Austrji«. Teraz dopiero mógł Gebhard przystąpić do wyjawienia celu swej podróży. Gołuchowski przyjął zaproszenie do Komitetu K. N. P., ale z góry oświadczył, że na posiedzenia, z powodu złego stanu zdrowia, rzadko przyjeżdżać będzie. W każdym razie zjednanie Gołuchowskiego już było wielką wygraną K. N. P. Mieli już ów poszukiwany, a poważny szyld, którym się zasłonić mogli.

Gołuchowski ze swej strony doradzał poruszyć opinję Europy, wywołać pewne sympatje dla sprawy polskiej, a do tego polecał Władysława Kulczyckiego, mieszkającego w Rzymie, także hrabiego — najnowszej kreacji — i szambelana Piusa IX. Nawiasem powiedzieć należy, że był to jedyny hrabia, którego nie tylko tolerował Koszczyc, ale cenił za gorącość rewolucyjnego ducha.

Po zdaniu relacji przez Gębharda z wycieczki do Łosiacza, »czwórka« postanowiła rozpocząć szerszą akcję. Polecono Gebhardowi skomunikować się z Kulczyckim najprzód prywatnie — zawiadomić go o zawiązaniu się K. N. P., zaproponować nominację na reprezentanta K. N. P, zapytać, czy zechce się zająć poruszeniem w prasie włoskiej sprawy polskiej i ile na to będzie potrzebować pieniędzy. Koszczyc miał dostarczyć pieczęci, a Riedel i Szumski zająć się wydrukowaniem odezwy. Piątego dnia, po wysłaniu listu przez Gebharda do Kulczyckiego, nadeszła odpowiedź przychylna: Kulczycki przystąpił do K. N. P., przyjął nominację, a na prasę żądał niewielkiego zasiłku. Koszczyc przyniósł pieczęć, rzniętą we Lwowie przez Zenona Szymańskiego, artystę-malarza, kolegę z powstania 1863 r. Andriollego, a wówczas kasjera w szpitalu powszechnym we Lwowie. Pieczęć miała orła w środku, a w otoku napis: Konfederacja Narodu Polskiego z r. 1876. Riedel pojechał na własny koszt do Wiednia i przywiózł czcionki i prasę ręczną, a pierwszą odezwę wydrukowali i złożyli spiskowi sami w mieszkaniu Gebharda. Odezwę ową rozdano i rozesłano w kilku tysiącach egzemplarzy. Na posiedzeniu »czwórki« odczytał ją Szumski. Zdaje się, że sam ją ułożył, gdyż Koszczyc nie przytacza tego dokumentu w aneksach do swojej broszury[1]), a on cudzych pomysłów nie lubił wysuwać na czoło. Zanim wszakże to się stało, Szumski odczytał Akt konfedera-

[1]) Ruch narod. z r. 1877.

cji, nieznany nam bliżej, pod którym wszyscy czterej położyli swoje podpisy, a dla lepszego zamaskowania się włożyli do koperty ze stemplem Warszawa. Ów komitet „czterech“ występował jako Delegacja Konfederacji Narodu Polskiego.

Odezwa, puszczona w świat przez pocztę, nie sprawiła tego piorunującego wrażenia, na jakie liczyli inicjatorowie. Mówiono o niej wszakże w mieście dużo. Nie brak było entuzjastów, ale większość przyjęła ją bardzo krytycznie i niedowierzająco. Ludzie, którzy przed trzynastu laty szli w ogień, dziś, jako chłodni i rozważni politycy, stali się gorącymi nieprzyjaciółmi ruchu zbrojnego. Widzieli tylko klęski ostatniego pogromu, a lękali się jeszcze większych. Anonimowość roboty była także podejrzaną. Zima Franciszek, Romanowicz Tadeusz, Aleksander Hirszberg, Jan Lam, Henryk Rewakowicz, a nawet Liberat Zajączkowski, człowiek o bardzo dwuznacznej opinji, głośno oburzali się na samą myśl budzenia, już nieco uspokojonego społeczeństwa, do nowych nerwowych czynów. Gdy Gebhard, spotkawszy się przypadkowo, w towarzystwie wspólnych znajomych, z Tadeuszem Romanowiczem, zapytał go, niby nie wiedząc o niczem, czy wiadomo mu, że jest w Warszawie Komitet pod nazwą K. N. P., — Romanowicz odpowiedział: »ostrożnie, nie leźcie w pułapkę. Nie wierzę w to, ażeby w Warszawie i Królestwie mógł zorganizować się Rząd narodowy i wzywał kraj do organizacji. Gdyby w Warszawie istniał istotnie Komitet, złożony z ludzi poważnych,

nie rozsyłaliby odezwy przez pocztę, lecz trafiliby osobiście do ludzi poważnych w Krakowie i we Lwowie«. Było w tych słowach dużo słuszności, ale tkwiła także tragiczność losów naszych: obawiano się cienia własnego, podejrzywano się wzajemnie, w każdej robocie patrjotycznej doszukiwano się raczej złośliwej ręki, niż miłości Ojczyzny, kierowanej rozpaczą.

Ale nie brak było, jak wspomniałem, entuzjastów. Jenerał Jeziorański, pracujący jako urzędnik w Wydziale krajowym, gdy odczytał odezwę, rzekł: »chwała Bogu, że naród rozbudził się z drzemki. Nie wierzę — mówił — ażeby w Warszawie mógł powstać Komitet, ale gdziekolwiek znaleźli się ludzie, którzy wzywają do pracy — szczęść im Boże Kazimierzów i Jagiellonów«. W tej chwili wszedł do biura Jeziorańskiego Robert Thieme, inżynier Wydziału krajowego, dawny major wojsk rosyjskich, który, przeczytawszy odezwę, równie gorąco ją powitał. Domyślał się łatwo, że jego przygodny znajomy, który zdradził się z tem, że kilka odezw przy sobie posiadał, musi coś więcej i o autorach i o Komitecie wiedzieć. Tegoż dnia Thieme zetknął się z Gebhardem na Wysokim Zamku i po długiej rozmowie, w której Gebhard opowiedział dzieje połączenia się »czwórki« w Komitecik, przyznał mu się nawet, że cały Komitet nie jest skompletowany dotychczas. Nazajutrz na posiedzeniu „czwórki" postanowiono wzmocnić Komitet. Gebhard zaproponował Thiemego, Koszczyc — Michała Moszczańskiego, radnego i właściciela kamienicy, a Szumski — Adama

Kulwieca, byłego kapitana wojsk rosyj., zarządcę obecnie tak zwanego magistrackiego dworca — składu różnych narzędzi, będących własnością miasta. W ten sposób dopiero 10. lipca 1876 utworzył się obszerniejszy Komitet, czyli według nazwy lubującego się w superlatywach Koszczyca — Generalicja. Skład jego był następujący: Hr. Artur Gołuchowski, Teofil Szumski, Wacław Koszczyc, Robert Thieme, Ksawery Gebhard, Michał Moszczański i Edmund Riedl. Komitetowi temu nadał Koszczyc w broszurze swojej jeszcze głośniejszy tytuł: Rady generalnej Konfederacji Narodu Polskiego czyli Rady Konfederackiej z r. 1876.

Koszczyc był niezmordowany w pomysłach. Odosobniony od świata, ludzi, skupiony w sobie, zamknięty w czterech ścianach izdebki, gdzie ubogie nad wyraz, ale niezależne życie prowadził, ułożył regulamin dla członków Konfederacji, instrukcje dla Naczelników, wreszcie stopnie hierarchiczne, posługując się w tym celu trochę historją, trochę fantazją. Projekty jego przyjęte zostały bez dyskusji. W nowym Komitecie wprowadzono podział pracy: sprawy wewnętrzne wziął na siebie Koszczyc, zewnętrzne — Gebhard, wojskowe — Thieme, skarbu Moszczański, policji — Riedl, Kulwiec i Szumski — komunikacji. Nie dość ściśle z czasem przestrzegano tego podziału, ale ostatecznie ministrowie i ministerja już były.

Koszczyc przy swojej niezaprzeczonej miłości Ojczyzny, był spiskowym pozerem, lubił otaczać się

teatralnością i występować w przesadnej formie. Stąd też nie tylko powiększał swoje znaczenie i czyny, ale lekceważył innych dla wywyższenia siebie; często prowadził akcję na własną rękę, rzadko o tem zawiadamiał generalicję i nie zawsze prawda przedstawiała mu się we właściwem świetle. Uznawał tylko wartość ludzi takich, którzy się z nim zgadzali w poglądach. Wyliczając np. skład generalicji, dodawał w końcu złośliwie: »i inni jacyś«, chociaż nazwiska ich pamiętał dobrze i wiedział, że byli członkami bardzo czynnymi.

Po zawiązaniu Komitetu, czyli Generalicji — jak pisał stale Koszczyc — jakoteż Rad prowincjonalnych, które nie funkcjonowały wcale, gdyż pomimo najszczerszych chęci Komitet, oprócz Lwowa, nie zdołał zainteresować szerszych kręgów społecznych, przystąpiono do rozszerzenia akcji. Do Warszawy wyjechał Wład. Sabowski dla nawiązania stosunków i nie wrócił, tak że trzeba było wysłać jeszcze Szumskiego. Nie rychło to się stało wszakże, gdyż generalicja była bogatszą w pomysły, niż w pieniądze. Do Pesztu wysłano Moszczańskiego w celu zetknięcia się z ludźmi, wskazanymi przez generałą Klapkę. Misja ta była o tyle ułatwioną, że Moszczański wyjechał własnym kosztem Zebrano nareszcie 50 zł. r. na podróż do Warszawy. Koszczyc uważał, że to mało. Miał słuszność, ale nie tylko nie wskazywał źródła, skąd wziąść więcej, lecz w tonie rozkazującym powiedział: »ja każę dać 100«. Zwrócono jego uwagę na niewłaści-

wość rozkazu wobec równości władzy. To go bynajmniej nie obraziło.

Kulczycki wziął się energicznie do dzieła, przełożył na włoski język odezwę, czyli jak się wyrażał górnie Koszczyc — manifest — i umieścił w dziennikach, na dalszą zaś agitację w prasie żądał zasiłku, nieokreślając jego wysokości. A kasa K. N. P. była prawie pusta. Koszczyc znalazł na to idealną radę: »nie troszczcie się panowie — mówił — służymy świętej sprawie i nad tem się zastanawiajmy, jak jej służyć. Chrystus nie miał worka napełnionego srebrnikami, kiedy niósł boską naukę po świecie. A jak w nauce Chrystusa jaśniały trzy słońca: wiara, nadzieja i miłość, tak sprawa, której służymy, zawiera w sobie także trzy słońca: wolność, równość, niepodległość«. »Wkrótce — pocieszał dalej— będziemy mieć miljony«. Była to nadzieja, oparta na jego porozumieniach się po za plecami generalicji, o których później mówić nam wypadnie.

Wobec takich zapatrywań Koszczyca trudną a nawet bezcelową byłaby dalsza dyskusja. Zabrali się tedy do czynu ludzie trzeźwiejsi — Thieme, Riedl i Gebhard i drogą składek zdołano zebrać niewielką sumkę, 130 zł., z czego posłano Kulczyckiemu sto. Moszczański zawiadomił, że zetknął się z Tow. wolnych mularzy, które przyobiecało poparcie, poczuwając się do wdzięczności względem Polski za rok 1848, ale chcieli wiedzieć, kto reprezentuje K. N. P., gdyż nie mogą angażować się, nie wiedząc, z kim mają do czynienia.

Po przeczytaniu listu Koszczyc skrzywił się i rzekł z gniewem: »durnie jacyś! Jakiejże żądają firmy? Może chcą Radziwiłłów, Potockich, Sapiehów? Nic z tego. Obejdziemy się bez pomocy Węgrów. Dla nas Stambuł i Londyn są najważniejszym terenem dla działania«. Słowa te były także oparte na korespondencji Koszczyca w imieniu K. N. P. bez porozumienia się z kolegami. Przyszło z powodu odezwania się tego do kontrawersji. Rozsądny i trzeźwy Thieme zwrócił uwagę, że Węgrowie nie wymieniają nazwisk; nie żądają ani Radziwiłła, ani Potockiego, ani Sapiehy, ale może być Zyblikiewicz, Smolka, Ziemiałkowski lub hr. Borkowski, ludzie pracujący dla idei nie od dziś, mający tradycje za sobą, znani w kraju i poza krajem. Uwaga ta wybiła z równowagi Koszczyca, który utrzymywał, że »gdyby przyszło do obrachunku, widzielibyśmy, kto ma lepszą tradycję za sobą«. Pomimo dąsania się Koszczyca, zgodzono się na to, że tradycja ludzi, zasiadających w Komitecie »już za Żółkiewską rogatką nieznana«. Nie ubliżało to bynajmniej nikomu. Przekonano się, że słusznym żądaniom Węgrów zadość uczynić nie mogą, że trzeba czekać rozwoju wypadków, a jeżeli one wysuną na czoło ludzi, posiadających zaufanie narodu, chętnie im ustąpić należy przewodnictwa.

Czekano na relacje Szumskiego, ale nie było żadnej wieści. Thieme otrzymał tylko wiadomość bardzo niepokojącą, że widywano jakoby Szumskiego w towarzystwie Ludwika Górskiego, księcia Tadeusza Lubomirskiego i Ryżowa, prezesa cenzury warszaw-

skiej. Omawiano tam jakoby sprawę wydawania nowego polskiego dziennika w duchu ugodowym. Wiadomość ta zaniepokoiła K. N. P., a później dopiero miało się wyjaśnić, że Szumski znalazł się w tem towarzystwie przypadkowo. Tak czy inaczej, nic nie mógł zrobić, gdyż stosunkiem powyższym zamknął sam sobie drogę wyjścia. Trzeba było wypuścić drugiego gołębia z arki K. N. P. Pojechał Riedl i pięć dni w Warszawie bawił. Na zebraniu bardzo poważnych obywateli postanowiono pozostawić wolną rękę działań w Galicji, Królestwo zaś nie będzie brało udziału w pracy organizacyjnej ani wewnątrz ani zewnątrz. Gdyby jednak wypadki wzięły obrót korzystny, wówczas dopiero Warszawa będzie mogła głos zabrać, teraz zaś nie należy posługiwać się Warszawą ani na piśmie, ani na pieczęciach — chyba tylko przy ustnem porozumieniu się z rozmaitymi osobistościami. Wszystko to oznaczało, że ogólny nastrój opinji nie był przychylny spiskowej robocie, że Warszawa udziału w tej robocie nie weźmie, że w powodzenie zamiarów K. N. P. nie wierzy i, że będąc bardziej oddaloną od terenu Turcji, trzeźwiej zapatruje się na mogący się wywiązać konflikt. W samej rzeczy, myśleć o tem, że Królestwo mogłoby ruchem swoim wspierać dalekie i bardzo niepewne pod względem sympatji dla nas kresy wschodnie, byłoby to wszystko jedno, co liczyć na pomoc Turcji — floty chińskiej.

Mimo wszystko K. N. P. nie zrzekła się dalszej akcji i uważała siebie za centrum robót agitacyjnych. Młodsza generacja wybitniejszych ludzi

w Galicji stanowczo uważała działalność K. N. P. za szkodliwą, tylko starsi nie mogli się pogodzić z myślą abdykacyi, a było coś w tym uporze, powiedziałbym — wielkiego i tragicznego. Do takich ludzi należeli Alfred Młocki i hr. Leszek Borkowski, którzy, chociaż do K. N. P. nie przystąpili — nie potępiali jej wszakże.

Mimo różne niedomagania K. N. P. funkcjonowała. Nie była to wszakże organizacja ani tak zupełna, ani tak prawidłowa, ani tak skomplikowana, jak przedstawia Koszczyc. W jego oczach wszystko przybierało kształty — jego własnej wyobraźni. Zaliczał on do grona K. N. P. ludzi, którzy nigdy do niej na serjo nie należeli, a przypadkowo tylko mogli jej oddać jakieś przysługi lub zetknąć się z Koszczycem. Wogóle lubił bezustannie wysuwać siebie na czoło, co niestety nietylko rzadko było prawdą, ale bardzo rychło sam usunął się z Komitetu jako człowiek zupełnie niezdatny do roboty zbiorowej, wymagającej pewnego praktycznego zmysłu. Według Koszczyca skład Rady Generalnej »początkowo« składali: on sam, Teofil Szumski, Michał Heidenreich (jenerał Kruk), były oficer sztabu wojsk rosyjskich, Robert Thieme, inżynier, a później dopiero Edmund Riedl i »jacyś inni«. Nie wymienił ich nazwiska, chociaż wiedział o tem, że działali na równi z nim i pracą podzielili się między sobą. Do Rady prowincjonalnej galicyjskiej zaliczył Edwarda Simona, dyrektora Banku galicyjskiego, chociaż z nim nigdy nie komunikował się, Franciszka Gostkowskiego, inspektora kolei Fran. Józefa, dra Teo-

balda Semilskiego, adwokata, Artura hr. Gołuchowskiego i Stanisława Niemczynowskiego. W Poznańskiej Radzie prowincjonalnej zasiadali Aleksander Guttry i Dr. Wład. Niegolewski. We Lwowie, według fantazji Koszczyca, miała być sformowana Delegacja miejska, złożona z prezesa Juliana Tilscha, dyrektora Kasy zaliczkowej, Franc. Zimy, dyrektora Kasy oszczędności, Wacława Wątrowskiego, Tadeusza Romanowicza, J. Moszczańskiego, Feliksa Piątkowskiego, Karola Gromana, Dyonizego Węglowskiego, pułkownika z powstania 1863., Emiliana Bednarczyka, pułkow. z r. 1831 i 1863, ks. Sawy, posła, Karola Pawłowskiego i Karola Wiedmana. Był to spis nazwisk ludzi różnych obozów, różnych przekonań, niekiedy wprost wrogo usposobionych dla K. N. P. Koszczyc łączył tych ludzi do wspólnej pracy nie wspólnością przekonań, ale własną fantazją.

Z tego, cośmy poprzednio napisali o składzie Komitetu czyli Generalicji, jakoteż o tem, jak się niektórzy z wyliczonych dygnitarzy zapatrywali na robotę K. N. P. łatwo wnosić, jak samowolnie rozdawał tytuły Koszczyc i jak niesłusznie zwiększał grono Konfederatów i Generalicji. Przekonamy się jeszcze niejednokrotnie, jak często Koszczycowi fantazja zastępowała prawdę. Szedł on tak daleko w swoich fantastycznych pomysłach że z góry przeznaczał rekompensatę państwom zjednoczonym z K. N. P. I tak Austrja miała otrzymać rekompensatę na Turcji, Turcji zaś — aby się stało zadość sprawiedliwości — przeznaczył cały Kaukaz. Dynastja Habsburska miała

w odbudowanej Polsce odziedziczyć secundogeniturę. Anglji wydzielił wyspy na Bałtyku i w odnodze Fińskiej, nie wyłączając Kronsztatu, zaś na Czarnem morzu przeznaczał dla niej Krym. Odbudowane przez Turcję, Austrję i Anglję Królestwo Polskie miało jeszcze posiadać część dzisiejszej Chersońskiej gub. między Dniestrem a Dnieprem aż do morza, by módz stworzyć własną flotę. Wypisawszy to wszystko, dodał, że: »Konfederacja z r. 1876 nie dopuszczała w swym programie polityki idealnej.«

II.

Wspomnieliśmy już, że Koszczyc nawiązał stosunki ze Stambułem, gdzie miał znajomych. Na podstawie tych stosunków K. N. P. mianowała tam pełnomocnikiem swoim, pułkownika, emigranta z roku 1848, Artura Zimmermana, będącego w służbie tureckiej. Utworzono tedy osobną organizację, złożoną z Władysława Brzozowskiego, Holtza, Bohdanowicza, Zwierzchowskiego i innych. Na czele stał Zimmerman.

Zimmerman nie zwlekał i natychmiast prawie zawiadomił o nowej organizacji Midhat-paszę, Wielkiego Wezyra i przyjaciela Polaków. Emigracja, rozrzucona w różnych punktach Turcji europejskiej, odgadła, że coś albo już się święci, albo otwiera się droga do roboty. Porozumiewali się przeto ze sobą listownie, a kto mógł, spieszył do Stambułu, aby pewniejszych wiadomości zasięgnąć. Przyjechał także major Sokulski, uczestnik powstania r. 1831 i 1863. Widział się z Edhem-paszą, niedawnym ambasadorem w Berlinie, który mu doradził zetknąć się z Midhat-paszą, znanym przyjacielem Polaków, ażeby się dowiedzieć od niego o usposobieniu Wysokiej Porty względem Polaków. Śród emigracji nie

było już tajemnicą, że z Midhatem porozumiewali się Artur-Bej i Wład. Brzozowski. Starano się z początku utrzymać wszystko w sekrecie w obec Sokulskiego, ale widocznie przyszli do przekonania, że się przed majorem zwierzyć należy. Opowiedzieli mu tedy głucho, że złożyli na ręce Midhata pewne propozycje — był to zapewne ów memorjał, o którym Koszczyc wspominał — zachęcali go do przyłączenia się do rozpoczętej akcji, w końcu udali się do Midhata razem, ażeby o decyzji jego dowiedzieć się. Nazajutrz był Bajram, poszli przeto wszyscy trzej z wizytą. Midhat o polityce nie mówił. »Venez demain — rzekł krótko — nous serons seuls«. Teraz zawiele było gości. Artur - bej zaczął czytać jakiś list, w którym była wzmianka o Sobieskim. Mithatpasza porywczo czytanie przerwał, pytając: kto to był Sobieski? Wiedział o tem dobrze, gdyż Turcy dotychczas obchodzą rocznicę tego dnia postem. Widocznie wspomnienie imienia Sobieskiego dotknęło paszę. Wkrótce się opanował i po chwili milczenia odezwał się: »jeżeli Polska żąda wziąść udział w przyszłej wojnie, to dostarczymy broni, zawieziemy tam, gdzie rozkażecie, a gdy już wojna będzie zdecydowaną — tu zwrócił się wprost do Arturbeja — nie 300, jakeś wskazał w swem podaniu, lecz tyle, ile się was zbierze, choćby w największej liczbie, uzbroimy«.

Wkrótce potem ustąpił Midhat, a miejsce jego zajął Edhem-pasza, który propozycje poprzednika swego przyjął. Tak utrzymywał wprawdzie Arturbej, ale nie było to prawdą. Pozwolono tylko for-

mować oddziały ochotnicze, do których i Polakom wstęp nie był wzbroniony. Zanim do porozumienia się z ministrami przyszło, przyjechał do Stambułu anglik, poseł do parlamentu, lord Johnston Butler Northest, którego w skróceniu wprost Johnstonem nazywać będziemy. Jaka była jego rola? Nikt na pewno nie wiedział. Zdaje się, że był nieurzędowym ajentem angielskim, działającym na korzyść niby Turcji. Szukał wszędzie przyjaciół dla niej i nie trudno było dostrzec, że pragnął zorganizować na tyłach armii rosyjskiej jakiś ruch zbrojny, któryby rozdwoił siły Rosji. Śród wielu pomysłów i planów tego ruchliwego i niewyraźnego człowieka, łudził się on także nadzieją wywołania powstania w Polsce i złote góry obiecywał — jeżeli, jeżeli, jeżeli. Był on, krótko mówiąc, pułapką na łatwowiernych. Na audjencji u owego paszy, którego nazwiska Sokulski, niestety, niezanotował, dowiedział się, że na Kaukazie »powstanie«, a »byłoby wielką wspólną korzyścią gdyby i w Polsce nastąpiło«. Na audjencji tej był obecnym K. Groman, współwłaściciel *Gazety narodowej*, wysłany w celu zorjentowania się na miejscu, o ile nastrój dla Polaków i sprawy polskiej jest w Stambule przychylny. Jasnem było jedno — że Turcja chętną byłaby coś zrobić, pod warunkiem wszakże, ażeby się Polacy do broni porwali. Wizyta nazajutrz w Seraskieracie u owego paszy była poniekąd wyjaśnieniem kilku słów poprzednich, mianowicie, że ochotnicy Polacy mogą się zbierać w tureckich koszarach, a przed wyjściem na linję bojową dostaną broń. W koszarach pozo-

stawać będą pod komendą majora Jagmina. Było to bardzo niewiele i mocno zasmuciło Gromana. Po rozejściu się z Sokulskim, Groman poszedł do Artur-beja, który mu zapewne pełnemi garściami udzielił obietnic hojnie udzielanych przez Johnstona. Podwójna gra Artur-beja zniechęciła prawego i rozumnego Sokulskiego do wszelkiego stosunku z nim dalszego.

Pozostali na czele najwytrwalsi, najruchliwsi, najmniej odpowiedzialni i najmniej wybredni.

W małej kolonji Stambulskiej nie było zgody. Oskarżali się wzajemnie i żądali utworzenia nowego Komitetu, na którego czele życzyli sobie postawić Jagmina. Jagmin stanowczo odmówił, zasłonił się tem, że jest żołnierzem, na polityce nie zna się, a prosił, aby przysłano kogoś z poważnych ludzi, któryby tam zgodę i ład zaprowadził. K. N. P. nie miała ani kogo posłać, ani opłacić kosztów podróży. Przypadek zrządził, że wybierał się właśnie na Wschód Józef Grekowicz, pułkownik z roku 1863. Zdołano wykołatać dla niego 50 zł. r. zasiłku i wysłano, aby porządek wprowadził. Walka skupiała się tam głównie koło dwóch antagonistów Zimmermana i Zwierzchowskiego, który był prywatnym sekretarzem Damata-paszy.

Jedną z najważniejszych przyczyn, dlaczego K. N. P. narobiła tyle hałasu i zdołała skupić koło siebie grono zapalnych patrjotów, była zakulisowa polityka Anglji — polityka urzędowa, ale zdążająca do osłabienia Rosji, do wytworzenia wewnątrz państwa niepokojów i komplikacji. W ten sposób

chciano dopomódz Turcji w zbliżającej się nieuniknionej walce z Rosją. Usiłowano przeto wyzyskać niezadowolenie Polaków i wywołać nowe powstanie, które, w razie wybuchu wojny, musiałoby uwięzić znaczne siły na terenie Królestwa polskiego. W pomoc nieurzędowej polityce »przyjaciół Polski« miała przyjść nie urzędowa pomoc — materjalna — w broni i pieniądzach. Ani delegaci Stambulscy, ani tembardziej Komitet K. N. P. nie zorjentowali się w sytuacji i rozpoczynali nawiązywanie stosunków w najlepszej myśli. Obietnice i sympatje angielskie i tureckie brali na serjo, a ochoczość pomagania Polakom z jednej i z drugiej strony okazywaną, uważali za zwycięstwa własnej polityki. I tak bałamucono się wzajemnie czas jakiś, póki się węzeł intryg nie rozplątał sam przez się. Zarówno Turcja jak i Anglja zdawały się wierzyć najzupełniej, że cały naród polski pójdzie na obietnice, a gdy się tylko wywiesi chorągiew legionu — wnet tysiące popłyną ku niemu. Łatwowierność była z obu stron, a podniecał ją jakiś memorjał, złożony przez Radę Konfederacką Stambulskiemu rządowi. Kto ów memorjał układał? Niewiadomo. Najprawdopodobniej sam Koszczyc, chociaż powiada, że go układali »najwybitniejsi patrjoci z Agatonem Gillerem«. Jest to o tyle nieprawdziwem, że Giller od K. N. P. uchylał się i wyrzekał się wszelkiej z nią wspólności. Koszczyc nie wiedział nic o zakulisowej robocie Gillera i dlatego zapewne tak śmiało na niego, jako na nieżyjącego już, powoływał się. Memorjał ów wyrażał, że Turcja na pomoc polską wówczas do-

piero liczyć może, gdy »istotnie podejmie walkę o odbudowanie Polski w granicach państwa rosyjskiego«. Jak sobie tę Polskę Koszczyc i K. N. P. wyobrażali — dociec trudno. Polska miała zbrojnie wystąpić wówczas dopiero, gdy Turcy przekroczą Prut i wejdą na Podole. Miało to nastąpić wszakże w końcu Marca lub w połowie Kwietnia dopiero, ażeby umożliwić łatwiejszą konsygnację oddziałów polskich. Turcja miała dostarczyć 100.000 sztuk broni z artylerją odpowiednią i amunicją z Widdynu przez Peszt, pośredniczyć w uzyskaniu kredytu za granicą z tem, że 10.000 f. s. (110.000 zł. reń.) miały być dostarczone na wiosnę do dyspozycji Generalicji K. N. P. Taką samą ilość broni i amunicji miała dostarczyć Anglja przez Bałtyk. Memorjał ten zawiózł, zdaje się, Grekowicz. Nastąpiło to już za poprzedniem porozumieniem z lordem Eliot'em, ambasadorem angielskim w Konstantynopolu za pośrednictwem Saint-Clair'a, wyższego oficera armji angielskiej, urodzonego z Kossakowskiej i uważającego się za Polaka, a z Damat-paszą, ministrem wojny, za pośrednictwem Aleksandra Zwierzchowskiego, sekretarza prywatnego ministra. O ile przyrzeczenia angielskie i tureckie były słuszne i jak szły daleko — nikt tego nie wie, gdyż ostrożni dyplomaci przyrzeczeń pisemnych, urzędowych niejako, nie dawali, nie dawali również żadnych gwarancji dotrzymania przyrzeczeń. Były to tylko obietnice, które mogły być łatwo urzeczywistnione ze względu na pożytek Tur-

cji, bez względu wszakże na interes Polski i bez żadnych zobowiązań w tym kierunku.

Gdy ruch K. N. P. począł się ujawniać tu i ówdzie, gdy poczęły się zbliżać wypadki, mające doprowadzić do wojny Rosji z Turcją, powstało we Lwowie Koło, skupiające ludzi gorącego serca, ale rozważnych, którzy, nie solidaryzując się z akcją K. N. P., uważali jednak, że »trzeba coś robić«, że rąk zakładać nie należy, że sprawę polską wypada znowu wnieść na porządek dzienny. Uradzono rozesłać memorjał do Londynu, Paryża, Wiednia, Rzymu i Konstantynopola. Memorjał nie był wszakże jeszcze w końcu Października wygotowany. Otóż Giller zwrócił się do Karola Brzozowskiego, będącego wówczas konsulem w Lataki z zapytaniem, czyby się nie podjął wręczenia tego memorjału Wielkiej Porcie. Zanim to wszakże nastąpić miało, prosił o zawiadomienie Midhata paszy o zawiązaniu się Koła z poważnych ludzi, mającego za zadanie podniesienie sprawy polskiej w sposób powyższy i że Brzozowski wybrany został do wręczenia memorjału. Midhat-pasza był wówczas, jak wiemy, Wielkim Wezyrem Porty i już informacje o zawiązaniu się K. N. P. posiadał. Brzozowski uczynił zadość życzeniu Koła, pisząc natychmiast prawie po otrzymaniu zlecenia, bo 6. Listopada, do Midhata-paszy. Zamiast wszakże odpowiedzi od Wezyra, otrzymał list od brata Władysława z d. 28. listopada, który go zawiadamia, że był u Midhata z polecenia K. N. P., a Wezyr, wysłuchawszy deputację, odczytał im list Karola Brzozowskiego. Propozycje były

wręcz sobie przeciwne, bo Koło pragnęło tylko podnieść i traktować kwestję polską na drodze dyplomatycznej, żądając dotrzymania obietnic przez Rosję poczynionych i zagwarantowanych. Było to, jakbyśmy dziś te żądania sformułowali, domaganiem się pewnej terrytorjalnej autonomji. K. N. P. natomiast obiecywała stawić kraj do dyspozycji Turcji z orężem w ręku na pewnych warunkach. Trudno było Midhatowi zorjentować się, który z dwóch memorjałów jest wyrazem opinji, a który jest tylko wynikiem akcji żywiołów gorętszych. Zamiast tedy odpowiedzieć Karolowi Brzozowskiemu, polecił obu obozom porozumieć się ze sobą. Władysław Brzozowski, który działał w porozumieniu z Artur-bejem (Zimermanem) i Iskinder-bejem (Zwierzchowskim), zawiadomił przy tem Karola o zawiązaniu się K. N. P., jakoby w Warszawie, która żąda od Turcji 50.000 karabinów i odpowiedniej amunicji (Koszczyc liczbę tę zdwoił), obiecuje wystąpić do walki z Rosją razem z Turcją w tem przeświadczeniu, że tylko obok wolnej Turcji może istnieć wolna Polska. Wspólnego wroga zatem wspólnemi siłami zwalczać należało. Przeciw tej zasadzie wypowiadał się cały kraj, zmęczony niedawną walką i pokutujący za nią w sposób bardzo ciężki. Nie wierzono zresztą w sukcesa wojenne Turcji i — jak się później okazało — słusznie. Pragnąc pogodzić ogień z wodą, Władysław Brzozowski proponował bratu, aby przedstawił Midhatowi, że oba koła działają wspólnie, ażeby nie kompromitować się w obliczu rządu tureckiego rozdwojeniem.

Wciągnięcie Polski do nowej walki wydało się Karolowi Brzozowskiemu szaleństwem. Odpisał tedy Gillerowi, zapytując, czem właściwie jest ta K. N. P., i wyrażał wątpliwość, czy cała robota »nie pachnie przypadkiem dziegciem«. Karol Brzozowski, osobiście, nie miał także jasnego poglądu na sposób i drogi, jakiemi miała dążyć do rozwiązania kwestja polska. Wypierał się, jakoby żądał »autonomijki«, a walkę orężną usuwał z programu politycznego. Wyglądało to trochę na tę zasadę, bardzo mało rozważną, a jeszcze mniej polityczną: albo wszystko, albo nic. Co się stanie ze skórą na baranie — o to troszczono się mało. Wypierał się tedy »autonomijki« i »walki«, ale równocześnie pisał do Midhata »notre devoir est de lutter contre le Tsarat partout et par tous les moyens. Nous ferons tout pour soulever la question polonaise dans le moment opportun«. W tym samym liście utrzymywał, że potrzeba »mettre sur le tapis notre cause, nos griefs contre les Russes et nos droits«. Pozwalał przeto wnioskować, że pragnie również walki orężnej (de lutter partout et par tous les moyens), jak i działania drogą dyplomatyczną. Nie przeszkadzało mu to wystąpić przeciwko K. N. P. bardzo energicznie, która także miała w swoim programie »de lutter partout et par tous les moyens«. Nie czas jeszcze było na uznanie programu Girardina: »la Pologne libre dans la Russie libre«. W takim samym tonie, jak do brata, niby stanowczym, a jednak wahającym się, napisał do Midhata paszy. »Dzięki Rosji Polska dojrzała do powstania i chwyci za broń, ale tylko wtedy, jeżeli

wytworzy się takie położenie europejskie, że będzie mogła z pewną szansą rzucić krew swoją na szalę wypadków, przyjaźnie dla Polski układających się. Ci, którzy już dzisiaj myślą o organizacji wojennej, narażają ojczyznę swoją na nieobliczone klęski i mogą ją obezwładnić tak dalece, że w chwili nawet najbardziej sprzyjającej, nie zdolna będzie skorzystać«. Było więc i czarno i biało; i chęć i bojaźń. Wogóle jednak Brzozowski Karol nieprzychylnie zapatrywał się na zamiary i działalność K. N. P. Tak też zrozumiano list Brzozowskiego do Gillera. We Lwowie wiedziano już, że w Stambule nawiązane zostały stosunki, że Turcja pragnie wciągnąć Polskę do walki wspólnej z Rosją. Poważne Koła wypowiadały się przeciwko temu udziałowi. To też Karol Brzozowski 7. Stycznia 1877 r. otrzymał taki telegram z Koła: »to co pewne osoby powiedziały Wielkiemu bankierowi [1]), jest fałszywem. Jedź, sprostuj. Fundusze i detale przyjdą«. W ten sposób znalazł się K. Brzozowski w roli pośrednika między Kołem — którego składu nie znał — a rządem tureckim; pośrednictwo zaś polegało na niedopuszczeniu w Polsce do zbrojnego wybuchu, a względnie na odroczeniu go do chwili stanowczej. Przeciwko walce orężnej najenergiczniej występował Fr. Zima, niedawny jeszcze żołnierz pod Castangalją. Zachęcał on wprost Brzozowskiego, ażeby przyjechał do Lwowa naprzód, a dopiero stąd z instrukcjami do Stambułu wrócił. Wkrótce po listach Zimy

[1]) Wielki Wezyr.

i Gillera, przyszedł list od K. N. P. We Lwowie dowiedziano się już, jakie stanowisko zajął K. Brzozowski w obec K. N. P. List ów uważa Koszczyc za sfałszowany o tyle, że bez wiedzy innych kolegów wysłany, pochodził on wszakże od samego Koszczyca. Gdyby wyszedł z polecenia Generalicji, wiedzianoby o nim. A oprócz Koszczyca nikt więcej po za Komitetem lwowskim nie był wtajemniczony w działalność K. Brzozowskiego. Tak, czy inaczej ów list urzędowy, z pieczęcią K. N. P. robił wymówki K. Brzozowskiemu za stanowisko jego wobec Midhata-paszy, jakoby »sprzeczne z interesami Polski i rokowaniami, które w jej sprawie zawiązali już z Wysoką Portą rzeczywiści pełnomocnicy K. N. P.« Była tu razem i krytyka Koła, które składało się zaledwie z kilku członków: dziś postanawia, nazajutrz się cofa. Dołączony był list Kornela Ujejskiego, »wzywający do zgodnego działania«. Wzywano go do poprawienia fałszywego kroku, »zrobionego w najlepszej zapewne wierze«. Zachęcano, ażeby przyznał się przed Midhatem do błędu, że uległ mistyfikacji i zawiadamiano, że jedynym pełnomocnikiem K. N. P. w Stambule jest Artur Zimmerman oraz że »nikt inny niema prawa rozdawania mandatów jak tylko tysiące i tysiące obywateli skonfederowanych, za pośrednictwem sług swoich, którzy w ciało związani, ogółowi odpowiedzialni stanowią oddział wykonawczy«. Orędzie owo miało datę 5. Grudnia 1876 r., pieczęć K. N. P. i dopisek »w Krakowie« — zwykły manewr konspiracyjny, używany do mistyfikowania łatwowiernych.

List ten zdecydował K. Brzozowskiego do wyjazdu do kraju. W Aleksandrji, gdzie się zatrzymał, oczekując na przybycie statku, mającego zawieść go do Europy, dowiedział się, że Midhat-pasza stracił łaskę sułtana i urząd, a podobno na wygnanie do Syrji skazany. Trudno się było jednak cofać. Brzozowskiego paliła żądza dowiedzenia się, co to za K. N. P., jacy ludzie za tajemniczą pieczęcią ukrywają się. Z tą myślą zawinął do Neapolu, aby się w dalszą podróż lądem udać, gdy w sposób najmniej oczekiwany spotkał się z Midhatem, który go do siebie zaprosił, dowiedziawszy się, że jedzie do kraju. Był to, jak się zdaje, bezinteresowny przyjaciel Polaków, który i jako mąż stanu i jako człowiek innego narodu trzeźwiej od wielu Polaków wypadki i ich następstwa w Polsce oceniał. »Pamiętajcie — mówił Brzozowskiemu — że wojna jest nieunikniona, ale niechże Polacy, broń Boże, do broni się nie biorą, bo będą zniszczeni i zgubieni. Powinniście dla Rosji być sfinksem. Tam, gdzie wolno się odezwać, dajcie do poznania, że o sobie myślicie, ale co — niech to będzie zagadką. Polityka taka dla Turcji może być użyteczną, bo przykuje w Polsce ze200.000 żołni erza. Gdybyście teraz, czego Rosja niewątpliwie pragnie — powstali, będziecie zgnieceni, a przytem nam zaszkodzicie, bo zdusiwszy was, aby strzedz polskich ruin i grobów, Rosja nie będzie potrzebowała 200.000 wojska, a wówczas ta cała masa zwali się na nas. Przytem wiedzcie, że jest układ między Petersburgiem a Berlinem, że w razie groźniejszego u was powstania,

przyjdą Prusacy, aby je stłumić, zajmą Warszawę bez wątpienia i pytanie — czy później wyjść zechcą«. Mądre to były rady i trudno było przeciwko nim walczyć.

Uprzedził przytem, że przewidując możliwą potrzebę broni, zaręczył agentom K. N. P., że w fortecach naddunajskich będzie złożonych 30.000 karabinów. Liczba ta urosła do potrójnej przeszło wysokości w oczach Artur-beja i Koszczyca, nie bez rozmysłu zapewne, gdyż z wysokością obietnic tureckich rosła powaga K. N. P. Na wartość tych karabinów wydany był wexel. Midhat polecił Brzozowskiemu zapytać, czy wexel ten Polacy spłacą.

Rozmowa z Mithatem miała niektóre punkty polityczne bardzo ważne dla Austrji. Były to zwierzenia człowieka, stojącego na czele władzy do niedawna, ale mogącego teraz nie liczyć się ze swoimi słowami. Otóż Midhat, jako wezyr W. Porty, ofiarował Austrji, za pośrednictwem hr. Andrassy'ego, alians z Turcją, a w zamian za zbrojną pomoc w nieuniknionej wojnie z Rosją, oddawał jej zwierzchnictwo nad księstwami Naddunajskiemi i Serbią, a na własność wszystkie kraje objęte powstaniem. W zamian za to Austrja miała dopomóc do odzyskania Krymu i wschodnich wybrzeży morza Czarnego. Była to kombinacja śmiała i bardzo daleko idąca, ale, w razie gdyby Austrja okazała więcej stanowczości, rozwiązywała poniekąd kwestję wschodnią w Europie, utrwalała stanowisko Austrji na półwyspie Bałkańskim i z lichego państwa, z pretensjami do niemieckości, tworzyćby mogła związek środkowo-

europejskich Słowian, zamykając Rosji drogę do Carogrodu i do wpływów śród południowej Słowiańszczyzny. Byłoby to poniekąd zrzeczenie się przez Turcję roli swojej w Europie, ale też Midhat-pasza zdawał sobie jasno sprawę z tego, że panowanie Turków w Europie jest tylko kwestją czasu, a w interesie W. Porty leży, ażeby raczej Austrja niż inne państwo objęło spuściznę.

Przybywszy do Lwowa, Brzozowski zetknął się przedewszystkiem z Kornelem Ujejskim, ażeby wyjaśnić znaczenie owego listu jego, przysłanego równocześnie z groźnem orędziem K. N. P. do Lataki. Okazało się, że Ujejski nie był dokładnie poinformowany o robotach K. N. P, a Brzozowski błędnie identyfikował je z robotą i planami »Kółka«, do którego Ujejski wraz z innymi należał. Na posiedzeniu, na którem uchwalono ten list napisać, nie był. Podpisał go tylko. Na życzenie Brzozowskiego Ujejski zetknął go z K. N. P. Delegatem, który się stawił do rozmowy, był jenerał Jeziorański. Wydobył z pugilaresu bilet, na którym te były słowa: »mianuje się jenerała Jeziorańskiego delegatem do wyjaśnienia mogących zajść nieporozumień, szkodliwych sprawie narodowej«. Data i pieczęć z orłem. Głuche polecenie mogło tak dobrze się odnosić do różnych »nieporozumień« stambulskich jak i do wyjaśnienia stanowiska Brzozowskiego w obec K. N. P. Jeziorański przeczytał udzielone mu w kopji listy do Midhata od Ujejskiego i wreszcie od K. N. P. i prosił, aby je mógł zabrać ze sobą dla udzielenia ich treści Radzie Konfederackiej. Nazajutrz wrócił,

oświadczając, że listy od Ujejskiego i od K. N. P. uznano za zgodne, list zaś do Midhata różnił się jakoby w wielu punktach od kopji, którą generalicja posiadała. Sytuacja stała się drażliwą: albo Brzozowski pokazał list sfałszowany, co byłoby wobec jego stanowiska bezcelowem. albo wyjęto list z biurka W. Wezyra i przekopiowano. Gdyby nawet to się stało, to jeszcze zachodziła wątpliwość, czy przekopiowano dobrze. Brzozowski prosił o sześciodniową zwłokę, obiecywał pojechać do Neapolu do Midhata i przywieść poświadczenie tożsamości listu. Sprawa ta wszakże skończyła się na niczem, gdyż właściwie pierwszorzędnego znaczenia nie miała. Na frontowy plan wysuwała się nieoficjalna, ale bardzo poważna rola Brzozowskiego: miał on w kraju przekonać się, czem właściwie jest K. N. P., jacy ludzie ją popierają, jaką ma powagę w kraju, w końcu ile Turcja na współdziałanie jej liczyć może. Ażeby kwestję rozwiązać stanowczo, wystosował Brzozowski do K. N. P. rodzaj ultimatum. »Jeżeli od dziś za trzy dni — pisał — nie będę miał rozmowy z członkiem K.N.P., oświadczam, że Lwów opuszczam i złożę raport rządowi tureckiemu, że Konfederacja składa się z garstki ludzi, nieznanej krajowi, która z ukrycia, opierając się na fałszu, wprowadza w błąd Wysoką Portę. Oświadczam przytem, że przed odjazdem ze Lwowa, zwołam znane mi poważne osoby i wobec Kornela Ujejskiego, jako świadka zachodów moich z K. N. P., przestrzegę rodaków przed niebezpieczeństwem, jakie im grozi i bez ogródki wypowiem zdanie moje o t. z. K. N. P.« Było to ode-

zwanie się nieco ryzykowne, ale ożywione duchem obywatelskim i skutek swój odniosło. Po trzech dniach zjawił się w mieszkaniu Brzozowskiego jakiś pan i oświadczył, że ma polecenie sprowadzić go na miejsce, mającej się odbyć rozmowy. Wiózł go sankami różnymi uliczkami, aż wreszcie zatrzymał się przed małym domkiem przedmiejskim. Tu przedstawił się jako kapitan Stecki z Warszawy i pokazał nominację na delegata, opatrzoną — pieczęcią. »Jestem — rzekł ów pułkownik, którym był nie kto inny, tylko Robert Thieme — przysłany umyślnie z Warszawy, abym się z panem rozmówił. Tam jest zdanie, że trzeba panu, albo pułkownikowi Miłkowskiemu powierzyć kierownictwo sprawy w Stambule«. Brzozowski przerwał mu dość szorstko w trybie wątpiącym, zasłaniając się tem, że go w Warszawie nikt nie zna, gdyż przeszło trzydzieści lat jak opuścił Warszawę i Królestwo. Stecki potwierdził, że tak jest wszakże, a on przysłany jest »z powodu głupstw, które Zimmerman porobił w Konstantynopolu, ofiarując, zdaje się, Turcji kraj z bronią w ręku. Jest to szaleństwo. Kraj wcale o tem nie myśli i daję panu najświętsze słowo honoru, że żaden wystrzał pistoletowy nie padnie na ziemi polskiej bez zezwolenia państw nam sprzyjających. Daję na to słowo honoru — powtórzył pułkownik z naciskiem«. Zgoda nastąpiła o wiele łatwiej, niż się zdawało. Brzozowski prosił tylko, ażeby słowa delegata: »jeden wystrzał pistoletowy nie padnie bez zezwolenia państw nam sprzyjających« były na-

pisane po francusku, stwierdzone pieczęcią K. N. P. i wręczone mu. Miał na to czekać trzy dni — i nie doczekał się.

Tak tedy, prawie niechcący, niepowołany przez nikogo Karol Brzozowski wysunął się na czoło jako agent większości, przeciwnej akcji zbyt szybkiej K. N. P., nie życzącej angażowania narodu całego w niewyraźną awanturę polityczną, mogącą się skończyć rozlewem krwi bez pożytku dla żadnej strony. Brzozowski zwołał poufne zgromadzenie obywateli i zdał przed nimi sprawę z całego swego postępowania, począwszy od listu do Midhata-paszy, a skończywszy na »wystrzale pistoletowym«. Na tem zgromadzeniu obecni byli Mieczysław Darowski, Janko, dwaj Żulińscy, Zima, Giller, prof. uniw. Szachowski, Jan Dobrzański i Młocki Alfred. Brzozowski oświadczył zgromadzonym, że według jego zdania, Komitet ma siedzibę we Lwowie, jest bez powagi i działa bez poparcia społeczeństwa, że zatem strzedz się należy, ażeby nie doprowadził do niepotrzebnego wybuchu. Wracając do Stambułu, miał rządowi tureckiemu w tym duchu złożyć sprawozdanie.

Odjechał tedy z powrotem do Neapolu, ażeby Midhatowi opowiedzieć, jak rzeczy stoją. Ale Midhat już był wyjechał do Rzymu. Udało się wreszcie Brzozowskiemu odszukać Midhata, który mu powiedział bez ogródek, że »następcy swemu Edhem-paszy nie ufa. Gotów jest wspierać i popychać nawet waszych szaleńców. Niech tam sobie cała Polska

krwią się zaleje, byleby on bodaj przez jeden miesiąc chociażby tylko jeden korpus nieprzyjacielski mniej miał na karku«. Radził tedy, ażeby korzystając z pobytu w Rzymie, udał się wprost do Ambasady tureckiej i złożył raport o usposobieniu Polaków w kraju; uprzedził go, że wszelkie propozycje niby ze strony rządu polskiego robione, nie mają żadnej podstawy i tylko na zawód Turcję narazić mogą. W ambasadzie tureckiej Brzozowski zetknął się z urzędnikiem, świeżo przyłączonym do ambasady, Polakiem, Dowmuntem, któremu również całą sprawę należycie oświetlił i przytem pochwycił nić robót prowadzonych w Stambule. Zachody K. N. P. na gruncie tureckim znane były Dowmuntowi. Od niego też dowiedział się, że Artur-bej odgrywał tylko rolę firmy, głównym zaś działaczem był kapitan Lisikiewicz, adjutant sułtana Abdul-Azisa, który umiał sobie wyrobić na tej posadzie szerokie stosunki i Aleksander Zwierzchowski (Iskinder-bej) sekretarz Machmud Damet Paszy, szwagra sułtańskiego. Obydwaj nie używali najlepszej opinji, a Dowmunt był tego zdania, że dla grosza gotowi byli wszystko zrobić i teraz niewątpliwie w interesie własnym poniekąd działają.

Ambasador bardzo był wdzięczny za wskazówki Brzozowskiego i natychmiast relację o tem wyprawił kurjerem do Stambułu. Brzozowski nie zadowolnił się tem wszakże i sam osobiście napisał list do Wielkiego Wezyra Edhem paszy, donosząc mu, że dla zbadania rzeczywistego położenia i opi-

nji kraju, podróż przedsięwziął, z różnymi ludźmi zetknął się, że w kraju o rządzie narodowym nic nie wiedzą, że roboty bezimiennego Kółka uważają zarówno szkodliwe dla Turcji jak i dla Polski.

Po tej czynności wyjechał dopiero z powrotem do Lataki.

III.

Bardzo czynnym członkiem generalicji był, niechętnie cytowany przez Koszczyca i zaliczony do kategorji »różni inni«, Ksawery Gebhard. Człowiek skromny stanowiskiem, ale rozumny, rozważny, w rozumowaniach swoich logiczny i jasny, reprezentował wraz z Riedlem i Thiemem w K. N. P. gorącą miłość ojczyzny, chęć do czynu, ale równocześnie ostrożność, która w krytycznej chwili nie pozwalała iść na awanturę.

Nawiązawszy stosunki ze Stambułem, których doniosłość przeceniano i niedoceniano równocześnie ze względu na następstwa i przyszłość, generalicja postanowiła rozszerzyć swoje kadry w samym Lwowie. Koszczyc, niewyczerpany w pomysłach i w błyskotliwych formach akcji, proponował zamianować Simona, uczestnika organizacji z r. 1863, a obecnie jednego z nielicznych życzliwych dla K. N. P. ludzi, wojewodą ruskim, Niemczynowskiego Stan. kasztelanem lwowskim, a Karola Pawłowskiego naczelnikiem m. Lwowa. Były to tytuły bez żadnej atrybucji władzy. Delegowano do wręczenia nominacji Gebharda. Zaczął od Simona. Ten bez ogródki powiedział: »nie bawcie się w takie dzieciństwa. Na

prasę daję, bo to rzecz poważna i potrzebna w obecnej chwili«. I nominacji nie przyjął. Niemczynowski wyraził powątpiewanie, ażeby K. N. P. mogła istnieć w Warszawie, bo gdyby na jej czele stali poważni ludzie, to przecież zwróciliby się do nas, do Rady miejskiej. Był sam radnym i miał bardzo wysokie pojęcie o godności swojej i całej Rady stołecznego miasta Lwowa. Zdaje się, iż go ubodło to, że się do niego wcześniej nie zwrócono. Gebhard ostro mu odpowiedział: »mówicie o równości, a w sercu uważacie się wyższymi od każdego uboższego od was o dwa grosze. Wymyślacie na arystokrację, a wy mieszczanie, demokraci — czy chcecie Polski? Myślicie o niej? Czujecie jej brak? Tęsknicie do niej? Wy walczycie ze szlachtą nie o Polskę, której ona niby nie chce, walczycie także o przywileje, o władzę, o pierwszeństwo w narodzie. Wysuwacie jakąś Młodą Polskę, bo w starej was nie zna historja. Ażeby szlachtę sponiewierać, zohydzić przed ciemnym gminem, wywlekacie brudy, których stokroć więcej jest w każdym narodzie. Pokazujecie światu Radziwiłłów, Opalińskich, Sicińskich, Gurowskich, Ponińskich, a zakrywacie Spytków, Tarnowskich, Zamoyskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Koniecpolskich, Sapiehów, Czarneckich i cały niezliczony szereg ludzi, którzy nie językiem, ale mieczem walczyli o całość i potęgę Rzptej — poświęcali życie, mienie przez dziesięć wieków, a gdzie wówczas wy, ojcowie wasi byli? Nie macie się na co oglądać i dlatego wymyśliliście Młodą Polskę, a stare wady pielęgnujecie w sercu. Wy nie o Rzptę, ale

o władzę w Rzptej walczycie. Nie wierzysz pan w istnienie K. N. P. w Warszawie, to powiem, że niema jej tam, ale jest we Lwowie, w Przemyślu, w Jarosławiu, Krakowie, w całej Galicji, w Księstwie Poznańskiem i Królestwie polskiem. Zwróć pan nominację, bo ona nie wzbudzi w panu energji do pracy, jeśli wątpliwość i niepewność nurtować będą umysł i serce pana«. Słabo się bronił Niemczynowski, ale nominację przyjął. Pawłowski nie był zadowolonym, że został tylko naczelnikiem miasta, gdy jego kolega w radzie miejskiej był kasztelanem, a Simon wojewodą. Tak się działo u góry mieszczaństwa, w dole tylko, śród młodzieży rzemieślniczej, którą zorganizował Riedl, panowała chęć do ofiary krwi własnej, gdyż więcej nic do ofiarowania nie posiadała.

Jeden z autorów, piszący o K. N. P. na podstawie broszury Koszczyca, z której brał fakty, zabarwiwszy je innemi poglądami, powiedział bardzo niesłusznie, że Koszczyc był duszą K. N P. Był on raczej wichrem, który mącił i na błędne drogi zmiatał usiłowania i zamiary rzeczywiste; był bardzo niedokładnym tłumaczem planów i celów K. N. P., działał na własną rękę i bałamucił zarówno kolegów swoich z generalicji, jak i opinję, wytworzoną o K. N. P.

Wspomniałem już o tem w innem miejscu, że ze Stambułem porozumiewał się wyłącznie Koszczyc. Artur-bej i Iskinder-bej albo walczyli ze sobą — na ambicje, albo działali zgodnie — do pierwszego nieporozumienia. Obaj, opierając się na informacjach

Koszczyca, pełnych chorobliwej, patrjotycznej przesady, robili zabiegi w ambasadzie angielskiej i u Wysokiej Porty, żądając broni i pieniędzy, przedstawiając lekkomyślnie lordowi Elliot'owi i Damat-paszy, że w Polsce wszystko przygotowane do powstania, brak tylko broni i pieniędzy na pierwsze potrzeby, że Polacy czekają tylko na wypowiedzenie wojny Turcji. Przedstawienia te polegały na fałszywych informacjach Koszczyca, i na przesadnych instrukcjach. Rozdając wszystkim tytuły wojewodów i kasztelanów, nie zapomniał i o sobie. Sam siebie mianował Marszałkiem K. N. P. On też donosił swoim pełnomocnikom w Stambule, że organizacja wojskowa ukończona, że powstanie każdej chwili może wybuchnąć, nawet bez broni i nakazywał wystarać się u Turków o broń i miljon funtów tureckich. Koszczyc wiedział przecie, jak rzeczy stoją — rozmyślnie przeto przesadzał, ażeby ruch zbrojny wywołać i w tym ruchu wziąć udział. Pisując takie listy do pełnomocników w Stambule, nie przedkładał ich na posiedzeniach generalicji, zawiadamiał tylko, że pisał do tego lub owego. Zlecenia te były sprzeczne z programem K. N. P., a wywoływały powszechne oburzenie i niesmak. Program opiewał wyraźnie: »organizacja wojskowa i cywilna w Galicji; wystaranie się o broń i pożyczkę celem zorganizowania legionu polskiego z emigracji; wystarania się u W. Porty o miejsce do formacji legionu, który na wypadek wypowiedzenia Turcji wojny przez Rosję, przyłączony zostanie do jednego z korpusów tureckich, walczących przeciw armji rosyjskiej; legion

walczyć będzie pod sztandarem polskim, a zasilany będzie jeńcami z armji rosyjskiej narodowości polskiej. Jeżeli Turcja zwycięsko przejdzie za Dunaj i wkroczy na ziemie polskie, legion tworzyć będzie awangardę armji tureckiej, a wtenczas w Kongresowej Polsce, na Podolu, Wołyniu i Litwie wybuchnie powstanie«.

Tymczasem w głowie Koszczyca wszystko czekało tylko na hasło powstania. Wskutek fałszywych informacji Koszczyca, pełnomocnicy K. N. P. byli przynajmniej pod tym względem usprawiedliwieni, że również nieoględnie działali wobec Turcji i ambasadora angielskiego. Stąd też płynęły obietnice tureckie i angielskie.

Zdaje się, że ze Stambułu albo via Stambuł wyszła inicjatywa rozpoczęcia działań w Anglji w duchu przyjaznym dla Polski. Potrzeba było przedewszystkiem poinformować ambasadę turecką w Londynie jak rzeczy z Polską i w Polsce stoją, ażeby zachęcić Anglję i Anglików do sympatycznego usposobienia względem Polski. A ponieważ informacje szły od Koszczyca, Artur-beja, Damat-paszy do Londynu, nie mogły one być inne jak tylko zbrodniczo optymistyczne. Kulczycki, pełnomocnik K. N. P. na Włochy, przysłał list od Damata Paszy do ambasadora w Londynie Musurusa-paszy, polecający ułatwienie delegatowi K. N. P. skomunikowania się jakoby z rządem angielskim.

Nasunęła się tedy nowa trudność — kogo wysłać? Londyn wydał się gwiazdą zbawienia — a tu ani człowieka, ani pieniędzy. Rzucono się do skła-

dek i zebrano 160 zł. r. Thieme obliczył, że na tę wyprawę potrzeba 400 fl. Już myślano o zaciągnięciu pożyczki na wspólną odpowiedzialność, gdy wypadek wybawił ich z kłopotu. Wstąpiwszy po drodze do cukierni Kosteckiego, zastali tam Henryka Janko, obywatela ziemskiego, znanego powszechnie z gorących patrjotycznych uczuć. Gebhard wyznał przed nim wszystko i szczerze. Janko, wysłuchawszy uważnie, rzekł: »poczciwi, zacni z was synowie tej biednej, nieszczęśliwej matki, o której coraz więcej zapominają najbardziej przez nią pieszczone dzieci, najhojniej przez nią obdarowane. Wy chcecie nieść jej pomoc. Błogosławione niech będą wasze chęci, ale wierzcie mi, że wojny europejskiej nie będzie. O Konfederacji słyszałem od mego kolegi hr. Artura Gołuchowskiego, słyszałem i od Franciszka Zimy. Sprzeczne były ich opinie. Gołuchowskiego jest cenna, bo to człowiek bez cienia egoizmu i zazdrości. Nie potępiam, jak Zima, waszych zabiegów, ale pomyślnych rezultatów wam nie prorokuję. Z Anglikami bądźcie ostrożni, a o powstaniu myślcie wtedy dopiero, gdy na ziemi polskiej tureckie zagrają działa«. Dowiedziawszy się od obu, ile mają pieniędzy, ile im jeszcze braknie, złożył ze swej strony 100 zł. r »dla ułatwienia drogi do zawodu jaki was czeka ze strony Anglji«. Gdy zeszła mowa na »osoby wpływowe«, które miały ułatwić porozumienie się z rządem angielskim, Janko znowu głos zabrał. „Darujcie mi — rzekł — ale się łudzicie. Rząd angielski gdyby chciał, gdyby to było w jego interesie przywrócić państwo polskie, to bardzo ła-

two mógł to uczynić w latach 1815, 1831, 1854 i 1863. Rosja potrzebna Anglji w Europie, albowiem przez restytucję państwa polskiego wypchnęłoby Rosję do Azji, a wówczas ona całą siłą maszerowałaby do Indji angielskich. Anglja przeto nie może sobie życzyć odbudowania Polski. Anglja bałamuci od czasu do czasu Polaków, ale Polski nie chce. Nie łudźcie się moi panowie. Anglja nigdy nie podniesie sprawy polskiej, a nawet gdyby które z mocarstw kontynentalnych ją podniosło, to ona sprzymierzy się tajnie z Moskwą i Prusami i nie dopuści do odbudowania państwa polskiego. Bardzo rozsądnie z waszej strony, że dążycie do uformowania legionu polskiego przy armji tureckiej, a nie do powstania. Ale armją turecką nie będzie dowodził Bonaparte, a w legionach waszych nie będziecie mieli ani Dąbrowskiego, ani Kniaziewicza, ani Poniatowskiego. Nie traćcie jednakże otuchy, bo historja ma różne niespodzianki w zanadrzu, które mogą zmusić nawet przemądrych Anglików uderzyć czołem przed sprawiedliwością i utworzyć inny system polityczny, zabezpieczający ich interesy«.

Wiemy, że Janko uczestniczył w owem zebraniu, na którem Brzozowski zdawał sprawozdanie ze swego stosunku w Turcji z K. N. P. Nie znalazł jednak w sobie odwagi na stanowcze potępienie zamiarów K. N. P., tembardziej gdy z ust członków generalicji o nich dowiedział się. Najwięcej obawiali się wszyscy powstania. K. N. P. nie życzyła wszakże tego, a napierał jedynie, na własną rękę działający, Koszczyc, człowiek żyjący zdala od trosk życia na-

rodowego, a podniecany chorobliwą ambicją i marzeniami, wylęgłemi w samotnej głowie politycznego maniaka, u którego w działaniu szlachetność postępowała obok zbrodni.

Obaj członkowie generalicji, po zetknięciu się z Janko, ugruntowali się jeszcze bardziej, w tem przekonaniu, że o powstaniu teraz mowy być nie może, ale czuli, że »trzeba mieć przeprawę z Koszczycem, który liczy na Anglję jak na cztery tuzy«, a do powstania napiera wszelkiemi siłami.

Były więc pieniądze na podróż do Anglji, ale nie było kogo posłać. Gołuchowski wyjechał był do Rapperswilu do Plątera Z ochotą wyjazdu nastręczał się sam Koszczyc, tembardziej, że już od jesieni r. 1876 prowadził korespondencję z bawiącym w Londynie Walerym Wróblewskim, dowódcą niewielkiego oddziału na Litwie w r. 1863. Był to typ pod względem politycznym bardzo zbliżony do Koszczyca: widział tylko to, co chciał widzieć, co wchodziło w granice jego rozumowania. W poglądach swoich na sprawy polityczne skutkiem tego mocno przesadzał. Bić się — było jego ideałem, o następstwa mało się troszczył. Otóż w grudniu jeszcze 1876 r. Wróblewski zapewniał Koszczyca, że »rezolucja i manifest otrzymały znakomite przyjęcie w prasie i śród publiczności angielskiej«. Zaręczał, że »Austrja bedzie wciągnietą do wojny, a wtenczas minister Ziemiałkowski powinien stworzyć przymierze Austro-Węgier i Polski, a przez to samo Rosja byłaby na zawsze powalona«. Oto jakie mrzonki powstawały w emigracyjnych głowach. Mając takiego

jak Wróblewski pomocnika, nic dziwnego, że Koszczyc rwał się do Londynu. Tak mu było pilno wystąpić w roli Marszałka Konfederacji, że już 18. Marca 1877 r. wyjechał, mając zaledwie dwieście kilkadziesiąt zł. reń. na podróż i będąc przekonany z góry, że wrócić nie będzie miał o czem. Podróż jego miała charakter zachowania się niepoczytalnego człowieka. W Krakowie zamianował delegatem K. N. P. Węglowskiego, w Wiedniu dał agenturę Gołuchowskiemu. Wyrwawszy się z lwowskiej kryjówki, leciał przez Europę zygzakiem. Z Wiednia, zamiast na Paryż do Londynu, pojechał — do Rzymu, aby widzieć się z Kulczyckim i dać mu »dokładne informacje«. W kilka dni potem pisał już z Paryża, zawiadamiając, że zawiązał Komitet i Rydzewskiego, kapitana z roku 1831 mianował przewodniczącym. W tydzień później był już w Londynie. Pod względem szybkości poruszania się jeden tylko Johnston mógł się z nim porównać, który również latał z końca Europy na drugi bezustannie. Otóż Koszczyc zawiadomił kolegów, że miał dwie konferencje: jedną z ambasadorem Musurusem-paszą, drugą z lordem Rolandem i Johnstonem. »Anglja ofiaruje — pisał — 500.000 karabinów i 6 milj. funt. pożyczki na organizację, ale żąda: 1-o przysłania specjalisty wojskowego celem ułożenia planu kampanji; 2-o gwarancji obywateli, znanych z imienia i majątku, a których kapitały ulokowane są w bankach angielskich. Wytłumaczyłem lordowi, że gwarancja jednostek znakomitych w kraju nie może mieć dla Anglji tego znaczenia, co gwarancja całego narodu. Mu-

surus-pasza poparł mię w tym względzie« Roland miał stać przy swojem żądaniu twardo. »Ostatecznie zgodził się na dwa najważniejsze punkty: pół miljona karabinów i 6 miljonów pożyczki, ale żądał przysłania zdolnych jenerałów w celu ułożenia planu kampanji«. Koszczyc tak był pewny tego co pisał, że radził »obmyśleć pewną instytucję, w której możnaby ulokować tak ogromną sumę«. Gorzki uśmiech nasuwa się na usta, czytając te słowa; zdumienie ogarnia na myśl, jak daleko może iść łatwowierność ludzka. To co mogło stanowić treść rozmowy takiego wartogłowa, jak Koszczyc, brał on chyba za zobowiązania. O całem tem zachowaniu się Koszczyca bardzo trzeźwą i rozumną opinję wydała żona Thiemego. »Dziecko nie uwierzyłoby tym doniesieniom, bo jeżeli są prawdziwe, to chyba Koszczyc miał do czynienia z ludźmi cierpiącymi na rozmiękczenie mózgu, a tego nie przypuszczam. Najgorzej zrobiliście, wysyłając w tak ważnej sprawie Koszczyca. On żądał niezawodnie 6 milj. pożyczki i wierzy, że nim wróci, już tu zastanie sześć miljonów«.

W Londynie Koszczyc olśniony został przez Walerego Wróblewskiego, który, mając stosunki w sferach robotniczych, urządził monstr-mityng w Hyde-parku, na który przybyło, jak pisał, 20 tys. ludzi. Wszystko tam było, co się nazywa aparatem demonstracyjnym. Mr. John Rogers przewodniczył, olbrzymie plakaty głosiły równie olbrzymim drukiem: »Down with Russia!«, krzyczano: »niech żyje Polska«, a pominąwszy bardziej drastyczne wykrzykniki, zakończono odczytaniem zamó-

wionego telegramu ze Lwowa, w którym obywatele tego pięknego grodu wyrażali Anglji »najżywszą wdzięczność za okazane Polsce współczucie«. Z całej Polski Lwów tylko okazał się tak wdzięcznym.

Paryż, pomimo zawiązania tam Komitetu, nie podobał się Koszczycowi. Zaproszeni na tajną naradę ludzie, oświadczyli przez usta Kozłowskiego, że »uważają ruch w kraju za niemożliwy«.

Obleciawszy pół Europy, 23. Maja Koszczyc powrócił do Lwowa.

List, wysłany przez niego do generalicji, z którego treścią zapoznaliśmy się, udzielony Niemczynowskiemu dla »dokładnego« przeczytania, dostał się do Simona, a w końcu, jako powszechna tajemnica, stał się niezaprzeczalną własnością Lwowa. Dyrektor Simon, który dotychczas okazywał sympatje dla K. N. P. i wspierał ją składkami na prasę zagraniczną, widząc się z Gebhardem, oświadczył, że list Koszczyca czytał. »Nie wierzę — rzekł — w doniesienia w liście zawarte, ale widzę, że się coś robi«. Począł tedy bliżej egzaminować Gebharda: czy rzeczywiście jest w Warszawie Komitet? Gebhard zaręczył, że jest i za pośrednictwem brata Thiemego porozumiewa się z generalicją. W Poznaniu wymienił Guttrego. „Jeżeli Guttry należy, w takim razie i ja nie mogę się usuwać od Konfederacji« — zawyrokował — i zażądał na nowo nominacji, której poprzednio był nie przyjął. W dalszym ciągu rozmowy Simon obiecał wciągnąć do roboty szlachtę wschodnio-galicyjską.

W ten sposób K. N. P. powoli wychylała się ze spiskowej nicości i powoli zjednywała sobie ludzi na gruncie przygotowania się do niewiadomych wypadków, które zbliżały się. Potrzeba powstania odsuwała się zawsze na plan ostatni. Tylko garstka awanturniczo usposobionych ludzi, nie liczyła się z rzeczywistością.

Od chwili przystąpienia do K. N. P. Dyrektora Simona, niegdyś wspólnika ks. Leona Sapiehy, wzmogła się powaga K. N. P., a generalicja przestała walczyć z brakiem gotówki. Jak tę sprawę opodatkowania załatwił Simon — to pozostało tajemnicą, dość, że za kwitami jego, kasjer banku Bernard Goldman uskuteczniał wszelkie wypłaty. Koszczyc wrócił uszczęśliwiony z Londynu, chwalił się, jak Anglicy »kitę wyrzucali«, a jak on im »zakręcił«. Zapytany przez Thiemego o rezultat, odpowiedział krótko: »mamy broń i sześć miljonów funtów«. Naglił tylko o to, ażeby kogoś co rychle do Londynu posyłać »dla przedstawienia planu powstania i ułożenia punktów, do których broń miała być dostawioną«. »Mogłem to sam i lepiej załatwić, ale dyplomata nie może kwestji wojskowych rozstrzygać«. O sobie był dobrego mniemania. Mówił, że Anglicy »żądają« jenerała Kruka. Co zaś do owych sześciu miljonów, Anglicy byli tak uprzejmi, że tylko prosili o wskazanie banku, w którym pieniądze mieli złożyć. »Blaga w doniesieniu, blaga w ustnem sprawozdaniu« — zapisuje członek generalicji Gebhard.

Całe to qui pro quo wyjaśnił Kulczycki: ani Koszczyc, ani nikt po nim i bez niego z rządem angielskim nie konferował i nie układał się, a owi panowie Roland, Stuart, Dembig i Johnston byli tylko członkami Towarzystwa katolickiego i z jego ramienia konferowali, ale na własną odpowiedzialność i na własną firmę. Powiedziano mu tylko, że »w danej chwili i w danych okolicznościach żądania te byłyby możliwe do spełnienia, lecz do traktowania powinniby przybyć ludzie znani tu«. Lord Dembig wymienił nazwiska Potockich, Sapiehów, Lanckorońskich, Dzieduszyckich, Tarnowskich.

Rozgłoszenie we Lwowie wieści o sześciomiljonowej pożyczce angielskiej na powstanie, dało impuls prasie miejscowej do zwrócenia uwagi, że kręcą się »jacyś prowokatorzy«.

Mimo fantastyczne sprawozdania i korespondencje Koszczyca rozszerzyła się w kraju z jednej strony idea potrzeby samoobrony, z drugiej rosły nie tyle sympatje dla Polski, ile chęć wplątania jej w walkę z Rosją w celu ulżenia Turcji. Najgoręcej tą sprawą zajmowało się Towarzystwo katolickie angielskie, a najenergiczniejszym ajentem jego był Johnston, osobiście dla Polaków życzliwy i gorliwie spełniający swoją misję. Na czele Tow. kat. stał kardynał Manning. Towarzystwo to rozporządzało pewnymi prywatnymi funduszami, ofiarowanemi nie tyle na sprawę polską, ile dla nieurzędowego działania Anglji. Polska mogła być tylko mniej lub więcej poważną igraszką w ręku Angli-

ków. Ponieważ nie ulegało wątpliwości, że pieniądze na podniesienie Polski są w Londynie, chodziło o to, aby je wydobyć i sprawdzić awanturnicze obietnice Koszczyca. Ciągle na myśl nasuwał się jenerał Kruk. Zaproponowano mu — odmówił i do K. N. P. należeć nie chciał. »Nie mogę wyjechać ze Lwowa — usprawiedliwiał się — bo mam obstalunki (prowadził zakład pończoszniczy we Lwowie) i z dążeniami K. N. P. nie zgadzam się. Jestem zdania, że powinniśmy cicho siedzieć, bo już dosyć mamy roku 1863.« »Zapraszamy tylko pana do podjęcia pewnej misji — zachęcano go — spełnisz ją pan, zdasz sprawę i rzecz skończona«.

Simon i tym razem wybawił K. N. P. z kłopotu. Jakiemi środkami i sposobami oddziaływał na Kruka — niewiemy, dość że jenerał zdecydował się jechać do Anglji. Z tem postanowieniem przyszedł do Gebharda. Ponieważ Kruk był protestantem, a jechał do Towarz. katol., chodziło o to, ażeby, zapytany jakiego wyznania, powiedział, że jest katolikiem. Miało to obudzić większe zaufanie do delegata. Kruk wahał się, nie chciał. Thieme powiedział: „ja także jestem protestantem, ale gdyby sprawa Polski wymagała tego, powiem, że jestem katolikiem. Przełamano nareszcie upór. Poinformowano go o celu misji: miał dać wyjaśnienie sztabowi angielskiemu o stanie armji rosyjskiej, o jej organizacji, artylerji, zaprowiantowaniu; nakreślić plan powstania, gdyby wypadki zniewoliły do tego; żądać pół miljona karabinów i dwa miljony na organizację legionu w Stambule i oddziałów powstań-

czych. Na tę całą wyprawę Kruk zażądał 1.400 franków. Gebhard napisał kwit, z którym po pieniądze udał się Kruk do Simona. Wyjechał wszakże nie bezpośrednio do Londynu, lecz zatrzymał się w Paryżu. Co robił, dla czego się zatrzymał — napewno nie wiemy.

Kruk miał w Londynie dwie konferencje: z Johnstonem i z lordem Dembig. Zapytany, czy Polacy gotowi są podjąć walkę o niepodległość, odpowiedział, że bez pomocy zbrojnego, potężnego mocarstwa nie mogą zrywać się do walki. Warunki, pod jakimi Polska mogłaby powstać, jenerał Kruk miał upatrywać: w potrzebie podniesienia sprawy polskiej przez Anglję, udzieleniu dwumiljonowej pożyczki, wysłaniu 50.000 korpusu do Polski i wreszcie wydaniu na potrzebę powstania 400.000 karabinów. Pod tym ostatnim względem Kruk był skromniejszy od Koszczyca. Lord Dembig miał dać bardzo kategoryczną odpowiedź, która powinnaby raz na zawsze wytrzeźwić Polaków. »Restytucji państwa polskiego pragniemy my przyjaciele Polski i katolicy, ale w interesie rządu naszego nie leży wcale odbudowanie państwa polskiego i bić się z Rosją o Polskę Anglja nie będzie. Parlament może podnieść sprawę polską, może uchwalić pożyczkę, może wpłynąć na rząd o wydanie jej, ale nie może wymagać od rządu 50.000 żołnierzy, których nie mamy«.

Na tem pierwsza konferencja zakończyła się.

Następnego dnia, oprócz tych samych panów, był obecny wyższy oficer angielski Gordon, który

w sprawach, dotyczących wojskowości Rosji dawał zapytania. Kruk złożył tak świetną opinię o armji rosyjskiej, o wzorowej organizacji i sile, wogóle o potędze militarnej Rosji, iż lord Roland miał zauważyć, że w takim razie 50.000 korpus angielski byłby niczem. Miano zażądać od Kruka dostarczenia map wojskowych rosyjskich z jeneralnego sztabu, co jakoby Kruk przyobiecał. Cała ta relacja przyszła do Lwowa via Rzym i pochodziła zarówno od kardynała Manninga jak i od Johnstona Butlera.

Kruk niezadowolnił się wziętą kwotą 1400 fr., lecz z Londynu telegrafował jeszcze o pieniądze, gdyż w hotelu był dłużnym i nie miał o czem wyjechać. Wysłano mu jakąś kwotę i wrócił szczęśliwie. Nie chciał wszakże złożyć sprawozdania przed Gebhardem, jako delegatem Komitetu, lecz przed całym Komitetem. Okazało się to wszakże zbytecznem wobec tego, że w czasie słownej utarczki z Gebhardem, miał potwierdzić relacje Manninga i Johnstona. Jeden mu tylko zrobił zarzut Gebhard, że żądał pieniędzy n a p o w s t a n i e, gdy polecono mu żądać na f o r m a c j ę l e g i o n u. Zamiast generalicji, od której otrzymał listy i pieniądze, Kruk złożył sprawozdanie przed gronem ludzi, złożonych z Zimy, Romanowicza, Hirszberga i Goldmana, zgromadzonych w domu Fr. Zimy. Romanowicz miał zauważyć, że »to sprawa poważna, nie można jej pozostawić w ręku nieznanych nam indywiduów, których tu reprezentują Gebhard i Simon«. Na temże samem posiedzeniu Romanowicz zaproponował utworzenie K o m i t e t u b e z p i e c z e ń s t w a n a r o-

d o w e g o i zaprosić do niego Agatona Gillera, Henryka Janko i zapewne innych. Chodziło o to, ażeby w stosownej chwili zrealizować sympatje i obietnice Anglji. Każdy rząd uważa, że tylko on potrafi »stosowną chwilę« zużytkować. Zawiązany Komitet bezpieczeństwa miał polecić Krukowi starać się wejść w układy z K. N. P., ażeby w razie możliwym połączyć się z nią w jedno ciało. Nie stało się tak wszakże, ale stało się później nieco w innej formie i w innych okolicznościach.

IV.

Wypowiedzenie wojny Turcji przez Rosję, poruszyło ognisko emigracyjne w Stambule.

Wiemy, jaki był skład delegacji stambulskiej. Niesłusznie tylko zaliczał do niej Koszczyc majora Sokulskiego, który od wspólnej akcji z delegacją usunął się, spostrzegłszy jej niewyraźne zachowanie się i parcie do powstania.

Gdy już wyznaczono w Stambule koszary dla formującego się oddziału ochotniczego, w którym i dla Polaków miejsce się znalazło, miejscowy komitet emigracji polskiej wydał d. 5. Maja 1877 odezwę »do braci wygnańców po całej ziemi rozproszonych«, zwołując ich pod sztandar Turcji, która pośród mocarstw europejskich sama jedna nie uznała rozbioru Polski — nawiasem powiedziawszy nie bardzo nalegano o to. Z tej racji uważano, że »nasze miejsce obok Turcji«. Odezwa została podpisaną przez Bohdanowicza, Holtz'a Bolesława i Brzozowskiego Władysława. Nie wiele ona zrobiła hałasu, nie wielki ruch wywołała, ale sprawiła dużo niepokoju w kraju, głównie z tego powodu, że niepodobna było publicznie wyjaśniać dążeń i celów całej roboty. Pozostawało przeto olbrzymie pole do do-

mysłów i do przesadnych komentarzy każdej akcji. Przesadne pojęcie wytworzyło się także o K. N. P., gdy faktycznie, oprócz Koszczyca, Kulczyckiego i ich najbliższych przyjaciół nikt nie parł do powstania — przeciwnie uczyniono je tak warunkowem, tak zależnem od różnych okoliczności, że stawało się ono wprost niemożliwem, a było tylko widmem straszącem zbyt trwożliwych i zbyt spokojnych ludzi.

Gdy tedy wojna została wypowiedzianą, wypływa znowu na widownię polityczną z własną misją — gaszenia nieistniejącego pożaru, Karol Brzozowski. Przybył on do Stambułu wkrótce po wypowiedzeniu wojny i udał się wprost do brata Władysława, ażeby zasięgnąć od niego bliższych informacji co do akcji całej na Wschodzie. Pokazało się, że nic więcej nie zdołano uzyskać od Turcji nad irman na legion polski, który szumnie nazwano korpusem polskim. Było to bardzo mało, bo korpus stniał dotychczas tylko na papierze, ale Karol Brzozowski i w tem upatrywał niebezpieczeństwo, przypuszczając, że Rosja będzie się potem powoływać na ów »legion«, jako na protestację Polski. Ale główną cechą emigracji było życie śród ostateczności. Ci sami, którzy w r. 1863 z niczem nie liczyli się, zamknęli oczy i logikę na wszelkie następstwa, teraz widzieli wszystko w kolorach czarnych. Potępiając »szaleńców«, potępiali całą swoją przeszłość. Takie stanowisko, przesadnie ostrożne, wobec niebezpieczeństwa istniejącego tylko w podnieconej wyobraźni, zajął Karol Brzozowski. Widział wszę-

dzie hydrę nowego powstania i gotów był z nią walczyć, a spotkawszy się z powszechnym sądem, że nikt powstania nie życzy, oprócz bezsilnej garstki wartogłowów, uspokoił się tem, że hydrę zwyciężył.

W Stambule tedy udał się do Wielkiego Wezyra Edhem-paszy i powiedział mu, że w Polsce K. N. P. nikt nie zna, że jest bez znaczenia, a propozycje jej rządowi tureckiemu robione, uważają za szaleństwo. Ściśle rzecz biorąc, owe »propozycje« były tylko z obu stron rozmową na temat wojny i możliwego udziału w niej Polaków, a realną zdobyczą było tylko pozwolenie na utworzenie legionu, do którego nikt z kraju nie zgłosił się. Jego Wysokość dał odpowiedź, jak Pytia, bardzo dwuznaczną: »stało się. Jego Sułtańska Mość, rząd jego i ja umywamy sobie od tego ręce«. To co się stało — było pozwoleniem na legion, a »umywanie rąk«, na wzór Piłata, miało bardzo proste znaczenie: chcecie awantury, to róbcie sobie. A co mógł mieć za znaczenie legion, w którym było kilkudziesięciu ludzi? Ale Brzozowski słowa W. Wezyra wziął tragicznie. Zdawało mu się, że cała Polska wnet krwią się zaleje. Tymczasem dowiedział się od brata, że Zwierzchowski pragnie się z nim widzieć. Iskinder-bej nie cieszył się dobrą opinją na Wschodzie, ale naglił o widzenie się, grożąc, że jakieś złe następstwa spadną na odpowiedzialność Karola Brzozowskiego. Wobec tego trudno było odmówić. Rozmowa zeszła naturalnie na temat K. N. P. Czem ona jest? Brzozowski krótko się załatwił. Oświadczył, że jest

ona »kupką szaleńców«, którzy prą do powstania, a kraj o żadnych powstaniach nie myśli; mogą przeto na kraj sprowadzić straszną klęskę. Nie mogło się to odnosić wszakże do K. N. P., lecz do Koszczyca i jego najbliższych przyjaciół. A ponieważ Komitet stambulski był inspirowany przez Koszczyca, nic dziwnego, że mógł wierzyć w brednie tego prawdziwego maniaka spiskowego, żyjącego wyłącznie w świecie swojej chorobliwej wyobraźni. Zwierzchowski przyznał się, że stało się nieszczęście: Turcja i Anglja weszły w układ z pełnomocnikami K. N. P. że Polska ma powstać, a obadwa państwa wesprą ją bronią i pieniądzmi. Dla przekonania go oświadczył, że z sum, powierzonych mu przez Damat-paszę, wydał agentom K. N. P. pieniądze i do Polski wyprawił Otworzył nawet biurko i chciał pokazać kwity owych agentów.

Zwierzchowski, który wszystkie roboty stambulskie znał i wiedział, kto niemi kieruje, zaproponował Brzozowskiemu widzieć się z Johnstonem, nie mówiąc, dlaczego. A Johnston był faktyczną sprężyną, bo rozdawał nervus rerum — pieniądze. Po kilku słowach zalecenia, wypowiedzianych przez Zwierzchowskiego i zwykłych towarzyskich ceremonjach, Johnston od razu przystąpił do sprawy aktualnej — wojny. »Wojna dzisiejsza — rzekł — ma na celu rozbiór Turcji, jeżeli nie całej, to z pewnością europejskiej, a rozdzieloną zostanie między Rosją i Austrją, gdyż Wiedeń z Petersburgiem na tym punkcie już się porozumiały. W ten sposób rozwiązana zostanie kwestja wschodnia, połączona z ostatecznym

rozbiorem Polski, która stracić może raz na zawsze nadzieję odzyskania niepodległości. Polska, widząc swą zagładę, powinna pokrzyżować plany Rosji i Anglji, pochwycić za oręż, tembardziej, że to jedyna sposobność. Polacy nie mają ani broni, ani pieniędzy, ale mają licznych przyjaciół, którzy majątkami swoimi przyjdą im w pomoc. Na razie gotowych jest 40 mil. franków i zapewnionych, na nasze ryzyko 40.000 karabinów z amunicją w danej miejscowości nad Bałtykiem«. Johnston był tedy tego zdania, ażeby jaknajrychlej do powstania przystąpić. Brzozowski nie oponował odrazu, ale wydawało mu się, że K. N. P. »chce podkładać ogień od dołu«. Jak to rozumiał? Nie wyjaśniał tego. Zdaje się wszakże, iż miało to oznaczać prowadzenie akcji przez ludzi nieznanych i nieodpowiedzialnych ani moralnie ani materjalnie. Uważał, że powstanie byłoby »samobójstwem«, pragnąłby przeto, ażeby do tego samobójstwa dali hasło »ojcowie narodu«, ludzie głośnych imion, które wpisały się w dziejach naszej ojczyzny miłością do niej, obywatelskiemi cnotami i poświęceniem. Brzozowski jął się dalej dowodzić, że tak jak teraz rzeczy stoją, ani powstania nie będzie można wywołać, ani Turcji użyczyć skutecznej pomocy, bo do legionów Polacy nie pójdą dla tego tylko, ażeby się bić. W interesie Anglji i Polski leżałoby działanie nie przeciw Austrji, lecz z Austrją przeciwko Rosji, a wtedy nie para nędznych bataljonów, lecz dwakroć stotysięczna armja polska poszłaby podeprzeć powstanie nad Niemnem, nad Dźwiną, nad Bałtykiem

i nad Wisłą. Zdziwionemu Johnstonowi wyliczył, że przy powszechnym poborze wojskowym sama Galicja mogłaby takiej ilości żołnierza dostarczyć. W tem obliczeniu tkwiła jednak wielka omyłka, na którą Johnston uwagi nie zwrócił — w owej dwustotysięcznej armji galicyjskiej była połowa Rusinów, którzy dobrowolnie nie stanęliby do walki. Ale cyfra sama imponowała Johnstonowi. Tak więc i Karol Brzozowski nie wypowiadał się przeciwko powstaniu stanowczo, ale pragnął, ażeby ono przeprowadzone było „z góry", czyli, mówiąc innemi słowy, ażeby kierownictwo jego wzięli w swoje ręce panowie i szlachta. Demagogom nie wierzył — chociaż w K. N. P. nie było ich także oprócz nienormalnie nastrojonego Koszczyca.

Rozmowa z Johnstonem, jakkolwiek co do treści nie miała żadnego znaczenia, ucieszyła ogromnie Iskinder-beja i Wład. Brzozowskiego, gdyż nie chcieli brać moralnej odpowiedzialności na siebie za mogące nastąpić wypadki. Wystąpienie Karola Brzozowskiego zachwiało wiarę w powagę i znaczenie K. N. P. Być bardzo może, że Johnston sam lękał się odpowiedzialności za pomoc materjalną a poniekąd dyplomatyczną, jaką im okazywał. Nazajutrz był już otwartszym wobec Karola Brzozowskiego. Powiedział bez ogródki, że agenci zostali wysłani, że termin powstania wyznaczony jest na drugą połowę Czerwca, ale telegraficznie wstrzymał wyjazd agentów na ziemie polskie, gdyż zgadza się z tem, ażeby powstanie rozpocząć »od góry«. Znaczenie tego było bardzo proste: nie kijem, to pałką.

Johnston okazał się bystrzejszym od Brzozowskiego: jemu chodziło o wywołanie ruchu zbrojnego, a czy ci lub inni go wywołają, to nie miało dla niego praktycznego znaczenia. Czy »z góry« czy »z dołu« wyjdzie hasło do powstania, było to dla niego rzeczą obojętną. Walka stronnictw i walka o przewodnictwo miały dla niego wartość bardzo względną. Skoro tedy Brzozowski napomknął mu, że walkę mogą rozpocząć ludzie poważni i znani, »od góry«, tem chętniej na to się zgodził, że widział więcej gwarancji.

Brzozowskiemu chodziło o »zdemaskowanie« K. N. P., rzecz w istocie podrzędną, a Johnstonowi o wywołanie walki. Tak tedy zupełnie niechcący i w sposób najmniej oczekiwany Karol Brzozowski, potępiwszy całą działalność Komitetu stambulskiego, zależnego od Johnstona, sam stał się narzędziem jego polityki, prowadzonej pod hasłem: albo żadnego powstania, albo »od góry«, stosownie do okoliczności. Obiecał »porozumieć się z wybitnymi osobistościami w kraju i zdać Johnstonowi raport o wyniku tych porozumień«. W ten sposób Johnston tak jak był tak i pozostał ośrodkiem agitacji polskiej. Zmieniali się tylko ludzie, używani przez niego jako narzędzie, chociaż byli przekonani, że działają własnowolnie.

Znalazłszy Karola Brzozowskiego tak ochotnym do wyjazdu do kraju »dla zdemaskowania« K. N. P., prosił go, aby był we Wiedniu u lorda Dembig, dobrze widzianego u rządu austrjackiego i u hr. Brédy, który mieszkał w Voralbergu, w Dornbirn.

Obaj ci panowie mieli wpłynąć na zainteresowanie się sprawą polską rządu austrjackiego.

Z lordem Dembig poznaliśmy się już przy innej okazji. Teraz rozpoczynała się akcja z tymi samymi ludźmi, ale przez innych pośredników i wydawała się osobom niewtajemniczonym jako zupełnie nowa robota. Johnston, ażeby zamaskować nazwisko Brzozowskiego, prosił go, ażeby dla korespondencji przybrał inne; wziął tedy nazwisko żony swojej — Bellier i wyjechał, otrzymawszy dokładne informacje i wskazówki co do stosunku swego z lordem Dembig, hr. Bréda i księciem Chambord, głową monarchistów francuskich. Udał się przeto parowcem do Triestu, a ztamtąd wprost do Lwowa, ażeby uprzedzić »Kółko«, jak dalece posunęła się w szaleństwie swojem K. N. P. i aby się miano na baczności. Najzaufańszym zaś, jak Zimie, Gillerowi, Młodzickiemu, Drowi Żulińskiemu i Dobrzańskiemu odkrył swój plan, przyjęcia »obowiązku rzecznika powstania u głów narodu«. Ogromnie to było stanowisko niejasne, niezdecydowane i niedość umotywowane, dlaczegoby powstanie, podniesione przez »głowy narodu« miało być w skutkach swoich mniej ciężkiem dla narodu od powstania, zaczętego »od dołu«. Zdaje się, że tu doktryna odgrywała silniejszą rolę, niż logika. W czasie krótkiego swego pobytu we Lwowie, Karol Brzozowski dowiedział się, że jednym z agentów Johnstona był ów niedawny wysłaniec na Wschód Grekowicz, który otrzymał telegraficzną depeszę od Johnstona wstrzymania

swojej akcji. Był to jedyny sukces konferencji K. Brzozowskiego z Johnstonem.

Ze Lwowa, jako nowy przygodny emisarjusz »przyjaciół Polski« ruszył K. Brzozowski do Drezna, aby się zetknąć z I. Kraszewskim i całą sprawę przedstawić. Nie zastawszy Kraszewskiego, który dla kuracji do Hamburga się udał, Brzozowski popędził w Poznańskie do Guttrego Aleksandra, który o K. N. P. nie tylko to i owo wiedział, ale z robotami jej sympatyzował i z Radą Konfederacką znosił się. Nie przyznał się jednak na razie do tego. Taka to już była konspiracyjna polityka. Guttrego również nie zastał, ale czekał i doczekał się powrotu gospodarza z Poznania. Opowiedział mu długo i szeroko całą sprawę ab ovo, od widzenia się z Midhatem do ostatniej podróży do Lwowa i owego sakramentalnego »stało się«, które było w rzeczy samej niczem, a w ustach Edhema-paszy urosło na jakąś tragiczną przepowiednię. Wszystko to było w tem oświetleniu, że K. N. P. pragnęła jakoby powstania zaraz i reprezentowała jakieś »niziny«, a Karol Brzozowski godził się na nie w ostateczności, ale z reprezentacją »od góry«. Jużci i Guttry, jak wszyscy rozsądni ludzie, nie pochwalał powstania, tembardziej z a r a z i rad był owarunkować je najlepiej. Mógł przeto Guttry nazwać »szaleństwem« dążenie do wywołania natychmiastowego ruchu zbrojnego, do czego, jak widzieliśmy, dążyła garstka zapaleńców Wówczas Guttry oświadczył, że wraca właśnie z Poznania od Calliera, gdzie był reprezentant K. N. P., który całą sprawę w innem przedsta-

wiał świetle. I Brzozowski się bałamucił, biorąc awanturnicze wystąpienie Arthur-beja i kolonji stambulskiej za działalność i program całej Konfederacji, która miała na celu »przygotowanie się« do walki i w tym kierunku robiła wszelkie wysiłki i zabiegi. Powtórzył tedy Guttremu to, co już we Lwowie powiedział: »że przybył tu jako rzecznik powstania ze strony przyjaciół Polski — Anglików, z którymi właśnie K. N. P. weszła w układy«.

Rozumieli wszyscy, że coś robić trzeba, ale obawiali się wszyscy każdej roboty, a szczególnie powstania nagle wywołanego. Guttry radził wysłać do Kongresówki Bieńkowskiego, niegdyś właściciela Smurzewa, który, jako kurjer wysłany, szeptałby komu potrzeba: »Strzeżcie ojczyznę od ognia!« A jednak wcale nie ku temu zmierzała cała działalność różnych agentów nominowanych i nienominowanych.

Z Wiednia Brzozowski wyprawił list ze sprawozdaniem do Johnstona »Wszyscy przyjęli — pisał — dowód współczucia przyjaciół Polski, których Ty, szlachetny Panie, jesteś wyobrazicielem, ze wzruszeniem, ale zarazem odpowiedziano mi, że dopóki dyplomacja półśrodki stawiać będzie jako bramę przeciw Rosji, Polska powstać nie może i nie powinna, a dziś każdy prawy syn Ojczyzny uważa powstanie za zbrodnię narodową. Polacy przewidują, że prędzej czy później Austrja, wyparta dziś z Niemiec, wystawiona na rozkładczy wpływ panslawizmu, ujrzy się zagrożoną w politycznym bycie swoim i uzna potrzebę oparcia się o Polskę — dobrze

więc zrozumiany patrjotyzm nakazuje dziś Polakom zachować wszystkie swe siły nietknięte dla przyszłego, jedynego sprzymierzeńca naturalnego, którym jest Austrja«.

Ale list zwykłego prywatnego człowieka nie wydawał mu się dość silnym argumentem. Postanowił tedy udać się do ministra dla Galicji—Florjana Ziemiałkowskiego. Ekscelencja przyjął poetę entuzjastycznie. Brzozowski wytłumaczył mu pokrótce, cel swego przybycia, wtajemniczył w roboty konspiracyjne, ich cele i zamiary, współudział w tej robocie Anglików za pośrednictwem Johnstona, a potem dopiero list do niego przeczytał. Odrzucając pomoc Anglików, Brzozowski chciał mieć poważnego świadka, któryby wiedział o tej odmowie i poniekąd podzielał ją. W tym celu jeden egzemplarz listu wysłał do Johnstona, a drugi, równobrzmiący, pozostawił w depozycie u Ziemiałkowskiego z prawem użycia w razie potrzeby. Ziemiałkowski list przeczytał, pochwalił i schował, drugi zaś egzemplarz odesłano natychmiast do Stambułu do Johnstona przez ambasadę turecką w Wiedniu. Minister przewidywał, że Brzozowskiego może policja zapytać: co tu robi? Radził mu odpowiedzieć krótko: »przyjechałem głupi ogień gasić«. A gdyby się zwrócono do Wiednia, odejdą stąd wskazówki, ażeby go pozostawiono w spokoju.

Po krótkim pobycie we Lwowie, Brzozowski wrócił do Wiednia, ażeby drugą część planu swego wykonać: widzieć się z hr. Bréda i lordem Dembig. Oddawszy list hr. Bréda, oświadczył, że pragnie

z nim mówić w kwestji polskiej z polecenia Johnstona. »Rozbieraliśmy — odrzekł hrabia — z panem Johnstonem szanse, jakie mogłaby mieć Polska, powstając w czasie wojny turecko - rosyjskiej, ale przyznam się panu, że nie widziałem ich wiele, a dzisiaj, mówiąc otwarcie, nie znajduję żadnej«. Potem Brzozowski odczytał list do Johnstona wysłany, naco hr. Bréda odpowiedział tylko: »bardzo słusznie«. »Jakież jest polecenie Johnstona, które masz pan załatwić u mnie i u lorda Dembig?« Brzozowski przedstawił, że chodzi przedewszystkiem o zbadanie gruntowne, czy rzeczywiście Rosja idzie ręka w rękę z Austrją, i czyby nie można pozyskać jej dla sprawy Polski, którąby w takim razie wystąpiła jako czynnik poważny na szachownicy bojowej? Dodał przytem, że byłoby obowiązkiem Austrji dopomódz Polsce. Ten obowiązek postawił na gruncie — obrony religji katolickiej, prześladowanej w Polsce i zagrożonej poważnie. Bronić tej religji może tylko jedyny monarcha najpotężniejszy katolicki — cesarz Franciszek Józef. Przedstawiwszy wreszcie zaborcze dążenia Rosji, dopatrzył się nawet możliwej klęski dynastycznej Habsburgów. Uwag Brzozowskiego, wypowiedzianych z wielkim zapałem, wysłuchał hr. Bréda, jak się zdawało, z dużem zainteresowaniem i prosił o pozostanie jeszcze czas jakiś w Wiedniu, gdyż mogą zajść okoliczności, które wymagać będą jego obecności. Napomknął o możliwej deputacji do cesarza. Jakoż rzeczywiście w Galicji poczęto się krzątać około deputacji, ale

nie znajdowała myśl ta nigdzie ani wielkiej sympatji ani poparcia.

Tymczasem wypadki inny obrót wzięły, a rozstrzelone działania poczęły się ogniskować w odmiennym kierunku. Dwie przyczyny wywołały to zjawisko: niespodziewany rozgłos nadany sprawie polskiej i przeświadczenie K. N. P., że sama przez się nie jest w stanie zrobić nic pokaźnego; nie może ani skupić akcji całej w swojem ręku, ani też nią pokierować. Miłość ojczyzny nie była jeszcze wystarczającym czynnikiem do kierownictwa.

Widzieliśmy już, że Towarzystwo katolickie w Anglji, za którego plecami stał, jak się zdaje, rząd Wielkiej Brytanji, prowadziło politykę na korzyść Polaków, że rozporządzało opinją publiczną w kraju i środkami pieniężnymi w celu wywołania w Polsce powstania. Łączyła się ta działalność dziwnym sposobem z chęcią wytworzenia dywersji na tyłach armji rosyjskiej, a zatem na korzyść Turcji, która była największym nieprzyjacielem świata katolickiego. Jednostki żywsze temperamentem, nie orjentujące się łatwo w wytworzonej sytuacji gotowe były skwapliwie korzystać z obietnic, zarówno Turcji jak i Anglji, a nawet z niewielkich zasiłków pieniężnych i krzątać się poczęły około wywołania ruchu zbrojnego. Usiłowania te znalazły odpór w społeczeństwie polskiem, które zasadniczo nie uchylało się od wystąpienia z bronią w ręku, ale uważało chwilę za niezbyt jasną, a obietnice pomocy — na wietrze pisane. Żądało tedy poważnych gwarancji państwowych. Opinje te znalazły wyraz poniekąd

w odpowiedzi, jakiej udzielił Karol Brzozowski nieoficjalnemu ajentowi Anglji, względnie Towarzystwa katolickiego — Johnstonowi.

Ogólniejsze zainteresowanie się kwestją polską wywołał fakt, jak powiedziałem, najmniej oczekiwany: była to pielgrzymka polska do Rzymu. Papież Pius IX. zawsze okazywał wiele sympatji dla Polaków. Towarz. katolickie, z kardynałem Manning na czele, zdołało tyle uczynić, że ową pielgrzymkę, której znaczną część tworzyli unici, prześladowani przez Rosję, a prowadzeni przez swoich księży, przyjęta była przez Papieża bardzo uroczyście i bardzo gorąco. Koszczyc, który radby był, ażeby świat obracał się koło jego imienia jak koło słońca, przypisuje inicjatywę i wykonanie tej pielgrzymki K. N. P., a względnie jego staraniom. Nie było to prawdą, chociaż pielgrzymka wyszła na korzyść moralną sprawy polskiej. Wyjechała ona ze Lwowa pod patronatem X-cia Konst. Czartoryskiego, a prowadzona była w dwóch partjach pod wodzą księży Podolskiego i Hołyńskiego. Żaden z nich nie miał najmniejszej styczności z K. N. P. Trzeciego Czerwca 1877 wyruszono ze Lwowa. Reprezentanci główni Tow. kat. lord Dembig, kardynał Manning, jakoteż lord Stuart Rolland, krewny królowej Wiktorji, także do Rzymu przybyli i, nie bez wpływu zapewne tych poważnych mężów, Pius IX., zdecydował się zwykłej pielgrzymce katolickiej nadać cechę polityczną. Po rozmaitych uroczystościach powitalnych, po ceremonjach przyjęcia adresów, Pius IX kazał się zanieść w lektyce w środek chłopskiego

tłumu i przemówił do zgromadzonych na temat prześladowania, zachęcając do cierpliwości, stałości i odwagi, wreszcie nie bez rozmysłu robił aluzje do możliwej walki z Rosją «Daję wam błogosławieństwo na dusze wasze, na życie i na śmierć» — mówił do zgromadzonych. — »Powiadam wam — zakończył — miejcie nadzieję, wytrwałość, odwagę i módlcie się, a ciemięzcy wasi runą i Królestwo polskie powróci«.

Mowa, niepozbawiona politycznych aluzji w takiej krytycznej chwili, była uważaną nie tylko jako prowokacja Rosji, ale jako zachęta do walki, jako dawanie moralnego oparcia wszelkim dotychczasowym spiskowym robotom. Mimo woli, a niewątpliwie wbrew woli całego społeczeństwa, podniosła powagę K. N. P., sankcjonowała niejako jej akcję bez żadnej wiadomości, ktoj jacy ludzie stoją za plecami K. N. P.

Echa przemówienia papieża odbiły się także w Stambule. Wiemy, że akcję tam rozpoczęła K. N. P. za pośrednictwem Koszczyca i że zmierzała do wywołania powstania w Polsce przy jej pomocy w broni i pieniądzach. Większość K. N. P. nie podzielała wcale awanturniczych poglądów Koszczyca, działającego na własną rękę. Akcja ta, jak widzieliśmy, spotkała się z kontragitacją Karola Brzozowskiego, która miała ten skutek, że agenci, wysłani do organizowania powstania, zostali odwołani. Uznano powszechnie, że na obietnicach nie można i nie wolno opierać żadnej akcji dla przyszłości, że trzeba gwarancji, których rządy, chcące popierać powstanie,

nie dawały. Otóż gdy jedni przedstawiali K. N. P. jako organizację samozwańczą, założoną przez ludzi bez wpływu i znaczenia, a drudzy, w Stambule, obiecywali w jej imieniu kraj cały pod broń powołać, zaszedł wypadek z ową pielgrzymką polską, połączoną z zachętą niejako do samoobrony, do wytrwania. Być bardzo przeto może, że w Stambule uważano za rzecz poniekąd konieczną dowiedzieć się, czem jest w samej rzeczy owa K. N. P. i o ile na niej polegać można. Rozwiał trochę dobre mniemanie o niej Brzozowski, i, jak się zdaje, zdołał w tem mniemaniu ugruntować Zwierzchowskiego, ale Iskinder-bej był sam tylko narzędziem w cudzem ręku. Być zatem bardzo może, że Abdul-Hamid zapragnął sprawdzić owe dwojakie sądy o K. N. P., ażeby wiedzieć nareszcie, z kim ma układać się i porozumiewać się. Te, a nie inne niewątpliwie motywy, które skłoniły sułtana do zawezwania Iskinder-beja do siebie i do wysłania go do Lwowa, ażeby stan rzeczy na miejscu zbadał, gdyż nie ulegało żadnej wątpliwości, że główne siedlisko K. N. P., Rada Konfederacka, było we Lwowie.

Przybyło tedy do Lwowa owe poselstwo sułtańskie d. 17. Czerwca w Niedzielę. Gebhard utrzymuje, że posiedzenie dla wysłuchania poselstwa odbyło się 10. Lipca. Wątpić należy, ażeby między przyjazdem a relacją poselstwa tak wiele czasu na bezczynności upłynęło. Skłonny jestem przypuścić, że Gebhard, zawsze prawdomowny i szczery, opisujący zdarzenia tylko wtedy, gdy sam w nich uczestniczył, w dacie pomylił się. Ale posiedzenie przed-

stawił zupełnie inaczej, niż Koszczyc, w którego zwichniętym umyśle, fakty i zdarzenia przedstawiały się jak w lustrze o wklęsłej lub wypukłej soczewce. Dajemy przeto pierwszeństwo opowiadaniu Gebharda, uzupełniając je drugorzędnymi szczegółami, z Koszczyca wyjętemi.

Zwierzchowski przedstawił pokrótce, w jaki sposób wezwany został przez Abdul-Hamida do tego poselstwa, przynosząc monarsze uznanie dla narodu Polskiego i pozdrowienie dla Rady Konfederackiej, a krótko umotywowawszy wspólność interesów Turcji i Polski, oraz pomoc materjalną ze strony Turcji, wyraził życzenie, ażeby K. N. P. do 14 dni wywołała powstanie, stosownie do zapowiedzi w memorjale. Zwierzchowski ofiarował broń — ile potrzeba i miljon funtów tureckich. Koszczyc podniósł się z ukłonem i złożył podziękowanie delegatom za pomyślne wiadomości. Ale nikt z Komitetu nie naśladował go. Co zaś do owego operetkowego żądania wywołania powstania w czternastu dniach, Gebhard odpowiedział: »Temu stanowczo odmawiamy z wielu przyczyn. Najpierw, że naszem pragnieniem jest przedewszystkiem formacja legjonu, a powstanie dopiero po wkroczeniu wojsk tureckich na ziemie polskie. Gdybyśmy byli tak niesumienni i chcieli zrobić powstanie, musielibyśmy mieć przedewszystkiem gotową broń do rozdania, a tej nie mamy; musielibyśmy mieć pieniądze na pierwszy moment, — a jedno i drugie przez usta panów Turcja tylko obiecuje. Gdybyście panowie byli nawet przywieźli ze sobą broń i pieniądze,

a my tu zgromadzeni byli tak nierozsądni i tak lekkomyślnymi dziećmi nieszczęśliwej naszej matki— Polski i chcieli zrobić powstanie, to i tak niedokonalibyśmy tego, ponieważ nie mamy organizacji«. Siemieński, towarzysz owego sułtańskiego poselstwa Iskinder-beja szepnął, że 7 tys. funtów byłoby danem do dyspozycji R. K. Gdy Zwierzchowski, na uwagę, że brak organizacji, powołał się na listy Koszczyca, które czytał, a w których było wyraźne zapewnienie, że cała organizacja dokonana w zupełności i powstanie wybuchnąć może; gdy wreszcie Koszczyc potwierdził stanowczo, że »jest organizacja«, wynikł natychmiastowy spór wobec delegatów. »Proszę na serjo nie brać oświadczeń Koszczyca — odezwał się Thieme. To co powiedział kolega Gebhard, wszyscy potwierdzamy. Organizacji wojskowej nie mamy, bośmy takowej nie robili, a to co pisywał Koszczyc do Zimermana, nam wiadomem nie było. Wreszcie, choćby organizacja istniała, choćbyśmy mieli broń i pieniądze, to z powstaniem musielibyśmy się wstrzymać w obec tego smutnego faktu, że armia turecka już pozwoliła rosyjskiej przeprawić się przez Dunaj. Nie ulega wątpliwości, że powstanie przyniosłoby wielką korzyść Turcji, ale dla Polski byłoby zabójstwem«. Z tego powodu powstała ostra sprzeczka między Koszczycem a Thiemem, która zakończyła się tem, że Thieme wyprosił Koszczyca ze swego domu, a delegaci sułtańscy odeszli z niczem.

Koszczyc wysoce stronny i niesprawiedliwy we wszystkich swoich sądach, dodaje nieprawdopo-

dobny epilog, jakoby Zwierzchowski krzyknął: »to my się udamy do księcia Sapiehy!« Coby to miało za znaczenie, trudno odgadnąć, gdyż wkrótce potem znajdujemy Zwierzchowskiego przy boku Adama Sapiehy, ale bynajmniej nie jako agenta-prowokatora powstania.

Koszczyc we dwadzieścia pięć lat później, kiedy pisał swoją broszurę p. t. Ruch narodowy w r. 1877 trzeźwiej się już zapatrywał na sprawę powstania i twierdził, że Zwierzchowskiemu dał odpowiedź odmowną. W niezgodzie był sam z sobą, gdyż przez cały czas trwania Konfederacji był jej złym duchem, bałamucił trzeźwych, podżegał niecierpliwych, a listami swojemi, po za plecami R. K. pisywanemi do Stambułu, bałamucił Turcję fantastycznemi obiecankami. Rzucał się na wszystkie strony niespokojnie, łącząc najnieszczęśliwiej sprawę osobistego swego temperamentu ze sprawą publiczną, na niekorzyść tej ostatniej. Zapomniał o tem, że sam parł do powstania, że za jego inicjatywą napisaną została przez jakąś »znakomitą autorkę« z Warszawy, odezwa, wzywająca, ażeby »w dniu danym, na dany znak, po wszystkich dzielnicach Polski, o jednej godzinie« miał rozwinięty sztandar K. N. P. Odezwa zakończyła się krwawo: »do broni bracia, razem wszyscy, a kto nie z nami, ten przeciw nam«.

Taką była robota Koszczyca, wypływająca niewątpliwie ze szlachetnych pobudek, ale szalona, nierozważna, szkodliwa, a na szczęście nie mająca poparcia nawet w łonie Rady Konfederackiej.

Wybryki Koszczyca stawały się groźne, R. K. postanowiła przeto zerwać z nim dalsze stosunki, co też uczyniono. Ale Koszczyc nie należał wcale do ludzi, którzy uspokajają się łatwo. W parę dni potem dowiedziano się, że zawiązał nową Konfederację, złożywszy ją po części z malkontentów lub amatorów konspiracji, a po części z ludzi, którzy się nie mieli czasu zorjentować w robotach i planach Koszczyca. Oprócz inicjatora, nową K. N. P. składali: Pawłowski, Tilsz Juljan, Pilarski Aleksander, Rewakowicz Henryk i Dienheim-Brochocki. Na pierwszem organizacyjnem posiedzeniu, po wysłuchaniu exposé Koszczyca, Rewakowicz nazwał go fantastą i bałamutem, wystąpił przeciw organizacji, zdążającej do powstania, utrzymując, że o powstaniu mogą myślać tylko — półgłówki. W obec tego oczywiście — nic z Konfederacji. Koszczyc mógł uznać tylko taką, jakiej pragnął. Próbował tedy zawiązać nową — na Zamarstynowie. Tu miał niewielką fabrykę narzędzi rolniczych Deskur, powstaniec z r. 1863, człowiek gorący, ale prawy i czysty, popularny w swojej dzielnicy dla sympatycznego stosunku, jaki z robotnikami swymi utrzymywał. Bliższych szczegółów o losach tej konfederacji nie mamy.

V.

Komitet pierwszej K. N. P., widząc że niezdołał pozyskać dla siebie wielkiego i szerokiego zaufania, potrzebnego dla sprawy ogólno-narodowej; że w łonie swojem spostrzegł rozdwojenie, skutkiem którego prace Komitetu najfałszywiej oceniano; że ściąga na siebie niesłusznie potępienie, — a z drugiej strony widząc, że rozbudzona opinja publiczna chętnie dałaby poparcie ludziom innej sfery i stanowiska, że zbliżające się wypadki mogły w istocie wymagać kierownictwa odpowiedzialnego — postanowił rozwiązać się i władzę swoją przelać w inne ręce. Nastręczało się pytanie: czyje? Widzieliśmy, że przy pierwszem zetknięciu się K. N. P. zagranicą, szczególnie w Anglji, zapytywano delikatnie: kto z wami? Domagano się, ażeby na czele stanęli ludzie znani śród społeczeństwa, dający niejako gwarancję moralnej odpowiedzialności. Wymieniano różne nazwiska. Ale demokratyczność Koszczyca nie chciała ponad sobą widzieć nikogo. Zamięszanie jakie powstało, mimo najszczerszych chęci przewodników, wywołany tem zamieszaniem niepokój, wreszcie wzmożenie się patrjotycznego zapału po przemówieniu Piusa' IX. i nadzieja podniesienia polity-

cznego sprawy Polski, najlepszych i najtrzeźwiejszych członków K. N. P. skłoniły do przeświadczenia, że nadal kierować ruchem, stworzonym przez siebie, nie mogą, że on przerasta ich siły i możność. 1-ego lipca 1877 odbyła się narada, w której uczestniczyli hr. Artur Gołuchowski, Henryk Janko, Edward Simon, Robert Thieme, Edmund Riedl, Ksawery Gebhard i Adam Kulwiec Po ożywionej dyskusji postanowiono oddać dalszy kierunek sprawy w ręce ks. Adama Sapiehy.

Kto był Adam Sapieha? Był to człowiek bardzo popularny, wymowny, zręczny, łatwo orjentujący się, ogromnie ambitny, a jednak nie ubiegający się o zaszczyty, płynące z Wiednia, bardzo demokratyczny na swój sposób, a stąd używający powszechnie tytułu Czerwony książę. Był to człowiek dużych zdolności jednania sobie ludzi i panowania nad nimi, ale nierównego i niespokojnego umysłu. Posiadał on w wysokim stopniu wadę dawnych »królewiąt« — chęć przewodzenia, chęć władzy, stąd próżnym imponował, poważnych i spokojnych odstręczał.

Postanowiono wysłać deputację z łona R. K. do Krasiczyna, gdzie przemieszkiwał i zaprosić go do objęcia steru. Ale spotkano go w drodze do Przemyśla, skąd miał odjechać i odjechał do Lwowa. Wróciła tedy deputacja z niczem i dopiero 3. lipca stanęła w pałacu Sapiehów przy ulicy Kopernika W deputacji uczestniczyli Thieme i Gebhard. Thieme opowiedział początek zawiązania się K. N. P., jej zabiegi, organizacje, pracę i w końcu postano-

wienie, powzięte na ostatniem posiedzeniu. Książę wysłuchawszy, po chwili milczenia zapytał złośliwie: »a którejże Konfederacji panowie jesteście przedstawicielami?« I na tym punkcie udzielono mu wyjaśnień. O tem, co się dzieje w łonie K. N. P., wiedział bardzo dobrze książę przez Liberata Zajączkowskiego, który był czemś w rodzaju jego prywatnego sekretarza, informatora i agenta do spraw politycznych, a jako niby dziennikarz, chociaż piórem w dziennikarstwie pracował mało, bywał przez ks. Sapiehę do różnych spraw używany. On też zręcznie wybadywał Koszczyca, co się dzieje i ks. Adamowi komunikował. Z tego też źródła pochodziły wiadomości Sapiehy o istnieniu kilku konfederacji

W dalszej dyskusji na temat propozycji objęcia władzy, wyszła sprawa obiecanek angielskich z powodu misji Kruka. »Mogę was zapewnić — rzekł Sapieha — że broń mogą dać, ażeby zrobić powstanie, ale pożyczki nie dadzą, ani sprawy polskiej urzędownie nie podniosą, bo wojny europejskiej nie będzie. Skończy się na pojedynku między Rosją a Turcją, a wasze nadzieje i zabiegi doznają gorzkiego zawodu. Obecnie kursuje po Lwowie wieść jako fakt, że Anglia dała 500.000 karabinów i 20 milj. pożyczki. Jeżeli powstania nie będzie, a nie będzie z pewnością, to trybuni ludowi będą mówić i pisać, że rozkradli miljony, ofiarowane przez Anglję na sprawę polską. Trzeba złożyć to na barki Sapiehy«. W końcu książę zastrzegł sobie trzy dni do namysłu. Czwartego dnia zjawili się znowu de-

legaci K. N. P. w pałacu na ul. Kopernika. Powiedziano, że książę wyjechał do Wiednia. Gebhard pojechał go szukać. Był w Wiedniu, Wenecji, Bolonji, wracając, zajechał do Przemyśla — nigdzie księcia nie było. Wszędzie otrzymywał odpowiedzi niepewne. Po długich poszukiwaniach, wrócił wreszcie do Lwowa. Gdy był wieczorem na herbacie u Simona, nagle zjawił się ks. Adam Sapieha. Gebhard opowiedział szczegółowo wycieczkę swoją w celu odszukania księcia. Sapieha wysłuchawszy, rzekł: »Panie Gebhard, zechciej pan zawiadomić Komitet, że ja nie przyjmę z rąk Konfederacji władzy. Jeżeli mam pracować dla wspólnej naszej sprawy, to muszę być wybrany przez obywateli, ale nie przez konfederacje, których namnożyło się we Lwowie jak w lesie grzybów po deszczu. Nie uchylam się od usług dla ojczyzny, jeżeli będę upoważniony przez zebranie obywateli, a nie przez żadne tajne komitety, niewiadomo przez kogo reprezentowane, przyjmujące zobowiązania, które mogłyby przynieść najstraszliwsze klęski dla narodu, a sprawcy nieszczęścia byliby ukryci przed narodem i historją.«

W części skutkiem zetknięcia się z Karolem Brzozowskim, w części przez deputację Zwierzchowskiego i Siemieńskiego do Lwowa, główni kierownicy opinji publicznej w Europie i »przyjaciele« Polski z Towarz. Katol., przekonali się, że istotnie K. N. P. nie rozporządza uznaniem społeczeństwa i nie reprezentuje jego interesów. Wszelkie układy z nią zatem są bezcelowe. Należy się zwrócić w inną stronę. Już w tym kierunku rozpoczął był starania

K. Brzozowski. Mając zatem pewne stosunki, »przyjaciele« Polski postanowili zwołać zjazd do Wiednia na 26. lipca, na którymby cała Polska była reprezentowaną przez najwybitniejszych, a raczej najgorętszych swoich przedstawicieli. Rozpoczął się tedy nowy ruch — zwoływania przedstawicieli. I znowu zarysowała się dwoista gra: K. N. P. angażowała na ten Zjazd ze swej strony ludzi, z którymi już dawniej w stosunkach była, a »przyjaciele« Polski używali do tego samego celu Karola Brzozowskiego. »Nieznani« konfederaci i znani »przyjaciele« Polski zatrzymywali się na tych samych osobistościach, nie wiedząc wzajemnie o sobie i przypisując każdy sobie zasługę zjednania tych ludzi.

Zanim doszło do zjazdu wiedeńskiego, który miał mieć cechę do pewnego stopnia międzynarodową i miał być uczestnikiem wyboru Rządu narodowego, odbył się zjazd wyłącznie polski w Paryżu, w hotelu Bristol. Konfederacja o tym zjeździe nic nie wiedziała. Szczegółów o nim nie posiadamy zupełnie. Niewątpliwie wszakże miał on charakter narad przedwstępnych i może roztrząsano tam sprawę czy należy lub nie brać udział w zjeździe wiedeńskim. Brzozowski pojechał w Poznańskie, ażeby na konferencję paryską zaprosić Guttrego i Działyńskiego. Bawiący wówczas w Wiedniu Orzechowski-Oksza, ajent dyplomatyczny z r. 1863 w Stambule, a który teraz do agitacji politycznej przyłączył się, miał zaprosić Adama Sapiehę. Widocznie konferencja paryska wypadła zadowalniająco, gdyż Karol Brzozowski, który tymczasem przesiadywał w ma-

jętności Guttrego w Paryżu, otrzymał od niego telegram, ażeby do Wiednia się udał i do hotelu Metropol zgłosił się.

K. N. P. także nie próżnowała. 6. lipca wysłała w Poznańskie Thiemego do Guttrego z zawiadomieniem o zjeździe w Wiedniu, a stamtąd miał się udać do Drezna, do Kraszewskiego. Brat Thiemego wziął na siebie Królestwo polskie, Jan Winnicki wyruszył na Wołyń, Zenobiusz Kulwiec na Litwę i Żmudź, Gebhard udał się do Łosiacza do hr. Artura Gołuchowskiego, a stamtąd do Tłoczan do Henr. Janko, Simon zawiadomił Kornela Ujejskiego i Obertyńskiego. Gołuchowski ze swej strony doniósł o zjeździe Wład. hr. Platerowi do Rapperswilu. 25. lipca, Karol Brzozowski po powrocie z Plombiéres, gdzie bawił Midhat-pasza, zaprosiwszy go na zjazd, w Wiedniu stanął. W zjeździe udział wzięli: lord Dembig, Kardynał Manning, lord Johnston Buttler, Juljusz Grévy, członek parlamentu francuskiego, późniejszy prezydent Rzptej, Cairolo minister włoski, Midhat-pasza, hr. Bréda. Z Polaków: Artur hr. Gołuchowski, Henryk Janko, Kornel Ujejski, Edward Simon, Józef Rochr ze Żmudzi, Świętorzecki z Litwy, Łoziński, ojciec Edmunda, z Wołynia, Agaton Giller reprezentował Królestwo, Oksza-Orzechowski emigrację, Aleksander Guttry z Poznańskiego, Wł. hr. Niegolewski, także z Poznańskiego, książę ordynat Sułkowski, ksiądz Stablewski, późniejszy arcybiskup, ze strony K. N. P. Thieme i Gebhard, a oprócz tego rozmaici agenci i pośrednicy: Zwierzchowski, Siemieński, Gołemberski, Zajączkowski Li-

perat i Karol Brzozowski. Byli i inni, ale bez określonej roli.

Nazwisko ks. Adama Sapiehy było na ustach wszystkich. Tak jak Gebhard we Lwowie interpelował Sapiehę o objęcie władzy i sformowanie rządu, tak w Wiedniu w tej samej misji udawał się do niego Karol Brzozowski wraz z Guttrym. Wieczorem 25. lipca odbył się wybór Rządu narodowego w gronie Polaków tylko. Zgromadzenie zagaił hr. Plater, mając przy sobie Kornela Ujejskiego. Po krótkim rzucie oka na położenie polityczne Europy, wyłoniła się dyskusja o potrzebie reprezentacji narodowej. Hr. Plater zaznaczył, że on się uważa za reprezentanta Polski w obec Europy na mocy jakichś jakoby podpisów obywateli z różnych dzielnic. Opozycji wszakże jego nie uwzględniono. Nazajutrz przystąpiono do przerwanego posiedzenia z powodu spóźnionej pory. Na skrutatorów wybrano Kornela Ujejskiego, Tadeusza Orzechowskiego i Karola Brzozowskiego. Plater powtórnie wystąpił przeciwko wyborowi R. N., uważając, że kierunek polityki zagranicą do niego należy. Prawa jego domniemane nie zostały wszakże uznane. Posiedzenie o świcie dopiero zamknięto. Wybrani zostali do R. N.: Adam Sapieha, Aleksander Guttry i Tadeusz Orzechowski, a na zastępców hr. Gołuchowski, Agaton Giller i Janko.

Dopiero, jak się zdaje, po obiorze R. N. przystąpiono do wspólnego zgromadzenia z »przyjaciółmi« Polski w celu odbycia wspólnych narad nad dalszą akcją. Rząd wybrany zamianował Karola

Brzozowskiego pełnomocnikiem przy Wielkiej Porcie w Stambule, Brzozowski zrzekł się wszakże tej godności, motywując odmowę przyjacielskim swoim stosunkiem, znanym powszechnie, z Midhatem-paszą, który przez rząd turecki źle jest notowany. Nominacja jego mogłaby być przeto szkodliwą dla R. N. W obec takiego położenia rzeczy mianowany został na Wschód agentem Zwierzchowski.

Wspólne posiedzenie z »przyjaciółmi« Polski nie obyło się również bez przykrego zajścia. Na szczęście cudzoziemcy, nierozumiejący języka polskiego, nie wiedzieli dokładnie, o co chodzi. Sapieha, zająwszy krzesło przewodniczącego, powitał przybyłych gości, a wyraziwszy podziękowanie Anglikom za inicjatywę dzisiejszego zebrania, oddał głos lordowi Dembig. Zaznaczył on na wstępie, że przemawia nie imieniem narodu, lecz tylko »przyjaciół« Polski, Towarz. katolickiego, współczujących niedoli Polski, która niegdyś, jako potężne państwo, położyła wielkie zasługi dla katolicyzmu i cywilizacji. Państwa, które rozdzieliły Polskę, nie zyskały wiele, gdyż muszą utrzymywać krociowe armje dla poparcia gwałtu, a katolicyzm utracił najsilniejszą podporę w środku Europy. Katolicy angielscy pragną podać pomocną rękę narodowi polskiemu do odzyskania niepodległości. Obecne wypadki na Wschodzie nie wiadomo jeszcze jakie mogą przybrać rozmiary, jak daleko rozleje się płomień wojny— otóż byłoby pożądanem, ażeby naród polski w danej chwili chwycił za broń i walczył o swoje dziedzictwo po przodkach. »Przyjaciele« zaś Polski

będą nieśli wszelką pomoc walczącym. Na to, ażeby owej prawdopodobnej walce nadać pewien kierunek, potrzebny jest rząd. Po przemówieniu Dembig'a zażądał głosu kardynał Manning. W tej chwili właśnie wszedł na salę hr. Wład. Plater i bez przywitania zapytał Sahiehę, kto się poważył zwoływać zjazd bez jego wiedzy, jako prawego reprezentanta Polski? Książę miał poprosić Platera o opuszczenie sali, jako niezaproszonego na zjazd. Pomimo interwencji Gołuchowskiego i Ujejskiego, którzy wstawili się za Platerem, Sapieha stał mocno na tem, że tylko zaproszeni udział brać mogą. Mimowoli przeto Plater zgromadzenie opuścił.

Po Platerze wsunął się do sali Dienheim Brochocki i złożył księciu bilet od Koszczyca, jako delegat K. N. P. Bilet wizytowy nosił z jednej strony napis Wacław Koszczyc, a z drugiej: »mianujemy hr. Dienheim Brochockiego delegatem na zjazd wiedeński.« Nic więcej. Nie wszyscy wszakże na ten zjazd przybyli. Najoporniejszym, bo kwestję postawił zasadniczo, był Kraszewski, który wręcz oświadczył, że nie pojedzie, bo Anglja dla Polski nic nie zrobi, a tylko chce ją wyzyskać dla swoich interesów. I miał rację.

Od chwili zawiązania się R. N., działalność jego stała się tajemnicą dla szerokich kół. Od czasu do czasu przedostawały się do wiadomości publicznej niepewne pogłoski, na których jedni budowali zamki na lodzie, drudzy znajdowali źródło do inwektyw i oszczerstw. Z dawnej Rady konfederackiej nikt wprawdzie do rządu nie wszedł, ale trudno było

razu zerwać z nią wszelkie nici, tembardziej, że tkwił tam hr. Art. Gołuchowski, związany z nią dawnymi stosunkami. 29. lipca przybył do Lwowa Kornel Ujejski i zażądał od Gebharda oddania archiwum K. N. P. i przedstawienia rachunków. Przejrzał listy, zabrał tylko jeden list ks. Leona Sapiehy, a resztę oddał do przechowania Art. Gołuchowskiemu. Zapytany po pewnym czasie o losy tego archiwum, powiedział, że je zniszczył. Czy rzeczywiście zniszczył, niewiadomo — dość że się odszukać papiery K. N. P. nie dały. Jaki los spotkał korespondencję, skupioną w ręku ks. Adama Sapiehy — także niewiadomo. Kiedy pisząc o roku 1863 — na Rusi, zwróciłem się do księcia, ażeby mi pozwolił przejrzeć swoją korespondencję i umożliwić przez to sprostowanie bardzo dla niego nieprzychylnych sądów, odpowiedział mi, że nie zachował żadnej — wszystko popalił. Może kiedy jak Feniks odrodzi się z popiołów. Jeżeli temu samemu losowi uległo także archiwum Rządu narodowego z r. 1877, to niewątpliwie nie będziemy mogli nigdy już tych zdarzeń wyjaśnić należycie. Ponieważ R. N. był tajny — z prawem ogłoszenia jawności w razie potrzeby — mało o jego działalności wiedziano. Wiedziano tylko, że we Lwowie w Banku kredyt. miejskim odbywały się jakieś narady, w których uczestniczył dyrektor tego banku Pini, mocno ganiony, Orzechowski i inni, a przewodniczył Giller.

Pomimo zawiązania nowego rządu, a faktycznego rozwiązania się K. N. P., posiadała już ona, jak wspomniałem, liczne swoje stosunki, które tak

łatwo zerwać się nie dały. Istniał tedy R. N., ale z daleka i z bliska odwoływano się do K. N. P. Głównie zaniepokojony był Wschód — teren walki. Przychodziły też stamtąd fantastyczne wiadomości. O Zwierzchowskim, który już zapomniał o powstaniu, pisano, że »mieszka jak ambasador wielkiego państwa, a żyje jak magnat« ; w koszarach sułtańskich o głodzie i chłodzie skupiła się garstka rozbitków polskich, która niegdyś miała formować legion w służbie tureckiej i zapytywali, czy już zaniechano myśli tworzenia legionu? A St. Clair komunikował Artur-bejowi, że »Sapieha przygotowuje wyprawę do Rumunji«. Kulczycki poszedł jeszcze dalej, bo wprost pisał, że »książę nie myśli o legionie, ani o powstaniu, ale o tronie rumuńskim«. Zwierzchowski w Stambule przedstawić miał plan zrzucenia z tronu księcia Karola, a osadzenia Sapiehy«. Jużci, były to tylko plotki emigranckie, ale charakteryzowały nastrój panujący, niepokój ducha, ogarniający wszystkich i wreszcie ową żyłkę awanturniczości, która jeszcze za czasów Rzptej objawiała się upodobaniem w szukaniu szczęścia na »przepiórczem polu«. Tworzenie legjonu było wprawdzie poruczonem Art. Gołuchowskiemu, ale książę Sapieha, interpelowany w tej sprawie, na listy nie odpowiadał. Także Gołuchowski wyraźnie pisał, iż »byłby wdzięczny księciu, gdyby do tej czynności kogoś zdolniejszego wyznaczył«. Przyjeżdżał do Lwowa także Guttry, ale już się do dawnej K. N. P. nie zgłosił. Podobno był obrażony o to, że Thieme lekceważąco wyrażał się o Aleks. Zwierzchowskim.

Bezczynność nowego Rządu Narod. najbardziej była dostrzeganą przez dawnych członków K. N. P., gdyż znane im były drogi, któremi szła agitacja. Ponieważ w czasie wyboru R. N. zamianowano sekretarzem Liberata Zajączkowskiego, Thieme i Gebbard postanowili pójść do niego w nadziei, że może zechce wyjaśnić przyczyny tej bezczynności. Zajączkowski miał opinję bardzo niewyraźnego człowieka. Niektórzy nazywali go wprost »pijawką« księcia Adama Sapiehy. Na uwagi, że dawna K. N. P. bywa ze wszech stron interpelowaną o bezczynność, Zajączkowski odpowiedział politycznie: »robi się, moi panowie... robi się« — i jął się tłumaczyć, że przecie nie może zdradzać tajemnic. Na pociechę powiedział im, że Zygmunt Kaczkowski nabył Neue freie Presse i trzeba tylko w Galicji zjednywać dla niej prenumeratorów. Niewiadomo ile w tej wiadomości było prawdy. Wołowski rozpoczął jakoby także wydawnictwo po francusku z dodatkiem subwencji. Na zapytanie Thiemego, co się dzieje z organizacją legionu, czy ta myśl zaniechaną nie została, odpowiedział, że »to znakomita myśl i do spełnienia jej R. N. zdąża«. »Ale my i z drugiej strony zagramy« — dodał tajemniczo. Była to aluzja do wyprawy rumuńskiej, która i rychło i niedołężnie zakończyła się. Wracając do legionów, Zajączkowski oświadczył, że to rzecz Gołuchowskiego, a tymczasem Sapieha nie dawał w tym względzie żadnych dyspozycji. Był on wówczas zajęty wyprawą szeklerską i dlatego ciągle w Peszcie przesiadywał. Ponieważ cała uwaga

zarówno Johnstona jak i Sapiehy skupiła się na tej wyprawie, sprawa formacji legionu i wrzekomego powstania, które stało się widmem politycznem i narodowem, zeszła zupełnie z planu. Czynny członek dawnej K. N. P. Kulczycki, którego niewybredny w pochwałach Koszczyc nazywał »Ulisesem K. N. P.« pisał na wszystkie strony listy i nie otrzymywał odpowiedzi. Johnston, tak skłonny do gadania i pisania — milczał; Sapieha, nagabywany o subwencję dla prasy włoskiej — nieodpisywał, a skądinąd wiadomo było, że nie uważał głosów prasy włoskiej za dość poważne, ażeby na szali politycznej ważyć mogły. Giller i Ujejski nie odpisują także. Widocznie robota poszła innem korytem. To wszystko niespokojnego Kulczyckiego wybijało z równowagi. Już tedy we wrześniu radził zerwać z R. N. i przywrócić prawomocność K. N. P., a w październiku, rozgoryczony na Sapiehę i jego doradców, pragnął złożyć godność swoją i usunąć się od wszystkiego. Ale staremu konspiratorowi trudno było rozstać się z rzemiosłem.

Nie mniejsze niezadowolenie panowało i we Lwowie. Nawet Simon objawiał zniecierpliwienie. Postanowiono wreszcie wystosować do Sapiehy wezwanie, licznemi podpisami zaopatrzone z żądaniem, ażeby raczył zdać sprawę z dotychczasowej czynności.

D. 15. października Sapieha przybył do Lwowa i wyznaczył na 18-go sprawozdanie. Wezwał Gołuchowskiego telegraficznie, Jankę przywiózł osobiście Gebhard i w dniu oznaczonym odbyło s

zebranie w mieszkaniu Simona. Przybyli na nie: Dr. Noskiewicz, Henryk Janko, Jan Dobrzański, K. Groman, Julian Thielsz, ksiądz Jan Policki, hr. Artur Gołuchowski, Robert Thieme, Edm. Riedl, Józef Studzicki, Adam Kulwiec, Ksaw. Gebhard. Gdy już wszyscy byli zebrani, wszedł Sapieha z nieodstępnym Zajączkowskim, a zainterpelowany o działalność R. N., głównie zaś, dlaczego formacja legionu dotychczas w czyn nie zmieniona, odpowiedział bardzo ogólnikowo. »Mogę panów zapewnić — rzekł — że robimy wszystko, co w naszej mocy, że robimy dużo, a że nie czujecie naszej roboty, to dlatego jedynie, że w sprawach politycznych tajemnica jest konieczną. Co do formacji legionów, stoi na przeszkodzie brak funduszów, których Anglicy dotychczas nie dostarczyli. Johnston lata jak opętany po Europie, a on to właśnie ma funduszów dostarczyć. Wreszcie, zaufajcie mi panowie, że robi się co można, a jak się przekonacie, że nic nie robiłem, to mnie powiesicie«.

Takie było sprawozdanie Sapiehy według relacji uczestnika. Sprawozdanie to miało epizod humorystyczny. Gdy na zakończenie przemówienia Sapiehy, Gebhard odezwał się: »to już będzie zapóźno«, Sapieha rzekł: »pan Gebhard, widzę, ma ochotę zaraz mię powiesić« — na co Gebhard, człowiek spokojny, rozważny i przytomny zaprzeczył gorąco. »Nie jestem — powiada — ani Maratem, ani Dantonem, ażebym książętom życie odbierał, ale radbym wydobyć od księcia słuszną przyczynę, dlaczego dotąd nie uczyniono nic w kierunku for-

macji legionu, skoro to jest głównem i pierwszem zadaniem R. N., bo przecież o powstaniu, dopóki nie zaplączą się inne mocarstwa w wojnę, rząd nie myśli. 10 tysięcy karabinów jest w Stambule, a wiadomo mi, że Johnston złożył już na ręce księcia 100.000«. Sapieha przyznał, że złożył, ale na inne cele, »których nie wymienię« — dodał. Oświadczył również, że na legion Anglicy, oprócz broni, nic dać niechcą.

Krótko mówiąc, jak nie wiedziano nic przedtem, co robi R. N., tak i po sprawozdaniu dowiedziano się niewiele.

Przebywanie Sapiehy w Peszcie nie było bez racji: organizowano tam wyprawę t. z. szeklerską, o której krótko wspomnę, gdyż przekracza ona właściwie ramy zadań R. N., a łączy się jedynie bardzo luźnie nadzieją związania sprawy polskiej z marzeniami nielicznych węgierskich patrjotów i wywołania politycznych komplikacji. Szeklerzy potomkowie, jak utrzymują Węgrzy, Hunów, a jak nasz Jan Potocki twierdzi, Pieczyngów, zamieszkują trzy komitaty na Węgrzech: Hamaszek, Udwarhely i Csik i nie dochodzą ilości miljona. Ludność to butna, wojownicza, chętna zawsze do awantury żołnierskiej. Postanowiono wyzyskać usposobienie tej ludności, zorganizować ją, uzbroić i pchnąć do Rumunji, ażeby Rosję zastraszyć dywersją węgiersko polską. Dowodzić szeklerami miał jenerał Klapka stojąc na czele kilku tysięcy oczajduszów. Przyczepiła się do tego ruchu bajeczka, jakoby Sapiehę miano osadzić na tronie Rumuńskim — za zgod

Austrji. Były to czasy dziwne — najfantastyczniejszych planów i kombinacji. Kto podał ów plan zaszachowania potężnej armji rosyjskiej garstką ludzi? Na pewno nie wiadomo. Jedni przypisują go Midhatowi paszy, inni Karolowi Brzozowskiemu, inni jeszcze Zwierzchowskiemu.

Trudno się zorjentować w tym chaosie intryg, oszczerstw, plotek wzajemnie na siebie rzucanych, trudno doszukać się nici jasnego planu R. N. Zdaje się, że miano zamiar zastraszyć Rosję z dwóch stron: od granicy Rumuńskiej i od Szczakowej. Od południa demonstracją szekłerską, od północy groźbą wywołania powstania, chociaż na serjo nikt o nim nie myślał.

W tym celu w dwóch powyższych punktach miano zgromadzić broń i amunicję. Nie będę usiłował wyjaśniać wzajemnych inwektyw, miotanych na siebie, ani też poszukiwać »winnych«, gdyż najwinniejszą była tu lekkomyślność. Zresztą, zamało mamy materjału do wyjaśnienia całej sprawy, a najhojniejszy w rzucaniu podejrzeń na wszystkich — Koszczyc, najmniej zasługuje na wiarę. Według niego Sapieha był »zdrajcą«, Zwierzchowski — »chłopcem pasztetnikiem«, Jan Grzegorzewski — »niższym policjantem moskiewskim«, Bednarczyk — »niedołęgą«, Gołemberski — »donosicielem«, a większość K. N. P., z wyjątkiem oczywiście Koszczyca, który siebie nazywał »duszą« byli »figurantami«. Jako historyk przeto K. N. P. może być tylko bardzo ostrożnie użytkowany. Tak czy inaczej, dość że broń przeznaczona

dla szeklerów została skonfiskowaną, a ta którą dr. Szachowski i podpułkownik Pini transportowali, miała być wydaną policji.

Jedna część działalności R. N. została tedy unicestwiona. Pozostała jeszcze owa nieszczęsna sprawa legionu polskiego w Stambule. Organizacja tego legionu powierzoną była hr. Art. Gołuchowskiemu, który już w r. 1863 nie złożył egzaminu na dobrego organizatora, chociaż z powodu osobistych swoich przymiotów był wysoko ceniony. Po rozbiciu nadziei R. N., Gebhard 15. Grudnia 1877 otrzymuje telegram z Wiednia: »Bezzwłocznie proszę przybywać z Gołuchowskim, hotel arcyksięcia Karola — Adam«. Gebhard udał się natychmiast do Łosiacza i na drugi dzień już obaj stanęli we Lwowie. Wróciwszy, zastał bilet od Gillera, zapraszający głucho do Banku. Zastał tam, oprócz Gillera, Orzechowskiego, Piniego, Sadowskiego, Thielsza, Zielonkę, Deskura i Pilarskiego, siedzących przy stole. Zabrał głos Giller, który oświadczył, iż wezwał go, ażeby pewnych wskazówek udzielić. Chodziło mianowicie o Gołuchowskiego, ażeby w sprawie formacji legionu nie dopuścić hrabiego do poddawania się złym wpływom. Zebranie to, jakoteż sam fakt udzielania tego rodzaju wskazówek nasuwał myśl, że albo w łonie R. N. zaszły jakieś nieporozumienia, albo też po prostu dawny R. N. rozwiązał się, a skompletował się nowy. Tembardziej było to zagadkowem, że hr. Art. Gołuchowski sam do R. N. należał.

Gebhard, nic na te uwagi nie odpowiedziawszy, wrócił do hotelu, do hrabiego. W mieszkaniu jego zastał Simona, Dobrzańskiego, dra Noskiewicza, Semilskiego, Thiemego, uprzedzonego o przybyciu Gołuchowskiego, jakoteż Riedla. Wkrótce potem nadeszli Giller i Orzechowski — i wszyscy, jak mówi pamiętnikarz, »różne rady dawali«. Gołuchowski milczał. Po chwili odezwał się: »Wyprawiacie mię do Stambułu, udzielacie rad, za co jestem bardzo wdzięczny, ale gdzież są fundusze na formacją legionu? Polecacie mi oficerów do zabrania, ja zaś mam tylko tyle, że wystarczy mnie i Gebhardowi na podróż«. Wówczas Dobrzański przypomniał sobie, że w Gazecie Narod. i Dzien. pol. są pieniądze składane na rannych Turków, zdecydowano część tych pieniędzy użyć na podróż dla oficerów, przeznaczonych do owego turecko-polskiego legionu. Po przybyciu do Wiednia, w hotelu Arcyksięcia Karola zapytali o Sapiehę — wyjechał wczoraj. Nie było to zbyt grzecznie ze strony księcia, ale należało się z tem zgodzić. Od Gołemborskiego dowiedziano się, że Sapieha wyjechał do Wenecji. Zjawili się także Guttry i Ujejski. Na zapytanie Gołuchowskiego, czy mają pieniądze na formację legionu, Guttry odpowiedział, że odpowiedź na to da książę, który pojechał do Rzymu, gdzie się ma zetknąć z Johnstonem. W Rzymie nie zastano Sapiehy — mówiono, że wyjechał do Neapolu. Pędzą tedy obaj do Neapolu — ale już wyjechał do Medjolanu, gdzie podobno ma się zetknać z Johnstonem — wiecznym tułaczem z ramienia »przyjaciół

Polski«, a stamtąd uda się do Wenecji dla kuracji. Jakoż istotnie zastano księcia w Wenecji. Ale pieniędzy nie było. Sapieha radził jechać do Rzymu i tam czekać, gdyż Johnston, Dembig i Midhat-pasza naznaczyli tam zjazd na 20 grudnia. Smutne są losy ludzi i narodów zależnych od »przyjaciół«. Na pożegnanie Sapieha powiedział: »Nie jedź hrabia bez pieniędzy do Konstantynopola«. Śród wielu rad była to pono jedyna rozsądna, chociaż spóźniona. Czekano na Sapiehę w Rzymie. Tu od Emin-beja (Matuszewicza) sekretarza ambasady tureckiej, dowiedziano się o awanturze szeklerskiej, o tem, że Johnston dał na nią sto tysięcy guldenów, że jest niezadowolony z nieudania się. Nasuwała się uwaga, że teraz Sapieha zwróci większą uwagę na formujący się legion.

Nie można nie spostrzedz, że wszelkie te próby wywołania ruchu zbrojnego tu lub ówdzie, nie tylko opierały się na cudzych kombinacjach, lecz na cudzych, śmiesznie małych funduszach. Na te okruszyny zlatywali się awanturnicy z całej Polski!

»Dziwnie mądrzy głupcy są ci Anglicy — zauważył Gołuchowski — kiedy chcą za sto tysięcy dwa powstania robić! I nasza misja z pewnością zrobi fiasko«.

W czasie oczekiwania w Rzymie Gołuchowskiego na przyjazd Sapiehy, zjawili się nagle pp. Bednarczyk i Węglowski, którzy otrzymali byli pieniądze we Lwowie na przejazd do Stambułu. Usprawiedliwiali się tem, że mieli zlecenie do księcia do Wenecji. Bednarczyk wyjął przytem list za-

adresowany, lecz nie pieczętowany, do Gołuchowskiego i oświadczył, że ma polecenie od Sapiehy przeczytać go i spalić. Wyglądało to i tajemniczo i niepolitycznie. Gołuchowski kazał czytać. Książę pisał że »z tym zdenerwowanym Johnstonem zetknąć się nie może: lata jak warjat z jednego końca Europy na drugi.. Ja czekam na niego, hrabia czeka na mnie, a nie wiem, czy się go doczekamy«. Następnie, podnosząc poświęcenie się i patrjotyzm Gołuchowskiego, odradza mu stanowczo na pierwszy ogień jechać do Konstantynopola, gdyż byłoby niesumiennością wystawiać hrabiego na trudy w jego wieku i na walkę z intrygantami«. Było to wielką prawdą. Pisząc o tem, a niechcąc ażeby treść listu znaną była szerokiej publiczności i rozmaicie komentowaną, mógł prosić Gołuchowskiego, ażeby list zniszczył. Miał jednak polecenie takie dać Bednarczykowi. Po przeczytaniu listu chciał go Bednarczyk w ogień rzucić, nim jednak ruch stosowny zrobił, Gebhard wyrwał list z rąk jego, schował i pomimo nalegań, nawet hrabiego, nie zwrócił i nie zniszczył. Gdy się ta awantura uciszyła, spytali hrabiego o rozkazy. „Musicie przecie mieć od księcia« — odpowiedział. Pokazało się, że nie mieli żadnych innych nad te, które spełnili. Wrócili tedy do Wenecji i tam mieli oczekiwać przybycia księcia, który miał jakoby nominacje zatwierdzić.

Powoli poczęła się rozplątywać sieć plotek, oszczerstw i intryg, które, już początek tej całej roboty bruździły bez ustanku, a zawsze opierały się lub wychodziły ze Wschodu. Sapieha, przed przy-

byciem jeszcze Bednarczyka i Węglowskiego, odebrał bardzo niepokojące wiadomości, że Zwierzchowski nadużywać miał nominacji, opatrzonej podpisem księcia, że zrobił już 30 tys. zł. reń. długu i brnie jeszcze dalej. Książę, podpisując nominację na organizatora Bednarczykowi, a Węglowskiemu na zastępcę, polecił im nominację, daną Zwierzchowskiemu, odebrać lub spalić. Iskinder-bej oddać nie chciał, uważając, że to ubliżałoby jego »honorowi«; pokazał przeto tylko posłańcom i w ich obecności spalił. Ledwie z tą wiadomością przybyli Bednarczyk i Węglowski do Wenecji, przyszła inna — że spalony został falsyfikat identyczny, prawdziwa zaś nominacja jest nietknięta, a ponieważ ona upoważniała do akcji, z którą łączyły się pewne wydatki, a Zwierzchowski gotówki nie miał, zaciągnął więc na imię księcia 30.000 długu (wcale niewiele!), żądał przeto zapłacenia tego długu i osobistego odszkodowania prawie drugie tyle. Nieciekawa ta historja rozwiązała się wszakże później.

W czasie bytności hr. Gołuchowskiego w Rzymie przybyli tam Oksza-Orzechowski i Ujejski, a w obecności Kulczyckiego, Bednarczyka i Węglowskiego zastanawiali się nad tem: czy ma hrabia jechać do Konstantynopola lub nie. Głosy pro i contra były równe. Wyjazd zdecydował sam Gołuchowski i miał, zanim fundusze nadejdą, uspokoić swary i kłótnie emigracyjne powagą swoją. Działo się to w drugiej połowie Grudnia. Nadeszła nieoczekiwana wiadomość: Plewna została wzięta! Był to koniec marzeń... Droga do Stambułu stała woj-

skom rosyjskim otworem. Emin-bej słusznie przewidział dalszy bieg wypadków. Wzięcie Plewny było zakończeniem wojny. Do Stambułu Rosji nie puszczą ani Austro-Węgry ani Niemcy. Radził tedy stanowczo Gołuchowskiemu wrócić do kraju. Bednarczyk i Węglowski pojechali.

Gołuchowski otrzymał telegraficznie wezwanie ażeby przyjeżdżał do Bolonji. Wraz z Gebhardem przeto 26. Grudnia w Bolonji stanął. Byli tu już Guttry, Ujejski i Orzechowski — a więc cały prawie R. N. Książę przyjechał dopiero wieczorem chory. Czem się zakończyła konferencja — wiemy skądinąd. Dość że Gołuchowski, wróciwszy z niej, odezwał się do Gebharda: »no, finita la comedia! Rząd rozwiązany. Wojna skończona. Wracamy do domu«.

Długi czas nurtowała opozycja przeciwko wybranemu w Wiedniu R. N. Nie umiał on zdobyć się ani na energję czynu, ani politycznych zdolności nie okazał. Nie potrafił wywikłać się z sieci drobnych intryg, z wpływów małych ludzi. Nie zdołał zająć stanowiska tak poważnego, ażeby go słuchano i szanowano. Nie chcę rozstrząsać czy to było winą ludzi czy okoliczności, czyli też jakieś fatum obwiniać trzeba. Nurtująca długo opozycja, korzystając z chwili, gdy Rząd narodowy popełnił kilka błędów w stosunkach i w wyborze ludzi, zgromadziła się także w Bolonji i wydała deklarację, za którą całą odpowiedzialność przyjął na siebie Władysław Gołemberski. Obwiniał on R. N. o to, że nie tylko ani wewnątrz ani zewnątrz kraju sił narodo-

wych niezorganizował, lecz przeciwnie — przyczynił do sparaliżowania ich i rozbicia; że w próbach organizacji posługiwał się ludźmi, którzy bądź nieufali R. N., bądź budzili sami nieufność; że w projektach i przyrzeczeniach R. N. okazywał chwiejność, a często nieumiejętność i niechęć dotrzymania warunków; że skutkiem tego wszystkiego nastąpiło zupełne rozprężenie społeczne, zupełne rozbicie, zupełny chaos.

Deklaracja nosi datę 23. Grudnia 1877. Według niej sądząc, ambicje księcia Adama Sapiehy, jak i w r. 1863, przewyższały jego zdolności polityczne i organizatorskie. Nie ulega żadnej wątpliwości, że deklaracja powyższa była ową kroplą, która szalę goryczy przeważyła i popchnęła R. N. do rozwiązania. Pogrzeb odbył się bardziej skromnie niż narodziny. Bolesne requiem odśpiewano w malutkiej mieścinie włoskiej, gdy przy narodzinach R. N. odśpiewano w kościele św. Stefana uroczyste veni creator. We trzy dni po deklaracji mógł śmiało powiedzieć hr. Gołuchowski: finita la comedia.

Rozwiązanie R. N. nie było wcale zakończeniem rozpoczętej przez K. N. P. roboty, a tem mniej było zakończeniem porachunków osobistych. Zatarg ks. Sapiehy ze Zwierzchowskim wywołał sąd h o n o r o w y; zatarg między Johnstonem a Sapiehą przybrał także charakter bardzo gorszących wymówek wzajemnych, scen patetycznych, wyzwania na pojedynek, wreszcie przeprosin. Mimo wszystko po-

zostawały żale i zadraśnięcia osobiste, które przetrwały istnienie R. N., a nawet K. N. P. Wkrótce potem sformował się nowy R. N., reaktywowaną została działalność K. N. P., ale zapał i złudzenia już pierzchły, przyszła rozwaga, która musiała się liczyć z faktami dokonanymi i powoli ogień długo żarzących się nadziei przygasał.

Dnia 18. Marca 1909.

Łozina.

GIEŁDZIARZE

przez

UPTONA SINCLAIRA.



LWÓW.
NAKŁADEM „KURJERA LWOWSKIEGO".
Z „DRUKARNI POLSKIEJ".
1909.



ROZDZIAŁ I.

— Umieram z ciekawości ujrzenia Lucji Dupree — rzekł Reggie Mann

— Któż ci o niej naopowiadał? — zapytał Allan Montague.

— Ollie wszystkim naokoło mówi o niej — odpowiedział Reggie. — Nadzwyczajne rzeczy. Boję się jednak, że przesadza.

— Zdaje się, że ludzie wogóle przesadzają, gdy mówią o Lucji — zauważył Montague.

— Jestem zupełnie wyprowadzony z równowagi z jej powodu — zapewniał Reggie.

Allan Montague spojrzał na niego i uśmiechnął się. Reggie nie okazywał żadnego widocznego podniecenia. Przyszedł on, aby towarzyszyć Alicji, siostrze Allana, do kościoła, był więc wykwintnie ubrany i wyperfumowany, a w jego butonierce tkwił cudowny szkarłatny storczyk. Montague, siedząc wygodnie oparty w dużym, skórą obitym fotelu, i przypatrując się przyjacielowi, uśmiechał się na myśl, że Reggie uważa Lucję za nowy rodzaj kwiatu, z którym będzie mógł paradować po Avenue i zwracać na siebie uwagę.

*

— Jaka ona jest, wysoka czy niska? — zapytał Reggie.

— Mniej więcej twojego wzrostu — odrzekł Montague, co oznaczało wzrost bardzo mały naprawdę.

W tej chwili weszła Alicja w nowym kostjumie wiosennym. Reggie zerwał się z krzesła i przywitał ją ze zwykłem wylaniem.

Następnie zapytał:

— Czy i pani ją zna?

— Kogo, Lucję? — zapytała Alicja. — Chodziłam z nią razem do szkoły.

— Plantacja sędziego Dupree sąsiadowała z naszą — rzekł Montague. — Wszyscyśmy razem wzrastali.

— Nie wiem, czy upłynął dzień, w którymbym jej nie widziała, aż do czasu jej zamążpójścia — mówiła Alicja. — Wyszła za mąż mając lat siedmnaście, wie pan — za człowieka o wiele starszego od siebie.

— Od tego czasu nie widzieliśmy jej więcej — dodał Allan. — Mieszkała w Nowym Orleanie.

— A teraz ma dopiero dwadzieścia dwa lat! — zawołał Reggie. — Cała wiedza wdowy i cały wdzięk młodości! — I wzniósł w górę ręce ruchem pełnym zdziwienia.

— Czy ma pieniądze? — zapytał.

— Miała ich dosyć jak na Nowy Orlean — brzmiała odpowiedź. — Co do Nowego Yorku — nie wiem.

— Ach, cóż to znaczy — rzekł w zamyśleniu Reggie. — Pełno pieniędzy leży naokoło.

Zabrał Alicję na nabożeństwo, i zostawił Montague'a na pastwę wspomnień, rozbudzonych wzmianką o Lucji Dupree.

Allan Montague kochał się w Lucji Dupree ze sześć razy w życiu; zaczęło się to, gdy była ona małem dzieckiem w powijakach i trwało z przerwami aż do jej małżeństwa. Lucja była pięknością typu kreolki, o kruczych włosach i bajecznym kolorycie twarzy. W pamięć Allana wryła się głęboko twarz jej wesoła, o rysach żywych, ruchliwych, w których łzy i uśmiech goniły się, jak deszcz kwietniowy ze słońcem.

Jak to już powiedział, Lucja była drobniutkiem stworzeniem, z którego tryskał nadmiar energji. Od chwili urodzenia się stanowiła źródło wesela samotnego domu i wszyscy, którzy się do niej zbliżyli, ulegali jej czarowi. Allan pamiętał, że raz, gdy wszedł do domu jej rodziców, ujrzał poważnego i szanownego naczelnika sądu Stanu, chodzącego po pokoju na czworakach z Lucją jako jeźdźcem na grzbiecie.

Zdaniem wszystkich była ona urodzoną aktorką. Mając nie więcej jak 4 lata, leżała w łóżku wieczorami, gdy powinna już była dawno spać, i opowiadała sobie tragiczne historje, które doprowadzały ją do płaczu. W krótkim bardzo czasie odkryła kilka szaf, pełnych sukien, które matka jej nosiła, gdy była jeszcze pierwszą pięknością towarzystwa w południowych plantacjach, wymyślała sobie żywe obra-

zy i sceniczne przedstawienia, podczas których zadziwiała wszystkich widzów w roli księżniczki orjentalnej albo królowej nocy.

Matka odumarła ją bardzo wcześnie, a dziewczynka wzrosła, mając ojca za jedynego towarzysza. Sędzia Dupree był jednym z najbogatszych ludzi okolicy i nie szczędził niczego dla swej córki; ludzie jednak mówili sobie, że Lucja ucierpi wskutek braku kobiecej opieki, a proroctwo to spełniło się w sposób tragiczny. Przyszedł człowiek o wiele starszy od niej, z aureolą romantyczności, otaczającą jego postać i nagle cudowna kraina miłości objawiła się Lucji i zwabiła ją ku sobie.

Pewnego dnia dziewczyna znikła, i Montague nie widział jej więcej. Wiedział, że przeniosła się na stały pobyt do Nowego Orleanu, skąd dochodziły go wieści, że była bardzo nieszczęśliwą, że mąż jej jest utracjuszem i gburem. W niespełna rok po jej ślubie Montague usłyszał historję o śmierci tego człowieka, który zginął nagle jako ofiara jakiegoś wypadku z końmi.

Od tego czasu Allan nie słyszał już nic więcej o Lucji, aż dopiero w jakiś czas po swem przybyciu do Nowego Yorku, gdy miejscowe gazety doniosły o śmierci sędziego Dupree. A teraz, przed tygodniem mniej więcej, przyszedł list od niej do jego brata, Olivera Montague, w którym zapowiadała przybycie swe do Nowego Yorku, może na stałe, i prosiła Olivera, by spotkał ją na dworcu i zamówił dla niej apartament w hotelu.

Montague ciekaw był, czy zmieniła się od czasu, gdy widział ją po raz ostatni. Chciał przekonać się, co uczyniły z niej lata cierpień i doświadczenia; czy osłabiły jej entuzjazm i wysuszyły źródła jej radości. Lucja jako osoba poważna, była czemś, czego nie mógł sobie nawet wyobrazić.

A potem znowu przychodziło nań zwątpienie i chwile niedowierzania wzruszeniu, które mu przyniosła pamięć o niej. Czy będzie ona mogła roztaczać swój czar nad nim mimo wszystko, co odtąd przyniosło mu życie?

*

Z zamyślenia wyrwał go Oliver, który przyszedł zapytać, czy życzy sobie wyjść na jej spotkanie.

— Te południowe pociągi zawsze spaźniają się o kilka godzin — rzekł. — Posłałem służącego na dworzec i kazałem mu zatelefonować.

— Ty masz się nią opiekować — odparł Montague — lepiej więc będzie, jeżeli ją najpierw sam zobaczysz. Powiedz jej, że przyjdę ją odwiedzić wieczorem.

Tak więc poszedł do wspaniałego hotelu, tego samego, do którego wprowadził go w swym czasie Oliver, za jego przybyciem do stolicy. I tu ujrzał Lucję.

Była tąsamą co dawniej. Spostrzegł to w jednej chwili; była w niej ta sama radość życia, ta sama skwapliwość. I ta sama piękność, która sprawiała, że serca mężczyzn zaczynały tłuc się w piersiach na jej widok. Nie było w jej twarzy ani je-

dnego rysu troski — zdawała się doskonałym kwiatem, w pełni rozkwitu.

Wyszła na jego spotkanie, wyciągając do niego obie dłonie.

— Allanie — zawołała — Allanie, tak się cieszę, że przyszedłeś! — i pochwyciwszy dłoń jego w obie swe ręce, stała nieruchoma, z oczyma utkwionemi w jego źrenicach.

— Patrzcie, jaki wielki wyrósł — i jaki poważny! Czyż nie jest on wspaniały, Ollie?

Oliver stał na uboczu, obserwując. Uśmiechnął się sucho. — Jest zbyt epicznym dla mnie — rzekł.

— Jakże dziwnem mi się wydaje, widzieć cię! — zawołała. — Gdy patrzę na ciebie, muszę myśleć o stu rzeczach odrazu. Przez całą noc nie zdążę cię wypytać o te wszystkie rzeczy, których jestem ciekawa.

Lucja była w żałobie po ojcu, starała się jednak z ubrania swego uczynić tło dla swojej piękności. Robiła wrażenie palącego rubina na tle czarnego aksamitu.

— Powiedz mi, jak ci się powodziło — pytała z pospiechem — i jakie przechodziłeś koleje tu na północy. Jak się ma twoja matka?

— Jak zwykle — rzekł Montague. — Prosi cię, żebyś przyszła do niej jutro rano.

— Dobrze — rzekła Lucja. — Będzie to moje pierwsze wyjście, zanim pójdę gdziekolwiek indziej. A mateczka Lucja, jak się ma mateczka Lucja?

— Dobrze — odpowiedział. — Strasznie jest ciekawa ujrzeć cię.

— Powiedz jej, że przyjdę — rzekła — Wolałabym ujrzeć mateczkę Lucję niż most w Brooklynie.

Zaprowadziła go do krzesła i usiadła sama naprzeciw niego, pożerając go oczyma. — Gdy cię widzę, zdaje mi się, że jestem jeszcze panną — zauważyła.

— Czy zresztą zaliczasz się do starych? — zapytał śmiejąc się Montague.

— O, czuję się strasznie starą — rzekła Lucja z nagłem spojrzeniem trwogi — nie masz pojęcia, jak starą, Allanie. Nie chcę jednak, by każdy wiedział o tem. — A potem dodała skwapliwie:

— Czy pamiętasz huśtawkę w sadzie? a pamiętasz sadzawkę, w której żył ogromny aligator? i pierwiosnki, i starego Joe'a?

Allan Montague pamiętał to wszystko; w przeciągu następnej pół godziny przypomniał sobie prawie wszystkie straszne przygody, które przeżywali razem on, Oliver i Lucja, od dnia, w którym dziewczynka nauczyła się używać swych maleńkich nóżek. I opowiadał jej najświeższe nowiny o wszystkich sąsiadach, i o wszystkich służących, których pamiętała. Opowiedział jej też o śmierci swego ojca, i jak dom ich się spalił i jak wysprzedali plantację i przenieśli się na północ

— I jakże sobie radzisz, Allanie? — zapytała.

— Jestem adwokatem — objaśniał. — Nie zbieram wprawdzie majątku, ale zarabiam tyle, że mogę płacić swoje rachunki. To jest o wiele więcej,

aniżeli mogą uczynić niektórzy inni ludzie w Nowym Yorku.

— Wyobrażam sobie — rzekła Lucja. — Widziałam całe te szeregi sklepów na Fifth Avenue! O, ja wiem, że wydam cały swój majątek zaraz w pierwszym tygodniu. Albo ten hotel — ależ to poprostu zatrważające!

— Oliver zaznajomił cię z cenami, prawda? — zaśmiał się Montague.

— Tak, i oniemiałam ze zdziwienia — rzekła Lucja. — Jakże będę mogła dać sobie radę z tem wszystkiem?

— Co do tego, będziesz musiała porozumieć się z nim — rzekł Montague. — On uważa się za twego opiekuna, i nie chce, abym się w to mieszał.

— Ale ja chcę twojej rady — rzekła Lucja. — Ty jesteś człowiekiem do interesów, a Ollie zawsze był tylko chłopcem.

— Ollie nauczył się sporo rzeczy, odkąd jest w Nowym Yorku — odparł Allan, a po chwili namysłu dodał:

— Mogę ci powiedzieć w kilku słowach, jak się przedstawia sprawa mojego życia. Ollie sprowadził mnie tu i wmówił we mnie, że to właśnie jest tryb życia stosowny dla mnie, jeżeli chcę się dostać do »towarzystwa«. Próbowałem jakiś czas, przekonałem się jednak, że nie mogę znieść tych wszystkich rzeczy, które musiałem robić, i wycofałem się. Teraz zajmujemy mieszkanie, odległe o kilka ulic od Fifth Avenue, za które płacimy dziesiątą część tego, cobyśmy zapłacili, gdyby się znajdowało na tej ulicy.

A teraz, stosownie do tego, czy chcesz się dostać w szeregi górnych dziesięciu tysięcy, czy nie, pójdziesz za radą Olivera, albo za moją.

Lucja ściągnęła brwi w zamyśleniu.

— Nie po to przyjechałam do Nowego Yorku, by zakopać się w jakiemś taniem, odnajętem mieszkaniu - rzekła. — Naturalnie, że chcę bywać w towarzystwie.

— Dobrze więc — rzekł Montague. — Oliver zna cały szereg salonów, i on cię wprowadzi. Może upodobasz sobie tych ludzi — nie wiem. Jestem pewny, że co do ciebie, nie sprawi ci trudności podobanie się im.

— Dziękuję ci, panie — żartowała Lucja. — Jesteś tak uprzejmym jak dawniej!

— Nie, nie chcę tylko powiedzieć czegokolwiek, coby ci popsuło przyjemność — bronił się Montague. — Sama zorjentujesz się w sytuacji. Muszę jednak powiedzieć ci jedną rzecz: nie bądź zbyt uprzejmą. Nie możesz tu wierzyć ludziom tak samo, jak w domu

— Dziękuję ci — rzekła Lucja. — Ollie już dawał mi rozmaite nauki. Nie wyobrażałam sobie, że przyjechać do Nowego Yorku, to taka poważna sprawa. Powiedziałam mu, że zazwyczaj ludzie sądzą, iż wdowy wiedzą dobrze, jak mają uważać na siebie.

— Ja sam miałem wiele przykrych chwil, zanim przyzwyczaiłem się do wielu rzeczy — rzekł Montague z uśmiechem. — Dlatego musisz mi wybaczyć moje pesymistyczne uwagi.

— Opowiedziałem Lucji cośkolwiek o tem — wtrącił Oliver sucho.

— Tak, opowiedział mi zadziwiającą historję miłosną! — rzekła Lucja, patrząc na Allana z pod przymrużonych filuternie powiek. — Możesz być pewny, że będę szukała wszędzie czarującej pani Winnie.

— Spotkasz ją prawdopodobnie jutro wieczorem — zauważył Oliver. — Jesteś zaproszona na obiad do pani Billy Alden.

— Czytałam o pani Billy Alden w gazetach — rzekła Lucja — Nie spodziewałam się jednak nigdy, że ją ujrzę. Jakże na Boga, Oliverze, potrafiłeś wkręcić się tak w sam środek wielkiego świata?

Oliver zaczął objaśniać, a Montague uśmiechał się, słysząc starannie »oczyszczone« opowiadanie swego brata o jego towarzyskiej karjerze. Oliver najwidoczniej postanowił opiekować się Lucją i umieścić ją wysoko w szeregach »towarzystwa«.

— Powiedz jednak, wszystko to będzie kosztowało moc pieniędzy — protestowała Lucja. — A ja wcale nie mam ochoty wyjść za mąż za jednego z tych okropnych miljonerów.

Zwróciła się nagle do Montague'a. — Czy masz gdzie biuro w mieście? — zapytała. — I czy mogę przyjść jutro odwiedzić cię i poprosić, byś był mym doradcą w interesach? Wiesz, że stary Holmes umarł. Był on adwokatem ojca i znał stan mego majątku. Nigdy jednak nie uważał za stosowne wtajemniczać mnie w te sprawy, tak, że teraz nie wiem, co posiadam i ile mogę wydawać.

— Uczynię wszystko, co będę mógł, aby ci pomódz — odpowiedział Montague.

— I musisz być bardzo surowym dla mnie — mówiła dalej Lucja — i nie pozwalać mi na wyrzucanie pieniędzy lub na robienie głupstw. Tak właśnie postępował pan Holmes, a odkąd on nie żyje, poprostu boję się zaufać sama sobie.

— Jeżeli taką rolę mam odgrywać wobec ciebie — zauważył śmiejąc się Montague — boję się, że w krótkim czasie poróżnimy się z bratem.

Montague nie wierzył, że potrafi wypełnić nałożony na siebie obowiązek. Patrząc na Lucję, miał jakby przeczucie jakiejś tragedji. Wiedział dosyć, aby być pewnym, że Lucja nie była bogatą, jeżeli chodziło o nowojorską stopę życia, a czuł, że znajdowała się ona już pod wpływem czaru miasta. Była oszołomiona widokiem automobilów i sklepów i hotelów i teatrów, i wszystkich cudów, które się wewnątrz nich mieściły. Przybyła tu z całym olbrzymim zasobem zapału i odczuwała straszliwy głód życia.

Montague przeszedł już przez ten młyn i widział przyszłość tak jasno, że nie mógł nie próbować poprowadzić ją i ochronić przed najgorszymi przynajmniej błędami. Stąd powstał dziwny stosunek między nimi; od początku Lucja uczyniła go swym powiernikiem i mówiła mu o wszystkich swoich sprawach. Co prawda, nigdy nie słuchała rad jego, twierdziła bowiem, z miłym swym uśmiechem, że nie pragnie aby ją przed kłopotami chronił, lecz by potem z nią współczuł. A Montague słuchał jej. Ciągle sobie

powtarzał, że dla postępowania Lucji nie można znaleźć wytłómaczenia, zawsze jednak je tłómaczył.

*

Nazajutrz rano Lucja odwiedziła matkę Olivera i »Mamy Lucy«, nazwaną tak podług swej babki. Popołudniu zaś chodziła po sklepach z Alicją — mówiąc, że nie może się nigdzie w Nowym Yorku pokazać zanim nie ubierze się »porządnie«. Wieczorem przyszedł po nią Montague i zabrał ją na wieczór do pałacu pani Billy Alden, leżącego na Fifth Avenue.

W drodze Allan skracał jej czas rozmową i opowiadał o »strasznej« pani Billy, o jeszcze straszniejszym jej języku i o wojnie, jaka wrzała pomiędzy tą wytworną damą, a jej krewnymi, Wallingami.

— Nie dziw się — mówił — jeżeli zaszyje się z tobą w kącik i będzie cię wypytywała o wszystko. Pani Billy ma swoje przywileje, a wszystkie konwencjonalne prawidła nie do niej się odnoszą.

Montague w tym czasie doszedł już był do tego, że wszystkie wspaniałości rezydencji Aldenów uważał za rzeczy zupełnie zwyczajne. Uczuł jednak, jak Lucja zadrżała ze wzruszenia, ujrzawszy przed sobą prawdziwy pałac dożów, z rzeźbami marmurowemi, rojący się od służby w szkarłatnych, złotem szamerowanych liberjach. Wkrótce nadeszła pani Billy sama w wspaniałej sukni z ciemno-purpurowego, ciężkiego jedwabiu z kilkoma sznurami pereł naokoło szyi. Była dosyć wysoka, by patrzeć z gó-

ry na Lucję, i stanęła w odległości kilku kroków, by móc się jej wygodnie przyjrzeć.

— Starałam się zaprosić dla pana panią Winny — rzekła do Montague'a, wskazując mu miejsce po swej prawej ręce. — Nie mogła jednak przyjść, musi pan więc zadowolić się mną tylko.

— Czy więcej macie tam takich piękności w Mississippi? — zapytała, gdy już zajęli miejsca. Jeżeli tak jest, to nie wiem poco pan tu przyjeżdżał.

— Podoba się pani Lucja? — dowiadywał się.

— Podoba mi się jej powierzchowność — rzekła pani Billy. — Czy to kobieta do rzeczy? Wprost nie mogę uwierzyć, że to wdowa. Przecież ona na pewne mimo swego wdowieństwa potrzebuje kogoś, ktoby na nią uważał.

— Polecam ją łasce pani — rzekł Montague. — Opowiadałem jej już o pani.

— Co jej pan opowiadał? — zapytała pani Billy wesoło. — Czy to, że zbyt wiele pieniędzy wygrywam w karty, czy też, że piję wódkę przy objedzie? — Potem, widząc, że Montague strasznie się zaczerwienił, zaśmiała się. — Wiem, że to prawda. Może sześć razy już przychwyciłam pana na tej myśli.

Wyciągnęła rękę po karafkę, którą służący właśnie postawił był przed nią i nalała sobie pierwszą szklankę.

Montague opowiedział jej wszystko o Lucji, którą tymczasem obserwował bacznie. Siedziała bliżej środka stołu i rozmawiała z Stanleyem Ryderem. Montague raz albo dwa razy grał w karty z tym

człowiekiem u pani Winnie i pomyślał sobie, że Lucja nie mogła znaleźć człowieka, któryby był doskonalszem wcieleniem wszystkich czarów stolicy. Ryder był prezydentem Gotham Trust Company, instytucji, mającej u gmachu swego fronton marmurowy, który był jedną z osobliwości Fifth Avenue. Był to człowiek poniżej pięćdziesiątki, wysoki i dystyngowany, ze stalowego koloru wąsem i o manierach dyplomaty. Poznać było po nim nie tylko bankiera, ale zarazem człowieka kultury. Dzieckiem będąc uciekł z domu na okręt i jako chłopiec okrętowy zwiedził wszystkie kraje świata. Posiadał także żyłkę autorską, oczywiście tylko jako dyletant i jeżeli istniała książka do którejby przynajmniej nie zajrzał, nie należała ona z pewnością do tych, które stanowić mogą treść rozmów towarzyskich w salonie. Potrafił rozprawiać o każdym przedmiocie, a gospodyni domu, która mogła poszczycić się obecnością jego na proszonym obiedzie, była pewną powodzenia.

— Bywa on bardzo mało w ostatnich czasach — rzekła pani Billy — opowiedziałam mu jednak o znajomej pańskiej...

Chwilami rozmowa przy stole stawała się ogólną, a Montague zauważył, że zawsze Ryder nadawał jej ton. Pociski jego dowcipów krzyżowały się ponad stołem, a ci, którzy zapragnęli z nim się zmierzyć, zwykle źle wychodzili na tem. Był to niewybredny rodzaj dowcipu, olśniewający i niebezpieczny. Ryder był jednym z tych ludzi, których się tu i ówdzie w towarzystwie spotyka, a którzy

wyznają głośno zasady radykalne, dla wyróżnienia się od innych. Dla człowieka, który w pewnych kołach społecznych miał olbrzymie powodzenie, było rzeczą pożyteczną w rozmowach swych lekceważyć wszystkie ideały i zwyczaje swej sfery, aby w ten sposób wykazać, jak mało rzeczywiście dba o nimb, który otacza jego osobę.

Towarzystwo było bardzo zajmujące; Montague jednak konstatował z uśmiechem, że Stanley Ryder bardzo dalekim jest od idealnego typu człowieka, zajmującego miejsce dyrektora olbrzymiego i dobrze się rozwijającego banku. Gdy wszyscy przeszli do salonu, Ryder doszedł do szczytu ekscentryczności zagraniem na fortepianie kilku taktów jakiejś strasznie rewolucyjnej rosyjskiej pieśni.

Potem Montague widział, jak skierował on niedbale swe kroki ku ogrodowi zimowemu w towarzystwie Lucji Dupree. Było o dwóch partnerów za wiele do whista, co stanowiło dla nich dobrą wymówkę; mimo to jednak Montague był niespokojny przez cały czas, w którym siedział przy zielonym stoliku i pozwalał się pani Billy ogrywać w karty.

Po skończeniu ceremonialnego przyjęcia, gdy już całe towarzystwo zabierało się do wyjścia, Allan zastał Lucję Dupree, siedzącą w ogrodzie zimowym obok fontanny, z oczyma utkwionemi nieruchomo przed siebie, podczas gdy Ryder u jej boku perorował.

— Poznałaś bardzo zajmującego człowieka — rzekł do Lucji, gdy już siedzieli w powozie.

— Jednego z najbardziej niezwykłych ludzi, których kiedykolwiek widziałam — rzuciła Lucja prędko. — Chciałabym, abyś mi o nim opowiedział. Czy znasz go dobrze?

— Słyszałem go rozmawiającego, a znam go tylko z giełdy.

— Czy jest on bardzo bogatym? — zapytała.

— Ma kilka miljonów majątku — odrzekł. — I sądzę, że obraca nimi bardzo szybko. Mówią o nim, że jest śmiałym spekulantem.

— Spekulantem! — zawołała Lucja. — Ależ przecie myślałam, że jest dyrektorem banku!

— Gdy pobędziesz jakiś czas w Nowym Yorku, przekonasz się, że niema w tem żadnej sprzeczności — zauważył Montague z uśmiechem.

Lucja zamilkła, trochę zaskoczona tą odpowiedzią.

— Powiedziano mi — dodał z tymsamym uśmiechem Montague — że nawet żona jego nie chce lokować swych kapitałów w »Gotham truście«.

Montague nie spodziewał się, żeby ta jego uwaga wywołała tak silne wrażenie. Lucja uczyniła nagły ruch:

— Jego żona! — zawołała.

— No tak — potwierdził Montague. — Czy nie wiedziałaś, że jest on żonatym?

— Nie — odpowiedziała Lucja półgłosem. — Nie wiedziałam.

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie zapytała:

— A dlaczego żona jego nie była zaproszoną dziś wieczór?

— Oni rzadko razem bywają.

— Czy żyją w separacji?

— Istnieje nowy, modny sposób separacji — brzmiała odpowiedź. — Mieszkają po dwóch przeciwnych stronach olbrzymiego pałacu i spotykają się podczas uroczystych, formalnych przyjęć.

— Co to za kobieta? — pytała dalej Lucja.

— Nie wiem o niej niczego.

Znowu milczenie. Wkońcu Montague odezwał się:

— Nie masz powodu żałować go, czy rozumiesz?

A Lucja lekko dotknęła dłonią jego ręki.

— Już dosyć, Allanie — rzekła. — Nie troszcz się. Nie ma obawy, bym dwa razy popełniła ten sam błąd.

I Montague'owi zdawało się, że po tem jej odezwaniu się, już niczego więcej dorzucić nie można.



ROZDZIAŁ II

Lucja miała zamiar przyjść do Montague'a do biura, by pomówić z nim o interesach; on jednak nie chcąc, by się trudziła, zjawił się sam następnego dnia rano w jej apartamencie w hotelu, jeszcze przed udaniem się do miasta. Pokazała mu wszystkie swe papiery; testament ojca z wykazem jego majątków, a także rachunki pana Holmesa i wykaz renty jej własności w Nowym Orleanie. Jak Montague przypuszczał, interesy Lucji nie były dobrze prowadzone, musiał więc wglądnąć w wiele spraw i zadać wiele pytań. Były tam pożyczki dane na hipotekę własności ziemskiej i budynków, a z drugiej strony ciążyły hipoteki na niektórych własnościach Lucji, czego ona w żaden sposób nie umiała wytłumaczyć. Były tam udziały rozmaitych przedsiębiorstw przemysłowych, o których Montague słyszał zaledwie A wreszcie, rzecz najważniejsza, było pięć tysięcy akcji Północnej kolei stanu Mississippi.

— W każdym razie jesteś poinformowany przynajmniej co do tej ostatniej instytucji? — rzekła Lucja. — Czy sprzedałeś już swoje udziały?

— Nie — rzekł Montague. — Ojciec życzył sobie, abym dochował zobowiązań moich tak długo, jak długo uczynią to inni.

— Ale ja mogę sprzedać swoje, prawda? — zapytała Lucja.

— Radziłbym ci to na wszelki wypadek, rzekł Montague — boję się jednak, że nie będzie tak łatwą rzeczą znaleźć nabywców.

Północna kolej Mississippi była przedsiębiorstwem, które poniekąd wzrastało wraz z Allanem. Jak daleko sięgał pamięcią, zawsze przypominał sobie rozmowy, prowadzone na jej temat przez obie rodziny. Kolej ta prowadziła od Atkin do Opala, na przestrzeni mniej więcej pięćdziesięciu mil i na ostatniej stacji tworzyła połączenie z jedną z głównych linji stanu Mississippi. Przedsiębiorstwo to było założone przez sędziego Dupreego, który chciał tym sposobem otworzyć i uprzystępnić tę część kraju, w której przyszłość wierzył.

Rozpoczęto ją w czasie, gdy nieufność ku Wall Street była bardzo głęboko zakorzeniona w tej okolicy; to też sędzia Dupree zebrał między własnymi znajomymi i sąsiadami około dwóch miljonów dolarów gotówki i dodał z własnych swych zasobów pół miljona, z tem wzajemnem zastrzeżeniem wszystkich udziałowców, że kolej nie przyjmie subwencji od północnych kapitalistów i że akcje towarzystwa nie będą nigdy notowane na giełdzie. Pierwszym prezydentem został jeden z wujów Lucji, a obecnym dyrektorem był stary przyjaciel rodziny.

Duma jednak południowców, która potrafiła zebrać pieniądze na kolej, nie wystarczała, aby ją utrzymać w ruchu. Miasta nowe, których spodziewał się sędzia Dupree nie powstawały, a mała kolej nie mogła dotrzymać kroku postępowi czasu. W ostatniem dziesięcioleciu wartość jej zmniejszała się stopniowo, zyski malały, a Montague już od lat kilku nie pobierał ani centa dywidendy od pięćdziesięciu tysięcy dolarów, które ojciec jego gotówką zapłacił za akcje.

Mówiąc o tem wszystkiem z Lucją, przypomniał sobie projekt, który powstał przed dziesięciu lub dwunastu laty, a polegał na rozszerzeniu linji poza Atkin aż do obszarów towarzystwa »Stal« w Mississippi, tworząc w ten sposób bezpośrednią komunikację między temi olbrzymiemi stalowniami a zachodem. Towarzystwo »Stal« posiadało około pół tuzina największych w kraju fabryk blachy i szyn, a myśl przewożenia chociażby części jej olbrzymich transportów, zawsze nęciła dyrektorów Północnej kolei w Mississippi.

Posunęli się tak daleko, że wysłali komisję dla zbadania okolicy i obliczyli dokładnie koszta planowanego rozszerzenia linji. Montague wiedział o tem, bo zdarzyło się przypadkiem, że wraz z bratem Lucji, bawiącym obecnie w Kalifornji, spędzał część swych wakacji na wycieczce myśliwskiej, podczas której obaj obozowali w bliskości terenu badań komisji. Kolej miała przechodzić przez błota talulskie, co właśnie stanowiło ryzykowną stronę projektu. Proponowano kilkanaście rozmaitych dróg

i Montague pamiętał, że raz siedząc wieczorem przy ognisku obozowem, wdał się w rozmowę z jednym z młodszych uczestników ekspedycji, który narzekał na błędy popełniane przez komisję. Zdaniem tego członka, naczelnik komisji był zupełnie niekompetentnym człowiekiem, odrzucał bowiem uparcie najlepsze drogi na rzecz innych, prawie niemożliwych do strasowania.

Montague wszystko to powtórzył ojcu jako plotkę, nie wiedział jednak, czy ojciec wglądnął w tę sprawę. Faktem było tylko, że gdy projekt rozszerzenia linji wniesiono przed zgromadzenie akcjonarjuszy, koszta robót okazały się tak dużymi, że nie można było zebrać tyle pieniędzy. Wniosek, by udać się do zarządu towarzystwa »Stal« z propozycją przystąpienia do spółki budowy kolei odrzucono, bo »Stal« była w ręku giełdziarzy nowojorskich z Wall Street; a ani sędzia Dupree, ani też generał Montague, ojciec Allana, nie zdawali sobie sprawy w tym czasie z tego, że mała kolejka nie poparta wielkim kapitałem z zewnątrz, nie ma żadnych szans powodzenia.

Wszystkie te sprawy roztrząsano w rozmowie między Lucją a Montague'm. Nie było najmniejszej racji, zapewniał ją, zatrzymywać udziałów; jeżeli na skutek planowanego rozszerzenia linji, albo jakiegoś innego projektu, nowi kapitaliści postawiliby na nogi przedsiębiorstwo, pożądanem będzie wejście z nimi w układy, albo, lepiej jeszcze, wysprzedanie wszystkich akcji. Montague obiecał, że zajmie się tą kwestją, aby się przekonać, co można uczynić.

*

Pierwszą jego myślą, gdy schodził ku miastu, była myśl o Jimie Heganie.

»Przychodź czasami do mnie« rzekł był Hegan do Montague'a który nigdy jeszcze nie korzystał był z tego zaproszenia. Północna kolej stanu Mississippi będzie oczywiście tylko zabawką dla krezusa, jakim był Hegan. Chodziło tylko o to, żeby wcielił on tę sprawę w jakieś nowe, swoje własne plany. Montague wiedział z opowiadań, kursujących na giełdzie, że wielki ten finansista wysprzedał wszystkie swe udziały w dwóch lub trzech ważnych przedsiębiorstwach.

Poszedł natychmiast do biura Hegana, znajdującego się w gmachu jednego z największych towarzystw asekuracyjnych w centrum miasta. Przeszedł liczne kurytarze marmurowe i znalazł się przed masywną kratą z cyzelowanego bronzu, za którą stał olbrzymi, umundurowany szwajcar, równie »masywnie« dekorowany jak krata. Montague uchodził ogólnie za wysokiego mężczyznę, wobec tego jednak Goliata, czuł się tak nikłym, jak chłopiec do posyłek.

— Czy pan Hegan jest w biurze? — zapytał.

— Czy pan przychodzi po uwiadomieniu go? — brzmiała odpowiedź.

— Nie — odrzekł Montague, wyjmując bilet. — Proszę uprzejmie posłać to panu Heganowi!

— Czy pan zna pana Hegana osobiście? — indagował dalej szwajcar.

— Tak — odpowiedział Montague.

Nie zauważył, żeby olbrzym uczynił jaki znak, w tej samej chwili jednak zjawił się z poza drzwi

znajdujących się po drugiej stronie kraty, młody sekretarz.

— Proszę pana łaskawie wyjaśnić, w jakiej sprawie pan pragnie się widzieć z panem Heganem — rzekł.

— Chcę rozmawiać z samym panem Heganem — żachnął się Montague, trochę zniecierpliwiony. — Proszę zanieść mu bilet, to wystarczy.

Z największym na jaki go stać było stoicyzmem, poddał się podejrzliwym oględzinom sekretarza, zastanawiając się tymczasem nad tem, czy jego nowa zarzutka wiosenna jest dosyć modną, by upoważnić go, w oczach sekretarza, do znajomości z wielkim człowiekiem, znajdującym się poza tajemniczemi drzwiami. Wreszcie sekretarz znikł z biletem, a po upływie pół minuty zjawił się znowu, uśmiechnięty uniżenie. Wprowadził Montague'a do obszernego biura, zastawionego obitymi skórą fotelami, z których każdy był tak duży, że mógł wygodnie pomieścić kilka osób, a zbyt duży, by jeden człowiek mógł się w nim czuć bezpiecznym. Na ścianie wisiała mapa Ameryki, na której koleje żelazne Jima Hegana znaczyły się purpurowymi szlakami. Były tam także głowy bawołów i renów, zastrzelonych przez samego Hegana.

Montague czekał tylko minutę lub dwie, poczem przeprowadzono go przez cały szereg pokoi, aż do samego sanktuarjum magnata. Odznaczało się ono jakąś wyrafinowaną i sztuczną prostotą, a Jim Hegan siedział przed płaskim pulpitem mahoniowym, na którym nie było nigdzie ani skrawka papieru.

Wstał on na powitanie przybysza, wyprostowując swą olbrzymią postać.

— Jak się pan ma, panie Montague — rzekł, podając mu rękę. Potem usiadł wygodnie i oparł się tak, że głowa jego leżała na poręczy krzesła, nastroszył swe duże, krzaczaste brwi i wlepił wzrok w swego gościa.

Gdy Montague ostatni raz widział Hegana, rozmawiali o koniach i o dobrych dawnych czasach w Texasie; Montague jednak był zbyt rozumnym, żeby nie przypomnieć sobie, iż było to wieczorem, po godzinach biurowych.

— Przyszedłem do pana w interesie, panie Hegan — rzekł. – Będę więc starał się skrócić naszą rozmowę o ile możności.

— Nie wiem, czy będę mógł wybaczyć to panu — odpowiedział Hegan z ujmującym uśmiechem.

— Chcę panu zaproponować, żeby się pan zajął Północną koleją w Mississippi.

— Kolej w Mississippi? — cedził Hegan, marszcząc brwi. — Nigdy o niej nie słyszałem.

— Sądzę, że jest mało takich ludzi, którzy wiedzą coś o tem przedsiębiorstwie — odparł Allan i zaczął opowiadać o losach tej linji:

— Posiadam sam pięćset akcji, które od długiego już czasu są w naszej rodzinie. Dlatego nie myślę się ich pozbywać. Propozycji powyższej nie uczyniłem ze względu na siebie, ale ze względu na moją klijentkę, która posiada pięć tysięcy udziałów. Przyniosłem panu roczne sprawozdania linji z osta-

tnich kilku lat i niektóre inne informacje co do jej stanu. Myślałem sobie, że może panu opłaci się objąć linję i przeprowadzić zamierzone jej rozszerzenie aż do fabryk towarzystwa »Stal« w Mississippi.

— Towarzystwo »Stal« w Mississippi! — zawołał Hegan. Widać było, że nazwa ta nie była mu obcą.

— Jak dawno temu, powiedział pan, plan ten został podjęty? — zapytał. I Montague powtórzył mu historję o komisji i wszystko, co sam słyszał w tej sprawie w formie pogłosek.

— To ciekawe — zauważył Hegan i ściągnął brwi, widocznie w głębokiem zamyśleniu.

— Zajmę się tym interesem — rzekł wreszcie. — Nie mam wprawdzie własnych planów w tych okolicach na południu, ale możliwą jest rzeczą, że wynajdę kogoś, kto się tem zaopiekuje. Czy pan wie może mniej więcej, ile klijentka pana zażąda za tysiąc akcji?

— Klijentka moja całą sprawę oddała mnie — odrzekł Montague. — Dowiedziałem się o wszystkiem dopiero dziś rano i będę musiał zbadać dokładnie stan linji. Chciałbym, aby uzyskała możliwą do przyjęcia ofertę — powiedzmy 75 procent nominalnej wartości akcji.

— O tem będziemy mogli mówić później — rzekł Hegan — jeżeli znajdę nabywcę dla pana. — Po tych słowach Montague pożegnał się i wyszedł.

*

Wracając wieczorem do domu wstąpił do Lucji, aby donieść jej o rezultacie swego widzenia się z Heganem.

— Da on nam znać o sobie wkrótce — rzekł. — Nie wyobrażam sobie, że Hegan jest człowiekiem, który musi namyślać się długo.

— Modły moje będą mu towarzyszyły na każdym jego kroku — wyrecytowała Lucja śmiejąc się, a potem dodała:

— Spodziewam się, że zobaczę cię w piątek wieczorem u Harvey'ów.

— Nie pokażę się nigdzie przed sobotą — odparł. — Mam rozprawę w tych dniach, która zabiera mi wiele czasu. Postaram się jednak być u Siegfrieda Harvey'a; jakoś lubimy się obaj.

— Powiedziano mi, że wydaje on moc pieniędzy na konie.

— Tak, ma wspaniałą stajnię.

— Jak to dobrze, że Ollie mi go przedstawił — rzekła Lucja. — Widzę, że rzeczywiście wskoczyłam w sam środek »towarzystwa«. Co myślisz, że będę robiła jutro?

— Nie mam pojęcia.

— Mam zaproszenie zwiedzenia galerji sztuki Watermana.

— Dana Watermana? — krzyknął prawie Allan. — Jakże to się stało?

— Brat pani Alden prosił mnie. On zna go, i wystarał się o zaproszenie dla mnie. Czy chciałbyś pójść?

— Będę jutro cały dzień zajęty w sądzie, — rzekł Montague. — Chciałbym jednak zobaczyć te zbiory. Są tam podobno wartościowe rzeczy. Staruszek poświęcił galerji tej wszystkie swe wolne od interesów chwile. Ludzie wymieniają bajeczne sumy, włożone w zebrane tam dzieła sztuki — coś jak cztery czy pięć milionów dolarów.

— Dlaczegoż jednak ukrywa on te skarby w odludziu jakiemś daleko nad Hudsonem? — zawołała Lucja.

Allan wzruszył ramionami.

— Ot fantazja — rzekł. — Nie gromadził przecież tych arcydzieł dla przyjemności innych ludzi.

— No, jak długo pozwala mi oglądać swe muzeum, nie mogę się skarżyć na niego — rzekła Lucja. — Tyle tu rzeczy jest do widzenia w tem mieście. Zdaje mi się, że obejrzenie wszystkiego zajmie mi przynajmniej rok czasu.

— Znudzisz się, zanim zobaczysz połowę — odpowiedział. — Każdy tego doświadcza.

— Czy znasz Watermana? — zapytała.

— Nigdy nie spotkałem się z nim w towarzystwie, widziałem go jednak kilka razy. — I Montague cpowiedział jej, jak razu pewnego widział krezusa z Wall Street w klubie milionerów, otoczonego całym sztabem »małych milionerów«.

— Spodziewam się, że nie zobaczę go podczas mej wizyty — rzekła Lucja. — Wiem, że umarłabym ze strachu.

— Kiedy on podobno umie być bardzo miłym, gdy chce — odparł Montague. — Panie przepadają za nim.

W sobotę popołudniu Montague, udając się do mieszkania Harvey'a na Long Island, spotkał się z bratem na parostatku.

— Allanie — zaczął Oliver natychmiast — czy wiedziałeś o tem, że Lucja przyjechała w towarzystwie Stanleja Rydera?

— Ależ nie, na miłość Boga! — zawołał Montague. — Czy Ryder jest tu z nami?

— W jakiś sposób dostał zaproszenie od Harvey'a. A wiem z pewnością, że nie uczynił tego dla żadnej innej przyczyny, tylko aby być razem z Lucją. Przywiózł ją tu w swoim automobilu.

Montague był zupełnie skonfundowany.

— Ani nie wspomiała o tem w mojej obecności — rzekł.

— Do djabła! — zawołał Oliver. — Ciekaw jestem, czy człowiek ten ma zamiary względem Lucji!

Montague stał przez czas jakiś, pogrążony w ponurem zamyśleniu.

— Nie wiem, czy dopnie swego celu - zauważył. — Lucja przecież nie jest naiwną.

— Lucja nigdy jeszcze nie znała człowieka jak Stanley Ryder — oświadczył brat jego. — Całe swe życie spędził on w pogoni za kobietami, a ona wcale nie jest odpowiednim dla niego łupem.

— Co wiesz o nim? — zapytał Montague.

— Czego nie wiem o nim! — oburzył się tamten. — Swego czasu kochał się w Betty Wyman.

— Nie może być! — zawołał Montague.

— Tak — potwierdził Oliver. — Ona to właśnie opowiedziała mi wszystko. Człowiek ten tyle zna wybiegów, jakby był urodzonym spiskowcem. Naczytał się rozmaitych książek, pełnych »Nowej myśli«, chętnie i wiele mówi o swej »tęskniącej duszy«, a każda kobieta, którą spotyka, jest jego »siostrzycą«. A innym razem znowu jest wolnomyślnym i dyskutuje »o wolności i prawach kobiety«. Kładzie w jeden worek wszystkie zasady moralności i miesza je jak groch z kapustą, tak że wreszcie mogłoby się komuś zdawać, iż najszlachetniejszą rolą, jaką kobieta może odegrać, jest zostać kochanką żonatego człowieka.

Montague nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

— Pamiętam, że i ty czasami lubisz »mięszać zasady moralności«, Ollie — rzekł.

— Tak, może być, ale tu chodzi o Lucję, i ktoś musi pomówić z nią o Stanley'u Ryderze.

— Ja to uczynię — rzekł Allan.

*

Gdy przybył do Harveyów na obiad, zastał Lucję, siedzącą w przytulnym kąciku biblioteki. Była jeszcze pod świeżem wrażeniem cudownych rzeczy, które widziała w galerji sztuki Dana Watermana.

— Ach, Allanie — zawołała, ujrzawszy go. — Wiesz, widziałam go!

— Co ty mówisz! — zdziwił się.

— Był ze mną przez całe popołudnie — oświadczyła rozpromieniona. — I przez cały ten czas był taki uprzejmy dla mnie!

— Więc nie wydawał ci się tak strasznym, jak się tego obawiałaś — rzekł Montague.

— Był poprostu zachwycający. Pokazał mi wszystkie swe zbiory, i opowiadał mi dzieje każdego poszczególnego obrazu i w jaki sposób go nabył. Nigdy w życiu jeszcze nie spędziłam tak przyjemnie kilku godzin.

— Tak, Waterman może być zajmującym człowiekiem, jeżeli tylko zechce.

— Jest wprost wspaniałym! — zachwycała się Lucja. — Patrzysz na tę postać chudą, i na ostrą twarz starego sępa, otoczoną dokoła białymi włosami, i myślisz, że masz przed sobą udzielnego księcia. A gdy zacznie mówić — nie dziwię się, że ludzie słuchają go!

— I jak go słuchają! — przyznał Montague. — Co do tego, nie może być dwóch zdań. Nie ma ani jednego człowieka na Wall Street, któryby mógł żyć przez dwadzieścia cztery godzin, jeżeliby stary Waterman wziął się do niego na serjo.

— Jakżeż on to urządza? — zapytała Lucja. — Czy jest tak niezmiernie bogatym?

— Władza jego nie polega na pieniądzach, które posiada, ale na wpływie jego. On jest panem banków: i nikt nie może uczynić kroku na Wall Street bez jego wiedzy. Może on podkopać kredyt człowieka, któremu wymawiają wówczas wszystkie pożyczki. Może zniszczyć każdego przez spowodowanie spadku

cen targowych. A wreszcie, pomyśl o jego potędze w Waszyngtonie. Używa on ministerstwa skarbu, jak gdyby było jedną z filii jego biura.

— To przerażające! — rzekła Lucja. — I taki stary człowiek — zwyż ośmdziesiątki! Jestem zadowolona, że go poznałam, w każdym razie!

Urwała, ujrzawszy w drzwiach Stanleya Rydera, który szukał jej widocznie. Poprowadził ją do stołu, i ilekroć Montague ukradkiem spojrzał w ich stronę, widział, że Stanley zajmuje wyłącznie uwagę Lucji.

Po obiedzie towarzystwo przeszło do sali muzycznej, i Ryder zagrał kilka nokturnów Szopena. Przez cały ten czas nie odjął wzroku od twarzy Lucji.

— Stanowczo twierdzę — rzekła Betty Wyman tak, by Montague mógł słyszeć jej słowa — że sposób umizgania się Rydera przy fortepianie do pani Taylor, jest zupełnie nieprzyzwoity.

Montague wykręcił się od kilku zaproszeń do kart, i wreszcie zajął miejsce przy Lucji, zdecydowany nie ustąpić z posterunku. A gdy po jakimś czasie Stanley Ryder oddalił się zniechęcony i poszedł na papierosa do fumoir'u, Allan rzekł:

— Lucjo, pozwól mi pomówić z tobą w tej sprawie!

— Nie mam nic przeciwko temu, żebyś mówił do mnie, Allanie — odpowiedziała, próbując się uśmiechnąć słabo.

— Ale musisz uważać, co ci powiem — prosił. — Ty doprawdy nie wiesz jakim jest człowiek, którym chcesz się bawić, ani też co ludzie myślą o nim.

Siedziała w milczeniu, gryząc nerwowo wargi, podczas gdy Montague opowiadał jej, o ile możności bez ogródek, jaką sławą »cieszył się« Ryder. A ona nie znalazła innej odpowiedzi, prócz słów:

— Ale to taki zajmujący człowiek!

— Jest wielu zajmujących ludzi — mówił Montague — których ty jednak nigdy nie poznasz, jeżeli będziesz dawała ludziom temat do podobnych plotek.

Lucja załamała ręce:

— Allanie — zawołała — uczyniłam wszystko co mogłam, by wytłómaczyć mu, aby tu nie przyjeżdżał. Masz zupełną rację. Pójdę za twoją radą — nie chcę mieć nic z nim do czynienia naprawdę. Zobaczysz! To jego własna wina, że tu przyszedł; niechaj sobie znajdzie kogo innego, ktoby go bawił.

— Chciałbym jednak, abyś mu to powiedziała wyraźnie. Lucjo — rzekł Montague. — Nie zważaj na jego gniew. Staraj się, żeby zrozumiał — raz na zawsze.

— Dobrze, dobrze — przyrzekła.

I Montague wywnioskował, że spełniła swą obietnicę prędko, gdyż przez całą resztę wieczoru Ryder zadowalniał się bawieniem towarzystwa. Około północy Montague, zajrzawszy przypadkiem do bibljoteki, ujrzał prezydenta »Gotham« trustu pośród grupy, namiętnie rozprawiającej o rozwodach.

— Małżeństwo jest grzechem, za który kościół odmawia rozgrzeszenia — mówił głośno Stanley Ryder.



ROZDZIAŁ III.

W kilka dni po tych wypadkach, Montague czekał na przyjaciela, który miał przyjść na obiad do jego hotelu. Siedział na werandzie czytając gazety, gdy w tem zauważył starszego jegomościa z siwą, spiczastą bródką i o czerwonej cerze, który przeszedł przez kurytarz obok niego. Po chwili, gdy podniósł wzrok przypadkiem, pochwycił utkwione w siebie oczy nieznajomego.

Ten drgnął i wyraz zdziwienia pojawił się na jego twarzy.

— Przepraszam pana — rzekł, zbliżając się — ale czy mam zaszczyt mówić z panem Allanem Montague?

— Nazywam się tak rzeczywiście — odrzekł Allan, patrząc na niego wzrokiem, pozbawionym wyrazu.

— Nie przypomina mnie pan sobie? — mówił dalej tamten.

— Muszę wyznać, że nie.

— Jestem pułkownikiem Cole.

Ale Montague zmarszczył tylko brwi w jeszcze większem osłupieniu.

— Pułkownik Cole? — powtórzył.

— Byłeś pan jeszcze zbyt młodym, by pamiętać — rzekł nieznajomy. — Byłem w domu pańskiego ojca kilkanaście razy. Służyłem w jego brygadzie.

— Czy tak?! — zawołał Montague. — Przepraszam pana najmocniej.

— O, nic nie szkodzi — rzekł przybysz, siadając obok niego. — Było to rzeczywiście trafem tylko, że sobie pana przypomniałem. A jak się ma brat pana — czy jest w Nowym Yorku?

— Tak.

— A matka pańska? Wszak żyje jeszcze, prawda?

— O tak, mieszka w tym hotelu.

— Jakaż to dla mnie nadzwyczajna przyjemność — zawołał pułkownik. — Nie spodziewałem się, że będę miał choćby jedną osobę znajomą w Nowym Yorku.

— Pan tu przyjechał dla zwiedzenia miasta? — zapytał Montague.

— Tak, z zachodu Dziwna rzecz, jak czasami wypadki się wiążą. Dopiero dziś rano myślałem o ojcu pana. Miałem propozycję od kogoś, kto chciał kupić odemnie udziały, które posiadam — Północnej kolei stanu Mississippi.

Montague aż podskoczył.

— Czy to możliwe? — zawołał.

— Tak — odpowiedział pułkownik. — Ojciec pański namówił mnie, bym kupił trochę akcji, da-

wno temu, w starych czasach. I nie sprzedałem ich jeszcze. Zapomniałem o nich zupełnie.

Montague uśmiechnął się.

— Skoro pan sprzeda swoje — rzekł — niech pan swego kupca zwróci do mnie. Wiem również o pewnem źródle, gdzie więcej tych akcji jest do nabycia.

— Bezwątpienia — rzekł pułkownik. — Sądzę jednak, że niewiele one przyniosą. Nie pamiętam, bym kiedy dostał jakie dywidendy.

Powstała przerwa w rozmowie.

— To ciekawy zbieg okoliczności — rzekł potem Allan. — I ja też myślałem o tej kolei. Znajoma moja, pani Taylor, przyjechała właśnie z Nowego Orleanu. Jako panna nazywała się Lucją Dupree.

Pułkownik starał się przypomnieć sobie.

— Dupree? — zapytał.

— Sędziego Dupree'go córka. Jego brat, Jan Dupree był pierwszym prezydentem tej kolei.

— Ależ tak — rzekł pułkownik. — Naturalnie, przypominam sobie sędziego teraz. Ojciec pański powiedział mi, że wziął on całe mnóstwo akcji.

— Tak, był głównym akcjonarjuszem przedsiębiorstwa.

— A kto był ten drugi obywatel? — pytał pułkownik, wysilając pamięć. — Ten, który tak często bywał u was i tak się wszystkiem interesował?

— Czy pan myśli o panu Lee Gordenie?

— Tak, zdaje mi się, że tak się nazywał.

— To kuzyn mego ojca — objaśniał Montague. — Włożył tyle pieniędzy w tę kolej, że rodzina jego od tego czasu zbiedniała zupełnie.

— Tak, to nieszczęśliwe ryzyko. Szkoda, że któryś z wielkich naszych kapitalistów nie zajmie się tą sprawą i nie zrobi czegoś z tej kolei.

— To właśnie było moją myślą — rzekł Allan. — Przedłożyłem jednemu z krezusów cały interes.

— Doprawdy? — ucieszył się pułkownik. — Możliwe w takim razie, że oferta, którą dostałem, z tej strony pochodzi. Któż to taki?

— Jim Hegan.

— O! — zawołał pułkownik. — Oczywiście, to Hegan, który negocjacje swe prowadzi przez ajentów. Pozwól pan zresztą, że mu wręczę swój bilet. Może będę mógł sam zainteresować kogoś tą sprawą. Mam przyjaciół, którzy wierzą w przyszłość południa. Ile przypuszczalnie udziałów mógłby mi pan dostarczyć i ile będą kosztowały?

Montague wyjął papier i ołówek i starał sobie przypomnieć o ile możności rozmaitych akcjonarjuszy kolei w Mississippi. Obaj byli najzupełniej zaabsorbowani tym przedmiotem i omówili wszystkie jego szczegóły z rozmaitych punktów widzenia. Gdy nadszedł oczekiwany znajomy Montague'a, pułkownik był już w posiadaniu wszystkich faktów i przyrzekł, że za kilka dni napisze.

Po obiedzie, Montague poszedł na górę, do prywatnego swego mieszkania.

— Widziałem dziś starego przyjaciela ojca — rzekł do matki przy powitaniu.

— Któż to taki? — zapytała.

— Pułkownik Cole — rzekł Allan, ale na twarzy pani Montague nie odbiła się żadna fala przypomnienia.

— Pułkownik Cole? — powtórzyła z wahaniem.

— Tak, to jego nazwisko — potwierdził Montague. — Oto bilet. — »Henryk W. Cole, Seattle, Washington«, było napisane na karcie.

— Ale ja nigdy nie słyszałam o nim.

— Nigdy? — zdziwił się Montague. — Był przecież u nas w domu kilkanaście razy i znał ojca, i kuzyna Lee i sędziego Dupree i wszystkich innych.

Ale pani Montague tylko zaprzeczyła ruchem głowy.

— Może być, że przychodził do domu, rzekła, ale jestem pewna, że ojciec nigdy mi go nie przedstawił.

Montague'owi wydało się to dziwnem, nie byłby jednak zastanawiał się dłużej nad swem spotkaniem z pułkownikiem, gdyby nie wydarzenie, które nastąpiło nazajutrz rano. Wyszedł do biura trochę wcześniej niż zwykle, z powodu ważnej pracy, którą musiał wykończyć. Przybył więc pierwszy i zastał jeszcze odchodzącą właśnie babę, która zazwyczaj sprzątała w biurze.

Montague nigdy nawet nie pomyślał o tem, że osoba taka istnieje na świecie; jakież więc było jego zdziwienie, gdy kobieta ta przemówiła do niego.

— Przepraszam pana, rzekła, ale muszę panu coś powiedzieć.

— Cóż takiego? zapytał.

— Jest ktoś, kto pana śledzi.

Montague zatrzymał się, osłupiały.

— Co pani chce przez to powiedzieć?

— Z przeproszeniem pana, mówiła dalej kobieta, ale tu był jakiś człowiek, dziś rano, bardzo wcześnie, i ofiarował mi pieniądze proszę pana, i żądał, abym mu dała wszystkie papiery, które wyjęłam z kosza koło biurka.

Montague'owi zabrakło nagle tchu w piersiach.

— Papiery z mego kosza! zdołał wymówić z trudem.

— Tak, panie, rzekła kobieta. To się robi czasami, uczymy my się takich rzeczy, wie pan. Jesteśmy biedne, a płaca nasza licha. Ale pan jest gentlemanem, więc powiedziałam mu, że nie chcę się wdawać w takie rzeczy.

— Jak wyglądał ten człowiek? zapytał Montague.

— Jakisik był czarny i patrzył na żyda. Może przyjdzie tu jeszcze.

Montague wyjął portfel i wręczył kobiecie banknot; a ona wyjąkała podziękowanie i wyszła, zabierając wiadro i szczotkę.

Allan zamknął za sobą drzwi, i przyszedłszy do biura usiadł przed swym pulpitem, i przez chwilę nieprzytomnie patrzył przed siebie.

— Mój Boże! westchnął, a potem nagle uderzył się ręką po kolanie, z okrzykiem wściekłości:

— A ja powiedziałem mu wszystko, co wiedziałem! wszystko! Nie potrzebował prawie pytać mnie o nic.

I znowu zdziwienie zgłuszyło w nim wszelkie inne uczucia.

— Czego u djabła mógł on chcieć odemnie? I kto go posłał? Co to wszystko ma znaczyć?

Przeszedł myślą całą swą rozmowę ze starym jegomością z Seattle, starając się przypomnieć sobie dokładnie, co powiedział, i co za użytek tamten mógł zrobić z udzielonych sobie informacji. Nie mógł jednak myśleć porządnie, gdyż w pamięci jego uporczywie stawał Jim Hegan.

Istniało jedno tylko wytłómaczenie tego wszystkiego. Jim Hegan posłał za nim detektywów. Nikt inny nie wiedział o kolei w Mississippi i nikomu innemu nie chodziło nawet o nią.

Jim Hegan! A on spotykał się z nim w towarzystwie, a poznał go na zabawie u pani de Graffenried! Odnosił się do niego, jak do gentlemana i podawał mu rękę, i poszedł do niego, i rozmawiał z nim otwarcie i szczerze. A teraz Hegan nasłał na niego detektywa, który chciał od niego wyłudzić jego tajemnice i nawet starał się dostać do zawartości jego kosza z papierami!

Montague znał tylko jednego człowieka, którego rady mógł zasięgnąć w tak trudnym wypadku. Usiadł i napisał list do swego przyjaciela, majora Venabla, do klubu miljonerów, zapowiadając, że przyjdzie tam na obiad i że byłby rad, gdyby major zechciał mu towarzyszyć. W dwie lub trzy go-

dziny później, gdy już major miał dosyć czasu by się ogolić, wypić kawę i przeczytać ranne pisma, Allan zadzwonił na posłańca i oddał mu list.

Odpowiedź majora nadeszła natychmiast Nie miał zajętego wieczora i oddawał cały zapas swych wiadomości i swego doświadczenia na usługi Montague'a. Podagra jednak wzmogła się, wskutek czego był w dzikiem usposobieniu, uprzedza także Montague'a, że doktorzy nie pozwalają mu jeść ani grzybów ani mięsa.

*

Montague'owi zdawało się, że żadna ludzka twarz nie może być zabarwiona jaskrawiej purpurowo, niż twarz majora; mimo to, za każdem widzeniem się purpurowy ten odcień wydawał się jaskrawszym i jaskrawiał jeszcze w miarę ruchów majora. Major mruczał, narzekał i klął strasznie pół głosem, a cały sztab kelnerów uwijał się po sali jadalnej klubu w jakimś chorobliwym pospiechu, ku wielkiej radości wszystkich obecnych.

Montague zaczekał, póki stary gentleman nie dostał swego zwykłego wina i dopóki nie rozwiązał problemu zadowolenia zarazem swego apetytu i swego doktora, a potem opowiedział mu o nadzwyczajnem zdarzeniu, które go spotkało.

— Byłem pewny, że jeżeli kto, to ty możesz mi to wytłómaczyć, rzekł.

— Co tu długo tłómaczyć? odburknął major. To znaczy poprostu, że Jim Hegan zainteresował się twoją koleją. Czegóż jeszcze chcesz?

— Ależ on kazał mnie wybadać przez detektywa! zawołał Montague oburzony.

— To jest zupełnie w porządku. Praktykuje się to co dnia. Istnieje z jakich pół tuzina agencji, które niczem innem się nie trudnią. Możesz mówić o szczęściu, jeżeli nie podsłuchał twych rozmów telefonicznych, albo gdy nie czytał twoich depesz i twojej poczty przed tobą.

Montague wytrzeszczył na niego oczy.

— Człowiek jak Jim Hegan, zawołał. I to wobec przyjaciela!

— Przyjaciela? powtórzył major. Phi! nie robi się interesów z przyjaciółmi. Zresztą, Jim Hegan z pewnością nie wie nawet o tem wszystkiem. Poruczył całą tę sprawę jakiemuś niższemu urzędnikowi i kazał mu ją przeprowadzić; on sam zaś wcale nie pomyśli już o niej, dopóki nie będzie miał wszystkich faktów przed sobą na biurku. Któryś z jego ludzi zabrał się do dzieła, i zabrał się trochę niezręcznie — oto wszystko!

— Dlaczegoż jednak chciał on się dowiedzieć o wszystkich moich sprawach rodzinnych?

— Oczywiście pragnął poznać twoje położenie finansowe, mianowicie czy i o ile jesteś zmuszonym sprzedać akcje. Tak, że gdy przyjdzie do kupna, będziesz podatnym i skłonnym do ustępstw. Wówczas prawdopodobnie nabędzie on akcje za połowę ceny. Będzie dobrze, jeżeli za jego sprawą nie wypowiedzą ci w banku kilku pożyczek.

Major siedział, obserwując Montague'a, i uśmiechając się z jego naiwności.

— Gdzie to kolej ta leży? zapytał. W Missis-sippi?

— Tak.

— To mi się wydaje dziwnem i nie wygląda wogóle na sprawkę Jima Hegana. Nie wierzę, żeby się komukolwiek udało zainteresować go co do kolei w południowych stanach. Musiał wspomieć o tem komu innemu. Do czego służy ta twoja kolej wogóle?

— Mieliśmy plan rozszerzenia linii, tłómaczył się Montague. Przeprowadzenie jej do głównych fabryk towarzystwa »Stal«, kosztowałoby tylko jeden lub dwa miljony.

Słowa te uderzyły majora.

— Towarzystwo »Stal«?! zawołał.

— Tak.

— To ci interes! krzyknął tamten.

— Coż takiego?

— Pocóż do wszystkich djabłów poszedłeś z taką sprawą do Jima Hegana? irytował się major Venable.

— Poszedłem do niego, bo go znałem.

— Ależ przecie nie idzie się z jakąś sprawą do człowieka, dlatego, że go się zna. Idzie się do człowieka odpowiedniego. Jim Hegan, gdyby mógł, zmiótłby »Stal« z mapy Stanów Zjednoczonych.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Czyż nie wiesz, objaśnił major, że kompania ta jest główną rywalką Trustu stalowego? A organizatorem Trustu jest Dan Waterman, który go pilnuje jak oka w głowie.

— Cóż to jednak ma do czynienia z Heganem?
— Poprosto to, że Jim Hegan we wszystkiem idzie ręka w rękę z Watermanem.
Montague stropił się na dobre.
— Rozumiem teraz, rzekł.
— Naturalnie, gderał dalej major. Kochany chłopcze, czemu nie przychodzisz do mnie, zanim uczynisz głupstwo? Powinieneś był zwrócić się do właścicieli towarzystwa »Stal« i to spokojnie, i do ludzi, stojących u jego steru. Nie wiesz może nawet o tem, że możesz dostać dużą ofertę, którą przeoczono w zamieszaniu. Cóż to mówiłeś mi o tej komisji?
I Montague opowiedział szczegółową historję nieudałego planu rozszerzenia linji, i o swej wycieczce myśliwskiej i czego się podczas niej dowiedział.
— To jasne, rzekł major. Jesteś nawet w tej chwili w samym ośrodku sprawy. Właściciele »Stali« zniweczyli wasz plan.
— Co chcesz przez to powiedzieć?
— Przekupili komisję. I prawdopodobnie kontrolowali twoją kolej przez ten cały czas, i niedopuścili do jej rozwoju.
— Ależ to niemożliwe, nie mają z nią nic do czynienia.
— Ba! rzekł major, jakże ty możesz wiedzieć o tem?
— Znam prezydenta, rzekł Montague, jest to stary przyjaciel rodziny.

— Cóż to znaczy? a jeżeli na jego interesie ciąży pożyczka?

— Dlaczegożby w takim razie nie kupił tej linji i nie skończył raz z tem? zapytał Montague w największem zdziwieniu.

Tamten zaśmiał się ironicznie.

— Przypomniało mi się wspaniałe powiedzenie Wymana. »Dlaczego miałbym kupować akcje, skoro mogę kupić dyrektorów?«

— I ci sami ludzie śledzą cię teraz, mówił dalej Venable po przerwie. Prawdopodobnie myślą, że po drugiej stronie zapanował ruch i starają się całą sprawę umorzyć.

— Kto jest właścicielem »Stali«? zapytał Montague.

— Nie wiem, odrzekł major. Sądzę, że Wyman musiał tam wejść jakimś sposobem. Czy nie zauważyłeś onegdaj w pismach notatki o tem, że dostawy dla wszystkich trzech jego transkontynentalnych kolei oddano towarzystwu »Stal« w Mississippi?

— Tak, to prawda!

— A widzisz! tryumfował major, tłumiąc cichy śmiech. Wskoczyłeś w sam środek żabiej sadzawki, i sam pan Bóg wie, co za rwetes tam wywołałeś! Pomyśl tylko, jaką teraz jest sytuacja. Trust stalowy jest przekapitalizowany o dwieście procent. Z powodu cła, może on sprzedawać produkta swoje w kraju o pięćdziesiąt procent drożej, niż to czyni zagranicą; mimo to jednak, musi ustawicznie obcinać dywidendę. Zwykłe jego akcje spadły do dziesięciu dolarów. Redukuje on swe wydatki w każdym

kierunku i naturalnie wydaje produkt bezwartościowy. I oto zjawia się Wyman, jedyny człowiek na Wall Street, który śmie pogrozić pięścią staremu Danowi Watermanowi; ten podaje dziennikom wszystkie szczegóły o złych szynach kolejowych, które są powodem katastrof na jego kolejach, i zawiera umowę z towarzystwem »Stal« w Mississippi, które podkupuje trust. »Stal« jest zasypana zamówieniami, a wytwory jej rozchodzą się dniem i nocą na wszystkie strony. A wtem przychodzi naiwny, głupi smarkacz z jakąś zapadłą małą kolejką, którą chce doprowadzić do tylnej bramy podwórza fabryk i udaje się z tą propozycją do — Jima Hegana.

Major doszedł do kulminacyjnego punktu swego wywodu w stanie stłumionego wzruszenia, które objawiło się gardłowym śmiechem, wstrząsającym jego szkarłatną twarz i przyprawiło jego chorą nogę o szereg bolesnych drgań. Co do Montague'a, to był on należycie upokorzony.

— Co radzisz mi uczynić teraz? zapytał po długiej przerwie.

— Nie wiem, coby teraz uczynić można. Chyba rękami i nogami trzymać się swych akcji. Może być, że jeżeli dalej będziesz opowiadał o zamierzonem rozszerzeniu linji, ludzie ze »Stali« nabędą udziały po cenie ich wartości pierwotnej.

— W każdym razie napędziłem im strachu, rzekł, śmiejąc się Montague.

— Założyłbym się o jedną rzecz, rzekł tamten. W czyjemś biurze w mieście była tymi dniami porządna panika! Istnieje pewien człowiek, który przy-

chodzi tu co wieczora i który prawdopodobnie słyszał o tem wszystkiem. Jest nim Will Roberts.

I major rozejrzał się po sali.

— Oto i on, rzekł.

Do sali pewnym chodem wszedł wysoki, ciemny brunet, o bystrym wyrazie twarzy.

— Roberts „Milczący", rzekł major. Wybadajmy go nieco.

I gdy nowoprzybyły zbliżył się dostatecznie, major zawołał go.

— Hallo Roberts! dokąd to idziesz? Pozwól, że ci przedstawię mego przyjaciela, Allana Montague'a.

Roberts spojrzał na Montague'a.

— Dobry wieczór, rzekł. Jak się pan masz, panie Venable.

— Nie mógłbym się mieć gorzej, dziękuję. Jakże tam na giełdzie?

— Słabo, bardzo słabo, rzucił Roberts odchodząc. Za wielu jest ludzi, którzy robią majątki.

Major zaśmiał się.

— Piękne to słowa, rzekł, gdy Roberts oddalił się już poza obręb słyszenia — w ustach człowieka, który w przeciągu dziesięciu lat zarobił sześćdziesiąt miljonów.

— Nie wydaje się, żeby kiedykolwiek słyszał o mnie.

— Możesz mu wierzyć co do tego! Mógł on planować zamordowanie cię dzisiejszej nocy, a nie zdradziłby tego ani jednym ruchem powiek. Taki to jest człowiek; zdaje się, że sam jest wykuty ze stali.



ROZDZIAŁ V.

Montague zawahał się tylko przez jedno mgnienie oka, potem wyskoczył na pokład.

Gdzie jest pani Taylor? krzyknął.

— Zeszła na dół, proszę pana, rzekł służący po namyśle; Montague jednak odtrącił go na bok i zbiegł na dół po schodach, prowadzących do wnętrza okrętu.

Na dole znalazł się w obszernym przedsionku, oświetlonym światłem dziennem, wpadającem z góry, przez szklany dach. Poskoczył ku drzwiom, które prowadziły w kierunku posłyszanego wołania o pomoc, i zawołał głośno:

— Lucy, Lucy!

Usłyszał jej odpowiedź, wychodzącą z poza drzwi, uchwycił więc za klamkę, chcąc otworzyć. Drzwi jednak były zamknięte od wewnątrz.

— Proszę otworzyć drzwi! krzyknął.

Żaden szelest nie odpowiedział jednak na jego wołanie.

— Proszę otworzyć, wołał znowu, inaczej wyłamię drzwi. I, wprowadzając w czyn swą groźbę,

rzucił się całym ciężarem na drzwi. Deski poczęły trzeszczeć, i Allan nagle usłyszał głos męski:

— Dobrze, proszę poczekać.

Ktoś obrócił klucz w zamku, podczas gdy Montague stał skupiony w sobie jakby do skoku, i śledząc drzwi z zapartym oddechem, przygotowany na wszystko. Drzwi się otwarły, i Allan stanął twarzą w twarz z Danem Watermanem.

Montague, w konsternacji, uczynił jeden krok wstecz, a tamten wyszedł, i bez słowa minąwszy Allana udał się w przeciwną stronę przedsionka. Montague jednak miał dosyć czasu, by pochwycić jedno jego spojrzenie szalonej wściekłości, najstraszniejszej, jaką kiedykolwiek widział na ludzkiej twarzy.

Wpadł do pokoju. Lucy stała na drugim jego końcu, opierając się o stół, by nie upaść. Ubranie jej było w nieporządku, twarz zaczerwieniona, a włosy jej spadały na uszy. Oddechała ciężko w wielkiem poruszeniu.

— Lucy! zawołał, podbiegając ku niej. Chwyciła się kurczowo jego ramienia, w jakimś panicznym strachu.

— Co się stało? krzyknął. Odwróciła od niego twarz, nie odpowiadając ani słowa.

Stał tak, patrząc na nią w osłupieniu przez chwil kilka. Wreszcie Lucy szepnęła:

— Prędko! chodźmy stąd!

I nagłym ruchem rąk odgarnęła sobie włosy z czoła, przygładziła suknię, i oparta na ramieniu przyjaciela skierowała się ku drzwiom.

Wyszli na pokład, gdzie jeszcze oficer zaskoczony nie zdołał otrząsnąć się ze zdziwienia.

— Pani Taylor pragnie odpłynąć na ląd, rzekł Montague. Czy mógłby nam pan kazać dać łódź?

— Łódź wróci za kilka minut, proszę pana, tłómaczył się oficer.

— Ale my chcemy odjechać natychmiast. Niech pan każe spuścić jedną z tych małych łodzi wioślarskich, inaczej zawołam na przewoźnika.

Oficer namyślał się tylko chwileczkę. Głos Montague'a był tak stanowczym, że nie dopuszczał opozycyi, tak więc wkrótce na rozkaz oficera spuszczono małą łódkę na morze.

Lucja tymczasem stała oddychając ciężko, i oglądając się nerwowo poza siebie. Gdy wreszcie opuścili jacht, westchnienie ulgi wydobyło się z jej piersi.

Siedzieli w milczeniu, dopóki nie stanęli na stałym lądzie. Wówczas zwróciła się do Montague'a z prośbą:

— Zawołaj dorożkę, Allanie

Zaprowadził ją na ulicę, i zawołał przejeżdżającego stangreta. Gdy już usiedli, Lucja z jękiem niemal upadła na poduszki powozu.

— Proszę cię, nie pytaj o nic, Allanie, rzekła. I odtąd, przez cały czas jazdy aż do hotelu, nie wyrzekła już ani słowa.

— Czy mogę ci pomóc w czemkolwiek? zapytał Allan, gdy już umieścił ją bezpiecznie w mieszkaniu hotelowem.

— Nie, odpowiedziała. Już teraz mi dobrze. Zaczekaj na mnie.

Wyszła do swej sypialni, a gdy zjawiła się znowu w salonie, wszelkie ślady podniecenia znikły z jej twarzy. Usiadła w krześle naprzeciw Allana i spojrzała na niego.

— Allanie, zaczęła. Przez cały ten czas natężałam myśl moją, starając się znaleźć sposób ukarania tego człowieka. Jakby można to uskutecznić?

— Nie mam pojęcia, odparł Montague.

— Nie mogę prawie uwierzyć, że coś takiego stać się mogło w Nowym Yorku, mówiła półgłosem. Zdaje mi się, że żyję w wiekach średnich!

— Zapominasz Lucjo, że nie wiem wcale, co się stało.

Umilkła znowu. Siedzieli tak patrząc na siebie nawzajem, a potem nagle, Lucja rzuciła się wstecz i zaczęła śmiać się głośno Gdy raz zaczęła, jeden wybuch wesołości następował po drugim.

— Staram się trwać w złości Allanie, mówiła wśród paroksyzmów śmiechu. Podobno powinnam być oburzoną, ale rzeczywiście, wszystko to było tak niedorzeczne!

— Jestem pewny, że o wiele lepiej czynisz śmiejąc się, niż płacząc, uspokajał jej skrupuły Allan.

— Powiem ci wszystko, jak było, mówiła dalej. Wiem, że komuś muszę koniecznie opowiedzieć tę historję, inaczej chyba rozsadzi mnie to wszystko. Będziesz musiał mi poradzić, bo co do mnie, nigdy w życiu nie byłam w tak głupiem położeniu, jak teraz.

— Zaczynaj więc od początku, zachęcał Allan.

— Powiedziałam ci, że poznałam starego Watermana w jego galerji sztuki. Pan Dawid Alden

zaprowadził mnie tam, a staruszek był tak grzecznym, zachowywał się z taką godnością — nigdy nie byłabym przypuszczała.... A potem napisał do mnie list — tylko kilka słów, własnoręcznie, pomyśl tylko! — zapraszając mnie, bym wzięła udział w przejażdżce na Brunhildzie, która właśnie miała odbyć swą pierwszą wycieczkę. Myślałam naturalnie, że w tem nie ma nic nadzwyczajnego. Powiedziałam ci, że się wybieram, a i ty nawet nie sprzeciwiałeś się temu.

— Przyjechałam do przystani, gdzie łódź czekała już na mnie i zabrała mnie na pokład, poczem służący zaprowadził mnie do tego pokoju, i zostawił mnie samą. Sekundę później stary Waterman sam wszedł, zamknął drzwi za sobą, i obrócił dwa razy klucz w zamku.

— »Jak się pani ma?« rzekł na wstępie, i zanim zdołałam otworzyć usta i odpowiedzieć, przystąpił do mnie, i spokojnie wziął mnie w swe ramiona.

— Możesz sobie wyobrazić moje uczucia. Byłam poprostu sparaliżowana!

— »Panie Waterman!« wybełkotałam.

— Nie słyszałam co mówił do mnie, trzęsłam się ze złości i przerażenia. Pamiętam, że kilka razy zawołałam »Proszę mnie puścić!«, on jednak nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Trzymał mnie ciągle mocno w objęciach.

— Wreszcie zdołałam opanować się nieco. Nie chciałam kąsać i drapać jak kueharka. Starałam się mówić spokojnie

— »Panie Waterman«, rzekłam, »żądam od pana, by mnie pan uwolnił«.

— »Kocham cię«, odpowiedział mi na to.

— »Ale ja nie kocham pana«, broniłam się. Pamiętam, że nawet w owej chwili zdawałam sobie doskonale sprawę z niedorzeczności tych słów. W żaden sposób jednak nie przychodziło mi na myśl nic takiego, coby w takiej sytuacji nie brzmiało niedorzecznie.

— »Nauczysz się kochać mnie«, mówił Waterman. »Tyle kobiet mnie kochało«.

— »Nie jestem tego rodzaju kobietą«, rzekłam. »Mówię panu, że pomyliłam się. Niech mnie pan puści!«.

— »Pragnę cię«, upierał się. »A gdy pragnę jakiejś rzeczy, muszę ją mieć. Nigdy nie przyjmuję odmowy — pogódź się z tą myślą. Nie zdajesz sobie sprawy z sytuacji. Nie będzie to hańbą dla ciebie. Kobiety szczycą się moją miłością. Pomyśl tylko, co mogę uczynić dla ciebie. Możesz mieć wszystko, czego tylko zażądasz. Możesz iść, gdziekolwiek zechcesz. Nie będę nigdy żałował ci niczego«.

— Pamiętam, że mówił tak przez jakiś czas. A ja, wyobraź sobie, byłam uwięziona, jak w łapach niedźwiedzich. Nie wygląda on na to, zapewniam cię jednak, że jest strasznie silnym. Nie mogłam myśleć prawie. Byłam zduszona, i przez cały ten czas czułam na swej twarzy jego oddech gorący, a oczy jego wlepione były we mnie, jak ślepia jakiegoś strasznego, dzikiego zwierzęcia.

— »Panie Waterman«, tłómaczyłam mu, »nie jestem przyzwyczajoną do tego rodzaju obejścia«.

— »Wiem o tem, wiem«, mówił. »Gdyby było inaczej, nie pragnąłbym cię posiąść. Jestem jednak inny, niż wszyscy mężczyźni. Pomyśl nad tem. Pomyśl o władzy, która spoczywa w mojem ręku. Nie mam czasu na długie zalecanki. Kocham cię. Kocham cię od chwili, gdy cię pierwszy raz ujrzałem. Czy to nie dosyć? Czegoż więcej możesz żądać?«

— »Sprowadził mnie pan tu pod fałszywym pozorem«, krzyknęłam. W tchórzliwy, niecny sposób wyzyskał pan swą siłę wobec mnie. Jeżeli ma pan w sobie choć krztę uczciwości, powinien się pan wstydzić takiego postępowania«.

»Ct, ct!« rzekł groźnie.. »Nie mów głupstw Znasz przecież świat, nie jesteś podlotkiem«. Tak powiedział Allanie, pamiętam dokładnie to zdanie, które doprowadziło mnie do wściekłości! — Starałam się wyrwać mu się, ale czem więcej szamotałam się, tem bardziej zacietrzewiał się stary. Byłam rzeczywiście przerażona. Wiesz, jestem pewna, że oprócz służby nie było żywej duszy na całym jachcie.

— »Panie Waterman«, wołałam znowu, »proszę mnie w tej chwili wypuścić. Jeżeli pan tego nie uczyni, narobię wrzawy, będę wołała o pomoc«.

— »To ci nic nie pomoże«, rzekł z wściekłością.

— »Czegoż jednak pan chce odemnie?« mówiłam już w rozpaczy.

— »Chcę, żebyś mnie kochała«, rzekł.

— A potem znowu zaczęłam się z nim szamotać. Wołałam kilkakrotnie — nie wiem dokładnie

ile razy — on jednak zakrył mi usta ręką. Zaczęłam rozpaczliwą walkę o swe życie. Zdaje mi się, że naprawdę byłabym wydrapała oczy tej starej poczwary, gdyby głos twój w tej chwili nie rozległ się w przedsionku. Gdy zawołałeś moje imię, puścił mnie i odskoczył w tył. Nigdy w życiu nie widziałam tak wściekłej nienawiści na ludzkiej twarzy, jak wówczas.

— Gdy odpowiedziałam ci, starałam zbliżyć się do drzwi, on jednak zastąpił mi drogę.

— »Będę cię ścigał!« syknął. »Czy rozumiesz, co to znaczy? nigdy się odemnie nie uwolnisz!«

— A potem ty rzuciłeś się na drzwi, więc odwrócił się odemnie, odemknął je i wyszedł.

Na twarz Lucji, podczas przypomnienia tej sceny, wystąpiły purpurowe wypieki; dyszała ciężko w strasznem napięciu nerwów. Montague utkwił wzrok nieruchomo przed siebie i milczał.

— Czy słyszałeś już kiedy o czemś podobnem? zapytała Lucja.

— Tak, rzekł poważnie. Przykro mi powiedzieć, że już kilkakrotnie słyszałem o takich wypadkach. A nawet o gorszych.

— Cóż jednak mam uczynić? zawołała. Czyż mężczyzna może bezkarnie postąpić z kobietą w ten sposób?

Montague nie odpowiadał.

— To potwór! oburzała się Lucja. Powinnam go kazać zamknąć do więzienia.

Montague wstrząsnął głową.

— Nie możesz tego uczynić, rzekł.

— Nie mogę? powtórzyła — a to dlaczego?

— Nie potrafiłabyś udowodnić tego przed sądem, rzekł Montague. Ważyłoby tu twoje słowo przeciw jego słowom, a w takim razie zawsze wierzyliby jemu. Nie można kazać aresztować Dana Watermana, jak to można uczynić z każdym innym człowiekiem. Zresztą pomyśl, co za skandal!

— Właśnie chciałabym go narazić na to. Byłoby to dla niego nauczką.

— Nicby mu nie szkodziło. Tu już mogę mówić na podstawie doświadczenia, gdyż byłem świadkiem takich usiłowań. Przedewszystkiem żadne pismo w Nowym Yorku nie zamieściłoby o tem notatki. Zyskałabyś tylko tyle, że napiętnowanoby cię jako awanturnicę.

Lucja patrzyła na niego szeroko rozwartemi oczyma, z zaciśniętemi pięściami.

— Ależ w takim razie mogłabym równie dobrze żyć w Turcji! zawołała.

— Mniej więcej, przyznał Montague spokojnie. Mieszka tu w mieście pewien stary człowiek, który przez całe swe życie pożyczał pieniądze na lichwę; obecnie posiada coś około ośmdziesięciu lub stu miljonów dolarów majątku. Co jakich sześć miesięcy można przeczytać w gazetach, że taka to a taka kobieta starała się oczernić go. Powodem tego jest, że czyni on z każdą młodą, piękną dziewczyną, która przychodzi do jego biura to samo, co stary Waterman uczynił z tobą; a które aresztowane są za oszczerstwo, to poprostu te z pomiędzy nich,

które były na tyle nierozsądne, by szukać sprawiedliwości przed sądem.

— Widzisz Lucy, rzekł po chwili Montague, musisz zdać sobie sprawę z położenia. Człowiek ten jest bożyszczem Nowego Yorku On ma w swojem ręku wszystkie źródła bogactw; może wzbogacić lub zniszczyć kogokolwiek zechce. Jest to niezbitą prawdą — jestem przekonany, że może on doprowadzić do ruiny materjalnej każdego, kogo sobie upatrzy. Może uczynić z policją wszystko, co zechce. Jest to poprostu kwestja przekupienia urzędników. Rządzi wszędzie, nie oglądając się na ustawy. Jeżeli zapragnie jakiejś rzeczy, kupuje ją i takie jest też jego stanowisko wobec kobiet. Przyzwyczajony jest do tego, by go uważano za pana; kobiety poszukują go i starają się o jego względy. Gdybyś była ich nie odrzuciła, mogłabyś mieć pałac za miljon dolarów na Riverside Drive, albo willę z przystanią za miljon w Newport. Miałabyś *carte blanche* do wszystkich sklepów i dostęp na wszystkie jachty prywatne, mogłabyś również rozporządzać prywatnymi pociągami. Oto wszystko, czego żądają inne kobiety, więc nie mógł on zrozumieć, dlaczego nie chciałaś się zgodzić. — Montague przerwał.

— Czy to w ten sposób wydaje on pieniądze? zapytała Lucja.

— Kupuje wszystko, co sobie upodoba. Mówią, że wydaje pięć tysięcy dolarów dziennie. Jedną z licznych anegdot, które krążą o nim po klubach, jest opowiadanie, że raz zakochał się w żonie pewnego lekarza i ofiarował miljon dolarów na zało-

żenie szpitala, pod warunkiem, że lekarz ów uda się na trzy lata do Europy, dla poczynienia studjów nad szpitalnictwem.

Lucy siedziała zagłębiona w myślach.

— Allanie, odezwała się nagle, jak myślisz, co chciał on powiedzieć przez to, że »mnie będzie ścigał«? Cóż on może mi zrobić?

— Nie wiem, rzekł Allan. Nad tem będziemy się musieli głęboko zastanowić.

— Wypowiedział słowa, które wydały mi się bardzo dziwne, rzekła Lucja. Właśnie przypomniałam je sobie. »Nie masz pieniędzy, rzekł. Nie możesz żyć na tutejszej stopie życia. Wszystko, co posiadasz, nie warte ani centa«. Czy myślisz Allanie, że on może wiedzieć cośkolwiek o moich interesach?

Montague wlepił w nią oczy w osłupieniu.

— Lucy! zawołał.

— Co takiego? krzyknęła, zatrwożona jego wybuchem.

Ale Allan opanował się znowu.

— Ach, nic takiego, rzekł, a półgłosem dodał:

— Nie, to niedorzeczne i niemożliwe. — Myśl, że to właśnie Dan Waterman nasłał na niego detektywów wydawała mu się zbyt nieprawdopodobną, by ją poważnie rozpatrywać.

— Było to z jego strony tylko powiedzeniem na chybił trafił, rzekł do Lucy, musisz jednak być ostrożną, to człowiek niebezpieczny.

— A ja jestem bezsilna i nie mogę go ukarać! szepnęła Lucja po przerwie

— Zdaje mi się, że i tak tanim kosztem wydobyłaś się z pułapki. Następnym razem będziesz mądrzejszą, a co do ukarania go, to spodziewam się, że natura sama to uczyni. Starzeje się już, jak wiesz i mówią ludzie, że jest posępnym i nieszczęśliwym.

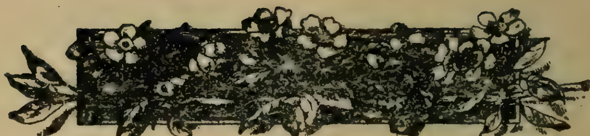
— Ale Allanie! — mówiła Lucja. Ciągle muszę myśleć o tem, coby się było stało, gdybyś był nie przyszedł na pokład, i o tych kobietach, które schwytano w podobną zasadzkę. Przecież i ja byłabym równie bezsilną jak one, cokolwiekby ze mną uczynił!

— Takby rzeczywiście było — potwierdził Allan poważnie. — Wiele kobiet przekonało się prawdopodobnie o tem. Rozumiem dobrze twoje uczucia, cóż jednak można poradzić na to? Nie możesz karać ludzi jak Waterman. Nie można ich karać za żadne ich postępki, czy to monopolizowanie w swym ręku życia i zagładzanie na śmierć tysiąca nędzarzy, czy to napad na bezbronną kobietę. Istnieją w Nowym Yorku bogaci ludzie, którzy dla zabawki odpowiadają na ogłoszenia kobiet, szukających pracy i uwodzą młode dziewczęta. Pewna stenografistka, pracująca w mojem biurze powiedziała mi, że w przeciągu roku miała dwadzieścia posad, z których każdą musiała opuścić, gdyż zawsze któryś z mężczyzn w biurze czynił jej obelżywe propozycje.

Montague zamilkł na chwilę.

— Widzisz, dodał następnie — o tych wszystkich rzeczach przekonałem się osobiście. Myślałaś, że przesadzam, wiedziałem jednak, na jakie narażona jesteś niebezpieczeństwa. Jesteś tu obcą, nie masz

przyjaciół ani poparcia i zawsze będziesz stroną cierpiącą. Nie mam tu na myśli wyłącznie wypadków podobnych do dzisiejszego, gdzie sprawa może się oprzeć o policję i dzienniki; mówię tylko o sprawach towarzyskich, gdzie chodzi o twoją dobrą sławę i o to, jak sobie ludzie będą tłómaczyli twoje postępki. Mają oni swe bogactwa, swoje *prestige* i swoje przywileje, których bronią zaciekle. Chętnie przyjmują do swego grona przybysza i pozwalają mu się bawić w swojem towarzystwie, jeżeli przybysz ten jest przystojny i obdarzony żywym dowcipem, który ich rozwesela. Skoro jednak człowiek ten nadużyje ich, albo zacznie zagrażać ich potędze, wówczas w krótkim czasie przekona się on, jak umieją nienawidzieć i jak bezlitośnie zniszczą go i zgniotą.



ROZDZIAŁ VI.

Przygoda Lucji tak zajęła ją i Allana, że zapomnieli zupełnie o akcyach. Później jednak Montague wspomniał o nich, a Lucy oburzyła się na skąpą ofertę, jaką jej zrobiono.

— To tylko dziesięć centów za dolar! — zawołała. — Nie radzisz mi przecie sprzedaży za taką cenę!

— Nie, nie radzę ci, — potwierdził Montague. — Na twojem miejscu odrzuciłbym ofertę. Byłoby jednak może dobrze oznaczyć im cenę, na którąbyśmy się mogli zgodzić.

Mówili już o tem poprzednio, i ustanowili cenę stu ośmdziesięciu tysięcy dolarów.

— Sądzę, rzekł Montague, że najlepiej będzie podać im tę cyfrę, i dać im do zrozumienia, że od niej nie odstąpimy. Może będą chcieli się targować, nie jestem jednak wielkim zwolennikiem targów. Wolałbym powiedzieć ostateczną cenę, i trzymać się jej.

— Dobrze, — zgodziła się Lucja. — Zdaję sie zupełnie na twój sąd.

Powstała przerwa, po której Montague, widząc spojrzenie oczu Lucji, pełne błysków obrażonej dumy, powstał.

— Nic ci nie pomoże rozmyślanie nad dzisiejszą przygodą, — rzekł. — Zacznij życie na nowo, i nie popełniaj więcej omyłek. Chodź ze mną dziś wieczorem. Mam znajomych, którzy od chwili twego przyjazdu proszą mnie ciągle, bym cię przyprowadził.

— Któż są ci ludzie? pytała Lucja.

— Generał Prentice i jego żona. Słyszałaś może o nich.

— Pan Ryder wspominał mi kiedyś o bankierze tego nazwiska. Czy to ten, o którym mówisz?

— Tak — rzekł Montague — jest on prezydentem trustów republiki. Był starym towarzyszem broni mego ojca, a jego rodzina była pierwszą, którą spotkałem tu w Nowym Jorku. Od tego czasu poznałem ich wszystkich bardzo dobrze. Powiedziałem im, że przyprowadzę cię kiedyś na obiad, i jeżeli się zgodzisz, zatelefonuję im, że przyjdziesz. Sądzę, że nic ci z tego nie przyjdzie, jeżeli będziesz tak siedzieć sama i rozmyślać o Danie Watermanie.

— O, już teraz nie robię sobie nic z tego, — rzekła Lucja. — Pójdę jednak z tobą, jeżeli chcesz.

Poszli więc wieczorem do generała Prentice'a. Obecnymi byli generał, jego żona i dwie ich córki, z których jedna była studentką uniwersytetu, a druga posiadała znaczny talent muzyczny i grała bardzo dobrze na skrzypcach. Generał Prentice miał zwyż siedmdziesiątki, i broda jego była białą jak śnieg,

miał jednak zawsze jeszcze wyniosłą postawę i rozkazujące ruchy oficera. Żonę generała Montague widział był po raz pierwszy pewnego wieczora w operze, gdy Prentice zaprosił go do loży i wówczas uczyniła ona na nim wrażenie damy, ustrojonej w wielką liczbę djamentów, która opowiadała mu rozmaite rzeczy o znajomych, podczas gdy on chciał słuchać muzyki. Posiadała jednak, jak to Lucja później określiła »macierzyńską duszę, kryjącą się pod wojenną skorupą«. Zawsze zapraszała Montague'a do siebie, i zaznajamiała go z ludźmi, którzy, jej zdaniem, mogli mu być w czemkolwiek pomocni.

Tego samego wieczora przyszedł też młody Harry Curtiss, siostrzeniec generała. Montague widział go po raz pierwszy, wiedział jednak, że jest on młodszym wspólnikiem sławnej firmy adwokackiej Williama E. Davenant'a, który był w swoim czasie przeciwnikiem Allana w procesie przeciw towarzystwu asekuracyjnemu »Wierność«. Harry Curtiss, którego Montague miał poznać dobrze w bardzo krótkim czasie, był pięknym młodzieńcem, szczerym i ujmującym. Poznał był Alicję Montague na jakiemś przyjęciu, przed tygodniem, i zapowiedział jej swoją wizytę.

Po obiedzie wszyscy mężczyźni siedzieli w jadalni paląc i rozmawiając o stanie giełdy. Był to czas wielkiego poruszenia na Wall Street. Papiery wartościowe spadły nagle gwałtownie, a położenie stawało się z każdą chwilą gorsze.

— Mówią, że Wyman się złapał — rzekł Curtiss, powtarzając jedną z senzacyjnych wieści, kur-

sujących po giełdzie, na Wall Street. — Rozmawiałem wczoraj z jednym z jego ajentów.

— Wyman nie da się złapać tak łatwo, — odrzekł generał. — Jego właśni ajenci są czasami najpóźniej informowani o prawdziwym stanie jego interesów. Są podstawy do przypuszczenia, że niektórzy z wielkich giełdziarzy opanowali targ, bo publiczność, jak wiesz, jest bardzo zaniepokojona; ale z obecnej sytuacji niczego jeszcze wywnioskować nie można. Ci, którzy rzeczywiście wiedzą coś o położeniu, tak kompletnie mają w swym ręku giełdę, że są poprostu wszechwładnymi jej panami.

— Czy pan chce przez to wyrazić podejrzenie, że ten spadek papierów może być rezultatem manipulacji? — pytał Montague z niedowierzaniem.

— A dlaczegożby nie? odparł generał.

— Ruch ten wydaje mi się bardzo rozległym, jest więc nieprawdopodobnem, by jeden człowiek spowodować miał taki przewrót.

— To też nie jest to jeden człowiek, rzekł generał, lecz cała grupa ludzi. Proszę jednak zauważyć, że nie twierdzę tego stanowczo. Nie mógłbym wypowiedzieć takiego twierdzenia, nawet gdybym miał bezwzględną pewność. Widziałem jednak niektóre rzeczy, a innych się domyślam. Zresztą, musi sobie pan zdawać sprawę z tego, że obecnie sześciu ludzi ma w swem ręku mniej więcej 90 procent wszystkich banków miasta.

— Stan ten jeszcze pogorszy się w krótkim czasie, zauważył Curtiss po przerwie.

— Coś jednak trzeba uczynić, — odrzekł generał. — Położenie bankiera u nas staje się w obecnej chwili wprost nie do zniesienia; uczciwy bankier wypierany jest literalnie na każdym kroku przez spekulanta. I przychodzi chwila, w której człowiek albo musi się poddać dyktaturze tych ludzi, albo ustąpić z widowni. Jakiś nowy żywioł wcisnął się w nasze sfery finansowe. Widocznie, że dla założenia banku potrzeba tylko mieć dostateczny kredyt, by wystawić gmach o kolumnach marmurowych i kratach z bronzu. Mógłbym ci wymienić nazwisko człowieka, który posiada obecnie ośm banków, a gdy zaczynał przed trzema laty, nie wiem, czy miał milion dolarów majątku.

— Jakżeż on potrafił to urządzić? zapytał Montague, słuchając opowiadania generała z zapartym oddechem.

— Tak jak mówię, rzekł tenże. — Kupuje pan przedewszystkiem kawał gruntu, obciążony jak największą hypoteką, stawia pan na nim budynek za milion dolarów, i na jego hypotekę znowu bierze pożyczkę. Potem zakłada pan trust, urządza wspaniałą reklamę, i zapowiada wielkie procenta, na które łapie się publiczność. Teraz bierze pan nową pożyczkę, ubezpieczając ją na swoich udziałach w tym truście. Pieniędzy zawsze pan dostanie od jakichś głupich dyrektorów instytucji finansowych. Za te pieniądze kupuje pan nowy trust, itd. Nazywa się to »piramidowaniem«. Musiał pan słyszeć to wyrażenie bez wątpienia, odnośnie do akcji; jest to bardzo zajmująca gra — ta gra w banki, bo

im więcej ich pan nabywa, tem więcej piszą o panu dzienniki, i tem więcej ufa panu publiczność.

I generał w dalszym ciągu przedstawiał znane sobie wypadki. Był więc pewien młody człowiek, Stewart Lochinvar, który pochodził z zachodu. Czynił on kilka lat temu starania o nabycie związku trustów republiki, generał znał więc jego sposób postępowania. Zwalczał on trust miedziany w Montanie tak długo, aż trust ten zawiesił wypłaty, i celem wydobycia się z matni przekupił władze ustawodawcze i polityczne. Stewart jednak przemówił do opinii publicznej szeregiem sensacyjnych artykułów, i sprawił, że jego ludzie zasiedli jako sędziowie w trybunale, i wkońcu trust musiał wykupić jego udziały. A teraz człowiek ten przyjechał do Nowego Yorku, by tu zagrać swoją grę bankową, która lepiej mu się opłaciła, niż innym przekupienie trybunału. — I był niejaki Holt, sportowiec, jakiś ordynarny obieżysas, którego w Nowym Yorku identyfikowano ze wszystkiem, co było niskiego i podłego w mieście; on też za swe miliony nabył kilka banków. — Wreszcie był Cummings »król lodowy«, który przez lata całe trząsł polityczną administracją miasta, i przywłaszczywszy sobie monopol budowy okrętów przyparł do muru wszystkich swych rywalów. Zaczął też monopolizować ruch statków parowych, przeznaczonych do obsługi wybrzeży, i na tejsamej zasadzie »piramidowania« wykupywał jedną linię parowców po drugiej; teraz, doszedłszy do przekonania, że potrzebuje jeszcze więcej pieniędzy dla ostatecznego pognębienia przeciwników, na-

*

był czy założył jeszcze około tuzina trustów i banków.

— Każdy widzi, że stan taki nie może trwać w nieskończoność, — dorzucił generał. — Wiem o tem, że wielcy finansiści doskonale zdają sobie sprawę z tego. Byłem kiedyś na posiedzeniu dyrektorów, i słyszałem uwagę Watermana, który rzekł, że to się musi bardzo prędko skończyć. Każdy, kto zna Watermana, wie, że nie potrzebuje czekać na drugą »wskazówkę« z jego strony.

— Cóż by on mógł uczynić? — zapytał Montague.

— Waterman! — zawołał młody Curtiss.

— Już on znajdzie jakiś sposób, — twierdził generał spokojnie. — To jedyna nadzieja wyjścia z tej sytuacji: potęga konserwatysty takiego, jak Waterman.

— Ufa mu pan zatem? zapytał Montague.

— Tak, — rzekł generał, — ufam mu. Trzeba przecież komuś ufać.

— Słyszałem ciekawą historję, wtrącił Harry Curtiss. — Wuj mój był onegdaj wieczorem u niego na obiedzie, i zapytał go, co sądzi o stanie giełdy. »Mogę to panu powiedzieć jednem zdaniem«, rzekł stary Waterman na to: »Po raz pierwszy w życiu nie posiadam ani jednej pewnej akcji«.

Generał wydał okrzyk zdziwienia.

— Tak powiedział, naprawdę? zapytał z niedowierzaniem. — Wobec tego można się spodziewać, że w krótkim czasie będziemy świadkami ważnych wypadków.

— Teraz można sobie też wytłómaczyć, dlaczego usposobienie na giełdzie jest tak słabe, dodał drugi śmiejąc się.

W tej chwili otwarły się drzwi jadalni, i pani Prentice stanęła w progu.

— Czy wy mężczyźni przez cały wieczór będziecie mówili o sprawach giełdowych? zapytała. — Jeżeli tak, to chodźcie do salonu, i rozmawiajcie przynajmniej w naszej obecności.

Wstali wszyscy i poszli za nią, a Montague zajął miejsce na sofie pomiędzy panią Prentice a Curtissem.

— Co mówiliście o Danie Watermanie? pytała Curtissa pani Prentice.

— Ach, to długa historja! — rzekł tenże. — Wy kobiety nie lubicie Dana Watermana

Montague z pod oka obserwował Lucję i nie mógł powstrzymać się od nieznacznego uśmiechu.

— Co za wspaniały człowiek! — zachwycała się pani Prentice. — Podziwiam go więcej niż kogokolwiek z tych giełdziarzy. — A potem zwrócona do Montaguea, dodała:

— Czy widuje go pan kiedy?

— Tak odpowiedział, i z złośliwym uśmiechem dorzucił:

— Dziś właśnie go widziałem.

— Ja widziałam go zeszłej soboty wieczorem, — mówiła pani Prentice, nie domyślając się niczego. — Byłam w kościele Panny Marji, gdzie on obnosi

tacę. Czyż nie jest to podziwienia godnem, że człowiek, który ma tyle na głowie, jeszcze znajduje dość czasu na zajmywanie się sprawami swego kościoła?

I. Montague, spojrzawszy znowu w stronę Lucji, zauważył, że gryzła ona wargi nerwowo.



ROZDZIAŁ VII.

Montague ujrzał Lucję dopiero za tydzień. Przyszła na drugie śniadanie z Lucją jednego dnia, gdy on właśnie przypadkiem wrócił do domu wcześnie.

— Byłam wczoraj na obiedzie u pani Frank Landis, — rzekła, — i kogo myślisz, że tam spotkałam? — twoją znajomą, panią Winnie Duval

— Tak? — rzekł obojętnie Montague.

— Rozmawiałam z nią dosyć długo, i bardzo mi się podobała.

— Ona łatwo się podoba, — odpowiedział. — O czem mówiłyście?

— O wszystkiem możliwem, z wyjątkiem jednej rzeczy, mówiła Lucja figlarnie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Unikała wszelkiemi siłami rozmowy o tobie. Pani Winnie wiedziała, że żyjemy z sobą w przyjaźni, i miałam uczucie, że każde słowo, które wyrzekła, było przeznaczone dla ciebie.

— A cóż takiego miała mi do powiedzenia? zapytał Allan z uśmiechem.

— Chce ci dać do zrozumienia, że jest wesołą że nie usycha wcale z tęsknoty za tobą. Mówiła mi o wszystkich sprawach, które ją absorbują

— Czy mówiła ci o Babubananie?

— O czem? zaśmiała się Lucja.

No, widzisz, bo gdy ostatni raz ją widziałem, była właśnie w trakcie pzemienienia się w Hindusa, a rozmowa jej pełna była »Swamisów«, »Guanisów« i t. p.

— Nie, nie wspominała o tem.

— W takim razie zapewne już zaniechała tej myśli — rzekł Allan. — Cóż teraz jest celem jej życia?

— Prowadzi agitację przeciwko wiwisekcji.

— Przeciwko wiwisekcji?

— Tak Czy nie czytałeś w gazetach wzmianki o tem, że wybrano ją honorową zastępczynią przewodniczącego jakiegoś tam towarzystwa i że złożyła na rzecz tego towarzystwa kilka tysięcy dolarów?

— Nie można śledzić w pismach wszystkich czynów pani Winnie.

— Otóż, mówiła Lucy, słyszała ona jakieś straszne historje o tem, jak lekarze męczą biedne koty i psy, i koniecznie uwzięła się, by mi to wszystko opowiedzieć ze szczegółami. Nie można sobie wyobrazić bardziej niestosownej rozmowy przy obiedzie.

— Jest to w każdym razie wspaniała istota, dodała po chwili. Nie dziwię się wcale, że się mężczyźni w niej kochają. Miała włosy ułożone jakoś

dziwnie, i przepaskę na czole, i wyglądała zupełnie jak jakaś egipska księżniczka.

— To jedna z jej licznych ról, zauważył Montague.

— Czy to prawda, że zapłaciła pięćdziesiąt tysięcy dólarów za wannę?

— Twierdzi tak przynajmniej. Pisma też o tem doniosły, myślę więc, że musi być prawdą. Wiem, że Duval mówił mi raz sam, że kosztuje go ona miljon dolarów rocznie; ale może powiedział to tylko dlatego, że był zagniewany.

— Czyż Duval jest tak bogaty, że może sobie pozwolić na takie wydatki?

— Nie wiem, ile posiada majątku osobiście, rzekł Montague. Wiem jednak, że jest jednym z najbardziej wpływowych ludzi w Nowym Jorku. Nazywają go bankierem »systemu«.

— Słyszałam o nim od Rydera, powiedziała Lucja.

— Niezbyt pochlebne rzeczy, chyba, uśmiechnął się Montague.

— To prawda; zdaje się, że była między nimi jakaś sprzeczka. O co im chodziło?

— Nie wiem, brzmiała odpowiedź. Ryder idzie samopas, i jest *homo novus*, a Duval pracuje ręka w rekę z wielkimi finansistami, którzy nie lubią obok siebie niesfornych żywiołów.

Lucja umilkła na chwilę, i ściągnęła brwi w głębokiem zamyśleniu.

— Czy to prawda, że stanowisko Rydera jest tak chwiejne? Uważałam związek trustów Gothama

za największą instytucję w kraju. Jak opiewają te olbrzymie cyfry, które się widzi w ogłoszeniach i prospektach — siedmdziesiąt czy ośmdziesiąt miljonów, prawda?

— Tak mniej więcej.

— I to wszystko nieprawdziwe?

— Sądzę, że przeciwnie. Pamiętaj jednak o tem, że ja nie znam stanu interesów Rydera, słyszę tylko obiegające pogłoski. Wszyscy mówią, że gra on bardzo ryzykowną grę. Posłuchaj mojej rady i nie umieszczaj swoich pieniędzy w jego przedsiębiorstwach. Powinnaś być podwójnie ostrożną, bo masz nieprzyjaciół.

— Nieprzyjaciół? zdziwiła się Lucja.

— Czy zapomniałaś już o tem, co ci powiedział Waterman?

— Czy chcesz mi dać do zrozumienia, iż Waterman, zdaniem twojem, rozmawiać będzie z Ryderem o moich sprawach?

— Wiem, że to brzmi bardzo nieprawdopodobnie, takie rzeczy jednak zdarzały się już przedtem. Gdyby ktoś znał zakulisowe historje walk, które nieraz wstrząsały giełdą, przekonałby się, że wiele z nich taki miało początek.

Montague powiedział to przypadkowo, nie mając przytem nic szczególnego na myśli. Nie obserwował też uważnie Lucji, i nie widział wrażenia jakie na niej wywarły jego słowa. Skierował wnet rozmowę na inne tory, i najzupełniej zapomniał o wszystkiem następnego dnia, gdy nagle zawołano go do telefonu. Mówiła Lucja.

Tydzień już upłynął od czasu, gdy Allan wysłał list do firmy adwokackiej Smith i Hanson, w sprawie sprzedaży akcyi kolejowych.

— Allanie, pytała teraz Lucja przez telefon, nie otrzymałeś jeszcze odpowiedzi?

— Ani słówka.

— Mówiłam o tem dziś rano z jednym z moich znajomych, który poddał mi myśl, mającą, mojem zdaniem, wielkie znaczenie. Czy nie sądzisz, że byłoby dobrze dowiedzieć się, w czyjem imieniu adwokaci ci pertraktują?

— Na cóżby to się nam przydało?

— Może być, że przyczyniłoby się znacznie do naszej orjentacji. Jestem pewną, że oni wiedzą kto pragnie sprzedać akcje, a myśmy powinni wiedzieć, kto zamierza je kupić. Możebyś im napisał, że nie chcesz układać się z agentami?

— Ależ ja nie mogę tego uczynić, protestował Allan. Podałem już tym ludziom wysokość żądanej przez nas sumy, a oni nie odpowiedzieli. Pisząc po raz drugi, osłabimy tylko naszą pozycję, Będzie o wiele lepiej, jeżeli postaramy się pozyskać innego kupca.

— Chciałabym jednak bardzo wiedzieć, od kogo pochodzi oferta, nastawała Lucja. Słyszałam rozmaite pogłoski o tych akcjach i naprawdę chciałabym mieć pewność.

Powtórzyła swoje żądanie kilka razy, i widać było, że bardzo jej zależy na jego spełnieniu; Montague ciekaw był trochę, kto mówił z nią o tem i co za pogłoski słyszała. Pamiętny jednak przestro-

gi majora, nie pytał o nic przez telefon. Rzekł tylko:

— Sądzę, że popełniasz wielki błąd, uczynię wszakże zadość twemu życzeniu.

Poczem napisał list do panów Smith i Hanson, prosząc o osobistą rozmowę z jednym z członków firmy. List ten wyprawił przez posłańca, a po upływie godziny mniej więcej, mały, jakby druciany człowieczek o śmiesznie pomarszczonej twarzy i chytrze patrzących oczach przyszedł do jego biura i przedstawił się jako »Mr. Hanson«.

— Rozmawiałem z moją klijentką o tych akcjach koleji w Missisipi, rzekł Montague. Wiadomem panu jest może, że linję tę organizowano w trochę niezwykłych okolicznościach; większa część akcjonarjuszy, to osobiści przyjaciele mojej rodziny. Dlatego też klijentka moja wolałaby nie pertraktować z agentem, jeżeli można w jakiś sposób tego uniknąć. Chciałbym się dowiedzieć, czy klijent pański zgodziłby się na bezpośrednie układy z właścicielką akcyj.

Montague nie przerywał sobie, chociaż zauważył, że podczas słów jego mister Hanson przypatrywał mu się z widocznem zdziwieniem. Zanim jeszcze dokończył, wyraz ten ze zdziwienia przeszedł w ironiczny, brzydki grymas.

— Cóż to za figla zamierza mi pan wypłatać? zapytał przybysz.

Montague był zbyt uderzony temi słowami, by się oburzyć. Rozwarł tylko oczy szeroko, w osłupieniu.

— Nie rozumiem pana, rzekł.

— Nie rozumie pan, co? powtórzył tamten, śmiejąc mu się w twarz. W takim razie widać, że wiem więcej, niż pan sądzi.

— Jakto pan rozumie?

— Klijentka pańska nie jest już właścicielką akcyi, o których pan mówi, rzekł drugi.

Montague'owi zabrakło tchu w piersiach.

— Nie jest już właścicielką? z trudem wyjąkał.

— Naturalnie, że nie, rzekł Hanson. Sprzedała je przed trzema dniami

A potem, nie mogąc sobie odmówić satysfakcji, dodał:

— Sprzedała je panu Ryderowi. A jeżeli pan chce wiedzieć coś więcej w tej sprawie, to powiem panu, że sprzedała je za sto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, a on wystawił jej weksel z terminem płatności po upływie miesiąca na sto czterdzieści tysięcy.

Montague był zupełnie oszołomiony. Patrzył przed siebie, niezdolny uczynić jakiegokolwiek ruchu.

Hanson poznał, że wzruszenie to jest rzeczywistem i szczerem, i uśmiechnął się sarkastycznie.

— Widocznie, panie Montague, rzekł, pozwoliłeś się podejść swej klijentce.

Montague opanował się i ukłonił się grzecznie

— Winienem pana przeprosić, panie Hanson, rzekł cichym głosem. Mogę tylko zapewnić pana, że nic nie miałem do czynienia z tą sprawą.

Potem wstał i pożegnał przybysza.

Gdy się drzwi za Hansonem zamknęły, Allan chwycił się krzesła, stojącego przed jego biurkiem, by nie upaść, i nieruchomo patrzył przed siebie.

— Stanleyowi Ryderowi! powtórzył półgłosem.

Przystąpił do telefonu i kazał się połączyć z Lucją.

— Lucy, rzekł, czy to prawda, że sprzedałaś swoje akcje?

Słyszał, jak wydała lekki okrzyk.

— Odpowiadaj! zawołał.

— Allanie, zaczęła, będziesz się gniewał na mnie.

— Proszę cię, odpowiedz natychmiast, powtórzył dobitnie. Czy sprzedałaś akcje?

— Tak Allanie, tak; nie chciałam...

— Nie chcę rozmawiać w tej sprawie przez telefon, rzucił. Wstąpię do ciebie dziś popołudniu, wracając z biura. Proszę cię, bądź w domu, bo to ważna rzecz. Po tych słowach powiesił słuchawkę.

Zjawił się w umówionym czasie, a Lucja czekała na niego. Była blada i bardzo przygnębiona. Siedziała na krześle gdy wszedł, i ani nie wstała na jego powitanie, ani nie przemówiła do niego, tylko patrzyła w twarz jego jakoś błagalnie.

A twarz Allana miała wyraz poważny, niemal surowy:

— Postępkiem twoim sprawiłaś mi wielką przykrość, rzekł on. Nie chcę przedłużać tej nieprzyjemnej chwili poza czas konieczny. Myślałem o tem wszystkiem i powziąłem stosowne postanowianie,

dyskusja zatem wszelka byłaby zbyteczną. Nie będę mógł się nadal zajmować twojemi sprawami.

Lucja wydała okrzyk:

— O Allanie!

Miał ze sobą tękę, zawierającą wszystkie jej papiery.

— Przyniosłem ci wszystko aż do bieżącego dnia, rzekł. Są tu wszystkie rachunki i korespondencje. Pierwszy lepszy będzie mógł łatwo stwierdzić stan rzeczy dokładnie.

— Allanie, rzekła błagalnie, jesteś rzeczywiście okrutnym.

— Bardzo mi przykro, odparł, ale nie mogę nic więcej dla ciebie uczynić.

— Czyż nie miałam prawa sprzedania tych akcyj Ryderowi? zawołała.

— Miałaś zupełne prawo sprzedania ich komukolwiek. Nie miałaś jednak prawa prosić mnie o zajmowanie się twymi interesami, a potem utrzymywania mnie w nieświadomości co do twoich kroków.

— Ależ Allanie, usprawiedliwiała się, sprzedałam je dopiero przed trzema dniami!

— Wiem o tem bardzo dobrze. Z chwilą jednak gdy postanowiłaś tę sprzedaż, obowiązkiem twoim było zawiadomić mnie o tem. Tu jednak nie o to chodzi. Używasz mnie jako narzędzia do wybierania z ognia kasztanów dla Stanleya Rydera.

Widział jak skurczyła się pod wpływem tych słów.

— Czyż nie tak? zapytał. Czyż nie on kazał ci powiedzieć mi, bym się starał o informacje co do osoby oferenta?

— Tak, Allanie, naturalnie, że to on, przyznała Lucja. Czyż nie widzisz jednak, jak żałuję tego? nie jestem biegłą w sprawach finansowych i nie zdawałam sobie sprawy z tego, że —

W każdym razie wiedziałaś, że nie postępujesz ze mną szczerze. To wszystko, o co mi chodzi i dlatego to właśnie nie chcę przyjąć nadal twego pełnomocnictwa Stanley Ryder kupił twoje akcje, niechże będzie także twoim doradcą na przyszłość.

Nie chciał pierwotnie zapuszczać się w dyskusję z nią, widział jednak jak głęboko ją dotknął, i dawne więzy, istniejące między nimi, zatrzymały go.

— Czyż nie możesz zrozumieć, coś mi uczyniła, Lucjo? zawołał z wymówką. Wyobraź sobie moje położenie. Rozmawiam z tym Hansonem, nie wiedząc o niczem, podczas gdy on ma najdokładniejsze informacje. Wiedział, ile otrzymałaś gotówki, wiedział nawet, że wzięłaś weksel.

Lucja patrzyła na Montague'a szoroko rozwartemi oczyma.

— Allanie! krzyknęła.

— Wiesz, co to znaczy — rzekł — Allan. Powiedziałem ci, że nie będziesz mogła utrzymać w tajemnicy twojego postępowania. Teraz jest to kwestją tylko kilku dni, a wszyscy, którzy wiedzą o tem, będą sobie szeptali do uszu, że pozwoliłaś Stanleyowi Ryderowi na wmięszanie się w twoje sprawy, i na wyrządzenie ci tej przysługi.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której Lucja siedziała nieruchoma, jak posąg. Nagle spojrzała na Montaguea.

— Allanie! — wybuchnęła gwałtownie.— Chciejże zrozumieć! Miałam przecie prawo sprzedać te akcye. Ryder potrzebował ich. Ma on zamiar zorganizować syndykat i rozwinąć linię. Była to zwykła transakcja finansowa.

— Nie wątpię o tem Lucy — rzekł Montague prawie półgłosem. — Jakże jednak udowodnisz to innym? Powiedziałem ci odrazu co się stanie, jeżeli pozwolisz sobie na zażyłość z człowiekiem jak Stanley Ryder. Za późno dowiesz się o znaczeniu tych słów. Wszak już to, co cię spotkało ze strony Watermana powinno ci było otworzyć oczy na to, co ludzie mówią.

Lucy zerwała się jak pod wpływem uderzenia i patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

— Allanie! zdołała wymówić z trudem.

— Cóż takiego?

— Czy chcesz mi dać do zrozumienia, że to się stało dlatego, że Ryder jest moim przyjacielem?

— To zupełnie jasne. Waterman słyszał kursujące o tobie plotki, i pomyślał, że jeżeli Ryder jest bogatym, to on jest dziesięć razy bogatszym.

Montague widział, jak rumieniec pokrył nagle szyję i twarz Lucji. Stała przed nim łamiąc ręce nerwowo.

— O Allanie! — rzekła — to potworne!

— Nie ja ponoszę winę tego. Takim jest świat. Przekonałem się o tem sam swego czasu, i chciałem abyś korzystała z mego doświadczenia.

— Ależ to straszne! Nie uwierzę temu nigdy! Nie cofnę się przed taką potwarzą. Nie będę na tyle tchórzliwą, by wyrzec się przyjaciela dla ludzkiej podłości.

— Znam to uczucie — rzekł Montague. — I stałbym przy tobie, gdyby chodziło o innego człowieka, a nie o Stanleya Rydera. Jego jednak znam lepiej niż ty, zapewniam cię.

— Nie znasz go Allanie, nie możesz go znać! — zaprzeczyła. — Mówię ci, że to uczciwy człowiek! Jego nikt nie rozumie.

Montague wzruszył ramionami.

— Możliwe — rzekł obojętnie. — Słyszałem już o tem. Wielu ludzi jest lepszych niż ich czyny; w każdym razie mają siebie za takich. Ty jednak nie masz prawa łamania sobie życia z litości dla Rydera. On jest sam twórcą swej złej sławy, i gdyby naprawdę dbał o ciebie, nie żądałby, abyś się w ten sposób poświęcała dla niego.

— Nie żądał tego odemnie, — rzekła Lucja.— Co uczyniłam, uczyniłam z własnej woli. Wierzę w niego, i nie chcę słuchać tych strasznych pogłosek, które mi opowiadasz.

— Dobrze więc, — powiedział Montague — w takim razie musisz pójść swoją własną drogą.

Mówił spokojnie, chociaż serce pękało mu z bolu. Mógł sobie odtworzyć w myśli każde słowo

rozmowy, zapomocą której Ryder doprowadził Lucję do obecnego jej stanu.

Mógłby był rozwiać piękny obraz Rydera, który tenże wywołał przed oczyma nieświadomej kobiety. Nie chciał jednak tego uczynić, wiedziony może instynktem Wiedział, że Lucja kocha tego człowieka, i że nie będzie się liczyła z żadnymi faktami, jakieby ktokolwiek dla oskarżenia go, jej przytoczył. Powiedział więc tylko na odchodnem:

— Zobaczysz sama, przekonasz się, że mówiłem prawdę.

Potem odwrócił się, rzucił jeszcze jedno spojrzenie na jej zgnębioną twarz, i wyszedł nie dotknąwszy nawet jej ręki.



ROZDZIAŁ VIII.

Było około połowy maja, i wszyscy znajomi Montaguea wyjechali już na letnie rezydencje; ci zaś, którzy przykuci byli do swych pulpitów, mieli jachty, automobile lub prywatne wagony, i codziennie popołudniu wyjeżdżali na wieś, do domu. Montague był zaproszony na tydzień do Eldridge'a Devon'a, gdzie już od tygodnia bawiła Alicja; nie mógł jednak wyjechać przed sobotą popołudniem, W dzień ten udał się ku górnemu Hudsonowi na nowym, trzysta stóp długim, parowym jachcie Devona-*Tritonie.*

Jakiś złośliwy człowiek określił był Devona wobec Montague'a jako »uosobienie ziewania«. W ten wieczór jednak okazał on wiele zainteresowania się sprawami bieżącemi. Doszedł nagle do przekonania, że nowy i mało reklamowany automobil, okazał swoją wyższość nad wszystkimi siedmnastoma innymi, które on utrzymywał w swoim *garage'u.* Zakupił więc trzy powozy tego systemu, i podczas gdy Montague siedział na pokładzie *Tritona* i przypatrywał się wspaniałym widokom na brzegach, dźwięczały

mu bezustannie w uszach monotonnym głosem wywody Devona o cylindrach, kołach, pneumatykach itp.

Jeden z tych nowych automobilów czekał na pasażerów jachtu przy prywatnej przystani Devona, i zabrał ich pędem do pałacu, leżącego po drugiej stronie wzgórza. Pałac ten nigdy nie wydawał się Montague'owi tak cudownym, jak właśnie wówczas, gdy otoczony był kwitnącemi drzewami owocowemi, gdy wiosna roztaczała swój nieopisany czar dokoła. Na przestrzeni kilku mil można było widzieć stoki gór, które rozciągały się, jak nieskończone trawniki o jasnej, świeżej zieloności. Eldridge Devon jednak nie miał niestety należytego zrozumienia dla piękności tych stoków, chyba gdy służyły mu one jako pole do gry w »golf«. Montague nigdy nie odczuwał tak wyraźnie opłakaną bezduszność otaczających go ludzi, jak obecnie, gdy stojąc w portyku domu dosyć wspaniałym, by należeć do jakiegoś wyśnionego pałacu z bajki, — patrzył na rozległe wybrzeże Hudsonu ponad głowy pani Billy Alden i jej »dworu«, grających w whista na tarasie.

Po śniadaniu udał się na przechadzkę z Alicją, która opowiadała mu, jak spędziła dotąd czas w tym domu.

— Młody Curtiss bawił tu przez parę dni — rzekła.

- Siostrzeniec generała Prentica?

— Tak. Mówił mi, że poznał cię. Co myślisz o nim?

— Zrobił na mnie wrażenie rozsądnego młodego człowieka.

— Mnie się bardzo podobał. Sądzę, że będziemy przyjaciółmi. Jest zajmującym w rozmowie; wiesz, że służył on w pułku milicji, wysłanym do Kuby, i był cowboyem, i przeżywał bardzo wiele ciekawych przygód. Onegdaj rano szliśmy brzegiem Hudsonu, i wówczas opowiedział mi to wszystko. Mówią, że mu się dobrze powodzi jako adwokatowi.

— Jest wspólnikiem znanej ogólnie firmy, do której nigdyby się nie dostał, gdyby nie miał zdolności.

— Jest wielkim przyjacielem Laury Hegan — rzekła Alicja. — Laura spędziła tu jeden dzień. Niełatwo robi ona znajomości, co jest dla niej komplimentem.

Montague mówił o wizycie swej u Laury Hegan, w jednej z sąsiednich rezydencji.

— Rozmawiałam z nią dosyć długo, rzekła Alicja. — Zaprosiła mnie na śniadanie i zabrała ze sobą na przejażdżkę. Nie myślałam nawet, że ją tak polubię. A tobie, Allanie, nie podoba się Laura?

— Nie mogę powiedzieć, że ją znam, rzekł Montague. Myślę, że podobałaby mi się, zdaje się jednak, że ona nie ma dla mnie sympatji.

— Jakże to może być? zapytała dziewczyna.

Montague uśmiechnął się.

— Bywają rozmaite upodobania, rzekł.

— Musi być jednak jakiś powód, obstawała Alicja. Bo wiesz, ona na wiele rzeczy zapatruje się tak samo jak ty. Powiedziałam jej, że sądzę, iż rozmowa z tobą byłaby dla niej zajmującą.

— I cóż ona na to?

— Nie powiedziała ani słowa, odrzekła Alicja, a potem znowu pod wpływem tej samej upartej myśli zwróciła się do brata.

— Jestem pewną, że musisz wiedzieć jaki jest powód tego. Chciałabym, żebyś mi powiedział.

— Nie wiem nic określonego, naprawdę, zapewniał Montague. Podejrzywałem jednak zawsze, że musi to mieć związek z panią Winnie.

— Z panią Winnie! zawołała Alicja z ogromnem zdziwieniem.

— Sądzę, że Laura musiała słyszeć jakieś plotki i uwierzyć im, mówił dalej Allan.

— Ależ to okropne! oburzała się dziewczyna. Dlaczego nie powiesz jej prawdy?

— Ja miałbym jej mówić o tem! zaśmiał się Montague. Nie mam do tego najmniejszego powodu. Jej wcale a wcale nie zależy na mnie.

Umilkł na chwilę a potem dodał:

— Myślałem o tem nieraz. Bo z początku gniewało mnie to. I układałem sobie, że pójdę do niej i powiem jej: »To, co pani myśli o mnie, nie jest prawdą!« i widziałem już w duchu na jej twarzy wyraz zdziwienia, wywołany temi słowy. Potem znowu myślałem, że lepiej będzie napisać jej list, w którym wyjaśniłbym jej wszystko. Ale jedno i drugie oczywiście byłoby absurdem; nigdy przecie nie przyznałaby, że wierzyła jakimkolwiek pogłoskom i pomyślałaby o mnie, że jestem impertynentem.

— Nie sądzę, żeby coś takiego pomyślała, odpowiedziała Alicja. Przynajmniej w takim razie nie, jeżeli to co mówiła do mnie, było prawdą. Rozmawiałyśmy o ludziach, których spotyka się w towarzystwie, a ona skarżyła się, że tacy wszyscy nudni i konwencjonalni. »Nikt nigdy nie mówi prawdy, ani nie postępuje z nami szczerze«, mówiła. »Wszyscy mężczyźni trawią czas na prawieniu komplementów i powtarzają wiecznie te same komunały o naszej piękności. Myślą widocznie, że kobietom o to tylko chodzi. Im więcej ich poznaję, tem mniej zajmuję się nimi.

— Nic dziwnego, podchwycił Montague. Nie można być swobodnym z panną w jej pozycji. Ojciec jej jest potęgą finansową, a ona sama kiedyś będzie niezmiernie bogatą; i wszyscy, którzy gromadzą się koło niej, starają się ją wykorzystać. Skoro tylko ją poznałem, zainteresowała mnie bardzo. Gdy jednak dowiedziałem się, w jakim świecie żyje, nie mogłem się przemódz nawet na tyle, by przemówić do niej.

— To przecież niesprawiedliwie dla niej. Wyobraź sobie, że wszyscy porządni ludzie takby myśleli. A ją rzeczywiście warto poznać. Opowiadała mi o rozmaitych instytucjach humanitarnych, w których bierze udział. Schodzi do najnędzniejszych zaułków po wschodniej stronie miasta i uczy biedne dzieci. Mnie się to wydawało strasznie zuchwałem przedsięwzięciem, ale gdy jej to powiedziałam, wyśmiała mnie tylko. Wytłómaczyła mi, że ci ludzie są zupełnie tacy sami jak inni; jeżeli ich bliżej po-

znać, można się podobno przyzwyczaić do ich zwyczajów, a potem nie wydaje się to tak strasznem i obcem.

— I ja tak sądzę, zauważył Montague z uśmiechem.

— Ojciec jej wyjechał po nią z miasta. Mówiła mi, że pierwszy to raz od sześciu miesięcy, że stary Hegan opuścił Nowy York na kilka godzin!... Pracować tak ciężko, mając tyle pieniędzy!... Powiedz mi, dlaczego on ciągle jeszcze chce ich mieć coraz więcej?

— Nie sądzę, że mu chodzi o pieniądze, lecz o władzę. Zresztą jeżeli się ma taki majątek, trzeba pracować ciężko, by go nie stracić.

— Co do niego, to wygląda on tak, jakby sobie doskonale umiał dawać radę, rzekła dziewczyna. Jego twarz taka ponura i rozkazująca! Zdawałoby się, że nie umie się wcale uśmiechać.

— Jest bardzo ujmującym, gdy go się pozna bliżej, rzekł Allan.

— Pamiętał cię dobrze i pytał o ciebie. Czy to nie on miał kupić akcje Lucji Dupree?

— Mówiłem z nim o tem, ale jakoś później nie przyszło do kupna z jego strony.

— Allanie, rzekła Alicja nagle po dłuższej przerwie, co to takiego mówią o Lucji?

— Czemu pytasz?

— Mówią o niej i o panu Ryderze. Wczoraj słyszałam uwagi pani Landis na ten temat. Wprost oburzające!

Montague nie wiedział, co powiedzieć

— Cóż ja mogę uczynić? zapytał wreszcie.

— Nie wiem, rzekła Alicja bezradnie, myślę jednak, że Wiktorja Landis jest wstrętną babą Wiem dobrze, że sama ona wcale nie krępuje się w swem postępowaniu. I opowiada takie gorszące anegdotki!

Montague milczał.

— Powiedz mi, zaczęła znowu Alicja po chwili, czy dlatego, że złożyłeś pełnomocnictwo w jej sprawach i nie chcesz już mieć z niemi do czynienia, nie będziemy jej już wcale widywali?

— Tego nie wiem, odrzekł Allan. Sądzę, że nie zechce już ona widywać mnie. Powiedziałem jej, że popełniła błąd, ale ona woli iść własną drogą. Co więcej mogę uczynić?

Tego wieczora Montague siedział wygodnie na sofie obok pani Billy Alden.

— Co to za pogłoski obiegają o przyjaciółce pana, pani Taylor? zapytała.

— Nie wiem, rzekł krótko Montague.

— Urocza wdowa zanadto się rzuca, jak się zdaje, mówiła dalej pani Alden.

— Dlaczego pani to mówi?

— Vivie Patten powiedziała mi. To dawna flama Rydera, wie pan — jedna z wielu, myślę więc, że wiadomość pochodzi wprost od niego.

Montague oniemiał. Nie mógł znaleźć w myśli ani jednego słowa.

— Szkoda jej, rzekła pani Billy Alden. To takie urocze stworzenie! Zaszkodzi jej to bardzo,

wie pan. Jest tu obcą i rzecz cała zdarzyła się zbyt prędko. Czy to taki zwyczaj w Mississippi?

Montague opanował się i z trudem zaczął:

— Lucja jest panią swego postępowania.

Ale pani Billy przerwała mu słowami:

— Vivie powiedziała, że jest ona kochanką Rydera

A potem dodała:

— Rozumiem, że panu musi być przykro. Wszyscy będą mówili o tem. Przyjaciel pański, Reggie Mann słyszał, co Vivie powiedziała i on się już postara o należyte rozszerzenie wiadomości.

— Reggie Mann nie jest moim przyjacielem, rzekł szorstko Montague.

Rozmowa się urwała.

— Jak pani może ścierpieć tego człowieka? zapytał po chwili Allan, chcąc zmienić temat.

— O Reggie jest bardzo pożytecznym! brzmiała odpowiedź. Pani Billy rozejrzała się po pokoju.

— Czy widzi pan wszystkie te kobiety? spytała. Niech je pan weźmie rano i zamknie ich pół tuzina razem do jednego pokoju. Jedna drugiej nienawidzi jak trucizny. Jeżeli nie ma wśród nich mężczyzn, nie mają co robić; jakże je wówczas powstrzymać od kłótni?

— Czy to rola Reggie Manna?

— Właśnie. Podchwytuje w lot każde słowo, i wypuszcza dowcip, jak rakietę. Nie chodzi wcale o to, co on robi — widziałam go już potykającego się o własne nogi i słyszałam go piejącego jak ko-

gut. Byle zabawić towarzystwo i wywołać wybuch śmiechu.

— Czy nie obawia się pani, że te uwagi dojdą do jego uszu? zapytał Montague z uśmiechem.

— To właśnie jest ich celem, rzekła pani Billy, a potem dodała:

— Zdaje mi się, że pan nie musi mieć wielu nieprzyjaciół.

— Przynajmniej nie śmiertelnych.

— A widzi pan, odrzekła. Powinien sobie pan postarać się przynajmniej o kilku. Nieprzyjaciele — to przyprawa życia. Mówię zupełnie szczerze, oświadczyła, widząc jego uśmiech.

— Nigdy nie myślałem o tem.

— Czy wie pan co to jest rzeczywista walka? Widzi pan, jest pan konwencjonalnym i nie chce pan przyznać tego. Cóż jednak zdoła więcej człowieka rozbudzić, aniżeli prawdziwa, intensywna nienawiść? Przyjdzie dzień, kiedy się pan przekona o tem — głównym celem życia jest ścigać kogoś, kto jest naszym wrogiem i powalić go, i widzieć go wijącego się w poniżeniu.

— Przypuśćmy jednak, że my jesteśmy pokonanymi? przerwał Montague.

— Ach! rzekła, nie trzeba się dać pokonać! To właśnie jest przedmiotem walki. Ścigać wroga i najpierw go zdławić.

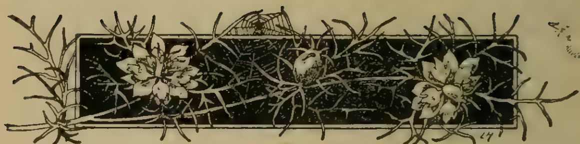
— To trochę barbarzyńskie zapatrywanie, zauważył.

— Przeciwnie, zaprzeczyła pani Alden. Jest to największą zdobyczą cywilizacji. To właśnie jest ce-

lem społeczeństwa: kult sztuki nienawidzenia. Jest to walka o byt i dobór naturalny w nowej formie. Najbardziej przysposobiony zostaje przy życiu. Studjuje się ofiarę, wynajduje się wszystkie jej słabe strony, wszystkie jej błędy i wady, i wie się dokładnie, gdzie ugodzić. Wyśledzić, czego pragnie i pozbawić ją upragnionej rzeczy! Wybierać starannie sprzymierzeńców, otoczyć ją i zgnębić! a potem, gdy się ją w proch starło, upatrzyć sobie drugą!...

Pani Billy przebiegła okiem całe wytworne towarzystwo, zebrane w salonie à la Louis XVI. u pani Devon.

— Czy myśli pan, że wszyscy ci ludzie w innym celu tu dziś przyszli?..



ROZDZIAŁ IX.

Przeszedł tydzień lub dwa, gdy pewnego dnia Oliver zawołał brata do telefonu.

— Czy ty lub Alicja macie dziś wieczór zajęty? pytał. Chciałbym przyprowadzić ze sobą przyjaciela na obiad.

— Któż to taki? dowiadywał się Montague.

— O, nie słyszałeś o nim z pewnością, mówił Oliver. Chciałbym jednak, żebyś go poznał. W pierwszej chwili będzie ci się wydawał trochę dziwacznym, ale wytłómaczę ci to później. Przeproś Alicję w mojem imieniu i zapowiedz jej gościa.

Montague spełnił polecenie i o siódmej godzinie zeszli na dół. W salonie czekał już Oliver z nieznajomym, na którego widok Montague zdołał zaledwie ukryć spojrzenie, pełne zdziwienia.

Nazwisko gościa było mister Gamble. Był to człowiek małego wzrostu, trochę ponad pięć stóp i tak otyły, że dziwnem się wydawało, że wogóle ta bryła sadła o własnych siłach przenosi się z miejsa na miejsce. Podbródek i kark tego tłuściocha złożone były z całego szeregu wałków tłuszczu. Z

twarzy jego, okrągłej jak księżyc w pełni, wyzierało dwoje malutkich, świńskich oczu. Dopiero po bliższem przyjrzeniu się można było zauważyć, że oczy te były chytrze przymrużone.

Wogóle pan Gamble był najpospoliciej wyglądającym człowiekiem, z którym kiedykolwiek zdarzyło się Alicji siedzieć przy jednym stole. Wyciągnął ku niej małą, tłustą rękę, której ona dotknęła nieśmiało, a potem spojrzała na Olivera i Allana w bezradnem zakłopotaniu.

— Dobry wieczór, dobry wieczór, zaczął pan Gamble z pośpiechem. Bardzo mi miło poznać państwa. Panie Montague, tyle już słyszałem o panu od pańskiego brata, że zdaje mi się, że mam przed sobą starego przyjaciela.

Nikt nie odpowiadał na jego wynurzenia.

— Czy przejdziemy do jadalni? zapytał wreszcie Montague.

Obawiał się w duchu zdziwionych spojrzeń znajomych, nie było jednak innego wyjścia. Weszli więc i usiedli przy jednym ze stołów, podczas gdy przez głowę Montague'a przeszła myśl, szybka jak błyskawica: czy też pan Gamble zdoła dosięgnąć stołu ręką, umieszczoną na króciutkiem ramieniu?

— Ciepły wieczór! zauważył tenże, sapiąc z lekka. Spędziłem cały dzień w wagonie.

— Pan Gamble przybywa z Pittsburga, objaśniał Oliver.

— Czy tak? rzekł Montague, starając się zapoczątkować jakąś rozmowę. Czy pan tam ma interesa?

— Nie, już wyszedłem z interesów. rzekł pan Gamble z uśmiechem. Napełniłem sakwę, że tak powiem, i wycofałem się. Chcę zobaczyć trochę świata, zanim się zestarzeję zupełnie.

Przyszedł kelner po dyspozycję, a tymczasem Montague z wymówką spojrzał na brata, który siedział uśmiechając się pogodnie. W tej chwili też Allan pochwycił spojrzenie Alicji, które zdawało się mówić: »O czemże, na miłość boską, mam mówić z tym człowiekiem?«

Okazało się jednak, że nie trudno było rozmawiać z gentlemenem z Pittsburga, który jakoś znał wszystkie plotki stolicy i swobodnie dostarczał materjału do rozmowy. Był w zimie w Palm Beach i Hot Springs (modne amerykańskie miejsca kąpielowe, coś w rodzaju europejskiej Riviery. Przyp. tłum.) i opowiadał o tem, co tam widział; wybierał się na lato do Newport i mówił o swych widokach zabawy tamże. Jeżeli miał jakieś niewyraźne poczucie tego, że całe jego opowiadanie nie zbyt zajmuje Montague'a i jego siostrę, nie dawał tego poznać po sobie.

Po skonsumowaniu wystawnego obiadu, zamówionego przez Olivera, mister Gamble zaproponował udanie się na przedstawienie do teatru. Okazało się, że ma zamówioną lożę, a Oliver przyjął jego zaproszenie, zanim jeszcze Allan miał czas odmówić w imieniu Alicji. Sam jednak uchylił się od towarzyszenia im, tłómacząc się, że ma ważną pracę, którą musi wykończyć.

Udał się więc na górę, i otrząsnąwszy się z niazadowolenia zabrał się do pracy. Jakoś po północy, gdy już skończył robotę, wyszedł, by zaczerpnąć świeżego powietrza, a wróciwszy, zastał Olivera i jego przyjaciela w przedsionku hotelu.

— Jak się pan ma, panie Montague? rzekł mister Gamble. Przyjemnie mi, że pana znowu widzę.

— Alicja poszła właśnie na górę, rzekł Oliver. My mieliśmy zamiar posiedzieć trochę w kawiarni. Pójdziesz z nami?

— Niech pan przyjdzie! prosił Gamble serdecznie.

Montague zgodził się, chciał bowiem jeszcze porozmawiać z Oliverem tego wieczora przed udaniem się na spoczynek.

— Czy pan zna Dicka Inghama? zagadnął mr Gamble, gdy już zasiedli przy stole.

— Ma pan na myśli tego z przemysłu stalowego? zapytał Montague. Nie, nigdy go nie widziałem.

— Mówiliśmy właśnie o nim, rzekł tłuścioch. Biedny chłop! to rzeczywiście był pech, wie pan, nie jego wina. Czy słyszał pan kiedy prawdziwy przebieg tej historji?

— Nie, rzekł Montague, który wiedział już do czego tamten zmierza. Ingham, jeden z przedsiębiorców przemysłu stalowego, z »ludzi stalowych«, jak ich nazywano, był prezydentem trustu, dopóki jakiś skandal nie zmusił go do rezygnacji.

— Jest to stary mój przyjaciel, rzekł Gamble, opowiedział mi wszystko dokładnie. Zaczęło się to w Paryżu. Jakaś dziennikarka chciała go oczernić, za co on kazał ją zamknąć na trzy miesiące do więzienia. A gdy wyszła, wówczas krajowe pisma zaczęły wymyślać bajki o tem, że biedny Ingham »się puszcza«. I publiczność się rozwścieczyła i zmusiła go do rezygnacji, niech sobie pan wyobrazi!

Gamble zaczął chichotać nerwowo, aż dostał ataku kaszlu i musiał zadzwonić na kelnera o szklankę wody.

— Teraz mają nowy skandal napięty, rzekł Oliver.

— To żwawi ludzie, ci chłopcy od stali, zaśmiał się drugi. Chcą teraz zmusić Dawidsona do rezygnacji, ale ten się nie da. Za wiele wie! słyszał pan jego historję?

— Nie wyobrażam sobie, żeby była zbyt budującą, rzekł Montague, byle coś powiedzieć.

— Szkoda! mówił dalej Gamble poważnie. Mówiłem z nim nieraz, ale to nic nie pomaga. Pamiętam, że Dawidson powiedział raz: »Jim«, mówi człowiek zarabia kupę pieniędzy i kupuje sobie wszystko, czego pragnie, aż wreszcie kupuje sobie kobietę. I zaczynają się dla niego kłopoty. Jeżel ktoś gromadzi obrazy«, mówi, »musi to mieć swó koniec, prędzej czy później zakryje obrazami wszystkie swoje ściany. Kobiety jednak nigdy nie można zadowolić«. I Gamble zabawnie przerzucał okrągłą swą głowę z jednego ramienia na drugie.

— Szkoda, szkoda, powtarzał w zamyśleniu.

— Czy pan również pracował w przemyśle stalowym? zapytał Montague uprzejmie.

— Nie, nie, ja byłem w nafcie. Zwalczałem trust i zeszłego roku oni wykupili wszystkie moje akcje. Teraz przyjechałem, by ujrzeć trochę świata.

Mister Gamble ponownie zapadł w zadumę.

— Ja sam nigdy nie wdawałem się w takie rzeczy, zauważył, jakby sam do siebie. Jestem żonatym człowiekiem i jedna kobieta wystarcza mi w zupełności.

— Czy rodzina pańska bawi w Nowym Jorku? zapytał Montague, chcąc za wszelką cenę zmienić przedmiot rozmowy.

— Nie, nie, oni mieszkają w Pittsburgu, odpowiedział Gamble. Mam cztery córki, wszystkie na uniwersytecie. Zadziwiające dziewczęta, mówię panu, chciałbym, żeby je pan poznał, panie Montague.

— Byłoby mi bardzo przyjemnie, rzekł Allan, wstrząsając się wewnątrz.

Ale za kilka minut, ku wielkiemu jego zadowoleniu, mister Gamble wstał i pożegnał się.

Montague patrzył, jak z trudem wdrapywał się do swego automobilu, poczem zwrócił się do swego brata.

— Oliverze, zapytał ze złością, co to znaczy, u wszystkich djabłów?

— Jak to „co znaczy“? zapytał Oliver z miną niewiniątka.

— Ależ ten człowiek! zawołał Allan.

— Więc cóż? Myślałem, że ci się będzie podobał To ciekawy chłop.

— Nie mam najmniejszej ochoty do żartów, rzekł Allan gniewnie. Jakiem prawem obrażasz Alicję, przedstawiając jej takiego człowieka?

— Pleciesz androny! wybuchnął Oliver. On zna wszystkich najznaczniejszych ludzi w Nowym Jorku.

— Gdzież go poznałeś?

— Pani Landis przedstawiła mi go najpierw. Ona znowu poznała go przez swego kuzyna, oficera marynarki. Gamble mieszkał ubiegłej zimy w Brooklynie i zna wszystkich marynarzy.

— Co to za indywiduum, ostatecznie? nastawał Montague zniecierpliwiony. Czy to może jest w związku z jakimś twoim interesem?

— Nie, nie, rzekł Oliver, uśmiechając się swobodnie. To rzecz czysto towarzyska. Pragnie on być przedstawionym rozmaitym ludziom, rozumiesz?

— Czy zatem będziesz go za wszelką cenę wprowadzał w towarzystwo?

— Właśnie. Jesteś na dobrym tropie.

Montague spojrzał na brata wzrokiem bezmiernego zdziwienia.

— Oliverze, chyba żartujesz! rzekł. Taki pan w salonie!...

— Dlaczegóżby nie, jeżeli sobie tego życzy. Cóż to szkodzi?

— Ależ jego żona i córki! zawołał Allan.

— O, o to nie chodzi; familia zostaje w Pittsburgu! Tym razem on sam tylko wchodzi w grę. A co do córek, dodał Oliver po chwili, założyłbym się, że gdybyś ujrzał cztery panny Gamble, odzna-

czone w szkołach, nie odróżniłbyś je od panien z najlepszego towarzystwa. Wszystkie one wychowały się na pierwszorzędnej pensji i miały wszystko, co za pieniądze człowiek może dostać. Tyle już słyszałem o ich wykształceniu, że aż mnie uszy bolą!

— Czy jednak myślisz naprawdę, że przyjaciele twoi będą przyjmowali tego człowieka?

— Niektórzy z nich z pewnością. Musisz wiedzieć, że ma on pieniędzy w bród. Zresztą rozumie doskonale sytuację, nie popełni wiele błędów.

— Ale czegóż on chce, na Boga?

— Zostaw to jemu samemu.

— A ty? zapytał Allan, czy ty bierzesz pieniądze za to?

Twarz Olivera wykrzywiła się długim i zagadkowym uśmiechem.

— Nie myślisz chyba, że jestem w nim zakochany. Myślałem, że będziesz ciekaw, jak to się robi, dlatego przedstawiłem ci go.

— To wszystko bardzo pięknie, rzekł tamten. Nie masz jednak prawa narzucać takiego człowieka Alicji.

— Głupstwo! rzucił Oliver. I takby go poznała w Newport, tego lata. Jakże mogłem go przedstawić gdzieindziej, jeżeli nie chciałem zapoznać go z wami. Nie zaszkodzi on Alicji. Bawił ją doskonale tego wieczora i założę się, że w krótkim czasie polubi go. To naprawdę bardzo poczciwy człowiek; główną wadą jego jest, że staje się zbyt poufałym.

Montague nie odezwał się już więcej o tem, a Oliver zmienił temat rozmowy.

— Szkoda Lucji, rzekł. Czy już w żaden sposób nie można jej uratować?

— Nie, odpowiedział Allan.

Ona się poprostu rujnuje. Starałem się nakłonić Reggie Manna, by przedstawił ją pani Devon, odpowiedział jednak, że nie chce ryzykować.

— Ma się rozumieć, rzekł Montague.

— To skandal! Myślałem, że pani Billy Alden zaprosi ją na lato do Newport, teraz jednak nie sądzę, żeby się chciała do niej przyznawać. Lucy przekona się, że nie zna nikogo, z wyjątkiem Stanleya Rydera i jego paczki. Sama sobie winna.

Montague wzruszył ramionami.

— To zwyczajny sposób jej postępowania, rzekł.

— Sądzę, że będzie się dobrze bawiła, dodał Oliver. Ryder bądź co bądź nie jest skąpym.

— Spodziewam się, rzekł Montague.

— Mówią, że gromadzi on olbrzymi majątek, zauważył Oliver, a potem dodał tęsknie:

— Mój Boże, chciałbym mieć taki trust, którym mógłbym się bawić!

— Dlaczegóż to właśnie o trust ci chodzi?

— Bo to najłatwiejszy sposób dojścia do majątku, rzekł Oliver. Zawsze można znaleźć taki lub inny kruczek, dla obejścia praw bankowych, a wówczas już pieniądze napływają falą. Czy zauważyłeś ich ogłoszenia?

— Tak, potwierdził Montague.

— Dochód wynosi coś około miljona miesięcznie, jak słychać.

— To brzmi bardzo ponętnie, rzekł Allan i dodał sucho:

— Ryder prawdopodobnie uważa te pieniądze za osobistą swoją własność.

— Bo też one rzeczywiście jakby należały do niego, brzmiała odpowiedź. Gdybym chciał na giełdzie robić majątek, wolałbym raczej obracać pięćdziesięciu miljonami, niż być wyłącznym właścicielem dziesięciu.

— A propos, zauważył Oliver po chwili, Prentice'owie zaprosili Alicję do siebie do Newport na lato. Alicja zdaje się zupełnie zajęta tym młodym chłopcem, Curtissem.

— Bywa u nas dosyć często, rzekł Montague, wydaje się być bardzo przyzwoitym młodzieńcem.

— Bezwątpienia, odrzekł tamten. Ale nie posiada dosyć pieniędzy, by opiekować się dziewczyną, jak Alicja.

— To już kwestja, którą ona sama musi rozstrzygnąć.



ROZDZIAŁ X.

Pewnego dnia, po upływie miesiąca, Montague ku wielkiemu swemu zdziwieniu dostał następujący list od Stanleya Rydera:

»Czy mógłby pan, bez zbytnich dla siebie niedogodności przyjść do mnie do biura dziś popołudniu? Chcę pomówić z panem o pewnym planie który, jak sądzę, będzie dla pana bardzo korzystny.

— Przypuszczam, że chce kupić moje akcje kolejowe, rzekł Allan do siebie, gdy wołał Rydera do telefonu, aby się umówić co do godziny.

Allan pierwszy raz był we wnętrzu gmachu, w którym mieściły się biura Gotham trustu, to też spoglądał naokoło, podziwiając przytłaczający przepych — olbrzymie kraty bronzowe i ściany z najpiękniejszego marmuru. Prywatne biuro Rydera było urządzone wspaniale i z wyszukanym komfortem, a on sam był uosobieniem arystokratycznej elegancji.

Przywitał Montague'a serdecznie i przez kilka minut rozmawiał o stanie giełdy i sytuacji finanso-

wej, bawiąc się ołówkiem i obserwując uważnie swego gościa. Wreszcie zaczął:

— Panie Montague, już od dłuższego czasu myślę nad planem, który, jak mi się zdaje, powinien pana zająć.

— Z przyjemnością posłucham, rzekł Montague.

— Wie pan oczywiście, że kupiłem od pani Taylor jej akcje północnej kolei w Mississippi. Kupiłem je, gdyż sądziłem, że linję tę należy rozwinąć i wierzyłem, że potrafię nakłonić kogoś, by zajął się tą sprawą. Teraz, o ile się nie mylę, znalazłem odpowiednich ludzi i plan mój zaczyna wchodzić w życie.

— Myślą naszą jest rozszerzyć linię stosownie do dawnych projektów, które są panu znane Zanim przystąpiliśmy do dzieła, porozumieliśmy się z innymi akcjonarjuszami, z których większa część — to osobiści znajomi pańscy. Uczyniliśmy im, przez agentów naszych, ofertę kupna po cenie, która nam się zdawała dostateczną i kupiliśmy około pięciu tysięcy akcji. Ceny żądane przez resztę akcjonarjuszy zdawały się nam za wysokie, zważywszy ogromny koszt ulepszeń, które zamierzamy zaprowadzić na linji. Teraz mamy zamiar uczynić im inną propozycję. W następnym miesiącu odbędzie się doroczne zgromadzenie akcjonarjuszy, na którem postawiony zostanie wniosek wydania dwudziestu tysięcy nowych akcji dodatkowych, z tem zastrzeżeniem, że wszystkie udziały, których nie nabędą obecni akcjonarjusze, przejdą w nasze posiadanie. Ponieważ, jak przypuszczam, mała tylko ich liczba będzie chciała

włożyć pieniądze w te akcje, przeto kolej pozostanie w naszych rękach. Rozumie pan oczywiście, że syndykat nasz nie podjąłby się ryzyka, gdyby zarząd nie pozostał w naszem ręku.

Montague skinął głową na znak zgody.

— Na tem zgromadzeniu, mówił dalej Ryder, przedstawimy naszą własną listę dyrektorów i spodziewamy się, że ponieważ propozycje nasze będą leżały w interesie wszystkich akcjonarjuszy, lista ta przejdzie. Zdaniem naszem, linja potrzebuje nowych ludzi i wogóle zupełnie innego zarządu; jeżeli potrafimy większość akcjonarjuszy skłonić do naszego punktu widzenia, wówczas my obejmiemy zarząd i ustanowimy nowego prezydenta.

Ryder przerwał na chwilę, by informacja ta dobrze utkwiła w umyśle Allana, potem, utkwiwszy weń bystre spojrzenie, rzekł:

— Chciałem dlatego osobiście z panem rozmawiać, panie Montague, gdyż mam zamiar prosić pana o współudział w przeprowadzeniu tego planu. Chcielibyśmy, żeby pan występował jako nasz przedstawiciel, w porozumieniu z naszymi adwokatami. Pragnęlibyśmy, by pan prywatnie porozmawiał z akcjonarjuszami linji, objaśnił im nasze plany i zaręczył za nasze dobre zamiary. Jeżeliby pan mógł podjąć się dla nas tej pracy, chętnie umieścimy pana na naszej liście kandydatów i skoro tylko będziemy mieli zarząd w ręku, poprosimy pana, by pan został prezydentem linji.

Montague omal że nie wydał okrzyku zdziwienia, doświadczenie jednak nauczyło go nie objawiać

zbyt wyraźnie swych uczuć. Siedział przez chwilę i myślał.

— Panie Ryder, rzekł wreszcie. Jestem trochę zdziwiony, że właśnie pan czyni mi tę propozycję, znając mnie tak mało.

— Wiem o panu więcej, niż pan sądzi, odrzekł tamten z uśmiechem. Może pan być pewny, że takiej sprawy nie przedłożyłem, panu nie zasięgnąwszy poprzednio informacji i nie przekonawszy się, że jesteś właśnie najodpowiedniejszym do tego człowiekiem.

— Bardzo mi jest przyjemnie słyszeć takie pochwały, rzekł Montague. Muszę jednak przypomnieć panu, że nigdy nie zajmowałem się sprawami kolejowemi i nie mam w tym kierunku żadnego doświadczenia.

— To zupełnie nie potrzebne, była odpowiedź. Taką siłę fachową można każdego czasu nająć po cenach zwykłych. My życzymy sobie człowieka o ostrożnem i konserwatywnem usposobieniu, a, ponad wszystko, bezwzględnie uczciwego, człowieka, który potrafi zjednać sobie zaufanie akcjonarjuszy. Nabraliśmy przekonania, że pan właśnie posiada te przymioty. Oprócz tego ma pan tę wyższość nad innymi kandydatami, że jest pan dokładnie obeznany z okolicą i z miejscowymi warunkami.

Montague namyślał się jeszcze przez chwilę.

— Propozycja pańska jest dla mnie bardzo pochlebna, rzekł wreszcie, i nie potrzebuję mówić panu, że sprawa ta żywo mnie obchodzi. Zanimbym jednak mógł ją należycie rozważyć, musiałbym wie-

dzieć o jednej rzeczy — a mianowicie, jacy ludzie wchodzą w skład syndykatu.

— Dlaczegóż wiadomość ta jest dla pana konieczną? zapytał Ryder.

— Dlatego, że własnem swem nazwiskiem ręczę za ich projekt i musiałbym znać charakter ludzi, z którymi będę miał do czynienia. Montague przy tych słowach patrzył prosto w oczy Rydera.

— Zrozumie pan jednak, rzekł tenże, że w takich rzeczach trzeba postępować nader ostrożnie. Nie możemy pozwolić sobie na rozgłaszanie naszych planów. Mamy nieprzyjaciół, którzy uczynią wszystko, by zaszkodzić nam na każdym kroku.

— Cokolwiek mi pan powie, pozostanie oczywiście pomiędzy nami, zauważył Montague.

— Rozumiem to bardzo dobrze, odpowiedział Ryder, chciałbym jednak pierwej wytworzyć sobie pogląd na stanowisko pańskie wobec naszego projektu, mianowicie, czy mógłby pan podjąć się tej pracy i poświęcić się jej — czy nie.

— Nie widzę powodu, dla którego nie miałbym tego uczynić, rzekł Montague.

— Ja sądzę, mówił Ryder, że wiele bardzo przemawia za naszym planem. Ma on przedewszystkiem na celu ulepszenie, z którego korzystać będzie ogół; upadła i zupełnie już zbankrutowana linja kolejowa ma być podjętą na nowo i gruntownie zreorganizowaną — jednem słowem, postawioną na nogi. Ma otrzymać uczciwą i silną administrację, nowe i celowe urządzenia, nowe dochody. »Stal« w Mississippi, jak to panu bezwątpienia wiadomo,

rozwija się nadzwyczajnie szybko. Wszystko to, jak mi się zdaje, wskazuje na to, że pożyteczność podjętego przez nas dzieła nie ulega wątpliwości.

— To wszystko jest prawdą, rzekł Montague. Pomówię o tych rzeczach z ludźmi interesowanymi, a jeżeli plany ich będą tego rodzaju, że będę się mógł na nie zgodzić, przystąpię do wspólnej akcji i uczynię wszystko, aby zapewnić powodzenie przedsiębiorstwu. Wie pan zapewne, że sam posiadam pięćset akcji tej kolei i chętnie zostałbym członkiem syndykatu.

— To właśnie miałem panu zaproponować, rzekł tamten Nie widzę żadnych trudności w uczynieniu zadość żądaniu pana. Projekt jest głównie mojego pomysłu i ręczę zań osobiście. Trust »Gothama« udzieli przedsiębiorstwu kredytu w miarę możności.

Słowa te Ryder wypowiedział z pewną wyższością, a Montague uczuł, że przed chwilą mówił może trochę zbyt ostro. Nikt nie mógł siedzieć w biurze Rydera i nie być pod wrażenie atmosfery tu panującej, wspaniałości i przepychu. Mimo wszystko, gmach ten istniał rzeczywiście i namacalnie wraz ze swymi siedmdziesięciu lub ośmdziesięciu miljonami depozytów, a ten pogodny i arystokratyczny dżentleman był jego panem. A cóż za podstawę miał Montague do wahania się, z wyjątkiem plotek, pochodzących od bezczynnych i cynicznych ludzi z »towarzystwa« ?

Gdyby zresztą nawet w nim samym powstały jakie wątpliwości, zdawał sobie sprawę z tego, że

przyjaciele jego w Mississippi ich nie podzielą. Jeżeli uda się do swych rodzinnych stron mając za sobą imię Stanleya Rydera i trust »Gothama«, przyjętym będzie jako zwycięzca, przynoszący wieści o tryumfie i wszyscy starzy przyjaciele rodziny pospieszą, by iść za myślą, przez niego podaną.

Ryder milczał chwilę, czekając może, aż te refleksje zapuszczą korzenie w umyśle Allana, a potem mówił dalej:

— Sądzę, panie Montague, że pan wie cośkolwiek o towarzystwie »Stal« w Mississippi. Sytuacja w przemyśle stalowym jest dziwna. Ceny utrzymywane są na sztucznym poziomie, co daje konkurentom trustu stalowego możliwość wielkich zysków. Ci jednak, którzy zwabieni nadzieją miljonów rzucają się do tego przemysłu, niespodzianie zupełnie znajdują się w bardzo przykrem położeniu. Nie mogą otrzymać potrzebnego kredytu; są zasypywani zamówieniami. Wall Street jednak nie chce dać ani centa, żeby im pomódz. I spotykają się z całym szeregiem potężnych przeszkód, ustawionych na swej drodze. Papiery ich spadają na giełdzie, a o nich samych zaczynają krążyć dziwne pogłoski. Wierzyciele wnoszą przeciwko nim skargi, które mają na celu podkopanie ich kredytu. A podczas tych procesów przekonywują się, że im brak najważniejszych papierów, albo że ich główni świadkowie powyjeżdżali do Europy, albo też stają się ofiarami innych tym podobnych niespodzianek. Najzdolniejsi ich urzędnicy, ba, nawet buchalterzy i chłopcy biurowi przekupieni, wydają ich tajemnice urzędowe prze-

ciwnikom. Towarzystwa kolejowe nie postępują z nimi uczciwie, wagony, mające przewozić ich produkta, spaźniają się i cały szereg drobnych szykan spada na ich głowę. Wie pan, czem jest nieuczciwa konkurencja i może sobie pan wyobrazić, jaką rolę ona odgrywa. Istnieje sto rozmaitych sposobów, by uniemożliwić istnienie fabrykantowi stali, nienależącemu do trustu. A teraz, panie Montague, pojawia się projekt rozszerzenia linji, która odda nieocenione usługi głównemu konkurentowi tego trustu. Sądzę, że pan zna stosunki dostatecznie, by zrozumieć, że plan ten zostałby wykonany oddawna, gdyby nie umiejętność trustu stalowego przeszkodzenia mu. Ale teraz nadszedł czas, w którym projekt ten będzie urzeczywistniony mimo wszelkiej opozycji z jego strony, a ja zwróciłem się do pana, gdyż sądziłem, że pan właśnie jest człowiekiem, na którego można liczyć w takiej walce.

— Rozumiem pana, rzekł Montague spokojnie, nie pomylił się pan w swoich przypuszczeniach.

— Dobrze więc, odpowiedział Ryder. W takim razie powiem panu, że do syndykatu, o którym mówię, wchodzi oprócz mnie także John S. Price, który w ostatnich czasach stał się jednym z głównych dyrektorów Tow. »Stali«. Z łatwością może się pan dowiedzieć, jaką ma on opinię; jest to jedyny człowiek, który odważył się rzeczywiście wystąpić przeciwko trustowi. Obrót Tow. »Stali« wzmógł się w dwójnasób w ostatnim roku, a może się podnosi do nieskończoności, chyba, że na przeszkodzie temu stanie brak wagonów i mała sprawność dróg żela-

znych w transportowaniu już gotowych produktów. Nowy ten plan byłby już dawno wprowadzony w życie, gdyby nie fakt, że kredyt nasz i kapitał zajęte są w bardzo rozległych przedsiębiorstwach. Wreszcie Price złożył część kapitału z osobistych funduszów, ja dostarczyłem reszty, a teraz potrzebujemy tylko uczciwego człowieka, któremu możemy powierzyć to tak ważne zadanie — człowieka, który zajmie się linją i uczyni ją pożyteczną dla ogółu. Pan jest tym człowiekiem, któregośmy wybrali i jeżeli nasza propozycja podoba się panu, gotowi jesteśmy sprawę natychmiast z panem załatwić.

Montague milczał przez minutę lub dwie, potem rzekł:

— Oceniam pańskie zaufanie, panie Ryder, i słowa pańskie przemawiają mi do przekonania. Sprawa ta jednak, jak to pan przecie rozumie, jest dla mnie bardzo ważną, poproszę więc pana o czas do namysłu. Jutro dam panu stanowczą odpowiedź.

— Bardzo dobrze, zgodził się Ryder.

Pierwszą myślą Montague'a była myśl o generale Prentice.

»Przyjdź do mnie, kiedykolwiek będziesz potrzebował rady«, rzekł był generał. I Montague obecnie udał się do jego biura.

— Czy wie pan cokolwiek o Johnie S. Price? zapytał.

— Nie znam go dobrze osobiście, odpowiedział generał. Znam go tylko z tego, co o nim mówią. Jest to bardzo śmiały giełdziarz, któremu się dotychczas zbyt dobrze powodziło, jak słyszałem.

— Price, mówił generał dalej po chwili, zaczął życie swe jako cowboy. Tak przynajmniej opowiadają. Potem rzucił się na miny. Przed dziesięciu lub piętnastu laty był on znany jako »król srebrowy«. Potem, kilka lat temu kupił liczne akcje Tow. »Stal« w Mississippi i przez to nabył wpływ na to towarzystwo. Było to niespodzianką dla wszystkich, powszechnie bowiem wiedziano, że trust jest najzawziętszym wrogiem »Stali«. Mówią, że wówczas zgniótł zupełnie trustowców.

— To ciekawe, zauważył Montague.

— Price wychował się w twardej szkole, rzekł generał z uśmiechem. Ma on język, ostry jak brzytwa. Pamiętam, raz byłem obecny na posiedzeniu wierzycieli amerykańskiego Towarzystwa budowy pieców, którego finanse były zachwiane. Price, zabrawszy głos, wcale nie przebierał w słowach. »Panie prezydencie«, rzekł, »gdy przychodzę do biura jakiejś instytucji przemysłowej i widzę dywan przed krzesłem prezydenta, wytarty do ostatniej nitki, wiem z góry i bez pytania, co sądzić o tej instytucji«.

— Dlaczegóż to zasięgasz informacji o nim? zapytał generał, gdy skończył się śmiać ze swego wspomnienia.

— Chodzi tu o sprawę, która bezpośrednio mnie dotyczy, odrzekł Montague.

— Powiem ci, kto potrafi ci dać dokładne informacje, rzekł generał. Harry Curtiss. William E. Davenant prowadził swego czasu interesa Price'a.

— Doprawdy? w takim razie prawdopodobnie będę mówił z Curtissem.

— I mogę ci wymienić kogoś jeszcze lepiej poinformowanego, rzekł znowu generał, pomyślawszy chwilkę. Zapytaj swej przyjaciółki, pani Alden, ona zna Price'a bardzo dobrze, o ile mi się zdaje.

Montague zatem napisał list do pani Billy Alden, otrzymał odpowiedź: „Proszę przyjść na obiad, nie wychodzę“ i późno popołudniu siedział wygodnie oparty w wielkim, skórą obitym fotelu w prywatnym salonie pani Billy i słuchał jej opowiadania, o właścicielu Towarzystwa »Stal« w Mississippi.

— Johnny Price? zapytała miljonerka. Tak znam go dobrze. Wszystko zależy od tego, czy jest on czyimś przyjacielem, czy wrogiem. Jego matka była Irlandką a on odziedziczył po niej zawziętość. Jeżeli przypadkiem upodoba sobie kogo, gotów jest umrzeć za niego; jeżeli zaś ktoś obudzi w nim nienawiść, może usłyszeć taką obfitość rozmaitych epitetów, że z pewnością nie domyślał się nawet ich istnienia w angielskim języku. Poznałam go w Washingtonie, przed piętnastu laty, gdy brat mój był członkiem kongresu. Zdaje mi się, że opowiadałam panu raz, jak Davy zapłacił czterdzieści tysięcy dolarów za nominację i wszedł do Kongresu. Był to rok dążności demokratycznych i mogliby byli kazać wybrać Reggie Manna, gdyby chcieli. Udałam się następnej zimy na stały pobyt do Waszyngtonu i zastałam tam Price'a z całą armią oddanych mu ludzi, walczącego o wolny wywóz srebra. Było to przed krachem, wie pan, gdy srebro stało jeszcze

dosyć wysoko a Price był »królem srebrowym«. Zapewniam pana, że tej zimy widziałam wewnętrzną maszynerję rządów amerykańskich.

— Niech mi pani opowie coś o tem, prosił Montague.

— Wybrano kandydatów partji demokratycznej pod hasłem niskich ceł ochronnych, mówiła dalej pani Billy, a partja ta zaprzedała się ze wszystkiem korporacjom. Pieniędzy było w bród i można je było dostać łatwo. Brat mój byłby mógł odebrać trzy razy swoich czterdzieści tysięcy. Ludzie z przemysłu stalowego byli u steru, William Roberts przyjeżdżał z Pittsburga co dwa lub trzy dni, a zresztą porozumiewał się za pomocą prywatnego swego telefonu. Ja zawsze utrzymuję, że to trust stalowy ścisnął wówczas naród amerykański w śrubie szwindlów taryfowych i dotychczas go trzyma.

— Co uczynił Price ze swojemi minami srebra? zapytał Montague.

— Sprzedał je, odrzekła, i to właśnie w odpowiednim czasie. Widział on całą kampanię giełdową z r. 1896 z jej zakulisowemi sprawkami i pamiętam, że raz przyszedł do nas wieczorem na obiad i powiedział nam, że partja republikańska przygotowała dziesięć do piętnastu miljonów dolarów gotówki, by przekupić wybory. »To koniec srebra«, dodał i wysprzedał swoje miny w tym samym miesiącu. Odtąd coraz wyżej postępował na giełdzie.

— Czy spotykał go pan już? zapytała po przerwie pani Billy Alden.

— Nie jeszcze, odpowiedział.

— To jest charakter! rzekła. Davy opowiadał mi, jak zadziwił on Nowy York, przyszedłszy tu jako miner z kieszeniami, wypełnionemi studolarowymi banknotami. Wydawał te pieniądze po głupiemu i po chamsku, rzucając banknotami na prawo i lewo i oddając się najdzikszej rozpuście. Nie może sobie pan nawet wyobrazić tego

— Czy to tego rodzaju człowiek?

— Takim był dawniej. Pewnego dnia jednak stało mu się coś, poszedł do lekarza, a lekarz powiedział mu słów parę. Nie wiem co to było, ale potem Johnnie złożył się jak scyzoryk i odtąd nie wziął do ust ani kropli alkoholu, jada tylko raz na dzień, a rano pija filiżankę kawy. Ciągle jednak jeszcze żyje z dawną paczką — nie wiem, czy istnieje w mieście polityk lub sportsmen, któregoby Johnny Price nie znał. Przesiaduje ciągle z nimi i konferuje aż do jakichś niemożliwych godzin nad ranem, nigdy za to nie mogę ściągnąć go do siebie na obiad. »Moi ludzie, to prawdziwi ludzie«, mówi on, »wasi, to trociny«. Jeżeli kiedyś będzie pan chciał zwiedzić Nowy York, poproś Johnny Price'a, by cię oprowadził i przedstawił swoim bookmakerom i rozbójnikom.

Montague rozmyślał przez chwilę nad wizerunkiem, który mu przedstawiła pani Alden.

— Jakoś to wszystko, mojem zdaniem, nie licuje z powagą człowieka, który jest prezydentem korporacji, z kapitałem 100 miljonów, rzekł wkońcu.

— To nic nie szkodzi, odparła pani Alden. Po przebirbantowanej nocy, Price zjawia się w biurze wczesnym rankiem, świeży i bystry i wszyscy jego

ludzie również są na stanowiskach. A jeżeli pan myśli, że jest on może wówczas roztargnionym albo śpiącym, niech pan spróbuje oszukać go w jakiej sprawie, a zobaczy pan. Jeżeli pan chce, opowiem panu trochę szczegółów jego walki z towarzystwem »Stal« w Mississippi.

I pani Billy zaczęła opowiadać. A rezultatem tego opowiadania było, że Montague usiadł przy jej biurku i napisał bilet do Stanleya Rydera następującej treści: »Z zebranych przezemnie informacji o Johnie S. Price wnoszę, że jest on fabrykantem stali. Rozumiejąc, że mam założyć drogę żelazną, przeznaczoną do transportowania jego stali, postanowiłem przyjąć pańską propozycję, zależną ma się rozumieć, od obopólnej umowy co do warunków.



ROZDZIAŁ XI.

Następnego ranka Montague, chcąc zobaczyć się z Johnem Pricem, udał się do jego biura na Wall Street. Tam wezwano go, by jako doradca wziął udział w posiedzeniu w sprawie zamierzonej reorganizacji drogi. Przyjął wezwanie i umówiwszy się z Williamem E. Davenantem udał się popołudniu do jego kancelarji adwokackiej.

Pierwszą osobą, którą tam spotkał, był Harry Curtiss, który się z nim z wielką serdecznością przywitał.

— Byłem bardzo ucieszony, dowiedziawszy się, że pan ma wejść do syndykatu, rzekł. Będziemy mieli sposobność pracować wspólnie.

Przy stole w kancelarji Davenanta siedzieli Ryder i Price, Montague i Curtiss i wreszcie William E. Davenant, jeden z sześciu najlepiej płatnych adwokatów w metropolji. Był to wysoki, chudy człowiek, obwieszony swem ubraniem, jak straszydło na wróble szmatami. Jedno z jego ramion było nieco wyższe niż drugie, a długa jego szyja była zawsze podana naprzód, co nadawało jego cienkiej, nerwo-

wej twarzy wieczny wyraz szukania i śledzenia czegoś. Najgłębsze wrażenie czyniły jego oczy, poza któremi można się było domyślać niespokojnego, wiecznie kombinującego mózgu. Niektórzy oceniali roczny dochód Davenanta na miljon dolarów, a sam Davenant chwalił się, że nikt, kto włożył pieniądze w przedsiębiorstwa wedle planu jego, nie stracił nigdy na nich.

Ciekawym kontrastem do niego była twarz Price'a, który wyglądał, jak dobrze ubrany pugilista. Skłaniał się troszeczkę ku otyłości, a twarz jego była okrągła; ale mimo zbytecznego mięsa można było zauważyć na niej szczękę człowieka o żelaznej woli. Widać było po nim, że zapomocą własnych sił przedzierał się przez życie. Mówił ostro i tylko najpotrzebniejsze rzeczy i potrafił wyłuszczyć każdy przedmiot kilkoma szybkiemi zdaniami, jak chirurg lancetem odsłania chore miejsce.

Jako pierwszy punkt zastanawiano się nad kwestją podróży Montague'a na południe. Nie było potrzeby kupowania więcej starych akcji, bo jeżeli towarzystwo skupi w swem ręku udziały nowej emisji, już będzie miało zapewnioną większość, a wszak o to tylko chodziło. Montague miał się spotkać z tymi akcjonarjuszami, których znał osobiście i przedłożyć im, że udało mu się zainteresować kilku północnych kapitalistów sprawą kolei i że ci kapitaliści przedsięwezmą ulepszenia, pod warunkiem, że lista ich kandydatów na dyrektorów przejdzie. Price przedstawił tę listę. Znajdowali się na niej Montague, Curtiss i sam Ryder, jakiś jego kuzyn i dwaj inni

ludzie, którzy, jak mówił o nich Ryder, »przyzwyczajeni są do tego, że mi w ten sposób pospieszają z pomocą«. Zostawały się jeszcze dwa miejsca, które miały być wypełnione przez Montague'a nazwiskami wpływowych akcjonarjuszy.

— To zawsze się podoba, rzekł Price mimochodem, a nie odbiera nam gwarancji absolutnej większości.

Miano głosować nad wydaniem nowej emisji bonów na miljon dolarów, które miał kupić trust Gothama i nad puszczeniem w obieg dwudziestu tysięcy nowych akcji, które miano ofiarować obecnym akcjonarjuszom z opustem 50 cnt. za dolar nominalnej wartości. Montague'owi dano do zrozumienia, że jego nowi klijenci nabędą wszystkie te akcje, których nie będą chcieli kupić dawni akcjonarjusze. Miał starać się wszystkiemi siłami, by plan ten został tajemnicą i obiecać, że nie będzie dowiadywał się, jakie nazwiska znajdują się na liście nowych akcjonarjuszy. O powodzie tego warunku dowiedział się dopiero nieco później, gdy na porządek dzienny weszła kwestja dawnego zarządu.

— Muszę przedsięwziąć kroki, by plany dostały się w moje ręce, rzekł Price. W tem, tak samo jak we wszystkiem innem, wychodzimy z założenia, że obecna administracja linji jest wadliwa.

Drugą rozpatrywaną sprawą była sprawa koncesji.

— Jeżeli już wyrabiam sobie koncesję na budowę drogi żelaznej, wyrabiam sobie taką, by mi wolno było założyć każdego rodzaju przedsiębiorstwo,

począwszy od fabryki zapałek, skończywszy na fabryce aeroplanów. A ci głupcy, którzy starali się o koncesję w Mississippi, dostali pozwolenie na budowę drogi żelaznej z Atkin do Opala. My musimy się postarać o rozszerzenie tego pozwolenia. Gdy pan będzie w tamtych stronach, panie Montague niech pan przeprowadzi tę transakcję u władz odnośnych.

Montague namyślał się przez chwilę.

— Wątpię, żebym miał wielką protekcję u władz, zaczął.

— To nic nie szkodzi, przerwał Price szorstko. My dostarczymy protekcji.

Tu Davenant zabrał głos.

— Mnie się zdaje, rzekł, że równie dobrze moglibyśmy urządzić to wszystko, nie wymieniając nawet naszej drogi żelaznej. Bo, jeżeli ci ludzie z przemysłu stalowego zwąchają coś o naszych planach, będziemy mieli rozmaite nieprzyjemności. Gubernator jest ich człowiekiem, jak pan wie. Najlepiej więc będzie, podać blankiet, na którym będzie tylko ogólnie powiedziane, że takie to a takie towarzystwo, które posiada już koncesję, może rozszerzyć swoją drogę żelazną do pewnych granic, pod pewnymi warunkami i t. d. Myślę, że będę mógł wnieść taki dokument, który uzyska potwierdzenie zanim ktokolwiek dowie się, o co chodzi.

— Bardzo dobrze, rzekł Price. Postaraj się pan o to.

Tak omawiali punkt za punktem. Price dał Montague'owi w kilku krótkich zdaniach wskazówki,

jak ma postępować. Mieli jeszcze dwa tygodnie czasu przed zjazdem akcjonarjuszy, i umówili się, że Montague ma wyjechać do Mississippi już dnia następnego.

Po odbytej konferencji Montague udał się do miasta wraz z Curtissem.

— Co to Davenant mówił o gubernatorze, zapytał, gdy już siedzieli w pociągu.

— O gubernatorze Hennisie myśli pan? rzekł tamten. Nie wiele wiem o nim, ale słyszałem, że tam, na południu prowadzono jakąś agitację antikolejową, a Watermann i wogóle przemysłowcy stalowi wysłali tam gubernatora Hannisa, by zapobiegł ruchowi.

— Powiedzenie Davenanta było dla mnie wielką niespodzianką, rzekł Montague, pomyślawszy chwilkę. Nie chciałem nic mówić, ale wie pan, gubernator Hannis jest starym przyjacielem mego ojca i jeden z najszlachetniejszych ludzi, których kiedykolwiek znałem.

— O, nie wątpię o tem, przyznał chętnie Curtiss. Oni tego szlachetnego człowieka używają jak pionka. Jest on oczywiście tylko manekinem, i prawdopodobnie nie ma nawet pojęcia o tem, co robi. Pan rozumie oczywiście, że prawdziwym panem stanu Mississippi jest senator Harmon.

— Słyszałem o tem, rzekł Montague. Nigdy jednak nie robiłem sobie nic z takich pogłosek...

— Hm! mruknął Curtiss. Obchodziły by one pana, gdybyś był w mojej skórze. Swego czasu prowadziłem interesa południowych kolei starego Wa-

termanna i miałem sposobność oddawania kilkakrotnie zleceń Harmonowi. W Nowym Yorku właśnie można się nauczyć tej gry ciekawej.

— To niezbyt przyjemna gra, zauważył sucho Montague.

— Nie ja ustanawiałem jej reguły, rzekł Curtiss. Przekonasz się pan, że albo musisz ją grać w ten sam sposób co inni, lub wycofać się z niej zupełnie.

Młodszy z nich obydwóch Curtiss umilkł na na chwilę, potem uśmiechnął się.

— Wiem jakie są pańskie uczucia, rzekł. Pamiętam jak mię zlano zimną wodą, gdy tylko wróciłem z uniwersytetu, z głową pełną przepięknych nauk profesora etyki. Wzięli mnie do oddziału prawniczego kolei żelaznej New York — Hudson. Mieliśmy proces — zdaje się, że chodziło o odszkodowanie, czy coś takiego, i stary Henryk Corbin, główny sekretarz Towarzystwa, położył przedemną odnośne papiery, a potem wyjął ze swego biurka pisaną na maszynie listę wszystkich sędziów Najwyższego trybunału stanu. »Niektórych nazwiska naznaczone są czerwonym ołówkiem,« rzekł. »Przed każdym z nich możesz pan wytoczyć ten proces, to nasi ludzie!« Niech pan sobie wyobrazi, co się ze mną działo, ze mną który byłem tak niewinny, jak młode kurczątko!

— Zdawałoby się, że takie rzeczy muszą się w końcu wydać, rzekł Montague.

Curtiss wzruszył ramionami.

— Nie ma sposobu udowodnienia tych rzeczy.

— Ale jeżeli pewni sędziowie rozstrzygają zawsze na korzyść Towarzystwa? zaczął Montague.

— O ba, rzekł Curtiss. Zostaw pan to sędziom. Czasami oni decydują i na korzyść towarzystwa, ale umyślnie popełniają jakąś nieformalność, jakiś błąd, który da podstawę do wniesienia rekursu, a wówczas wyższe instancje unieważniają wyrok. Tymczasem strona przeciwna uprzykrzy sobie wszystko i cofa skargę. Zresztą — kto chce psa uderzyć — kija znajdzie. Istnieje sto rozmaitych sposobów obejścia prawa.

— W takim razie nie wiele w sądach naszych pozostaje miejsca dla sprawiedliwości, zauważył Montague.

— Do piorunów! gdyby pan tak długo obracał się w tych sferach jak ja, i widział wszystkie szwindle obliczone na okradanie kolei, nie bolałaby pana głowa o brak sprawiedliwości. Teraz tak sprawy stoją, że można wygrać prawie każdy proces, i istnieją ludzie, których specjalnością jest wyszukiwanie rozmaitych pretensji

Montague siedział chwilę, pogrążony w myślach, a potem szepnął jakby do siebie:

— Gubernator Hannis! to mnie zupełnie wyprowadza z równowagi!

— Poproś pan Davenanta, żeby ci opowiedział coś więcej o tem, zaśmiał się Curtiss. Może być, że przesadzam. Davenant jest cyniczny pod względem gubernatorów, wie pan. Raz przed kilku laty uczynił on ciekawe doświadczenie, gdy pojechał do Albanii, by skłonić gubernatora tego stanu do podpisania pe-

wnego »bill'u.« Gubernator wyszedł ze swej kancelarji i zostawił go samego, a Davenant zauważył, że jedna z szuflad jego biurka stoi otworem. Spojrzał i zobaczył w niej kopertę, zawierającą pięćdziesiąt zupełnie nowych banknotów tysiąc dolarowych. Nie znał ani ich pochodzenia, ani też nie wiedział, na co były przeznaczone ale ponieważ jego »bill« był bardzo ważnym,przeto postanowił spróbować szczęścia i wsunął kopertę do kieszeni. Po chwili gubernator wrócił, i po dłuższem rozważaniu kwestji, czy »bill« ten leży w interesie publiczności odmówił mu swej sankcji. »Dobrze, panie gubernatorze« rzekł wówczas mój pryncypał, wyjmując z kieszeni banknoty. »Powiem jednak panu tyle: tu mam pięćdziesiąt nowych banknotów tysiąckoronowych, które będą należały do pana, jeżeli pan podpisze ten papier. W przeciwnym razie, jeżeli pan odmówi, zaniosę te banknoty dziennikarzom i opowiem im co wiem o nich.« Gubernator zbladł śmiertelnie i podpisał »bill« na poczekaniu. Teraz wie pan, dlaczego Davenant sceptycznie zapatruje się na gubernatorów.

— Przypuszczam, rzekł Montague, że to właśnie miał na myśli Price, mówiąc o tem, że postara się o protekcję.

— Tak, bez wątpienia, odpowiedział tamten prędko.

— To dla mnie niezbyt miła perspektywa.

Ale Curtiss wzruszył ramionami.

— Cóż pan na to poradzi? zapytał. Nasza maszynerja polityczna i nasze biura są w ręku polityków i spekulantów, którzy tylko oglądają się za zyskiem.

Jeżeli pan chcesz czegoś od nich, musisz zapłacić tak-samo jak się płaci każdą inną rzecz, będącą w handlu. I ciągle i wszędzie widzi pan to samo: «Płać, lub zabieraj się!«

— Niech pan naprzykład weźmie naszą własną sprawę, mówił dalej po pauzie. Postanowiliśmy wybudować małą kolejkę żelazną. Jest to praca ważna, która musi być wykonaną. A jednak, gdybyśmy nie zapłacili moglibyśmy przez pięćdziesiąt lat wyczekiwać w przedpokojach ciał ustawodawczych stanu na pozwolenie rozpoczęcia budowy. A tymczasem, co zrobiłby trust stalowy?

— Czy pomyślał pan kiedy o tem, jakie skutki, taki stan rzeczy pociąga za sobą? zapytał Montague.

— Nie wiem, rzekł Curtiss. Wyobrażam sobie, że pewnego dnia businesiści kraju wejdą do politycznej służby, i będą robili politykę, jak się robi interesa.

Montague pomyślał chwilkę, zanim odpowiedział.

— To się wydaje dosyć proste, rzekł wreszcie. Czyż to jednak nie jest równoznaczne z przewrotem we wszystkich instytucjach państwowych?

— Obawiam się, że tak, rzekł Curtiss. Na to jednak niema rady.

Montague nie odpowiadał.

— Czy pan może wie o jakim środku zaradczym? nalegał, tamten.

— Nie, lekarstwa nie znam, rzekł Montague, ale oglądam się za niem. I na początek mogę pa-

nu powiedzieć tyle: wyżej cenię ojczyznę, niż wszystkie interesa na świecie, i jeżeli przyjdzie mi rozstrzygnąć między nią a jednym z nich, interes będzie musiał ustąpić!

Curtiss obserwował go bacznie, wreszcie położył mu dłoń na ramieniu.

— Dobrze mówisz chłopie! rzekł. Usłuchaj jednak mej rady i nie opowiadaj tego Davenantowi.

— A to dlaczego? zapytał Montague.

Curtiss wstał.

— Tu moja stacja, a co do powodu — hm — mogłoby to zachwiać jego pojęcia. On jest konserwatywnym demokratą, wie pan, i lubi przemawiać podczas bankietów...



ROZDZIAŁ XII.

Mimo wątpliwości, które go nurtowały, Montague pojechał w swe strony rodzinne i przeprowadził do ostatniej kropki umówiony program. Tak jak przypuszczał, akcjonarjusze kolei w Mississippi przyjęli go jak zwycięskiego bohatera. Rozmawiał ze starym Lee, swym kuzynem i kilkoma innymi starymi przyjaciółmi, którzy bez trudności oświadczyli, że zgadzają się na nowe plany. Wszyscy byli zainteresowani nimi, i wszystkich żywo obchodziła przyszłość linii.

Co do starania się o koncesję, nie miał z tem nic do czynienia. Davenant wygotował odnośny dokument i doniósł, że siostrzeniec senatora Harmona będzie mógł uzyskać jego sankcję, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi. Montague wiedział tylko, że »bill« zatwierdzono, i że gubernator położył na nim swój podpis.

Nadszedł wreszcie dzień zjazdu akcjonarjuszy, na którym nowa lista dyrektorów została wybrana większością trzech czwartych głosów, a wydanie nowej emisji udziałów uchwalono taką samą większo-

ścią. Ponieważ nikt z dawnych akcjonarjuszy nie chciał nabyć nowych akcji, przeto Montague kupił całą emisję w imieniu Rydera i Price'a i złożył uwierzytelniony czek na odpowiednią sumę, jako potrzebny depozyt.

Wiadomość o tych wypadkach spowodowała oczywiście wielkie poruszenie w okolicy, a i w Nowym Jorku nie przeszła bez wrażenia. Akcje linji, pierwszy raz notowane na giełdzie, szły wcale dobrze; w jednym dniu wartość ich podskoczyła o 10%.

Montague otrzymał te informacje w liście od Curtissa.

— Musi pan być przygotowanym na takie początkowe przymilanie się stalowców, pisał tenże. W krótkim czasie urządzą oni nagonkę na pana.

Montague sądził, że chętnie stoczy otwarty bój ze stalowcami; wpierw jednak musiał zaraz nazajutrz po zjeździe odbyć wielce nieprzyjemną rozmowę. Stary Carter, przyjaciel jego ojca przyszedł do niego, podał mu drżącą swą rękę i usiadłszy wpatrywał się w niego z wyrazem zgryzoty, godnym politowania.

— Allanie, rzekł wreszcie. Przez piętnaście lat byłem prezydentem tej koleji i służyłem sprawie wiernie i z oddaniem. A teraz.... chciałbym wiedzieć — co to wszystko znaczy? — Jestem....

Montague pamiętał jeszcze czasy, gdy Carter bywał codziennym gościem w domu jego ojca, i bolał go widok tego bezsilnego starca. Nie mogąc jednak nic uczynić dla niego, zagryzł tylko wargi i starał się opanować wzruszenie.

— Bardzo mi przykro, panie Carter, rzekł wreszcie, alę nie mogę panu ani słowa powiedzieć o planach moich klientów.

— Czyż to miałoby znaczyć, że ja mam być usunięty z zajmowanego dotąd przezemnie stanowiska? Czy za wszystko, co uczyniłem, nie mam się spotkać z żadnem uznaniem? Wszak...

— Bardzo mi przykro, powtórzył Montague stanowczo, ale okoliczności są tego rodzaju, że muszę pana prosić o zwolnienie mnie od wszelkich dyskusji na ten temat.

W parę dni później Montague dostał telegram od Price'a z poleceniem, by natychmiast udał się do Riverton, gdzie znajdowały się warsztaty Towarzystwa »Stal« w Mississippi, i tam zobaczył się z ponem Andrews, prezydentem towarzystwa. Montague jeszcze jako dziecko był kilkakrotnie w Riverton, i pamiętał olbrzymie stalownie, które stanowiły jedną z osobliwości stanu, najbardziej godnych widzenia. Zdziwił się jednak bardzo, skoro ujrzał, do jakiego stopnia przedsiębiorstwo to urosło od czasu, gdy zwiedzał fabryki po raz ostatni. »Stal« miała teraz dwie gruszki Bessemera, w którym dzień i noc bezustannie huczał wulkan roztopionego ognia. Zakupiono całą zachodnią stronę miasta i sprzątnięto z powierzchni ziemi około pięćdziesięciu walących się ruder; a na miejscu ich stanęły długie szeregi pieców hutniczych, dwie olbrzymie lejarnie szyn, i fabryka blachy, z której wydobywały się odgłosy, podobne do grzmotów sądu ostatecznego. Zewsząd sterczały szeregi kominów, jak niebotyczne wieże, i wznosiły się

słupy kłębiącego się dymu. Małe, miniaturowe kolejki spieszyły tam i napowrót po dziedzińcach, a lokomotywy szły sapiąc i łomocąc i niosły rozpalone do białości sztaby żelazne, na których oko nie mogło spocząć bez zgrozy.

Naprzeciw głównej bramy, prowadzącej do założonych materjałami dziedzińców, Towarzystwo wzniosło nowy budynek na biura, a na najwyższem piętrze tegoż mieściły się apartamenta prezydenta.

— Pan Andrews wróci pociągiem o drugiej godzinie, rzekł jego sekretarz, który najwidoczniej oczekiwał gościa. Czy zechce pan zaczekać w biurze?

— Wolałbym zwiedzić warsztaty, jeżeliby to było możliwe, rzekł Montague. Dano mu więc pisemne pozwolenie i przewodnika, z którymi wybrał się w podróż po warsztatach.

Montague ciekaw był zobaczyć rzeczywistą własność Towarzystwa »Stal«. Siedząc w wygodnych biurach przy Wall Street, i wymieniając kawałki papieru, można było stracić świadomość faktu, że się ma do czynienia z namacalnymi przedmiotami, i że się rozporządza życiem tysięcy ludzi. Ale teraz Montague miał zbudować i administrować kolej żelazną — nabywać rzeczywiste wagony i manipulować prawdziwem żelazem i prawdziwą stalą; i w umyśle jego rozgościło się uparte postanowienie, żeby na każdym kroku, który uczyni, zawsze pamiętać o tej rzeczywistości.

Był to dzień czerwcowy. Na niebie nie było ani chmurki, a słońce z tropikalną prawie intenzywnością prażyło ziemię, i zsyłało na warsztaty pie-

kące swe promienie. Szopy i małe tory błyszczały w żarze słonecznym, i zdawało się, że żużle, którymi wysypane były dziedzińce, świeżo dopiero wyszły z jakiegoś piekielnego ognia. Do wnętrza hal, w których znajdowały się olbrzymie paleniska, Montague wcale nie mógł wejść; stanął tylko w drzwiach, zasłaniając ręką oczy od blasku. W każdem z tych piekieł męczyły się setki ludzi ponurych, czarnych od dymu i węgla, obnażonych do pasa, po których ciele pot ściekał strumieniami.

Spojrzenie Montague'a poszło długim szeregiem pieców hutniczych, straszliwych czeluści, z których przez szpary roztopiona stal przeświecała błyskawicami. Tu robotników bezustannie polewano wodą, a oprócz tego wypijali oni dziennie kilka galonów piwa. Przeszedł przez fabrykę szyn kolejowych, gdzie rozżarzone do białości sztaby żelazne, chwytane przez potężne walce i przerzucane z miejsca na miejsce jak zapałki, spłaszczone i ściśnięte, wychodziły po drugiej stronie w kształcie umęczonych, czerwonych węży, zadziwiającej długości. Na końcu warsztatów widać było długie ich szeregi, którym pozwalano stygnąć; i gdy tak Allan stał i patrzył, przyszło mu na myśl, że to może te same szyny, które zamówił Wyman, powodując przez to taką konsternację w obozie trustu stalowego!

Udał się potem do warsztatów, gdzie wytłaczano blachę, gdzie potworne młoty kuły z ogłuszającym łoskotem żelazo i gdzie płyty stalowe o kilku calach grubości, przekrawywano i siekano jak kawałki sera. Tu Allan oglądał się naokoło siebie z

przestrachem i uczepił się ramienia swego przewodnika, jakby szukając bezpieczeństwa; olbrzymie żórawie posuwały się z łomotem ponad jego głową, a piekielne maszyny sprawiały ogłuszający hałas, który ze wszystkich stron walił się na niego. Wydawało się rzeczą niepojętą, że ludzie mogli pracować w takiem zamieszaniu, nie mając poczucia niebezpieczeństwa, ani świadomości chaosu.

Oczy Montague'a nieprzytomnie prawie błądziły z miejsca na miejsce, potem nagle zatrzymały się na jednym punkcie, przykute widokiem niezwykłym a strasznym. Po drugiej stronie stalowni, wysoko w powietrzu, była oś stalowa, która obracała jeden z największych walców. Kręciła się ona z niepojętą wprost chyżością, a Montague ujrzał człowieka, trzymającego w ręku koneweczkę z oliwą, który począł wspinać się po drabinie, oparłszy górny jej koniec o wirującą oś.

Allan położył dłoń na ramieniu swego towarzysza i wskazał ręką robotnika.

— Czy to nie jest niebezpieczne? huknął.

— Jest to wbrew przepisom, odrzekł tamtem tym samym tonem, ale oni zawsze tak to robią.

I podczas gdy Montague już miał na ustach słowa odpowiedzi, stało się coś, co przemieniło ich brzmienie w okrzyk przerażenia. Stał ciągle jeszcze z ręką wyciągniętą w kierunku wirującej osi, a ciało jego jakby skamieniało. W oka mgnieniu i jakby na skutek jakichś czarów, robotnik zniknął z drabiny, a natomiast utworzył się naokoło osi jakby krąg

jakiejś niewyraźnej, szarej mgły. Drabina upadła na ziemię.

Zdawało się, że nikt inny w stalowni nie spostrzegł co się stało. Przewodnik Allana skoczył naprzód, zręcznie wymijając po drodze rozżarzoną do białości płytę, która jechała pod walce i pobiegł na dół, do hali, gdzie prowadzący inżynier stał obok głównego motoru. Przez przeciąg czasu z pewnością nie krótszy od minuty, Montague stał z oczyma, wlepionemi w straszliwy widok, który miał przed sobą; a potem widział, jak zwolna to, co było mgłą zaczęło przybierać kształty bardziej określone i wreszcie ujrzał krążące naokoło stalowej osi zwłoki człowieka.

A gdy machiny jeszcze bardziej zwolniły biegu i hałas w stalowni przycichł nieco, Montague ujrzał kilku ludzi, którzy znowu oparli drabinę o oś i wyszli po niej. Skoro tylko obroty zupełnie ustały, zaczęli odcinać trupa; ale Montague nie chciał już być świadkiem tego. Był blady jak płótno i odczuwał mdłości. Odwrócił się i wyszedł.

Odszedł na bok, w jakąś odległą i bardziej opuszczoną stronę dziedzińców, gdzie usiadł w cieniu jednego z budynków i zapadł w smutne rozmyślania. A tymczasem warsztaty huczały nieprzerwanie. Po chwili czterech robotników przeszło obok niego, z noszami na ramionach, nakrytemi płótnem. Krew ściekała za każdym krokiem z pod płótna, ale Montague zauważył, że ludzie, którzy przechodzili obok nie zwracali wcale na to uwagi. Gdy po chwili przechodził znowu obok stalowni, w której

stało się nieszczęście, przekonał się, że praca idzie zwykłym trybem, a gdy wyszedł główną bramą po za obręb fabryki, ujrzał człowieka, którego mu przed chwilą wskazano jako głównego dozorcę robotników w powyższej stalowni, a który teraz z grupy ludzi, czekających przed bramą wybierał zastępcę na miejsce zabitego.

Wrócił do biura prezydenta i zastał pana Andrews, który właśnie przyjechał. W pokoju panował przeciąg, ale Andrews, który był otyłym, siedział w krześle przed biurkiem bez surduta i kamizelki i energicznie wywijał wachlarzem z liścia palmowego.

— Jak się pan ma, panie Montague? rzekł. Czy pan słyszał kiedy o takich upałach? Niech pan usiądzie! wygląda pan zmęczony.

— Byłem właśnie świadkiem wypadku w warsztatach, rzekł Montague.

— O, doprawdy!? rzekł tamten. Zdaje się, że nie można uniknąć nieszczęść przy fabrykacji stali Przed kilku dniami mieliśmy wybuch pieca hutniczego, podczas którego zginęło ośmiu ludzi. Szczęściem, że są to prawie sami obcy — imigranci.

Andrews zadzwonił, wzywając swego sekretarza.

— Proszę przynieść te plany, rzekł, poczem zaczął rozkładać przed zdziwionym Montague'm doskonałą kopię dawnych sprawozdań komisji, wysłanej przez zarząd kolei w Mississippi dla zbadania terenu, wraz z oryginalnymi rysunkami zarządu.

— Czy pan te plany otrzymał od Cartera? zapytał Montague; ale tamten uśmiechnął się oschle

— Dość, że je mamy, odparł. A teraz chodzi o to, aby wysłać własną komisję, którąby jeszcze raz teren obeszła. Wyobrażam sobie, że na podstawie jej sprawozdania projekt wypadnie zupełnie inaczej.

Następnego dnia Montague otrzymał w liście od Price'a dalsze instrukcje i poczyniwszy z pomocą Andrews'a wszelkie potrzebne przygotowania, wrócił nocą do Nowego Yorku.

Przybył do metropolji w piątek popołudniu. Alicji już nie było w mieście, pojechała z Prentice'ami do Newport, dokąd również udał się Oliver. Ponieważ między listami Allana znajdował się bilet od pani Prentice, zapraszający go również do Newport, przeto, ponieważ Price był w podróży, postanowił Allan skorzystać ze sposobności i wypocząć. Stosownie do tego postanowienia wyruszył w drogę w sobotę, pierwszym pociągiem.

Montague został wprowadzony w towarzystwo w zimie i nie wiedział jeszcze w jaki sposób spędza ono czas wakacji. Gdy piękne jego panie i panny przetrwały cały sezon proszonych obiadów i balów, znajdowały się w stanie zdenerwowania mniej lub więcej zbliżonym do histerji i musiały szukać miejsca i sposobu wyleczenia się. Miejscem takiem, obranem jako wypoczynek i źródło sił nowych było Newport. Było to stare miasteczko w Nowej Anglji, niedaleko od wejścia do kanału, dzielącego Long Island od stałego lądu, które z wioski niemal o kilku sklepikach korzennych i jednym szynku przemieniło

się, wskutek magicznego dotknięcia różdżką czarodziejską »towarzystwa« w najsławniejsze i najbardziej kosztowne miejsce kąpielowe na świecie. Sprzedawano tam ziemię po olbrzymiej cenie dolara za stopę kwadratową, a zapłacenie dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie za »dworek«, nie należało do nadzwyczajności.

Zachowywano tu surowo tradycję wakacji i wsi i zaznaczano to pedantycznie słowem »dworek«. Dostawało się tam zaproszenie na majówkę i przybywało się na miejsce iluminowane algiorno, obstawione tak olbrzymią ilością kwiatów w wazonach, że wystarczyłyby one na zapełnienie pół kopy cieplarni, a osoby, biorące udział w takiej »majówce« występowały w kosztownych kostjumach, obsypane klejnotami! Podczas „pikniku“ w Goosbery Point można było ujrzeć bajeczne baldachimy, rozpostarte ponad głowami uczestników i aksamitne dywany pod ich nogami, kilkudziesięciu lokajów w liberjach czekających na każde skinienie i wogóle każdy zbytek, któregoby można się spodziewać w pałacu na Fifth Avenue w Nowym Yorku. »Cab« na taki piknik kosztował pięć dolarów, a pod żadnym warunkiem nie wolno się było zjawić inaczej. Nawet gdyby miejsce przeznaczenia znajdowało się o dziesięć kroków, człowiek nie obznajomiony ze stosunkami miejscowymi, popełniłby grubą nieprzyzwoitość, gdyby przybył na uroczystość piechotą.

Na Montague'u, który przybył do Newport prosto z stalowni w Mississippi, cały ten przepych uczynił najdziwniejsze w świecie wrażenie. Widział

on już rozrzutność miljonerów w metropolji, i słyszał o bajecznych cenach, płaconych przez niektórych ludzi za przedmioty zbytku. Ale dotychczas te tysiące i miljony były dla niego tylko abstrakcją. Teraz nagle przyoblekły się one w ciało i krew ludzką, przekonał się skąd pochodzą, gdzie wytwarza się cały ten przepych i zbytek! I każde spojrzenie, którem obejmował wspaniałości, rozrzucone naokoło niego, przypominało mu tych ludzi, pracujących w oślepiającym żarze pieców hutniczych.

Oto był pałac Wymanów, stojący w parku, na którego założenie wydano pół miljona dolarów; mur kamienny, który go otaczał, był sławny na dwa kontynenty, kosztował bowiem sto tysięcy dolarów. I nad wytwarzaniem stalowych relsów dla tych właśnie Wymanów pracowali niewolnicy w stalowniach.

Oto stał pałac Eldridge Devonsów, z cieplarnią, która kosztowała sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, a która zaledwie zaspokajała dzienne zapotrzebowanie właścicieli. Tu znajdowało się owe sławne drzewo tulipanowe, które wykopano z korzeniami i przywieziono z miejsca, odległego o pięćdziesiąt mil, kosztem tysiąca dolarów. A Montague widział, jak się robi stal dla jednego z olbrzymich hotelów Eldridge Devonsów!

A tu była rezydencja Wallinga, którą pani Billy Alden opisywała jako »trzy miljonowy pałac w pustyni«. Montague czytał o sławnym kominku jego przedsionka, który był zbudowany z marmuru pompejańskiego, a kosztował siedmdziesiąt pięć tysięcy dolarów. A Wallingowie byli królami kolejo-

wymi, którzy transportowali stal produkowaną w stalowni w Mississippi.

I myśli jego od tej mordowni przenosiły się do innych fabryk i sklepów i kopalni, gdzie tacy sami niewolnicy, mężczyźni, kobiety i małe dzieci, przykuci po wieczne czasy do łańcucha pracy męczyli się, by wytwarzać przepych, który tu widział rozpostarty naokoło siebie. Do miejsca tego przybyli miljonerzy z różnych stron kraju, którzy miljony wyssali z rozmaitego rodzaju pracy. Tu oto był biały pałac marmurowy Johnsonów, w którym były salony recepcyjne o sufitach, posadzkach i ścianach wykończonych we Francji i stamtąd przywiezionych. Wszystkie drzwi i kraty, a nawet zamki i zawiasy sporządzone były podług specjalnych wzorów sławnych artystów. Johnsonowie byli książętami kolei żelaznych i węgla, a ich straszna ręka spoczęła ciężko na stanie Zachodniej Virginji. Sądy i regislatura były tylko filiami biura starego Johnsona, a Montague wiedział o wsiach górniczych, które po prostu były własnością Towarzystwa, którego potentat ten był prezydentem. Miasteczka te były jakby obwarowanymi fortami; nieszczęśliwi robotnicy nie mogli kupić ani kropli mleka poza sklepem Towarzystwa, a nawet lekarz okoliczny nie mógł przekroczyć bramy bez odnośnego pozwolenia.

A obok był dom Warfieldów, których majątek pochodził z olbrzymich sklepów, gdzie młode dziewczęta pracowały za dwa i pół dolara tygodniowo i umożliwiały sobie życie tylko zapomocą prostytucji. A tego właśnie lata najmłodsza córka

Warfieldów wchodziła w świat, a z okazji pierwszego na jej cześć wydanego balu, wybudowano salę, która kosztowała trzydzieście tysięcy dolarów, a którą rozebrano dnia następnego po zabawie.

A tam dalej, na skałach, stał zamek Mayerów, którzy zrobili majątek na węglu. Montague pomyślał o pewnym młodym człowieku, który wynalazł sposób automatycznego ważenia węgla przy ładowaniu go na okręty. Major Venable wówczas napomknął, że trust węglowy wynalazku tego u siebie nie zaprowadzi, a to z tego powodu, że sprzedaje fałszywą wagę; Montague tymczasem zbadał całą tę sprawę i przekonał się o prawdziwości słów majora, jakoteż o tem, że stary Mayer sam odrzucił wynalazek. A oto był jego pałac, a oto byli jego synowi i córki, pomiędzy najdumniejszymi i najbardziej ekskluzywnymi przedstawicielami »towarzystwa«.

I tak można było, jadąc ulicami, i obserwując pałace, przypominać sobie o rolach, jakie odgrywali w świecie finansowym ich właściciele — królowie ropy i stali, kolei i kopalń! Tu wszystko było pięknością i przepychem. Tu były trawniki aksamitne i całe ogrody rzadkich kwiatów, i tańce i uroczystości i wesele. Jakże odległym był ten świat od tej obmierzłej konkurencji handlowej, od nędzy, od pracy i od śmierci. Ale Montague miał jeszcze w duszy obraz, który widział w warsztacie stalowni, mglisty krąg wokół wirującej osi, i na noszach okaleczałego trupa ociekającego czerwoną posoką.

Szczęście sprzyjało Montague'owi, spotkał bowiem po drodze Alicję i jej znajomych, i pojechał z nimi do zatoki, urządzonej dla kąpieli morskich, którą letnicy nabyli i utrzymywali własnym kosztem, chcąc mieć prawo wyłącznego jej użytku. Pierwszą osobą, którą tam ujrzał, był Reggie Mann, który natychmiast przystąpił i objął w posiadanie Alicję. Reggie nie chciał sam pływać, nie chciał bowiem wystawiać swych wrzecionowatych łydek na widok publiczny; obserwował z wyrazem niezadowolenia antyki Henryka Percy'ego, swego najukochańszego rywala. Percy był człowiekiem mniej więcej czterdziestoletnim, i zawodowym aranżerem kotyliona; wprawiał w prawdziwy zachwyt widzów na plaży swoim monoklem, którego nie zdejmował nawet w wodzie.

Po drugiem śniadaniu w Kasynie udali się na nowy jacht wyścigowy Prentice'ów, aby wziąć udział w wycieczce. Obliczano wówczas właśnie, że w przystani w Newport znajduje się za trzydzieści miljonów siły parowej i żaglowej, używanej tylko dla przyjemności i sportu. Tego popołudnia zatoka, rojąca się od statków różnego rodzaju, przedstawiała cudowny widok.

Wrócili jednak dosyć wcześnie popołudniu, ponieważ Alicja umówiła się z kimś, że pojedzie na spacer o szóstej godzinie, a musiała jeszcze przedtem zmienić toaletę. I jeszcze raz miała się przebrać przed obiadem, który podawano o ósmej, a Montague, który pod tym względem zasięgał informacji, dowiedział się, że w Newport panował zwyczaj zmie-

niania kostjumu pięć lub sześć razy na dzień. Wielkie panie z towarzystwa były prawdziwemi mistrzyniami tej sztuki, i chwaliły się każda swym specjalnym systemem, który im umożliwiał ten proceder.

Wszystkie znajomości nowojorskie Montague'a zebrały się tu w całej okazałości: panna Ivetta Simpkins, z swoimi czterdziestu kuframi nowych paryskich toalet, pani Billy Alden, która właśnie założyła arystokratyczny i bardzo ekskluzywny klub karciarski dla pań, pani Winnie Duval, która wywołała prawdziwą sensację, puszczając w obieg pogłoskę, że zamierza zaprowadzić w Newport zwyczaj życia skromnego i pani Vivie Patton, której mąż niedawno popełnił samobójstwo.

Był to właśnie wieczór długo oczekiwany, w którym pani Landis urządzała zabawę z tańcami. U Landis'ów zajeżdżało się w sam środek domu, który miał tak obszerne podwórze, że można je było objechać karetą, zaprzężoną w czwórkę. Cały parter zajmowały stajnie, o których przepychu i urządzeniach obiegały najdziwaczniejsze pogłoski. Zajeżdżało się w rodzaj przedsionka, konie, jakby na skutek czarów znikały po jednej stronie za drzwiami, podnoszącemi się automatycznie, kareta z drugiej, a przed gościem otwierało się wejście do prywatnych apartamentów pałacu, obstawionych lokajami w liberjach.

Do obiadu nakrytych było pięć stołów. a przy każdym z nich siedziało dziesięć osób. Na środku każdego z nich był olbrzymi baldachim z kwiatów jako ozdoba, a i zresztą stoły były poubierane kwiatami o wspaniałym doborze barw. Podczas tańca

ustawiono parawany, zasłaniające tę część sali balowej, a po usunięciu ich niedługo po północy, ukazały się stoły nakryte do kolacji, z zupełnie nowym scenicznym efektem.

Tańczono do białego dnia, mimo forsownej gry w tennis dnia poprzedniego, a czem słyszał Montague z ust uczestników. Wszyscy ci ludzie o dziewiątej lub dziesiątej godzinie rano już wstawali, a przed południem można ich już było widzieć w sklepach lub u brzegu morza. Tak sobie »towarzystwo« wyobrażało »wypoczynek« po trudach zimowego sezonu.

Po kolacji przystąpiła do Montague'a pani Carolina Smythe, która, posiadając sama całą menażerję kotów i psów bardzo się interesowała kampanią, którą prowadziła pani Winnie przeciw wiwisekcjom. Chodząc tam i napowrót po tarasie pałacu Landis'ów, i obserwując słońce, wschodzące nad zatoką, opowiadała mu wszystkie szczegóły tej akcji.

— Czy widzi pan tę drogę za nami? rzekła potem. To właśnie ta droga, którą udało się Landis'om zamknąć dla publiczności. Musiał pan słyszeć o tem.

— Nie, odpowiedział Montague, nie słyszałem.

— Ależ to teraz najlepszy dowcip, krążący po Newport, mówiła pani Smythe. Musieli oni w tym celu przekupić radę miejską. Jakiś omnibus pełen turystów zwykł był codziennie wyjeżdżać tą drogą aż na szczyt wzgórza. Tam woźnica wstrzymywał konie, stawał na koźle i biczyskiem wskazywał pasażerom swoim okolicę.

— »To, panowie i panie«, mawiał, »to jest dom Landisów a tam, po drugiej stronie jest dom Johnsonów. Raz pan Landis miał żonę, która mu się sprzykrzyła, i pan Johnson też miał żonę, którą sobie uprzykrzył. Tak więc obaj rozwiedli się i pozamieniali swoje żony, a teraz pani Landis mieszka w domu pana Johnsona, a pani Johnson w domu pana Landisa. Wiśta wio!«



ROZDZIAŁ XIII.

Alicja wyszła wcześnie nazajutrz, by udać się z Henrykiem Curtissem do kościoła, ale Montague, który rzeczywiście przybył dla odpoczynku, wstał dopiero później i puścił się na bezcelową wędrówkę po ulicach, obserwując ludzi. Spotkała go wkrótce pani de Graffenried, która swoim zwyczajem zaprosiła go zaraz, by przyszedł na drugie śniadanie. Przybywszy do jej domu, spotkał około czterdziestu osób, zaproszonych takim samym przypadkowym sposobem, a między niemi swego brata Olivera i — ku swemu niepomiernemu zdziwieniu, — jego przyjaciela, Gamble'a!

Gamble miał na sobie nienaganny kostjum jachtowy, który z jego pękatą figurką tworzył bardzo komiczny kontrast. Przywitał Montague'a ze zwykłą sobie poufałością.

— Jak się pan ma, panie Montague — jak się pan ma? rzekł. Od czasu jak się poznaliśmy, ciągle słyszę o panu.

— Co mianowicie? zapytał Montague.

— Opowiadano mi, że pan wszedł do »Stali« w Mississippi, dowiadywał się Gamble.

Do pewnego stopnia, przyznał Allan.

— Niech pan będzie ostrożnym, ma pan do czynienia z przebiegłymi ludźmi! Z przebieglejszymi nawet niż ludzie z trustu, jak mi się zdaje. I przymrużywszy chytrze oczy, mały człowieczek dodał:

— Przyzwyczaiłem się do powiedzenia, że istnieją dwa rodzaje złodziei w przemyśle naftowym: tacy, którzy sądzą, że mogą polegać jedni na drugich, i ci są w truście, i tacy, na których sam djabeł nie mógłby polegać — i ci są niezależnymi. Wiem co mówię, gdyż sam byłem też niezależnym.

Pan Gamble śmiał się wesoło z tego dowcipu, który prawdopodobnie uważał za jeden z *clou* swej konwersacji.

— Jak się pan ma, kapitanie, rzekł nagle do człowieka, który przechodził. Panie Montague, pan pozwoli, że przedstawię panu mego przyjaciela, kapitana Gilla.

Montague, odwróciwszy się, ujrzał wysokiego, napuszonego oficera marynarki.

— Kapitan Henryk Gill z »Allegheny«.

— Bardzo mi przyjemnie, panie Montague! rzekł kapitan.

— Brat Olivera Montague'a, objaśnił Gamble A potem, dostrzegłszy w sali kogoś innego znajomego, potoczył się w tamtą stronę, pozostawiając Montague'a zajętego rozmową z oficerem.

Kapitan Gill był komendantem jednego z sześciu okrętów, które uprzejmy rząd przysyłał stale

latem do Newport, aby tamże przyczyniły się do ożywienia sezonu. Był on znakomitym tancerzem i ogólnym ulubieńcem pań. Szczególnie pani de Graffenried oddawna odznaczała go swoimi względami.

— Dawno pan zna Gambla? zapytał oficer Montague'a, zagajając rozmowę.

— Widzę go dziś poraz drugi w życiu, odrzekł tenże. Mój brat zna go dobrze.

— Zdaje się, że Ollie jest w wielkich łaskach u Gamble'a, rzekł kapitan. Dziwny to chłop.

Montague zupełnie zgadzał się z tem określeniem Gamble'a.

— Poznałem go w Brooklynie, mówił dalej tamten, czując prawdopodobnie, że znajomość z Gamblem wymaga pewnego wyjaśnienia. Żył on tam na zupełnie koleżeńskiej stopie z oficerami marynarki. Ci nie mają często sposobności obcowania z emerytowanymi milionerami.

— To zupełnie jasne, rzekł Montague uśmiechając się. Bardzo się jednak zdziwiłem, spotkawszy go tu.

— Jego możnaby spotkać i w niebie, gdyby postanowił sobie dostać się tam, rzekł kapitan Gill, śmiejąc się. Jest to poczciwy człowiek, mogę panu jednak powiedzieć, że każdy, ktoby myślał, że Gamble nie wie, czego chce, popełniłby błąd kardynalny.

Montague przypomniał sobie tę uwagę podczas drugiego śniadania, siedząc przy stole naprzeciw Gamble'a. Obok niego siedziała Vivie Patton, która obrała małego człowieka za cel swych dowcipów. Dowcipy te nie zawsze były bardzo delikatnie, ale

Gamble był twardy i przyjmował wszystko z dobrodusznym uśmiechem.

Dla Montague'a człowiek ten był zagadką nie do rozwiązania. Oczywiście był bogatym i pieniędzy miał jak lodu; ale brak pieniędzy wogóle wśród tych ludzi nie dawał się odczuć. Montague zastanawiał się, czy obecność jego przypisać należy potrzebie pani de Graffenried i jej przyjaciół wydrwiwania kogoś i posiadania ofiary, o którą możnaby wycierać nogi. Przebiegał oczyma długi szereg osób, siedzących przy stole i bawił się kontrastem, jaki panował między nimi a Gamblem. Pani de Graffenried lubiła towarzystwo młodych ludzi i większa część jej gości należała do drugiej lub nawet trzeciej generacji miljonerów. Przybysz z Pittsburga był jedynym między nimi, który sam zrobił swój majątek i który nosił na sobie piętno walki o byt. Montague uśmiechnął się na tę myśl. Gamble wydawał mu się uosobieniem ducha ropy; był tłustym i nieprzyjemnym, podczas gdy w innych ropa została przedestylowana na bardzo delikatny, woniejący olejek. Mimo to, tłuścioch był niejako najbardziej ludzką istotą ze wszystkich. Był wprawdzie bezwątpienia niezmiernie egoistycznym, ale, jeżeli interesował się sobą samym, interesował się też innymi ludźmi, podczas gdy pośród bywalców u pani de Graffenried, uchodziło za rodzaj trywialności interesować się czemkolwiek.

Zdawało się, że w szczególny sposób upodobał sobie Montague'a z powodów tylko jemu samemu znanych. Po śniadaniu, znowu podszedł do niego.

— Pan tu pierwszy raz — nieprawda? tak mi przynajmniej powiedział Oliver, rzekł.

Montague potwierdził, a wówczas Gamble wystąpił z propozycją:

— Niech pan lepiej pojedzie ze mną, pokażę panu miasto. Mam tu mój automobil.

Montague nie miał żadnego innego zobowiązania, ani też nie posiadał w swym zapasie gotowej wymówki.

— Bardzo uprzejmie.. zaczął.

Ale Gamble przerwał mu:

— Dobrze, dobrze, rzekł. Chodź pan!

Pociągnął go za sobą i umieścił w swym olbrzymim czerwonym automobilu, który miał siedzenie specjalnie zbudowane dla właściciela — niezbyt szerokie i bardzo niskie, tak, żeby małe jego tłuste nóżki dosięgały do ziemi.

Gamble z westchnieniem umieścił się wśród poduszek powozu.

— Do djabła z takiem miejscem kąpielowem — co panie? zapytał.

— Mnie się wydaje zajmującem i przyjemnem na krótki pobyt, odparł Montague.

— Co do mnie, to nie, gderał tamten. Ja lubię spędzać lato w takiem miejscu, gdzie w każdej chwili mogę zdjąć marynarkę. Zresztą wolę także piwo niż szampan podczas upałów.

Montague nie odpowiadał.

— I ta niemożebna ilość snobów, których się tu ciągle spotyka! zauważył Gamble wesoło. Bawią się znakomicie pokpiwając sobie ze mnie — to spra-

wia im przyjemność, a mnie nie szkodzi. Czasami jednak przecież człowiek mało nie oszaleje; najchętniej kazałbym się im połknąć. Ale potem myślę sobie zawsze: Co za pożytek uganiać się za czemś, co dla mnie jest bez wartości, tylko dlatego, że inni twierdzą, że to dla mnie nieosiągalne.

Montague miał już na języku zapytanie:

— W takim razie poco pan tu przyjeżdża? Pohamował się jednak.

Automobil pędził po wspaniałej ulicy, a towarzysz jego ciągle wskazywał mu rozmaite pałace, lub znajomych ludzi i rzucał uwagi o nich swoim własnym, dziwacznym sposobem.

— Patrz pan na ten dom z czerwonych cegieł, tam w głębi, rzekł. Należy on do Allisa, tego kolejarza. Mieszkał dawniej w Pittsburgu i pamiętam go z przed trzydziestu laty, jak miał jeden wózeczek dla swych trojga malutkich dzieci i sam go popychał — do wszystkich piorunów! Wówczas chętnie pożyczał on odemnie pieniędzy ale teraz, gdy idę, odwraca się w przeciwną stronę.

— Allis przed sześciu lub dziesięciu laty także był zaangażowany w przemyśle stalowym, mówił dalej Gamble. Potem wysprzedał akcje stalowe — było to w pierwszych latach założenia trustu stalowego. Słyszał pan kiedy tę historję?

— Nie, nie przypominam sobie, żeby mi opowiadano o tem, odpowiedział Montague.

— No, mówił Gamble, jeżeli pan ma zamiar wystąpić przeciwko stalowcom, musi pan być do-

skonale o nich poinformowany. Czy zna pan Jima Stagga?

– Czy tego z giełdy? zapytał Montague. Znam go tylko z nazwiska.

— Ostatnim jego występem było urządzenie wielkiej walki bokserów w jednym z najpierwszych hoteli w Nowym Yorku, podczas której jeden z murzynów przebił partnerem swoim olbrzymie lustro z kryształowego szkła Stagg pochodzi z dzikiego zachodu, wie pan, dlatego jest tak nieokrzesanym. Mój Boże! — mógłbym panu opowiedzieć kilka historji o nim, od którychby panu włosy na głowie powstały! Pamięta pan może, jak osaczył on Towarzystwo kolei południowych w Tennessee i miał ich zupełnie w ręku; ale stary Waterman orzekł wówczas, że jest on niezdolnym dzierżyć w swem ręku taką władzę i odebrał mu ją. Oczywiście, było to tylko czczym pozorem, bo Waterman zawsze jeszcze używa go do takich małych interesów jak ten. Dość, że sześć lub ośm lat temu Stagg posiadał olbrzymią fabrykę stali na zachodzie, a w Indianie znowu była stalownia, należąca do Allisa. która wchodziła mu w drogę. Pewnego razu Stagg i jego paczka znajdowali się na kilkudniowym objeździe i kiedyś późno w nocy zaczęli mówić o Allisie.

— Wykupmy go! rzekł Stagg; zaczem natychmiast zamówili pociąg specjalny i ładunek szampańskiego i ruszyli w drogę do stolicy Indiany. Stanęli przed domem Allisa około czwartej godziny nad ranem i zaczęli dzwonić i walić we drzwi. aż po chwili wyszedł służący, jeszcze na wpół śpiący.

— Czy Allis jest w domu? zapytał Stagg i zanim służący mógł odpowiedzieć cała gromada wpakowała się do przedsionka, a Stagg stanął na dole u schodów i huknął na górę — a ma on głos jak bawół, wie pan — »Allis, Allis, zejdź pan na dół!«

— Allis wyszedł na schody w nocnej koszuli, śmiertelnie przerażony.

— »Allis, chcemy kupić twoją stalownię«, rzekł Stagg.

— »Kupić moją stalownię...«, wyjąkał Allis.

— »No tak, i to zaraz! gotówką na miejscu! Zapłacimy ci za nią pięć kroć sto tysięcy!«

— »Ależ kosztowała mnie ona zwyż miljona dwakroć!« rzekł Allis.

— »Dobrze więc, zapłacimy ci miljon dwakroć«, wołał Stagg. »Zresztą, niech cię djabli wezmą, zapłacimy ci miljon pięćkroć!«

— »Moja stalownia nie jest na sprzedaż«, rzekł Allis.

— »Zapłacimy ci dwa miljony!«

— »Ależ nie jest na sprzedaż, mówię wam!«

— »Zapłacimy ci dwa i pół miljona, złaź na dół!«

— »Czy to mówicie na serjo?« bełkotał Allis. Nie mógł wierzyć swym uszom.

— »Zleź na dół, napiszę ci czek«, rzekł Stagg. I tak sprowadzili go na dół i kupili jego stalownię. Potem kazali otworzyć sporo butelek szampana, wskutek czego i Allisowi poprawił się humor.

fabryka stali, własność Jonesa. Koleje dają mu znaczne rabaty, tak, że może on ustanawiać ceny o wiele niższe i podkupuje mnie przez to«.

— »O to mniejsza«, rzucił Stagg. »Będziemy mieli jego stalownię także«.

— I tak wgramolili się znowu na swój specjalny pociąg i około 6-tej godziny rano przyjechali do Harristown i kupili drugą stalownię. To ich postawiło na nogi. Nigdy w życiu jeszcze nie ubawili się tak znakomicie, jak wówczas. Zdaje się, że Stagg właśnie wtedy zarobił dziesięć do dwunastu miljonów na wielkim krachu giełdowym i całe te pieniądze, co do dolara, włożył w zakupno fabryk stali — płacąc naturalnie za każdą z nich podwójne i potrójne ceny.

Gamble przerwał i zachichotał sam do siebie.

— Co ja tu panu powiedziałem, jest historją, zasłyszaną od Stagga samego, rzekł potem. Ma się rozumieć, że trzeba co do niej, poczynić pewne zastrzeżenia. Mówił on między innemi, że niema pojęcia o planach Watermana, ale ja sądzę, że to było kłamstwem. Harrison z Pittsburga zagroził wybudowaniem własnej linji i odebraniem drogom żelaznym Watermana wszelkiego dochodu, Watermanowi więc nie pozostawało nic innego jak odkupić od niego stalownię za trzykrotną cenę jej wartości Równocześnie nabył także stalownie, kupione przez Stagga. Stagg zapłacił dwu lub trzykrotną cenę, Waterman dodał jeszcze raz podwójną ich wartość, a potem

— »Jest jeden zarzut, który można uczynić mojej stalowni«, rzekł. »Istnieje w Harristown druga

Gamble przerwał.

— Takim to sposobem robią oni te swoje majątki, dodał poruszając małą swą tłustą rączką. Czasem śmiech zbiera człowieka na samą myśl o tem. Każde przedsiębiorstwo, które nabyli, było przedewszystkiem, od samego początku, przepłacone; wątpię, czy kiedykolwiek włożono więcej w zakłady trustu stalowego ponad dwakroć sto tysięcy dolarów. A oni spieniężyli je za biljon, a teraz szacują je na półtora biljona. Człowiek, który je sprzedał zarobił setki miljonów, a biedna publiczność, która nabyła zwykłe akcje, przekonała się, że spadły one z dziesięciu na sześć! Staremu Harrisonowi przysporzyły te spekulacje hipotekę czterystu miljonów dolarów, którą ma na nieruchomościach trustu, a teraz siedzi on i śmieje się w kułak i dziwi się, dlaczego człowiek nie może umrzeć ubogim!

Automobil znajdował się właśnie naprzeciw jednego z klubów, gdy nagle Gamble kazał szeferowi stanąć.

— Hallo, Billy, zawołał, i na te słowa młody oficer marynarki, który schodził właśnie ze schodów, stanął odwrócił się, i przybliżył się do niego.

— Co robiłeś ze sobą przez cały ten czas? mówił Gamble. Pan Montague, mój przyjaciel, porucznik Lang. Dokąd-że to idziesz, Billy?

— Nie mam żadnego określonego celu, odpowiedział oficer.

odstąpił je znowu innym przedsiębiorcom za jeszcze wyższą cenę.

— Wejdź, rzekł Gamble, wskazując na próżne miejsce między sobą a Montague'm. Pokazuję właśnie panu Montague'owi miasto.

Tamten wszedł do automobilu i pojechali dalej.

— Porucznik właśnie przyjechał z Brooklynu, mówił dalej Gamble. Dobrześmy się bawili w Brooklynie — nieprawdaż Billy? Powiedz mi, co robiłeś w ostatnich czasach.

— Pracuję teraz bardzo, rzekł porucznik, uczę się.

— Uczysz się, tu w Newport? zaśmiał się Gamble

— O to bardzo łatwo, jeżeli się należy do sztabu inżynierów, odparł tamten. Jesteśmy ludźmi pracy, a oni nie potrzebują nas na swych balach.

— A propos, Gamble, dodał po przerwie, szukałem cię właśnie. Chcę cię prosić, żebyś mi pomógł.

— Ja tobie? zdziwił się Gamble.

— Tak. Dostałem właśnie zawiadomienie od departamentu, że jestem członkiem komisji, złożonej z pięciu ludzi, która została wybrana dla zbadania własności, jakie powinien mieć olej maszynowy, używany w marynarce.

— Cóż ja mogę uczynić dla ciebie w tym kierunku? zapytał Gamble.

— Właśnie chciałem cię prosić, żebyś mi pomógł w określeniu tych własności

— Ależ ja nic zgoła nie wiem o oleju maszynowym.

— Nie możesz w żaden sposób wiedzieć mniej odemnie, rzekł porucznik. Przecież jeżeli przez jakiś

czas siedziałeś w przemyśle i miałeś do czynienia z olejem, to możesz mieć pojęcie o oleju maszynowym.

Gamble myślał przez chwile.

— Mógłbym spróbować, rzekł wreszcie. Nie wiem jednak, czy mi wypada to uczynić. Wprawdzie ja sam już wycofałem się z interesów, ale mam przyjaciół, którzyby mogli stanąć do konkursu i starać się o dostawę.

— Twoi przyjaciele mogą ubiegać się wraz z innymi, rzekł porucznik. Wszak i ja jestem przyjacielem twoim, do djabła! I jakże ja mam przez ducha świętego dowiedzieć się czegokolwiek o olejach?

Gamble znowu milczał.

— Ostatecznie uczynię dla ciebie, co będę mógł, rzekł wreszcie. Spiszę ci wszystkie własności dobrego oleju, o jakich wiem, a ty możesz użyć tych wiadomości, jak uznasz za stosowne.

— Dobrze, odpowiedział porucznik z widoczną ulgą.

— Musisz się jednak zgodzić, że nic nie powiesz o tej sprawie nikomu, rzekł znowu Gamble. To bardzo drażliwa kwestja, rozumiesz przecie

— Możesz się spuścić na mnie pod tym względem, odparł śmiejąc się, tamten. Potem zaczęli mówić o czemś innem, podczas gdy automobil rwał pędem przez ulice miasta.

Po pół godzinie Gamble odstawił Montague'a przed drzwi domu Prentice'ów, gdzie Montague pożegnał się i wysiadł

Generał właśnie schodził na dół.

— Hallo, Allanie, rzekł. Gdzie byłeś?

— Zwiedzałem miasto trochę, odpowiedział Montague.

— Chodź do salonu, jest tam człowiek, którego powinieneś znać. Jeden z najzdolniejszych dziennikarzy na Wall Street, dodał generał, przechodząc przez przedsionek. Reporter giełdowy z »Expressu«.

Montague wszedł i został przedstawiony potężnie zbudowanemu i dosyć przystojnemu młodemu człowiekowi, który jeszcze niedawno temu należał do sławnej drużyny footballowej.

— No i cóż, panie Bates, zapytał generał, co tam znowu wyszperałeś?

— Staram się dowiedzieć o prawdziwej przyczynie upadku Granta i Warda, rzekł Bates Przypuszczałem, że jeżeli kto, to pan ją zna chyba.

— Znam ja wprawdzie, ale okoliczności tak się złożyły, że nie mogę nic powiedzieć, przynajmniej nie celem opublikowania tych wiadomości. Powiem panu prywatnie, jeżeli pan chce.

— Nie, rzekł Bates. W takim razie lepiej niech pan nie mówi. Już się jakoś dowiem skądinąd.

— Czy pan odbył całą podróż do Newport tylko celem zobaczenia mnie? zapytał generał.

— Nie, niezupełnie. Mam odbyć wywiad u Wymana w sprawie nowej emisji akcji jego kolei. Co pan sądzi o stanie giełdy, generale?

— Mnie on się wydaje groźnym, rzekł Prentice. Czas najodpowiedniejszy, by zwinąć żagle.

Potem Bates zwrócił się do Montague'a.

— Zdaje mi się, rzekł uprzejmie, że minąłem pana przed chwilą na ulicy. Był pan w towarzystwie James'a Gamble'a. Prawda?

— Tak, odpowiedział Montague. Czy to pański znajomy?

Bates zna wszystkich, wtrącił generał. To jego zawód.

— Tak, ale tego Gamble'a przypadkiem znam szczególnie dobrze. Mój brat pracuje w jego biurze w Pittsburgu. Jakie pan ma przypuszczenia co do jego obecności w Newport?

— Zwiedza tylko świat. Tak mi przynajmniej powiedział, rzekł Montague. Nie ma właściwie interesów, ponieważ Towarzystwo jego wysprzedało akcje i rozwiązało się.

— Wysprzedało! zawołał Bates. Co pan chce przez to powiedzieć?

— Jakto co? Przecież Trust wykupił jego akcje, rzekł Montague.

Tamten wlepił w niego szeroko otwarte ze zdziwienia oczy.

— Dlaczegoż pan tak sądzi? zapytał.

— Sam mi to powiedział, była odpowiedź.

— O, zaśmiał się dziennikarz, w takim razie to jakiś podstęp z jego strony.

— Czy pan przypuszcza, że nie wysprzedał?

— Nie przypuszczam, ale posiadam całą pewność co do tego, twierdził Bates. W każdym razie nie wysprzedał jeszcze trzy dni temu. Miałem list od mego brata, w którym pisał mi, że spodziewają się oni zawarcia bardzo korzystnego kontraktu z rzą-

dem w sprawie dostawy oleju, i że ten kontrakt zapewni im olbrzymie dochody na najbliższych pięć lat.

Montague nic nie odpowiedział. Zato pomyślał sobie kilka rzeczy. Doświadczenie zaostrzyło jego żmysł kombinacyjny; umiał on już poznać klucz do rozwiązania zagadki, gdy przypadkiem klucz taki dostał się w jego ręce. Po chwili, gdy Bates pożegnał się, a do pokoju wszedł Oliver z Alicją, Allan pociągnął brata swego w odległy kąt pokoju i zapytał:

— Jaki procent dochodu masz dostać z tego kontraktu o dostawę oleju?

Tamtem w osłupieniu utkwił w jego twarzy nieruchome źrenice.

— Boże święty! zawołał. A więc powiedział ci o tem?

— Powiedział mi niektóre rzeczy, rzekł Montague. Resztę odgadłem.

Oliver obserwował go niespokojnie

— Pamiętaj Allanie, rzekł; ani pary z ust o tem do kogokolwiek!

— Bądź spokojny, nie widzę w rozgłaszaniu tych rzeczy żadnego interesu dla siebie.

A potem nagle Oliver roześmiał się, ubawiony.

— A co Allanie, zawołał Sprytny pies, prawda?

— Bardzo sprytny, przyznał Allan.

— Chodził za tem przez sześć miesięcy, wiesz, i ani słowem się nie zdradził! To najprzebieglejsza gra, jaką kiedykolwiek widziałem.

— Ale jakżeż mógł on wiedzieć, którzy oficerowie mieli opracować warunki konkursu?

— O, to prosta rzecz, rzekł Oliver To było początkiem całej sprawy. Jego ludzie dostali zawiadomienie, że ma być rozpisany konkurs na dostawy, a co do nazwisk oficerów, to dowiedzieli się o nich z wielką łatwością. To rzeczy ogólnie praktykowane, urzędy w Waszyngtonie są sprzedajne.

— Rozumiem, rzekł Montague.

— Towarzystwo akcyjne, do którego należy Gamble podupadło nieco, mówił dalej Oliver. Trust przyparł go zupełnie do muru. Ale Gamble skorzystał ze sposobności. jaka mu się nadarzyła, i postawił wszystko na jedną kartę.

Ale co mu przyjdzie z tego? zapytał Allan. Cóż stąd za korzyść dla niego, że spisze on własności, jakie muszą mieć oleje używane do smarowania maszyn?

— Do komisji należy pięciu oficerów, objaśniał Oliver, a Gamble zastawił sieci na każdego z nich. Tak więc teraz wszyscy oni są jego serdecznymi przyjaciółmi, i każdy z nich udał się do niego o wskazówki! Do Waszyngtonu zatem pójdzie pięć opisów, z których każdy będzie inny, każdy jednak bedzie miał jeden punkt wspólny. Bo widzisz, towarzystwo akcyjne Gamble'a produkuje specjalny rodzaj oleju; zawiera on jakąś przymieszkę, powiedział mi nawet jak się to nazywa, ale nie pamiętam w tej chwili. Przymieszka ta nie czyni oleju ani lepszym ani gorszym, ale sprawia, że olej taki jest odmiennym od wszystkich innych olejów na świecie. A te-

raz zrozumiesz. Jakiekolwiek inne własności będą wyliczone w opisach, ta jedna własność zawsze się w nich pojawi, i tylko jedna fabryka na świecie będzie mogła dostarczyć takiego oleju. Ma się rozumieć, że ustanowi ona cenę według swego upodobania i zawrze kontrakt na pięć lat.

— Rozumiem, rzekł sucho Montague. Jest to wspaniały plan. A ile ty zarabiasz na nim?

— Zapłacił mi dziesięć tysięcy na początek, rzekł Oliver. A oprócz tego mam dostać pięć procent rocznej sumy kontraktu, jakąkolwiekby ona była. Gamble mówi, że oznaczy cenę nie niższą jak pół miljona. Widzisz więc, że mi się to opłaci.

I Oliver zaśmiał się sam do siebie.

— Wraca już do domu jutro, dodał. Tak więc moja rola się skończyła. Prawdopodobnie już go nigdy więcej nie zobaczę, chyba wówczas, gdy jego cztery, odznaczone medalami córki będą gotowe na rynek.



ROZDZIAŁ XIV.

Montague wrócił do Nowego Yorku i pogrążył się w pracy. Zgromadzenie, na którem miał być przeprowadzony wybór jego na prezydenta północnej kolei w Mississippi miało się odbyć dopiero za miesiąc. Tymczasem nie zbywało mu na robocie. Jako prezydent linii będzie naturalnie musiał wrócić do Mississippi na stały pobyt, trzeba więc było pozamykać interesa swoje w Nowym Yorku. Pragnął także przysposobić się i nabyć wiadomości, potrzebnych do nadzorowania linii kolejowej. Dzięki uprzejmości generała Prentice'a, został przedstawiony prezydentowi jednej z wielkich transkontynentalnych kolei żelaznych, i porobił studja co do systemu, jakim były prowadzone biura tego przedsiębiorstwa. Udał się znowu na południe, by doglądać pracy komisji i by naradzić się z inżynierami, obranymi dla budowy drogi.

Price postępował szybko naprzód z przygotowaniami objęcia zarządu linji, nie zwracając wcale uwagi na dawny zarząd. Pewnego dnia posłał po Montague'a i przedstawił go niejakiemu Haskinsowi,

który miał być obranym wiceprezydentem Towarzystwa. Mówił, że Haskins był dawniej głównym zarządcą Południowej kolei w Tennessee i posiadał rutynę w prowadzeniu przedsiębiorstw kolejowych. Montague miał zdać na niego zupełnie wszystkie szczegóły pracy.

Haskins był małym, nerwowym człowiekiem, jakby ukręconym z drutów, wiecznie w złym humorze i o sarkastycznym języku. Ewangelją jego była »sprawność« pieniędzy, jak on to nazywał, a w rozmowach z nim Montague nauczył się wielu ciekawych szczegółów dotyczących administracji dróg żelaznych Dowiedział się naprzykład, że wcale pokaźną sumę w kosztorysie stanowiły pieniądze, które trzeba było zapłacić rozmaitym miejscowym przedstawicielom władzy za pozwolenie przeprowadzenia kolei przez miasteczka i wsie. Okazało się, że nikt nigdy nawet nie zastanawiał się nad możliwością uzyskania tego prawa zapomocą innej jakiej metody. Montague'owi nie podobało się to wprawdzie, nie odezwał się jednak ani słowem. Potem usłyszał, że mająca powstać kolej miała nabyć swe szyny i inne materjały od Tow. akcyjnego »Stal« w Mississippi, i oczywiście oczekiwano. że trzeba będzie zapłacić za to bajońskie sumy. Nie miano wcale dopominać się o udzielenie zwykłego w takich wypadkach rabatu od fabryki. Zaniepokoiła też Montague'a wiadomość, że sekretarz i skarbnik kolei mieli obaj otrzymać bardzo wysokie pensje, i że co do tych pensji nie wolno było stawiać żadnych kwestji, byli to bowiem krewni Price'a.

Ze wszystkiem tem jednak potrafił się wreszcie pogodzić. Sprawa natomiast zaostrzyła się znacznie, gdy, na jakie dziesięć dni przed wyborami przyszedł do jego biura Haskins, i przyniósł ze sobą pisemne orzeczenia rzeczoznawców inżynierów, jakoteż swój własny przypuszczalny kosztorys rozszerzenia linji. Większa część cyfr tego kosztorysu była o wiele wyższą, niż te, które Montague sam wypracował.

— Te dostawy powinniśmy otrzymać o wiele taniej, rzekł, wskazując palcem niektóre pozycje

— Pewnie, odpowiedział Haskins, ale te rzeczy będzie nam dostarczało Tow. akc. »Hill Manufacturing Co.«.

— Nie rozumiem pana, zdziwił się Montague. Zdawało mi się, że dostawy rozdamy drogą licytacji i konkursu.

— Tak, odpowiedział Haskins. Ale to towarzystwo w każdym razie weźmie dostawy.

— Czy pan myśli zatem, zapytał Montague, że pierwszeństwa nie otrzyma najniższa oferta?

— Obawiam się, że nie.

— Czy Price mówił panu coś o tem?

— Tak.

— Ależ nie rozumiem, rzekł Montague. Cóż to za towarzystwo, to »Hill Manufacturing Co.?«

Haskins uśmiechnął się.

— Towarzystwo to zostało zorganizowane przez samego Price'a.

Montague'a ogarniało coraz większe zdziwienie.

— Przez samego Price'a?... powtórzył z trudnością.

— Jego siostrzeniec jest prezydentem tego towarzystwa

— Zatem to towarzystwo nowe?

— Zorganizowane umyślnie w tym celu, uśmiechnął się Haskins.

— A cóż ono produkuje?

— Nic nie produkuje — sprzedaje tylko.

— Innemi słowami, rzekł Montague, jest to urządzenie, zapomocą którego Price zamierza okraść akcjonarjuszy Północnej koleji w Mississippi?

— Może pan to tak wyrazić, jeżeli pan chce, powiedział Haskins spokojnie. Nie radziłbym panu jednak uczynić tego w obecności Price'a.

— Dziękuję panu, rzucił sucho Montague, chcąc przerwać rozmowę.

Myślał nad tą sprawą przez cały dzień. Nie miał zwyczaju działać pod wpływem pierwszego impulsu. Czuł, że teraz nadszedł dla niego czas stanowczego wystąpienia, chciał się jednak upewnić, i nakreślić sobie plan akcji przed jej rozpoczęciem. Zjadł tego wieczora objad w klubie, a widząc swego przyjaciela, majora Venabla, zagłębionego w olbrzymim, skórą obitym fotelu w czytelni, przystąpił do niego i usiadł przy nim.

Jak się masz majorze? rzekł. Mam znowu sprawę, co do której chcę ci zadać kilka pytań.

— Zawsze na twoje usługi, odpowiedział major.

— Chodzi mianowicie o kolej. Czy słyszałeś kiedy o tem, żeby prezydent kolei żelaznej organi-

zował towarzystwo akcyjne dla sprzedawania materjałów swojej własnej kolei?

Major uśmiechnął się jakoś nie wesoło.

— Tak, słyszałem już o takich rzeczach.

— Czy to się zdarza często?

— Nie tak często jak zdajesz się przypuszczać. Prezydent kolei żelaznej zazwyczaj nie jest dość ważną figurą, by mu na to pozwolono. Jeżeli to linja duża, a prezydent jest jednym z jej potentatów, wówczas może się to zdarzyć.

— Rozumiem, rzekł Montague.

— Na tem właśnie polegała sztuczka Higginsa. Higgins to był taki pan, który chodził po wszystkich szkołach niedzielnych, i miewał w nich wykłady; jeden z tych ludzi, o których pisma wyrażają się jako o wzorowych obywatelach i umysłach przedsiębiorczych. Jego bracia i szwagrowie i krewni i jednem słowem cała jego familja rzuciła się do przemysłu, by sprzedawać materjały jego kolejom. Słyszałem o jednej historji, która nigdy nie przedostała się na światło dzienne, ale jest bardzo zabawną. Co roku kolej ta ogłaszała, że rozpisuje konkurs na dostawę papieru, którego spotrzebowała za cenę mniej więcej miljona dolarów. Ogłaszano długie i zagmatwane warunki konkursu, które zajmowały całe kolumny druku. Ale gdzieś, między tymi warunkami, w środku jakiegoś paragrafu, tkwiła ukryta uwaga, że wszystkie wyroby muszą być opatrzone pewnym wodnym znakiem; a ten znak był opatentowany przez jedno z Towarzystw akcyjnych Higginsa! Nie miało ono ani jednej papierni i odsprze-

dawało kontrakty. Gdy Higgins umarł, zostawił ośm milionów dolarów majątku; ukryto jednak tę sumę, i dzienniki podały, że pozostawił »kilka miljonów«. Działo się to w Filadelfii; tam można praktykować takie rzeczy.

Montague myślał nad czemś przez chwil kilka.

— Nie rozumiem jednak, dlaczego robionoby to w moim wypadku, rzekł wreszcie. Ci ludzie, którze to czynią, są niemal wyłącznymi akcjonarjuszami tej kolei.

— Cóż stąd? zapytał major.

— No, w takim razie obrabowują oni poprostu swoją własność!

— A jakże! ironizował major. Oni wcale nie dbają o wartość tej własności. Pozbędą się jej, zanim publiczność się połapie; a tymczasem manipulują akcjami. Używają tego systemu także wobec miejskiej kolei w Brooklynie, naprzykład; im nieregularniejsze dywidendy, tem gwałtowniejsze wahania akcji, a tego właśnie oni pragną.

— Ale w tym wypadku chodzi o kolej, która dopiero się buduje, rzekł Montague, a oni właśnie złożyli pieniądze na tę budowę.

— Tak, rzekł major. To jasne. I spłacają sami sobie te pieniądze zapomocą tej sztuczki A oprócz tego będą jeszcze mieli akcje, i cokolwiek dostaną za nie, zawsze to będzie czystym zyskiem. A jeżeliby miały wkroczyć w tę sprawę władze i stawiać jakieś niedyskretne pytania, wówczas mogą oni otworzyć swe księgi i powiedzieć: »Oto tyle pieniędzy wyłoży-

liśmy na koszta budowy i ulepszenia. Takie są nasze wydatki. I jeżeli nam obniżycie taryfy przewozu, będzie to zagarnięciem naszych zysków i konfiskatą naszej własności.«

I major patrzył na Montague'a, mrugając złośliwie oczyma.

— Zresztą, dodał, jest jeszcze jedna rzecz. Mówisz, że oni łożą pieniądze. Ale czy jesteś pewnym, że to ich pieniądze? Zazwyczaj większa część kosztów takiej budowy kolei pokrywa się bonami i skryptami dłużnymi, które oni natychmiast realizują w bankach, towarzystwach asekuracyjnych i trustach. Czy pomyślałeś o tem?

— Nie, przyznał Montague.

— Znam bardzo nielicznych tylko ludzi na Wall Street, którzy używają swoich własnych pieniędzy, dodał major. Weź na przykład sprawę Wymanna. Kolej Wymanna ma kapitał zakładowy dwudziestu lub trzydziestu miljonów, a Wymann używa go, grajac na giełdzie. A jeżeli wygrywa, zabiera sobie wygraną, i umieszcza ją w akcjach towarzystwa dla ulepszeń rolnych, rozrzuconych po całym kraju. Zrozumiałeś?

— Tak, rzekł Montague. I widzę, że to smutna gra dla małego akcjonarjusza.

— Jest to smutna gra dla małego człowieka w ogólności, odparł major. Gdy byłem młody. pamiętam, człowiek, który oszczędził sobie trochę pieniędzy, wkładał je w przedsiębiorstwo, i otrzymywał swoją część zysków, jakieby one były. Ale teraz, jak widzisz, władzę mają »wielcy ludzie«, któ-

rzy są o wiele bardziej chciwi niż dawniej. Nic ich tak nie boli, jak widok maluczkich, otrzymujących także swoją część zysku; to też czynią wszystko, aby im go wydrzeć jakimś sposobem. Przez tydzień mógłbym ci opowiadać o takich sprawkach. Powiedzmy na przykład, że jesteś fabrykantem mydła. Dochodzisz do przekonania, że na rynku jest zbyt wiele mydła, i że istnieje zbyt wiele fabryk, zamierzasz więc połączyć je w swojem ręku, wyrzucając swoich rywali poza nawias przemysłu mydlarskiego, i monopolizując ten przemysł. Twoją własną fabrykę oceniłeś naturalnie na sumę dwakroć przewyższającą koszta budowy i urządzenia, bo przecie masz nadzieję, że przedsiębiorstwo się rozwinie, i spodziewasz się znacznych dochodów: ale teraz, przeprowadziwszy te nową kombinację, wydajesz akcje, ogólna suma wartości których, przewyższa po trzykroć wartość fikcyjną przedsiębiorstwa. Potem rozpuszczasz po giełdzie pogłoski o dziwach i bajecznych dochodach twej kombinacji mydlanej, i o wszystkich przywilejach i monopolach, które zdołałeś uzyskać, i wyładowujesz cały swój zapas akcji na publiczność. Możesz sprzedać wszystkie akcje, a jednak zawsze jeszcze będziesz miał wpływ i władzę nad związkiem. Publiczności jest bezradna i niezorganizowana, a twoi ludzie są wszędzie. Potem wśród szerszego ogółu zaczynają krążyć niepokojące wieści w truście mydlanym, a dyrektorowie na zebraniu swojem oświadczają, że Towarzystwo nie może płacić żadnej dywidendy. Powstaje wielkie oburzenie wśród akcjonarjuszy, którzy organizują opozycję, ty

jednak nie zasypiasz sprawy, lecz stawiasz swoich własnych, nowych kandydatów, zanim tamci się opatrzą. Albo może te wewnętrzne zamieszania już dostatecznie obniżyły kurs akcji i wolisz wobec tego wykupić znowu większą ich część. Wówczas publiczność słyszy, że nowe Towarzystwo nabyło trust mydlany i że ma być wybraną nowa i uczciwa administracja; i znowu raz jeszcze nadzieje akcjonarjuszy opierają się na mydle. Kupujesz kilka nowych fabryk i wydajesz jeszcze więcej akcyj i bonów, mydło idzie w górę, a ty sprzedajesz ponownie. Możesz to czynić regularnie co dwa lub trzy lata, bo zawsze znajdą się nowi nabywcy, a oprócz kilku ludzi z Wall Street nikt nie będzie mógł śledzić twoich machinacji.

Major przerwał na chwilę, i siedział z uśmiechem szczęścia na swej czerwonej twarzy.

— Widzisz, zaczął znowu, na giełdę przy Wall Street wpływają niezliczone potoki bogactwa z różnych stron kraju. Jest to dla mnie tak jak wizja. Dojrzewają zasiewy, kopalnie wypluwają na powierzchnię ziemi skarby ukryte, huczą fabryki, dymią się kominy zakładów przemysłowych — a tu gromadzą się wszystkie pieniądze. Ludzie nie lubią trzymać złota w domu, schowanego pod siennikiem — mało ludzi w naszych czasach posiada sienniki. Chcą je włożyć w przedsiębiorstwa — trzeba więc dla nich przedsiębiorstwa te stworzyć. Weź n. p. kolej miejską w Nowym Yorku. Co mogłoby zdawać się pewniejszem jak kolej miejska w Metropolii? Absolutny monopol, a ruch wzrasta tak szalenie, że

budowa nie może mu dotrzymać kroku. Zyski są pewne. Ludziska zatem kupują akcje i bony koleji miejskiej. W tym wypadku politycy organizują towarzystwa budowy; to ich przywilej, dany w zamian za koncesję. Tych oni nie potrzebują, mają inny sposób — lepszy. Jest on jak armata wobec strzał i łuków. Organizują syndykat i dostają koncesję darmo, a potem sprzedają je Towarzystwu jakiemuś za miliony. Były nawet wypadki. że sprzedawali koncesje, których nie posiadali, i linje kolejowe, które nie były zbudowane Za niektóre ulepszenia liczono sobie podwójnie lub potrójnie, a ulepszenia te nie były wcale jeszcze wykonane. Wkońcu okazuje się, że organizatorowie mają w kieszeni sumę około trzydziestu miljonów dolarów, a tymczasem biedny akcjonarjusz dziwi się, dlaczego nie dostaje żadnych dywidend.

— Oto jest rynek przemysłowy, mówił dalej major. Ale, ma się rozumieć, największe składnice bogactwa to towarzystwa asekuracyjne i banki. Tu robi się prawdziwe majątki. Przekonasz się, że tracisz większą część swych zysków, jeżeli nie masz własnego banku, któryby brał twoje papiery. Słyszałem onegdaj zabawną historyjkę o człowieku, który fabrykował lampy elektryczne. Chwali on się, że jest uczciwym przemysłowcem i że nie ma nic do czynienia z Wall Street. Jego towarzystwo akcyjne chciało rozszerzyć fabrykę i wydało za kilkaset tysięcy dolarów akcyj, które ofiarowało towarzystwu asekuracyjnemu »Wierność« po cenie 90 za 100. »Nie kupujemy obecnie żadnych akcji«,

powiedział zarząd towarzystwa ubezpieczeń. »może jednak pan spróbuje ofiarować je towarzystwu »National Trust Company«. Przemysłowiec ów udał się zatem do »National Trust Company«, która ofiarowała mu cenę 80 za 100. Ponieważ nie miał lepszej ceny, musiał przyjąć tę; a potem »Trust Company« oddała akcje towarzystwu asekuracyjnemu. Mógłbym ci wymienić z pół tuzina takich towarzystw trustowych w Nowym Jorku, które są poprostu syndykatami towarzystw asekuracyjnych i mają na celu właśnie tylko tę małą grę.

Major przerwał.

— Rozumiesz teraz? zapytał.

— Tak, rozumiem, odpowiedział Allan.

— Czy poza tą koleją, o której mówisz, nie stoi przypadkiem jaki trust?

— Naturalnie, że stoi, rzekł Allan, a major wzruszył ramionami.

— A widzisz, tu cię boli. Powoli dojdą oni do przekonania, że pierwsza emisja akcji nie pokryje kosztów zamierzonych ulepszeń. Kosztorysy inżynierów okażą się zbyt niskimi, nastąpi więc dalsza emisja akcji i to przedsiębiorstwo waszego prezydenta otrzyma dalsze dostawy. A potem dowiesz się ze zdziwieniem, że wasz prezydent założył jakieś przedsiębiorstwo wzdłuż linji kolejowej, a kolej będzie mu dawała potajemny rabat, czyli innemi słowy, będzie transportowała darmo jego produkta; albo też zorganizuje linję prywatnych wagonów, a kolej kupi od niego prawo przewożenia jego wozów. A może być także, że ma on już jakiś zakład przemy-

słowy i buduje linję tylko dla ułatwienia sobie wywozu towaru.

Major przerwał. Widział, że Montague patrzył na niego nieruchomie z wyrazem największego zdziwienia.

— Co się stało? zapytał Venable.

— Na Boga, majorze! zawołał Allan. Czyż wiesz o której koleji mówiłem?

A major upadł na poduszki fotelu i wybuchnął niepohamowanym śmiechem. Śmiał się, aż twarz jego stała się purpurową i nie mógł złapać tchu piersiami, by przemówić.

— Myślałem naprawdę, że wiesz! zapewniał Montague. Bo taka właśnie sytuacja zachodzi w moim wypadku.

— O dziecko, dziecko! krztusił się major, starając się wydobyć chustkę do nosa, by obetrzeć oczy z łez. To mi przypomina historję o cytrynach pewnego adwokata. Czy słyszałeś kiedy o tem?

— Nie, rzekł Montague.

— Była to jedna z wesołych chwil wśród posępnej kampanji, jaką prowadziliśmy przed kilkoma laty w sprawie reform administracyjnych. Nasz młody reformator dawał swym słuchaczom przykłady, jak nieuczciwi urzędnicy mogą w naszem mieście robić majątki.

— »Proszę sobie wyobrazić taki wypadek«, mówił. »Ktoś z panów jest inspektorem owoców, a w Nowym Jorku jest chwilowy brak cytryn. Dwa okręty, naładowane cytrynami, są w drodze do miasta, ale jeden z nich przybywa do portu o dwa-

dzieścia cztery godzin wcześniej. Prawo żąda, by owoce poddane zostały szczegółowym oględzinom. Jeżeli jednak będzie się je oglądało zbyt sumiennie, zajmie to więcej, niż 24 godzin czasu, a właściciel ładunku straci na tej zwłoce mały majątek. Tak więc właściciel ten przychodzi do odnośnego inspektora i ofiaruje mu tysiąc lub dwa tysiące dolarów, a inspektor okazuje się uprzejmym i nie każe otwierać skrupulatnie każdej paczki".

— Taki przykład opowiedział mowca na zgromadzeniu, a nazajutrz dzienniki powtórzyły jego słowa. Tego samego dnia popołudniu spotkał przypadkiem inspektora od owoców, który był dawniej jego przyjacielem. »Słuchaj chłopcze«, rzekł tenże, »kto u djabła opowiedział ci o tych cytrynach?«

*

Następnego ranka Montague zgłosił się do biura Price'a.

— Panie Price, rzekł do niego, w mojej rozmowie z Haskinsem wyłoniła się kwestja, co do której chcę koniecznie natychmiast poinformować się u pana.

— A o co panu chodzi?

— Pan Haskins objaśnił mi, ze postanowiono protegować w udzielaniu dostaw Towarzystwo »Hill Manufacturing Co«.

Montague bacznie obserwował Price'a i widział, jak szczęki jego zwarły się w zacięciu i jak rysy jego nabrały wrogiego, nienawistnego wyrazu.

Price dotychczas rozparty był w swem krześle; teraz, powoli wyprostował się, jakby zamierzał przygotować się do odparcia jakiegoś fikcyjnego ataku.

— A więc? wycedził przez zęby.

— Czy pan Haskins powiedział prawdę?

— Najzupełniej.

— Mówił też, że pan jest zaangażowany w tem towarzystwie. Czy jest tak w istocie?

— Bezwątpienia.

— Mówił jeszcze, że wspomniane towarzystwo nie produkuje, ale tylko odsprzedaje. Czy i to prawda?

— Tak, i to prawda.

— Dobrze zatem, panie Price, rzekł Montague. W tej sprawie musimy niezwłocznie dojść do porozumienia. W moich przedwstępnych rozmowach z panem, powiedział mi pan, że życzeniem jego jest znaleźć człowieka, któryby przedsiębiorstwo to prowadził uczciwie. Sytuacja, którą mi pan właśnie w głównych zarysach przedstawił, zdaje się niezupełnie odpowiada temu programowi.

Montague przygotowany był na gniewną odpowiedź. Zamiast tego wszakże ujrzał, jak Price wysiłkiem woli opanował się.

— Musi pan sobie zdawać sprawę z tego, panie Montague, że pan nie jest dostatecznie obeznany z metodami, praktykowanemi w świecie kolejarskim. Towarzystwo, o którem pan mowisz, ma pewne ulgi w spłatach u producentów, może więc ustanawiać niższe ceny... Price przerwał.

— Myśli pan zatem, że mogą oni nabywać materjały taniej, niżby to uczynić mogła sama kolej? zagadnął Montague.

— W niektórych wypadkach... zaczął tamten, ale Allan przerwał mu natychmiast.

— Dobrze zatem, rzekł. W każdym wypadku, gdzie Towarzystwo »Hill Manufacturing Co« może oferować niższe ceny, otrzyma dostawy. Przeciwko temu nie można nic powiedzieć. To jednak nie zgadza się z słowami pana Haskinsa, który dał mi do zrozumienia, że będziemy musieli płacić ceny o wiele wyższe, gdyż z konieczności odda się dostawy towarzystwu »Hill Manufacturing Co«; to było powodem, dla którego przyszedłem do pana. Chcę, żeby między nami na tym punkcie przyszło do dokładnego porozumienia. Jak długo ja jestem prezydentem Północnej koleji w Mississippi, wszystkie dostawy dla budowy będą rozdane w drodze uczciwej licytacji, a otrzyma je ta instytucja, która na gatunek przez nas żądany, ustanowi najniższe ceny. W tej sprawie nie możemy dopuścić do sprzeczności i do niejasnych punktów. Czy jasno się tłumaczę?

— Zupełnie jasno.



ROZDZIAŁ XV.

Montague zabrał się znowu do pracy, ale z sercem pełnem powątpiewań Chciałby był wmówić w siebie, że na tej rozmowie jego z Pricem skończyło się całe tak niemiłe dla niego zajście, czuł jednak, że to dopiero początek zawikłań. Przewidywał już teraz, że miejsce jego jako prezydenta linji kolejowej nie będzie synekurą.

Mimo jednak złych przeczuć, które nim miotały, nie był on przygotowany na wypadki, które wydarzyły się następnego dnia. Młody Curtiss wczesnym rankiem przez telefon prosił go, by czekał na niego w biurze. Gdy przybył, znać było na jego twarzy silne wzruszenie i niepokój.

— Montague, rzekł. Mam ci coś ważnego do zakomunikowania. Nie mogę cię co do tego pozostawić w nieświadomości. Zanim jednak zacznę, musisz zrozumieć jedną rzecz: że mówiąc ci o tem, składam przyszłość moją w twoje ręce. I musisz przyrzec mi, że nigdy ani jednem słówkiem nie zdradzisz mnie, że rozmawiałem o tem z tobą.

— Przyrzekam z góry, rzekł Montague. O co chodzi?

— Nie możesz nawet dać poznać po sobie, że wiesz Price domyśliłby się natychmiast, że to ja ci powiedziałem.

— O, o Price'a chodzi! Przyrzekam najsolenniej, że cię będę bronił. Cóż to takiego?

— Wczoraj popołudniu porozumiewał się z Davenantem przez telefon i oświadczył mu, że nie masz być wybranym prezydentem kolei.

Montague patrzył na Curtissa, zupełnie zbity z tropu.

— Mówił, że ty masz być zupełnie wykluczony. Prezydentem zostanie Haskins. Davenant musiał mnie wtajemniczyć, ponieważ należę do zarządu.

— A więc tak sprawy stoją! rzekł Montague do siebie.

— Czy wiesz dlaczego tak się stało? zapytał Curtiss.

— Naturalnie, że wiem.

— Cóż za powód?

— O, to długa historja. Poprostu sztuczka, obliczona na wyzysk, za którą nie chciałem brać na siebie odpowiedzialności.

— Ach rozumiem, zawołał Curtiss z nagłym błyskiem w oczach. To sprawa towarzystwa »Hill Manufacturing Co«.

— Zgadłeś, rzekł Montague, ale teraz znowu w spojrzeniu Curtissa malowało się bolesne zdumienie.

— Mój Boże! zawołał. Czyż dlatego wycofałeś się od wszystkiego?

— Wcale się nie wycofałem, rzekł twardo Montague. Ale to jest powód, dla którego Price chce się mnie pozbyć.

— Ależ człowieku! toż to szaleństwo!

Montague utkwił w niego swój wzrok spokojny.

— Czyż radziłbyś mi zsolidaryzować się z tym wyzyskiem?

— Kochany chłopie! rzekł Curtiss. Mam sam trochę akcji tego Towarzystwa.

Montague siedział w milczeniu. Nie mógł znaleźć odpowiedzi na słowa Curtissa.

— Co ty sobie wyobrażasz, na miłość boską, nalegał tamten. Czy myślisz, że wszedłeś do towarzystwa dobroczynności? Przerwał jednak, widząc wyraz bolu na twarzy przyjaciela. Położył mu dłoń na ramieniu.

— Widzisz staruchu, rzekł pieszczotliwie prawie. Żal mi cię doprawdy. Rozumiem doskonale co czujesz, a uczucia twoje zaszczyt ci przynoszą. A jednak żyjesz w świecie i musisz być praktycznym. Nie możesz spodziewać się, że kolej da się prowadzić tak, jak przytulisko dla sierót. Nie możesz zajmować się interesami, jeżeli podlegasz takim wzruszeniom. To doprawdy wstyd wyrzekać się pracy dla tak błahego powodu.

Montague jakby zesztywniał.

— Zapewniam cię, że dotychczas jeszcze nie wyrzekłem się pracy, odrzekł z zawziętością.

— Cóż więc uczynisz?

— Będę walczył.

— Walczył? powtórzył Curtiss. Ależ człowieku, jesteś zupełnie bezbronnym. Właścicielami kolei są Price i Ryder, i postąpią z nią, jak im się będzie podobało.

— Jesteś jednym z dyrektorów kolei, rzekł Montague. Znasz sytuację. Znasz okoliczności, w jakich dokonano wyboru nowego zarządu. Czy będziesz głosował za Haskinsem jako za prezydentem?

— Mój Boże, Allanie, bronił się Curtiss, czegoż ty żądasz odemnie? Wiesz bardzo dobrze, że nie mam żadnej władzy, że nic uczynić nie mogę. Wszystkie akcje, które posiadam, dostałem od Price'a. Pomyśl, że cała moja karjera byłaby złamana, gdybym śmiał mu się sprzeciwić.

— Innemi słowy, rzekł Montague, jesteś jego manekinem. Jesteś gotów sprzedać nazwisko swe i charakter za pewną ilość akcji. Zajmujesz stanowisko zaufania i zdradzasz to zaufanie.

Twarz Curtissa przybrała wyraz twardy.

— No, jeżeli ty te rzeczy tak nazywasz...

— Ja ich tak nie nazywam, to poprostu fakt!

— Czy nie zdajesz sobie sprawy z tego, zawołał tamten, że oni mają większość i bezemnie?

— Może i mają, to nie jest jednak powodem, dla którego nie miałbyś spełnić swej powinności.

Curtiss wstał.

— Nie mam nic więcej do powiedzenia, rzekł. Przykro mi, że tak się na te kwestje zapatrujesz. Chciałem ci wyrządzić przysługę.

— Oceniam twoje dobre chęci, odpowiedział skwapliwie Montague, i zawsze będę ci wdzięczny.

— W walce, którą zamierzasz stoczyć z nimi, nie zapominaj, że to ja przyniosłem ci tę wiadomość

— Nie bój się o to! rzekł Allan. Będę cię chronił. Nikt nigdy nie dowie się, od kogo otrzymałem informacje.

*

Montague chodził przez pół godziny tam i napowrót po swem biurze, zagłębiony w myślach. Potem zawołał swego stenografa i podyktował mu list do swego kuzyna Lee i do trzech innych osób, z któremi rozmawiał był poprzednio w sprawie wyboru zarządu podczas zebrania akcjonarjuszy.

»Zaszły takie okoliczności«, pisał, »odnośnie do sprawy północnej kolei w Missisipi, że uniemożliwiają mi one przyjęcie godności prezydenta. Zamierzam również podać swą dymisję jako dyrektor i wystąpić z zarządu, ponieważ widzę, że nie zdołam zapobiedz rozmaitym manipulacjom, których nie pochwalam«

Potem wyłuszczył im cały plan, który zamierzał przeprowadzić, tłumacząc, że daje tym na których, będąc narzędziem w obcych rękach, wpłynął, sposobność, by razem z nim na tych samych warunkach wycofali się z nieuczciwych spekulacji. Zażądał, by telegraficznie zawiadomili go o swej decyzji, a po upływie dwóch dni miał w ręku ich odpowiedzi, i był gotów do ataku.

Porozumiał się z Ryderem przez telefon i prosił go o rozmowę w oznaczonym czasie.

— Panie Ryder, rzekł, gdy się zeszli, kilka tygodni temu rozmawiał pan ze mną w tym oto

pokoju i prosił mnie, bym panu pomógł w wyborze nowego zarządu Północnej kolei w Mississippi. Powiedział pan wówczas, że życzy pan sobie, abym został prezydentem tej kolei, podając za powód, że chce pan mieć człowieka, na którymby mógł polegać co do skutecznej i uczciwej administracyi. Przyjąłem pańską propozycyę w dobrej wierze, poczyniłem wszelkie przygotowania i poświęciłem wiele czasu ciężkiej pracy przysposobienia się do objęcia zarządu. Teraz słyszałem z ust samego pana Price'a, że zorganizował on towarzystwo akcyjne, celem eksploatowania kolei na swoją prywatną korzyść. Powiedziałem mu, że nie pozwolę nadużyć swego nazwiska dla żadnych tego rodzaju przedsiębiorstw. Później jednak rozmyśliłem się, i doszedłem do przekonania, że wobec takiej sytuacyi, będzie wogóle niemożliwem dla mnie współdziałać z panem Price'em. Postanowiłem przeto zrezygnować z godności członka zarządu kolei, a także wycofać swą kandydaturę na prezydenta.

Ryder przez cały czas przemówienia Montague'a unikał jego wzroku; siedział nieruchomie, patrząc prosto przed siebie niewidzącemi oczyma, i tylko ołówek w jego ręce stukał nerwowo o pulpit. Upłynęło sporo czasu, zanim zdobył się na odpowiedź

— Panie Montague, rzekł wreszcie, bardzo przykro mnie dotknęła pańska decyzya. Biorąc jednak pod uwagę zaszłe okoliczności, zdaje mi się, że jest ona może roztropną.

Znowu powstała dłuższa pauza.

— Niech pan przynajmniej pozwoli podziękować sobie za usługi nam oddane, dodał. I .. mam nadzieję, że ten nie fortunny epizod nie przyczyni się do oziębienia naszych stosunków osobistych.

— Dziękuję panu, rzucił sucho Montague.

Czekał był na odpowiedź Rydera, i teraz znowu przybrał postawę i wyraz wyczekujący, nie mając zamiaru wyprowadzać z kłopotu swego przeciwnika.

— Zaznaczam raz jeszcze, powtarzał tenże, że jestem panu nieskończenie wdzięczny.

— Nie wątpię o tem, rzekł Montague. Sądzę jednak, że pan nie wyobraża sobie, żeby stosunki nasze w tak prosty sposób miały się zakończyć.

Widział, jak twarz Rydera zmieniła się nagle pod wpływem jego słów.

— Co pan chce przez to powiedzieć? zapytał on.

— Zanim się rozejdziemy, musimy jeszcze załatwić pewną sprawę wielkiej wagi. Jak to panu wiadomo, jestem osobistym właścicielem pięciuset akcji Północnej kolei w Mississipi; o tyle też jestem interesowany w sprawach tego przedsiębiorstwa.

— Ma się rozumieć, wycedził spokojnie Ryder, ale z tem ja nie mam nic do czynienia. Jako akcjonarjusz niech się pan łaskawie zwróci do Zarządu.

— Oprócz tego, że sam posiadam akcye, mówił dalej Montague, nie zwracając najmniejszej uwagi na powyższe słowa zastępuję również interesa trzech osób, z któremi rozmawiałem w pańskich sprawach. Stałem się mimowolnem narzędziem w waszem ręku, za pomocą którego nakłoniliście ich do głosowania

za waszą listą dyrektorów. Stałem się mimowolną przyczyną tego, że znaleźli się oni w ręku pańskiem i pana Price'a, zdani na waszą łaskę i niełaskę. A skoro tak rzeczy stoją, jestem tego zdania, że chodzi tu o mój honor, i że jestem wobec nich odpowiedzialny.

— Cóż więc zamierza pan uczynić? zapytał Ryder.

— Napisałem do nich, zawiadamiając ich o swoim zamiarze ustąpienia z zarządu. Nie wyjaśniłem im dokładnie całego położenia, a tylko w krótkości zaznaczyłem, że jestem bezsilnym wobec niektórych manipulacji, z któremi się nie zgadzam, a którym nie mogę przeszkodzić. Powiedziałem im jak zamierzam postąpić, i podałem im sposobność wycofania swych udziałów z przedsiębiorstwa na tych samych warunkach, na których sam pozbywam się swych akcji. Przyjęli propozycyę, a jutro powinienem otrzymać ich pełnomocnictwa Swoje własne akcye przyniosłem ze sobą; a muszę też zaznaczyć, że uważam za obowiązek pański nabycia wszystkich tych papierów po tej samej cenie, którą pan zapłacił za akcye nowej emisyi — mianowicie po 50 dolarów za udział.

Ryder wytrzeszczył na niego oczy.

— Panie Montague, rzekł, pan mnie zdumiewa!

— Przykro mi, że tak jest, odparł Montague: głos jego brzmiał sucho, a na jego twarz wystąpił twardy wyraz zaciętości. Utkwił oczy w Ryderze, mówiąc powoli:

— Mimo to jednak będzie pan zmuszony uczynić zadość memu żądaniu.

— Nieprzyjemnie mi to powiedzieć, uważam jednak tę propozycyę za impertynencyę.

— Ogólna liczba akcji, mówił dalej Montague, jest trzy tysiące pięćset, a cena ich wynosi sto siedmdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Patrzyli na siebie nienawistnie. Ryder dostrzegł coś szczególnego w spojrzeniu Montague'a, bo nie powtórzył już swego ironicznego grymasu.

— Czy mogę zapytać, zaczął cichym głosem, na jakiej podstawie pan sądzi, że my uwzględnimy pańskie, bądź co bądź nadzwyczajne pretensje?

— Na podstawie bardzo pewnej, jak się pan o tem natychmiast sam przekona. Pan i pan Price kupiliście tę kolej, i zamierzacie ją ograbić. To wasze prawo. Widocznie istnieje zwyczaj tu, na Wall Street, oszukiwania inwestującej publiczności. Mnie jednak nie możecie oszukać, gdyż jestem zbyt świadom spraw waszych.

— Czy wolno mi wiedzieć co pan zamierza uczynić?

— Ależ ma się rozumieć, grzecznie [illegible] Montague. Mam zamiar [illegible] walki z wami. Dopóki nie [illegible] moich i moich przyjaciół, [illegible] Montague [illegible] dyrektorów w zarządzie kolei, a także będę dalej kandydował na godność prezydenta. Wyłożę całą sprawę na następnem posiedzeniu dyrektorów, a skoro tam nie znajdę posłuchu, wytoczę rzecz przed publiczność. Pochlebiam sobie, że dobra moja sława uczciwego człowieka

zaważy jeszcze na szali w moich stronach rodzinnych; a tam, w Mississippi nie będzie pan mógł jeździć na tak wielkim koniu, jak pan przywykł to czynić tu, w Nowym Yorku. Będę was zwalczał także procesami. Nie wiem w danej chwili jakie są ustawy odnośnie do dyrektorów, którzy okradają założoną przez siebie samych instytucję, przeznaczoną do służby publicznej, byłoby jednak dziwnem, gdybym nie znalazł podstawy, któraby mi posłużyła do zapobieżenia temu procederowi. A także, jak pan wie, jestem w posiadaniu faktów odnośnie do środków, jakich pan użył celem uzyskania u władz swych nowych przywilejów...

W oczach Rydera malowała sie wściekłość.

— Panie Montague, krzyknął, a więc oszczerstwo!...

— Może pan to tak nazwać, jeżeli się panu podoba. Nie będę się obawiał usprawiedliwić z tego zarzutu nawet przed sądem, gdyby pan chciał wnieść skargę przeciwko mnie.

Ryder chciał coś odpowiedzieć, zatchnął się jednak i tylko wyrzucił z siebie jakieś niezrozumiałe dźwięki. Gdy znowu przemówił, już był zupełnym panem siebie.

— Cała ta rzecz wyda[illegible] wprost niesłychana. Wszak pan, panie Montague, nie może sądzić, że wolno panu rozgłaszać publicznie to, co pan słyszał odemnie i od Price'a, gdy pan występował jako nasz prawny doradca. Nie mógł pan przecie zapomnieć wziętego na się zobowiązania zachowania tajemnicy, danego mi tu, w tem biurze!

— Nie zapomniałem go bynajmniej, odrzekł spokojnie Montague. I rozważyłem wszystko bardzo drobiazgowo. Sądzę, że to pan właśnie złamałeś umowę, i jestem pewny, że nastąpiło to świadomie — że pan od samego początku nie miał zamiaru umowy tej dotrzymać. Zapewniał mnie pan, że życzy pan sobie uczciwej administracyi kolei. Nie wierzę, żeby tak rzeczywiście było i jestem przekonany, że pan wogóle nie miał żadnych życzeń ani zamiarów, chyba ten, by mnie użyć jako narzędzie celem zapewnienia sobie władzy nad koleją, nie wykupując akcyi od dawnych właścicieli linii. Osiągnąwszy ten cel, zgadza się pan chętnie na moje ustąpienie. Doszedłem do przekonia, że w rzeczywistości nigdy nie zamierzał pan uczynić mnie prezydentem — i wogóle przez cały ten czas odnosiłem się bardzo podejrzliwie do tej propozycji Zapewniam jednak pana, że w tym wypadku natrafiła kosa na kamień; ze mną nie może pan igrać w ten sposób. Nie mam zamiaru przez usunięcie się od zarządu pozwolić panu i Price'owi bezkarnie grabić kolej i pozbawić akcje moje wszelkiej wartości...

Montague chciał jeszcze mówić, ale tamten przerwał mu popędliwie.

— Przyznaję słuszność zupełną wywodom pańskim, panie Montague, rzekł. O ile chodzi o pańskie własne udziały, ma pan prawo żądać ich wykupna, a żądanie to uważam za zupełnie sprawiedliwe....

— Przeciwnie, zauważył Montague. Podsuwanie mi takiej myśli uważam za zniewagę. Ja byłem narzędziem zdania innych ludzi na pańską łaskę i nie-

łaskę. Użyto do tego mojej dobrej sławy i moich przyrzeczeń, i dlatego obstaję przy tem, że ludzie ci mają prawo takie same jak ja do ochrony swej własności przed waszemi drapieżnemi rękami. Możemy dojść do porozumienia tylko na podstawie tej propozycji jaką panu uczyniłem.

Ryder nie wiedział co na to odpowiedzieć. Patrzył nieporuszenie na Montague'a; ten jednak, nie chcąc przedłużać nieprzyjemnej rozmowy powstał nagle.

— Nie żądam, by pan sprawę tę załatwił na poczekaniu, rzekł. Sądzę, że będzie pan chciał jeszcze porozumieć się z panem Price'em. Podałem panu moje warunki, i nie mam nic więcej do powiedzenia. Albo pan uczyni zadość moim żądaniom, albo ja będę pana zwalczał na każdym kroku. Spodziewam się, że akcye moich przyjaciół nadejdą dziś, wieczorną pocztą, i muszę prosić pana, o zawiadomienie mnie o swej decyzji do jutra, popołudnia, tak, żebyśmy mogli całą sprawę natychmiast zakończyć.

Po tych słowach ukłonił się według wszelkich prawideł elegancyi i wyszedł.

Następnego ranka dostał pocztą list od Williama Davenanta następującej treści:

»Kochany panie Montague,

Dowiaduję się, że pan ma trzy tysiące pięćset akcyi Północnej kolei w Mississippi, które pan zamierza zbyć po cenie 50 dolarów za sztukę. Jeżeli pan raczy przynieść te akcje dziś do mego biura, chętnie je nabędę«.

Montague, który już był w posiadaniu pełnomocnictwa swych przyjaciół z prowincyi, udał się tam natychmiast. Davenant był formalny; Montague jednak mógł zauważyć humorystyczne przymrużenie oczu, które zdawało się mówić, — tak zupełnie poufnie, że sławny adwokat poznał się na żarcie.

— Zatem, sprawa zakończona, rzekł, susząc bibułą ostatni podpis Montague'a. Spodziewam się, że pozwoli pan sobie powiedzieć, że uważam pana za nadzwyczaj zdolnego człowieka.

— Oceniam pańskie uznanie, odparł sucho Montague.



ROZDZIAŁ XVI.

Montague był teraz panem swego czasu, przynajmniej w porównaniu z dawniejszą swą pracą. Miał wprawdzie oddane sobie dwie sprawy, te jednak nie absorbowały go w tym stopniu co przygotowania do zarządu koleją. Były to procesy o odszkodowanie, a ponieważ toczyły się przeciw dużym korporacjom, przeto Montague widział przed sobą chudy rok. Uśmiechał się gorzko, zdając sobie sprawę z tego że jedynem źródłem jego odwagi zerwania z Pricem i Ryderem były pieniądze, które wraz z bratem wygrał na jakiejś giełdowej transakcyi.

Dostał list od Alicyi. »Zostanę jeszcze parę tygodni w Newport«, pisała. »Nie zgadłbyś nigdy, kto mnie zaprosił. — Laura Hegan Była dla mnie nadzwyczaj miłą, i już następnego tygodnia mam udać się do jej pałacu. Może zajmie cię wiadomość, że rozmawiałam z nią długo o tobie; skorzystałam z sposobności, by powiedzieć jej kilka rzeczy, które powinna wiedzieć. Była bardzo ujmująca. Mam nadzieję, że jeszcze przybędziesz tu na kilka dni, pod koniec tygodnia, zanim opuszczę Newport. Harry

Curtiss spędzi tu swój urlop; mógłbyś przyjechać z nim razem«.

Montague uśmiechnął się, czytając ten list. Nie miał zamiaru jechać z Curtissem. Gorąco jednak miasta było ubezwładniające, a myśl o morzu i o pięknym krajobrazie wiejskim, opanowała go jak zmora. Pojechał więc do Newport Sundem pewnego piątku wieczorem.

Został zaproszony na obiad do Heganów. Jim Hegan sam był również obecny, pierwszy raz od trzech lat. Pani Hegan twierdziła, że zawdzięcza to tylko temu, iż sama pojechała do Nowego Yorku i przywiozła go.

Montague od bardzo długiego już czasu pierwszy raz znajdował się w towarzystwie Hegana. Śledził go z zajęciem, bo człowiek ten przedstawiał dla niego nigdy nierozwiązaną zagadkę. Był taki spokojny i pogodny, — zawsze uprzejmy i przyjacielski. Montague zastanawiał się nad tem, co ukrywało się poza tą maską. Przez czterdzieści lat człowiek ten walczył i męczył się na arenie giełdy, z jednym tylko celem przed oczyma, z jedną myślą w życiu — bo o innych Montague nie wiedział — nagromadzenia stosów złota. Jim Hegan nie pozwalał sobie na żadne przyjemności, jakich używali zazwyczaj bogaci ludzie. Nie miał żadnych upodobań, a w towarzystwie bywał rzadko. Mówiono o nim, że w gorących czasach potrzebuje on dwunastu sekretarzów, i wszystkich ich potrafi zmęczyć. Był olbrzymią, dzień i noc pracującą maszyną — maszyną dla produkowania pieniędzy.

Montague'owi pieniądze nigdy nie imponowały, to też dziwił się tej ich żądzy. Na co potrzebne one były temu człowiekowi? Czego spodziewał się dokonać za ich pomocą? Jaka była moralność i światopogląd człowieka, który cały swój czas poświęcał nagromadzaniu pieniędzy? Jak uzasadniał wobec samego siebie takie życie? Musi mieć przecie jakieś wytłómaczenie, inaczej nie byłby tak spokojny i wesoły. Bo czyż możliwem było, żeby nie myślał wcale o tem wszystkiem? Czy to tylko ślepy instynkt w nim działał? Czy był tylko zwierzęciem, które natura zniewoliła do pochłaniania pieniędzy i które z tego powodu nie odczuwało żadnych skrupułów? Ta ostatnia myśl zdała się Montague'owi najtrafniejszą; mimowoli patrzał na Hegana z rodzajem pełnego przerażenia podziwu i zaczynał wyobrażać go sobie jako jakąś straszną, żywiołową siłę, ślepą i nieświadomą, jak piorun albo tornado.

Dla niego Jim Hegan był elementem rozkładczym, zgubnym. Majątek jego zrobiony był sposobami, które major Venable wymienił; przekupywaniem mężów stanu, sędziów i gubernatorów; wyłudzaniem koncesji darmo, a sprzedawaniem ich za miliony; organizowaniem szwindlów na wielką skalę, i wyładowywaniem ich na publiczność. A tu oto siedział ten człowiek na werandzie swego domu, w łagodnym półmroku sierpniowego wieczoru, paląc cygaro i opowiadając o przytulisku dla sierót, które założył i utrzymywał!

Był dobrotliwy i uśmiechnięty; był nawet łaskawy. Czyżby nie miał pojęcia o strasznych śla-

dach ruiny i zniszczenia, które w pochodzie swoim poza sobą zostawił? Montague odczuł nagłą chęć dotrzeć poza tę zasłonę i zajrzeć do wnętrza tego człowieka, zaskoczyć go jakiemś nagłem pytaniem, dobrać się do jego rzeczywistej postaci, poznać go, jakim był. Ten wyraz władzy i potęgi, to z pewnością maska tylko, na twarz przywdziana. Jakim był sam przed sobą, gdy się spotkał twarzą w twarz z swem sumieniem? Wszak musiał przeżywać chwile wątpliwości i zdumienia, osamotnienia i rozterki! Ludzie, których życia złamał i zniszczył musieli nawiedzać go czasami jako upiorne maszkary! Z pewnością wije się pod zarzutem zdrady i okrucieństwa swego!

A od Hegana, myśli Allana przeszły na jego córkę. I ona również była pogodna i majestatyczna Montague chciałby był odgadnąć jej myśli.

Czy znała całą karjerę swego ojca? Nie mogła przecie przypuszczać, że wszystko co słyszała od ludzi było tylko oszczerstwem. Można było puścić mimo uszu jedną lub drugą obelgę, ale co do wielkich, wszystkim wiadomych faktów — te nie ulegały wątpliwości. Czy usprawiedliwiała je ona i tłómaczyła? albo czy i ona była potajemnie nieszczęśliwą? I czy to było powodem jej dumy, goryczy, przejawiającej się w jej powiedzeniach? W »towarzystwie« ciągle opowiadano sobie o tem, jak to Laura Hegan odsunęła się od wszystkich spraw swej matki, a natomiast poświęciła się pracy w dzielnicy robotniczej. Czyżby Nemezis mściła się nad Heganem w postaci jego własnej córki? Czyżby ona właśnie miała być tem sumieniem, które go dręczyło?

Jim Hegan nigdy nie rozmawiał o interesach. W ciągu całych dwóch dni, które Montague spędził z nim, będąc w Newport, raz tylko udało mu się pochwycić słowa, które mogły być dlań puntem wyjścia do wysnuwania dalszych wniosków o tym dziwnym człowieku.

— Pieniądze? rzekł Hegan pewnego wieczoru? Nie dbam o pieniądze. Mają one dla mnie tylko znaczenie liczmanów.

Życie było grą, liczmanami były dolary! A stawką była potęga i władza! I nagle przed Montague'em roztoczyło się całe życie Hegana, jak panorama. Zaczął on je jako chłopiec biurowy, a ponad nim stały wszystkie wielkie figury świata przemysłowego i finansowego; a drabiną, po której mógł dojść tam, gdzie oni byli, były pieniądze. Miał rywalów do zwalczania, a walka ta absorbowała cały jego czas i wszystkie jego siły umysłowe. Jeżeli przekupywał sędziów, działo się to, bo i jego rywale starali się to uczynić. A może wówczas nie przeczuwał on nawet, że miał zniszczyć tyle istnień, może nawet nie byłby uwierzył, gdyby mu kto taką myśl poddał! Przebył całą długą podróż swego życia, depcząc wszystko, co mu stanęło w drodze i miażdżąc wszystko przed sobą. I żywił w sercu swem nadzieję, że kiedyś, pewnego dnia, gdy już dojdzie do władzy, gdy już nie będzie rywalów, którzyby mu grozili i sprzeciwiali się jego woli — wówczas będzie miał możność czynić dobrze, wówczas nie będzie potrzebował krzywdzić nikogo.

I to może było znaczeniem tego małostkowego, nędznego wysiłku: przytulisko dla sierot! Zdawało się Montague'owi, że bogowie zanoszą się homerycznym śmiechem na widok Jima Hegana i jego przytuliska dla sierót, Jima Hegana, który mógłby zapełnić ze trzydzieści przytulisk dziećmi tych ludzi, których doprowadził do nędzy i samobójstwa.

Myśli te wrzały w głowie Montague'a i nie dawały mu spokoju. Może dobrze się stało, że nie długo zabawił tego wieczora. Bo i pocóż? Jim Hegan był tem, czem uczyniły go okoliczności. Próżnym był sen jego o spokoju i dobrych uczynkach — bo zawsze zjawiał się nieprzewidzianie nowy rywal! I właśnie teraz czaiła się znowu walka, jak to sobie opowiadano na ucho, w świecie finansowym. Hegan i Wyman mieli się wziąć za bary. Walka ich będzie krwawa, i nie ma sposobu jej odwrócenia — nawet gdyby zapaśnicy w strasznem zacietrzewieniu mieli powyrywać naokoło siebie filary państwa, i położyć własne głowy pod jego gruzami.

A jak ludzie ci prowadzili te swoje walki, i ile spustoszenia naokoło siebie szerzyli, o tem Montague miał codzienne relacye. Następnego ranka, gdy siedział na piazzy jednego z hoteli, przypatrując się płynącemu przed nim potokowi ludzi, poznał twarz znajomą, i pozdrowił młodego inżyniera, porucznika Longa, który natychmiast podszedł do niego i usiadł przy jego stoliku.

— Cóż, zagadnął Montague, słyszał pan cośkolwiek o swym przyjacielu Gamble?

— Jest już w domu, na łonie rodziny. Sprzykrzyło mu się to życie w Newport.

— Śmieszny chłop, zauważył Montague.

— Polubiłem go bardzo, rzekł porucznik. Niepiękny on wprawdzie z wejrzenia, ma jednak bardzo dobre serce.

Montague namyślał się chwilę, potem zapytał:

— Czy przysłał panu wówczas te opisy oleju?

— Ma się rozumieć, rzekł tamten. I wie pan, były wspaniałe! Władze pomyślą, że jestem prawdziwym ekspertem

— Oczywiście, rzucił Montague.

— Było to dla mnie prawdziwem szczęściem. Nie wiem, co byłbym zrobił bez niego.

Przerwał na chwilę, a potem dalej mówił:

— Nie może pan sobie wyobrazić, w jak niezręcznych sytuacyach my oficerowie od marynarki znajdujemy się czasami. Wie pan, mnie się zdaje, że o tym kontrakcie przedostały się przedwcześnie wieści do publiczności.

— Co pan mówi! zawołał Montague zaintesowany.

— Naprawdę. Chciałem nawet donieść o tem do władz. Trzy razy zwracano się do mnie w tej sprawie.

— Czy być może!

— Proszę sobie wyobrazić! Jakiś młody człowiek kazał mi się przedstawić przez jednego z moich przyjaciół, tu obecnych. Sterczał nademną cały wieczór, a dopiero gdyśmy wracali do domu pokazał

farbę. Powiedział mi, że szłyszał od jakiegoś przyjaciela w Waszyngtonie, że ja jestem jednym z tych, którzy mają spisać warunki kontraktu o dostawę oleju dla marynarki, a on ma przyjaciół, którzy są w tem interesowani, i mogliby mi udzielić rad. Napomknął też, że to byłoby bardzo korzystnem dla mnie. Proszę pomyśleć!

— Tak, wyobrażam sobie, że to nieprzyjemna sytuacya.

— Tak, daje to dużo do myślenia, mówił dalej porucznik. Wie pan, w naszej służbie ciągle się jest narażonym na takie pokusy, a niektórzy oficerowie żyją ponad stan. Musimy się wszyscy mieć bardzo na baczności. Co do polityki i przemysłu, to mnie takie rzeczy nie poruszają, ale jeżeli chodzi o armię i marynarkę strasznie jestem zażartym!

Montague nie rzekł nic. Nie wiedział, co powiedzieć na to wszystko.

— Gamble mówił mi coś o tem, że pan jest zaangażowany w walce przeciwko trustowi stalowemu. Czy to prawda? zapytał porucznik.

— To było dawniej. Teraz już nie mam z tem nic do czynienia.

— Nawiązując do trustu stalowego — my marynarze miewamy sposobność dowiadywania się ciekawych szczegółów odnośnie do przemysłu stalowego.

— Nigdy nie pomyślałem o tem.

— Niech się pan zapyta kogokolwiek, rzekł porucznik. Jest to stara rana, którą wszyscy nosimy w duszach, a która nie chce się zabliźnić. Mówię

o defraudacyach i nadużyciach, popełnianych przy dostawach płyt pancernych dla statków wojennych.

— Prawda! zawołał Montague, w którego umysł wryły się bardzo głęboko rozmaite oskarżenia przeciwko królom trustowym, o tym jednak najsilniejszym argumencie przeciwko nim, zapomniał był zupełnie.

— A ja, mówił dalej tamten, jestem specjalnie co do tego dobrze poinformowany, bo ojciec mój należał do rządowej komisji śledczej przed piętnastu laty. I jestem może do tego przedmiotu zbytnio uprzedzony, bo wynik śledztwa ówczesnego był bezpośrednim powodem śmierci mego ojca.

Montague spojrzał bystro na młodego oficera, pogrążonego w ponurych wspomnieniach.

— Proszę sobie wyobrazić uczucia marynarza wobec takiego faktu naprzykład: Mówią nam, że okręty nasze mają udać się na Ocean Spokojny, a bezpieczeństwo narodu może w każdej chwili zależeć od ich sprawności. A okręty te pokryte są popsutą, lichą blachą pancerną, wyrobioną w warsztatach starego Harrisona i sprzedaną rządowi za cztero lub pięciokrotną cenę swej wartości. Weźmy naprzykład pod uwagę jeden konkretny przypadek. Mówię o »Oregonie«. Brat mój służy właśnie na pokładzie tego statku. Podczas wojny hiszpańskiej cały kraj śledził los tego okrętu z niepokojem i modlił się o jego powodzenie. A przecież mógłbym się udać na pokład jego i palcem wskazać miejsce w jednej z jego wież strzelniczych, które ma cały szereg

defektów załatanych tylko po wierzchu przez starego Harrisona. Gdyby kiedykolwiek blacha ta została uderzoną przez bombę, rozleciałaby się w pył, jak szkło.

Montague słuchał relacji tej na pół nieprzytomny.

— Czy to widoczne? krzyknął.

— Widoczne? Nie! rzekł oficer. Wszystkie te błędy ma się rozumieć są na wewnętrznej stronie blachy. Gdy już w warsztatach ukończą swą brudną robote, wypolerowują powierzchnię płyty i koniec. Któż mógłby domyśleć się jej prawdziwego stanu?

— Ależ w takim razie — jakże pan wie o tem?

— Ja? z gorzkim uśmiechem zauważył Long. Wiem o tem, bo ojciec mój miał przed sobą całą historję tej płyty pancernej od godziny jej powstania, aż do czasu jej włożenia na miejsce, w którem dziś się znajduje: oryginalne kopie rachunków i poświadczenie ludzi, którzy wykonali roboty. Tosamo zresztą pokazało się w stu innych wypadkach. Znam człowieka, który dziś posiada odnośne dokumenta.

— Widzi pan, rzekł po chwili. Rząd postawił warunek, żeby każda płyta poddana była szeregowi bardzo skomplikowanych operacji. Operacje te, wykonane prawidłowo i sumiennie, kosztowałyby olbrzymie sumy, a i wówczas wielka część płyt pozostałaby nie do użytku. Tak więc, gdy warunki rządu, pięknie spisane przyszły do biura, młody Ingham i Dawidson zabrali się do nich gorliwie, zre-

dagowali je po swojemu i pozmieniali wedle potrzeby.

Tym sposobem ci genialni młodzi ludzie zrobili majątek, który teraz wydają na chórzystki i aktorki. Kazali oni wprawdzie te papiery jeszcze przepisać, nie zawsze jednak niszczyli oryginały dość starannie i ktoś w biurze zebrał je i zachował. Tak to rząd dowiedział się o całej tej historji.

— To brzmi jak jakaś złowroga bajka! zawołał Montague.

— Niech pan n. p. weźmie historję płyty H. 619 z »Oregonu« opowiadał porucznik. Była to jedna z całej grupy płyt wybranych, celem poddania ich próbom ballistycznym w Indian Head. Już po wysłaniu płyt, zabrano je z powrotem w nocy do warsztatów Towarzystwa, i tam poddano trzykrotnemu hartowaniu, oczywiście wszystko to w sekrecie. A wówczas, ma się rozumiecć płyty te przetrwały próbę, i cały transport blach pancernych, wyrobionych w tychsamych warsztatach został przez rząd przyjęty.

— I cóż uczyniono, gdy wszystkie te szwindle wyszły na jaw?

— O bardzo niewiele! odrzekł porucznik. Rząd nie mógł podać rzeczywistych faktów do wiadomości publicznej. Ale wszyscy starsi oficerowie marynarki wiedzieli o nich, a pamięć tych nadużyć będzie trwała tak długo, jak długo przetrwają okręty. Powiedziałem już, że to właśnie zabiło mego ojca.

— Czyż jednak wcale nie ukarano winnych?

— Wyznaczono komisję śledczą dla zbadania tej sprawy, a komisja ta przyznała rządowi około sześć kroć stotysięcy dolarów odszkodowania. W tym samym hotelu, w którym jesteśmy, mieszka człowiek, który mógłby panu całą tą historję opowiedzieć z najlepszego źródła.

Porucznik przerwał i rozejrzał się po piazzy. Nagle wstał, podszedł do balustrady i zawołał na człowieka, przechodzącego właśnie przeciwległą stroną ulicy.

— Hallo Bates! chodź tu!

— Ależ to Bates, reporter z »Ekspresu«! ucieszył się Montague.

— To pan go zna? zapytał oficer. Czy już wszedłeś w „towarzystwo“? zwrócił się do dziennikarza? Ale ten wzruszył tylko ramionami.

— Poluję na wywiady, rzekł Jak się pan ma, panie Montague! cieszę się, że widzę pana znowu.

— Chodź, zapraszał go oficer i posiedź chwilkę z nami. Opowiadałem właśnie panu Montague'owi o nadużyciach w sprawie płyt pancernych, zaczął, gdy Bates przysunął już sobie krzesło. Powiedziałem mu też, że znasz historję śledztwa rządowego. Bates wraca z Pittsburga, wie pan, objaśniał Montague'owi.

— Wiem o tem, odrzekł Montague.

— To była pierwsza reporterka, którą mi powierzono, mówił Bates. Ma się rozumieć, że dzienniki w Pittsburgu nie chciały drukować faktów, wydobyłem je jednak pomimo to. A potem wszedłem w zażyłość z pewnym adwokatem w Pittsbur-

gu, który zajął się tajnem dochodzeniem; i za każdym razem, gdy czytałem w dziennikach, że stary Harrison fundował nową bibliotekę, krew moja zaczynała wrzeć w żyłach.

— Myślę czasami, wtrącił oficer, że gdyby znalazł się ktoś taki, ktoby miał odwagę opowiedzieć to wszystko ludowi amerykańskiemu, lud ten powstałby, i wyrzucił z kraju tego starego rzezimieszka.

— Nigdyby mu nie zdołano udowodnić jego sprawek, rzekł Bates. Jest on zbyt chytrym. Zawsze najbrudniejszą i najryzykowniejszą robotę zwala na innych ludzi. Pamiętasz, jak uciekł podczas wielkiego strejku, i zostawił cały kłopot Willjamowi Robertsowi, a potem, gdy już niebezpieczeństwo minęło, zjawił się z powrotem.

— I przekupił władze, by uniknąć kary! dorzucił porucznik z zawziętością.

Montague zwrócił się doń z zdziwieniem w oczach!

— A to co znowu? zapytał.

— To historja, której szczegóły może opowiedzieć przyjaciel Batesa, adwokat. Komisja, złożona z oficerów marynarki przyznała rządowi sześćkroć stotysięcy dolarów odszkodowania; sprawę przedłożono prezydentowi Stanów Zjednoczonych, a ten zaprzedał marynarkę!

— Zaprzedał marynarkę! przeraził się Montague.

Oficer wzruszył ramionami.

— Przynajmniej ja to tak nazywam, rzekł. Pewnego dnia stary Harrison zadziwił kraj cały wy-

głoszeniem mowy w obronie polityki prezydenta i jego projektu reformy taryfowej, a następnego dnia pełnomocnik rządu dostał rozkaz, że odszkodowanie ma być zniżone o 75%.

— A potem, dodał Bates, William Roberts przyjechał z Pittsburga i przekupił partję demokratyczną w Kongresie, żeby głosowała przeciw reformie taryfowej; i tak kraj nie dostał ani odszkodowania ani reformy. A po kilku latach stary Harrison sprzedał swoje przedsiębiorstwo trustowi stalowemu i wycofał się z majątkiem czterechset miljonów dolarów, skradzionych narodowi amerykańskiemu.

Bates zmęczony oparł się o poręcz krzesła.

— Nie bardzo to przyjemny temat rozmowy jak na dzień świąteczny, rzekł. Wszystko to nie chce mi jednak wyjść z głowy. Te właśnie rzeczy stwarzają ot to! i wykonał wymowny ruch ręką w stronę wesołego zebrania.

— Kobiety wyrzucają pieniądze na suknie i kosztowności, a mężczyźni rozdzierają kraj na strzępy, aby ich dostać coraz więcej. Można nawet czasami słyszeć rozmowy o tym przedmiocie Niektórzy ludzie będą ci wmawiali, że ci próżnujący bogacze nie krzywdzą nikogo, chyba samych siebie; nie wierz im jednak: ja ci mówię, że gdziekolwiek oni przejdą, pozostawiają po sobie spustoszenie i korrupcję. Czy nie sądzi pan tak, panie Montague?

— Jestem o tem najmocniej przekonany.

— Niech się pan przypatrzy tym miastom nowoangielskim, mówił dalej Bates, i ludziom w nich

żyjącym; ci, którzy mieli cokolwiek energii, dawno już, przed laty, wynieśli się stąd na zachód. A ci, którzy pozostali, to manekiny, wiotkie i bezwolne. Czyż pan tego nie zauważył? I gdziekolwiek zjawi się ten tłum rozbawiony, można obserwować tosamo zjawisko: mężczyźni zamieniają się w hotelarzy i lokajów, a kobiety stają się kelnerkami i prostytutkami.

— I uczą się brać napiwki, wtrącił oficer.

— Wszystko, cokolwiek posiedli, jest na sprzedaż dla bogaczy z miasta. Z politycznego punktu widzenia nie ma bardziej skorumpowanego i zgniłego kącika w Stanach Zjednoczonych, aniżeli ta wyspa Rhode Island — a pan wie, co to znaczy. Może pan w dniu wyborów kupować tu głosy jak się kupuje śledzie, a co do sanacji tych stosunków — nie ma w tym kierunku żadnych wysiłków ani żadnych nadziei.

— Gorzkie są słowa pańskie rzekł Montague.

— Boć i ja gorzki jestem. Ale nie często podlegam takim wybuchom Trzymam jezyk za zębami, i smażę się w własnym sosie. My dziennikarze wiemy wszystko. Zaglądamy za kulisy, i widzimy, jak nasypują manekiny trocinami. I musimy w tej zgniliźnie pracować bez przerwy, a mogę pana zapewnić, że są tacy między nami, którzy się wcale tem nie zachwycają. Cóż jednak mamy czynić?

Opuścił bezsilnie ramiona.

— Trawię czas na gromadzeniu faktów, a w dziewięciu wypadkach na dziesięć pismo moje wcale nie chce ich drukować.

— Czyż nie lępiej w takim razie, by pan opuścił redakcję? zapytał Montague szeptem prawie.

— A cóż mnie lepszego czeka gdzieindziej? odparł reporter. Jestem w posiadaniu faktów, a od czasu do czasu przecież przychodzi do skandalu, i wówczas mam sposobność wyrzucić z siebie trochę jadu. Tak więc trzymam się swego miejsca. Ciągle jeszcze wierzę w to święcie, że jeżeli się bezustannie będzie przedkładało ludziom stan rzeczy, przecież kiedyś, prędzej czy później, coś się uczyni. Kiedyś przyjdzie człowiek, który będzie posiadał sumienie i głos, i który nie cofnie się przed niczem. Czy nie myśli pan tak, panie Montague?

— Tak, odrzekł tenże. Mam tę nadzieję.



ROZDZIAŁ XVIII.

Lato miało się ku końcowi. W ostatnich dniach sierpnia Alicja wróciła z Newport na kilka dni, chcąc załatwić trochę sprawunków, przed udaniem się do obozu Prentice'ów w górach Adirondackich.

Tu »towarzystwo« wyszukało sobie nowy sposób zabawy. Ludzie stawiali sobie wspaniałe pałace wśród puszczy, i żyli jakiemś fantastyczno-prymitywnem życiem, które jednak obfitowało we wszystkie możliwe wytwory cywilizacji. Życie to wymagało zupełnie odmiennego stroju, z butami do polowania z jeleniej skóry i spódniczkami do turystyki — wszystko bardzo zgrabne i kosztowne. Przypomniało to Montague'owi pewien dowcip, który opowiadano sobie o pani Vivie Patten. Mąż jej uskarżał się, że nosi zbyt zbytkowne toalety, i zażądał by odtąd ubierała się skromniej.

— Dobrze, rzekła, sprowadzę sobie zaraz cały kufer skromnych sukień.

Alicja spędziła jeden wieczór w domu, i skorzystała z tej sposobności, by wciągnąć Allana w poufną rozmowę.

— Zdaje mi się, rzekła, że Harry Curtiss oświadczy mi się tymi dniami. Sądziłam, że powinnam ci o tem powiedzieć.

— I ja podejrzywam tosamo, powiedział Montague z uśmiechem.

— Harry ma wrażenie, że go nie lubisz, pytała dziewczyna Czy to prawda?

— Nie — odpowiedział Montague, to nie to... Zawahał się.

— Nie rozumiem cię, mówiła dalej. Czy sądzisz, że nie powinnam wyjść za niego?

Montague bacznie przypatrywał się jej twarzy.

— Powiedz mi, zapytał, czy postanowiłaś już to małżeństwo?

— Nie, odrzekła, tego nie mogę powiedzieć.

— Bo jeżeli tak, w takim razie wszystkie moje argumenty przeciw byłyby bezprzedmiotowe.

— Chciałabym bardzo, żebyś mi powiedział otwarcie, co zaszło między wami, prosiła dziewczna.

— Zaszło poprostu to, że ja uznałem za niewłaściwe postępowanie Curtissa w pewnej sprawie finansowej. Trzeba przyznać, że inni ludzie, postępują taksamo jak on, i tem on się też tłumaczy.

— Musi przecież zarobić na życie, rzekła Alicja.

— Wiem o tem, a jeżeli się ożeni, będzie musiał zarabiać więcej jeszcze. Podda się jeszcze bardziej żelaznemu uściskowi korupcji.

— Cóż jednak tak strasznego uczynił? dowiadywała się Alicja niespokojnie.

Montague opowiedział jej wszystko.

— Ależ Allanie, nie widzę w tem bynajmniej nic złego. Czyż Ryder i Price nie są właścicielami tej kolei?

— Są właścicielami jej części, istnieją jednak inni właściciele.

— To niechaj się sami bronią, zeperzyła się dziewczyna, jeżeli wchodzą w stosunki z takimi ludźmi.

— Nie znasz się na interesach, i nie orjentujesz się w sytuacji. Curtiss został wybrany dyrektorem — przyjął godność męża zaufania.

— Uczynił to poprostu ze względu na Price'a. Gdyby był tego nie uczynił, Price wyszukałby sobie kogo innego. Nie mylisz się twierdząc, że nie bardzo się znam na tem, zdaje mi się jednak, że niesłusznie jest ganić młodego człowieka, który musi sobie zdobyć stanowisko w świecie, i który czyni poprostu tylko to, co czynią wszyscy inni naokoło niego. Naturalnie, że wiesz sam najlepiej, co robisz; zawsze mi sie jednak zdawało, że schodzisz z najprostszej drogi, aby sobie wyszukiwać jakieś urojone skrupuły.

Montague uśmiechnął się smutno.

— To bardzo podobne do słów, które on wówczas wyrzekł do mnie. Widzę, że mimo wszystko, przecie postanowiłaś już wyjść za niego.

Alicja wyruszyła w drogę w towarzystwie Oliwera, który udawał się do rezydencji letniej pani Bertie Stuyvesant, naśladującej średniowieczny zamek rycerski, a położonej w innej części gór Adi-

rendackich. Betty Wyman również miała być obecną, a Oliwer miał spędzić tam cały miesiąc. W trzy dni później jednak Montague otrzymał telegram od brata, w którym tenże zawiadamiał go, że przybywa do Nowego Yorku zaraz po ósmej tego samego ranka, i prosił go, by czekał na niego w jego mieszkaniu. Montagne domyślał się już znaczenia depeszy, miał więc dosyć czasu zastanowić się i powziąć odpowiednie postanowienie.

— A więc? zapytał, skoro tylko Oliwer przybył z kolei do domu. Znowu krach?

— Tak, odpowiedział Oliwer.

— I znowu pewna wygrana?

— Pewna, jak śmierć. Zagrasz ze mną do spółki? zapytał Oliwer po chwili.

Montague zaprzeczył głową.

— Nie, odparł. Raz spróbowałem i mam dosyć.

— Przecież nie mówisz tego na serjo!

— Najzupełniej, odrzekł Allan

— Mój kochany, to poprostu szaleństwo! Mam informacye z najlepszych źródeł, powtarzam ci — rzecz tak pewna jak wschód słońca.

— Nie wątpię o tem, odpowiedział Montague. Skończyłem już jednak z grą na giełdzie. Widziałem tego dosyć, i mam tej przyjemności po uszy. Nie lubię wzruszeń, które powstają we mnie przy tej sposobności — i nie lubię czynów, które popełniam pod ich wrażeniem.

— Może powiesz, że ci się pieniądze nie przy dały? powiedział Oliwer sarkastycznie.

— Przeciwnie zrobię użytek z tego, co mam.

— A jeżeli zapas się skończy?

— Nie wiem jeszcze co uczynię. Znajdę sobie jednak sposób zarobkowania, któryby mi bardziej odpowiadał.

— Pięknie, zrobisz jak zechcesz. Ja w każdym razie zagarnę swoją cząstkę.

Udali się razem do miasta fiakrem.

— Skądże tym razem dostałeś informacye? zapytał Montague.

— Z tego samego źródła.

— I znowu o europejskie akcye chodzi?

— Nie, tym razem o nasze.

— A cóż za Towarzystwo?

— »Stal« w Mississippi.

Montague zwrócił się ku bratu jakby pod wpływem sprężyny i wytrzeszczył na niego w zdumieniu oczy.

— »Stal w Mississippi! wymamrotał.

— No tak, potwierdził niedbale Oliwer. Cóż ciebie to tak dalece obchodzi? dodał zdziwiony.

— »Stal« w Mississippi! szepnął znowu Allan. Czyż nie wiesz o moich stosunkach z Północną koleją w Mississippi?

— Oczywiście, że wiem Co to jednak ma wspólnego z Tow. »Stal«?

— Wszak dyrektorem tej kolei jest Price, właściciel Tow. »Stal« w Mississippi.

— Tak... mruknął tamten. Zapomniałem o tem zupełnie.

Obowiązki towarzyskie Oliwera nie pozostawiały mu wiele czasu dla zajmowania się sprawami brata.

— Allanie, dodał skwapliwie, nie powiesz o tem nikomu!

— Ach, cóż mnie to może obchodzić, odparł Allan. Wycofałem się z interesów. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że mnie to interesuje. Cóż to teraz ma być? — spadek akcyi?

— Tak, idą one na dół gwałtownie.

Montague pogrążył się w zadumie.

— To z pewnością sprawka trustu stalowego, szepnął jakby do siebie.

— Przypuszczenie więcej niż prawdopodobne. Moja wskazówka właśnie z tamtych regionów pochodzi.

— Czy myślisz, że będą się starali zgnieść Price'a?

— Nie wiem, sądzę jednak, że mogliby to uczynić, gdyby się na taki krok zdecydowali.

— Ma on jednak w swem ręku większość udziałów, rzekł Montague. Nie mogę mu ich przecie tak poprostu odebrać.

— Naturalnie że nie, jeżeli trzyma je zamkniete w swej kasie ogniotrwałej, i jeżeli nie ma długów ani zobowiązań. Przypuśćmy jednak, że finanse jego są nadszarpane, i że jakiś bank pożyczył mu pieniędzy na zastaw akcji — co wówczas?

Montague był bardzo zainteresowany. Towarzyszył bratu, podczas gdy ten wybierał swe pieniądze z banku, odwiedzał swych maklerów i polecił im sprze-

dawać akcje »Stali«. Spędziwszy następnie kilka godzin na rozprawie w sądzie, wyszedł, i wziąwszy do rąk gazetę popołudniową spojrzał na kursa giełdowe. Pierwsze wpadły mu w oczy cyfry, oznaczające kurs akcji »Stali«. Były one prawie o 20 punktów niższe od ceny porannej!

Suche te cyfry były dlań nader wymowne. Opowiadały mu o licznych tragedjach, przywodziły mu na pamięć kilka osób znajomych, ich tryumfy i rozpacze. Czytał w nich dzieje tytanicznej walki. Oliwer zagarnął łup swój. Co jednak stało się z Ryderem i Pricem? Montague wiedział, że większa część papierów Price'a była ubezpieczona na truście Gothama. Co teraz będzie z trustem? I co stanie się z Północną koleją w Mississipi?

Wszystkie kolumny pism wieczornych były pełne sensacyjnych wiadomości o wypadkach dnia. Wyrażano się, że grunt usunął się z pod nóg Tow. »Stal«. Miasto obiegały najdziwaczniejsze pogłoski. Było powszechnie wiadomem, że Towarzystwo to robiło olbrzymie wkłady, i mówiono, że przerachowało się co do swych sił finansowych, opowiadano sobie, że urzędnicy Towarzystwa robili spekulacje finansowe na własną rękę, i że Tow. nie będzie mogło uiścić przyszłych spłat kwartalnych na swoje weksle. Były też niewyraźne wzmianki o tem, jakoby całe przedsiębiorstwo miało przejść w posiadanie trustu stalowego, czemu znowu energicznie zaprzeczali urzędnicy tego ostatniego.

Wszystko to jak grom z jasnego nieba spadło na giełdę. Dla Montague'a krach ten przedstawił

się jako przygnębiająca i straszna katastrofa. Nie chodziło mu o to, że sam już nie brał udziału w walce, że już osobiście nie miał nic do stracenia. Wstrząsały nim uczucia człowieka, który właśnie przebył trzęsienie ziemi i u którego stóp nagle otwarła się przepaść bezdenna. Patrzył w nią ze zgrozą i uświadamiał sobie z przerażającą wyrazistością, że chociaż w danej chwili znajduje się w bezpiecznem miejscu, to jednak na tej ziemi będzie musiał spędzić całą resztę swego życia, a następna otchłań może stać się jego grobem.

Montague nie widział żadnego wyjścia dla Price'a i Rydera; zdawał sobie sprawę z ich położenia i nie byłby się dziwił, znalazłszy w pismach wiadomość o zupełnej ich ruinie. W powietrzu wisiała burza, na razie jednak cały ten epizod przeszedł, poruszywszy tylko chmurę ponurych domysłów. Akcje »Stali« jednak nie wróciły już do dawnych cen, i Allan zauważył, że i Północno kolejowe akcje kolei w Mississippi spadły o ośm lub dziewięć punktów.

Był to okres wielkiego zaniepokojenia w świefinansowym. Wszyscy odczuwali to, nawet jeżeli nie umieli podać powodu tego stanu. W ciągu lata giełda stała się widownią kilku panik w transakcjach z papierami wartościowymi, a wielcy finansiści i prezydenci towarzystw kolejowych wprowadzili zwyczaj w mowach swoich, wygłaszanych podczas bankietów, przepowiadać zupełny upadek kraju.

Najwidoczniej jednak ludzie nie mogli się zgodzić co do powodów zamięszania. Jedni twierdzili,

że było ono skutkiem przemówień prezydenta i jego ataków na wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe kraju. Inni utrzymywali, że zasób gotówki wogóle na całym świecie wyczerpuje się, i wskazywali na zniszczenie, spowodowane wielkiemi wojnami i kataklizmami, jak pożary i trzęsienia ziemi. Inni wreszcie dowodzili, że Ameryka nie posiada kredytu wystarczającego dla podtrzymania jej przemysłu. Tu i ówdzie, ponad te chaotyczne wieści i komentarze wydzierał się przeraźliwy głos jakiegoś radykała, który opowiadał, że spadki papierów spowodowane były umyślnie; takie jednak postawienie kwestji zdawało się tak lekkomyślnem i zuchwałem, że spotykało się z uśmiechem pobłażliwego niedowierzania, o ile wogóle zwrócono nań uwagę. Montague'owi myśl, że w kraju znajdują się ludzie dość potężni, by jednym zamachem powstrzymać rozwój całego jego przemysłu — zdawała się niedorzecznym wymysłem, obliczonym na sensację.

Mówił jednak o tem pewnego wieczora z majorem Venablem, który go wyśmiał serdecznie. Major wymienił kilku ludzi, między nimi Watermana, Duvala i Wymana, którzy rozporządzali dziewięćdziesięciu procentami wszystkich banków w Metropolii. Mieli też w swojem ręku wszystkie trzy największe Towarzystwa ubezpieczeń, z ich kapitałem, dochodzącym do czterech lub pięciu miljonów dolarów; jeden z nich miał także władzę nad całym systemem transkontynentalnych kolei żelaznych. Przedsiębiorstwo to samo dla siebie zachowywało »nadwyżkę«

dwudziestu lub trzydziestu miljonów dolarów dla celów giełdowych.

— Gdyby dwóch lub trzech z tych mocarzy powzięło odpowiednią decyzję, mogliby w jednym dniu powstrzymać cały ruch finansowy kraju. Gdyby im chodziło o wykupienie jakichś akcji, mogliby cenę ich natychmiast obniżyć do takiego stopnia, jakiby im był dogodny, rzekł major.

— Jakżeby mogli to czynić?

— O, na to jest wiele sposobów. Zauważyłeś może, że ostatni wielki krach zaczął się brakiem gotówki na giełdzie tak wielkim, że najstarsi finansiści nie pamiętali podobnego stanu. Przypuśćmy teraz, że ludzie ci nagromadziliby wielką ilość gotówki w swych bankach i umówili się, że w pewnej godzinie pieniądze te mają być wycofane z obiegu. Przypuśćmy dalej, że uczyniłyby to samo nietylko banki, które są ich własnością, ale także te, których dyrektorowie są przekupieni przez naszych spekulantów i towarzystwa asekuracyjne, znajdujące się pod ich wpływem. Czy możesz sobie wyobrazić co za popłoch powstałby wówczas w poszukiwaniu pieniędzy, jakie uganianie się za pożyczkami, i jaki gwałtowny run na banki? A jeżeli jeszcze weźmiesz pod uwagę nadzwyczajną nerwowość naszej publiczności i naprężenie kredytu do ostatnich granic, że podobnym on jest do struny, bliskiej peknięcia, i jeżeli w taką katastrofę byliby zamieszani wszyscy — czyż nie możesz wyobrazić sobie rozmiarów nieszczęścia?

— Wydaje mi się to igraniem z dynamitem, zauważył Montague.

— A jednak mogłoby być jeszcze gorzej, odpowiedział major. Ratuje nas fakt, że ci »wielcy ludzie« nie idą razem. Wiele między nimi zawiści i kłótni. Waterman leci na łatwy zysk, i pożycza skarbowi państwa dziesięć miljonów; Wyman zato lubi wysoki procent, to też idzie na giełdę i puszcza w obieg piętnaście miljonów; i t. d Istnieje w mieście pół tuzina wielkich związków bankowych. —

— A więc jeszcze jest konkurencja między nimi? zapytał Montague

— O tak, rzekł major. Toczy się naprzykład walka o władzę nad prowincjonalnymi bankami. Wszystkie banki całego kraju posyłają swoje kapitały rezerwowe do Nowego Yorku. Wynosi to czterysta do pięciuset miljonów dolarów, które przedstawiają olbrzymią potęgę. Niektóre z tych dużych banków prowadzą ajencje dla tysiąca do dwóch tysięcy instytucyj finansowych, a walka, która się między nimi rozgrywa, jest jednem z najciekawszych zjawisk. Nie łatwą jest rzeczą podpatrzyć ich operacje, ma się rozumieć, ale czasami może się to udać. W całej tej grze jest więcej chytrości i podstępu, niż w tajnych instytucjach policyjnych Rosji.

— Rozumiem, wtrącił Montague.

— Jeden jest tylko teren, na którym schodzą się wszystkie banki, mówił dalej major. Jest nim nienawiść do niezawisłych towarzystw trustowych. Musisz wiedzieć zapewne o tem, że narodowe banki muszą mieć dwadzieścia pięć procent kapitału rezerwowego, podczas gdy trusty mają tylko pięć. Wskutek tego posiadają one większą sprawność w zała-

twianiu interesów, mogą ofiarować cztery procent dywidendy, reklamują się energiczniej i przez to wszystko poprostu przypierają do muru banki. Istnieje ich zwyż pięćdziesięciu w samym nowym Yorku, a rozporządzają one ogólną sumą wkładek, która przewyższa bilion dolarów. I tu, pomnij moje słowa, krew się poleje w niedługim czasie.

Przeznaczeniem Montague'a było, zapamiętać dobrze to proroctwo.

W kilka dni później zdarzył się wypadek, który w nowem świetle ukazał Montague'owi sytuację. Pewnego popołudnia przyszedł do niego jego brat z jakimś papierem w ręku.

— Allanie rzekł, proszę cię o twe zdanie co do tego listu.

Montague spojrzał, i poznał pismo List był od Lucy Dupree.

»Kochany Ollie«, opiewał, jestem w bardzo przykrem położeniu, gdyż pewna transakcja finansowa, na którą liczyłam, zawiodła zupełnie. Pieniądze, które przywiozłam z sobą do Nowego Yorku już się prawie wyczerpały, zrozumiesz więc, że położenie moje, jako nieobeznanej ze stosunkami tutejszymi, jest bardzo trudne. Mam skrypt dłużny, który Stanley Ryder wystawił mi niegdyś za moje akcje. Opiewa on na sto czterdzieście tysięcy dolarów i jest płatny za trzy miesiące. Przyszło mi na myśl, że może znasz kogo, kto ma potrzebną gotówkę, i ktoby się zgodził na wykupienie tego skry-

ptu. Chętnie sprzedałabym go za sto trzydzieści tysięcy. Proszę cię, nie wspominaj o tem nikomu, chyba pod sekretem.

— A teraz powiedz mi, na miłość boską, co to może znaczyć, rzekł Oliwer.

Tamten patrzył zdumiony na papier, który drżał w jego ręku.

— Nie mam pojęcia, odpowiedział powoli.

— Ile pieniędzy miała Lucy, gdy przyjechała do Nowego Yorku?

— Miała trzy albo cztery tysiące dolarów, Ale potem dostała dziesięć tysięcy od Stanleya Rydera, gdy kupił jej akcje.

— Przecie w żaden sposób nie mogła wydać tyle pieniędzy! zawołał Oliwer.

— Może włożyła je w jakie przedsiębiorstwo, poddał Allan.

— To możliwe!

— Ale mnie nie to zadziwia, mówił Montague, lecz pytanie dlaczego Ryder sam nie eskontuje swego skryptu!

— Właśnie o to chodzi! Co za interes ma on w tem, by Lucy rozpuszczała po mieście jego skrypta?

— Może nie wie o tem — może Lucy stara się ukryć przed nim stan swoich interesów.

— Nonsens, rzucił Oliwer. Nie wierzę w taką możliwość. Myślę przeciwnie, że to robota samego Rydera.

— Jakto ? zapytał Montague zupełnie skonfundowany.

— Sądzę, że stara on się, by ktoś zeskontował jego własny skrypt. Nie wierzę, że Lucy z własnej woli zwróciłaby się do nas o pomoc. Jest zbyt dumną, by to uczynić. Raczej umarłaby z głodu.

— Ale Stanley Ryder! prezydent trustu Gothama!

— To nic nie znaczy! rzekł Oliwer. To jego własny skrypt, a nie trustu; i założę się, że kręci on się teraz za gotówką jak mucha w mazi. Ostatnimi dniami zbankrutowało jakieś towarzystwo sprzedaży realności, a widziałem, że był jednym z akcjonarjuszy. Ponieważ i w ostatnim krachu Tow. »Stal« w Mississippi poniósł znaczne straty, jestem pewny, że czyni on usilne starania o pieniądze. Jest to zresztą zupełnie podobne do Lucyi. Zanim skończy, zabierze od niej ostatniego jej dolara.

Montague nie rzekł nic przez minutę lub dwie. Nagle zacisnął pięści.

— Muszę pójść do niej, rzekł.

Lucya z kosztownego hotelu, w którym pierwotnie umieścił ją Oliwer, przeniosła sie do mieszkania, wynajętego przy Riverside Drive. Tam też udał się Montague następnego poranku.

Wyszła na jego spotkanie, zatrzymała się jednak w drzwiach salonu i spojrzała mu w twarz. Zauważył wówczas, że była bledszą niż dawniej i że cierpienie wycisnęło piętno na jej delikatnych rysach.

— Allanie, rzekła. Wiedziałam, że przyjdziesz kiedyś. Jak mogłeś tak długo nie dawać znaku życia?

— Zdawało mi się, że widok mój sprawiłby ci przykrość.

Nie odpowiedziała. Przystąpiła bliżej i usiadła, patrząc ciągle na niego z rodzajem trwogi w oczach.

Nagle wyciągnął do niej ręce:

Lucy! zawołał. Chodź stąd, chodź póki czas jeszcze!

— Dokądże pójść mogę? zapytała smutno.

— Ależ gdziekolwiek! wróć do domu!

— Nie mam domu.

— Uciekaj od Stanleya Rydera. Człowiek ten nie ma prawa wymagać takiej ofiary od ciebie.

— On jej nie wymaga, Allanie. Nie gań go, nie mogę znieść tego! Urwała nagle.

— Lucy, zaczął Allan po chwili, widziałem ten list, który pisałaś do Oliwera.

— Byłam tego pewną, rzekła. A prosiłam go, by go nikomu nie pokazywał. To nielojalne...

— Słuchaj Lucy, czy powiesz mi, co to wszystko znaczy? czy powiesz mi uczciwie i szczerze?

— Tak, powiem ci, odrzekła cichym głosem:

— Pomogę ci, jeżeli jesteś w kłopotach, mówił dalej Allan, nie będę jednak pomagał Stanleyowi Ryderowi. Jeżeli pozwalasz mu używać siebie...

— Allanie, przerwała mu nagle w nieoczekiwanem podnieceniu, nie myślisz przecie, że wiedział o tym liście!...

— Jestem tego pewny!

— Jakżeż możesz posądzać go o coś podobnego!

— Wiedziałem, że jest w opałach.

— Tak, znajduje się w strasznem położeniu, i chciałam pomóc mu jak umiałam. Wiem, że była to myśl szalona, ale nie mogłam zdobyć się na nic innego.

— O, rozumiem to dobrze! rzekł Montague.

— I czyż nie widzisz, że nie mogę go opuścić? zawołała Lucya. A teraz tembardziej, kiedy potrzebuje pomocy, gdy nieprzyjaciele jego osaczyli go. Jestem jedyną osobą na całym świecie, która go naprawdę rozumie, i która mu jest życzliwą...

Montague nie znalazł na to odpowiedzi.

— Wiem, że cię to boli, rzekła Lucya, i nie myśl, że nie dbam o to. Myśl o was nigdy mnie nie opuszcza. Wiem jednak, że pewnego dnia zrozumiesz mnie; a reszta świata — nie chodzi mi o to, co inni powiedzą...

— Dobrze więc, Lucy kończył Allan rozmowę ze smutkiem. Widzę, że w niczem ci pomóc nie mogę, i nie będę ci się więcej narzucał.



ROZDZIAŁ XVIII.

Znowu minął miesiąc. Montague, zakopany w swej pracy zawodowej, podchwytywał tylko niewyraźne echa burzy, szalejącej w świecie finansowym. W późniejszych czasach przypominał sobie nieraz ten okres swego życia, i dziwił się, że wówczas tak mało miał poczucia gotujących się wypadków. I wydawał się sam sobie jak wieśniak, który z pochyloną nisko głową kopie swoje pole, podczas gdy naokoło niego zbierają się armie nieprzyjacielskie na bój śmiertelny, i który przerażony pierwszymi wybuchami granatów podnosi wzrok zdumiony i widzi że jak daleko okiem sięgnąć, wre walka zażarta.

Na giełdzie nastąpił jeszcze jeden straszny krach. Niejaki Stewart, pochodzący z Zachodu chciał spowodować zniżkę papierów miedziowych. Spadły one tak gwałtownie, że dało to powód do najniedorzeczniejszych komentarzy. Niektórzy mówili, że zdrajca sam wysprzedał swoje papiery, inni, że pomiędzy konspiratorami wybuchła sprzeczka. Jakkolwiek rzecz się miała, miedź spadła w cenie, a w następstwie tego pojawiły się znowu u bram giełdy tłumy wy-

jące, i dreszcz przeszedł przez całą dzielnicę finansową miasta. Potem nagle, jak piorun spadła na giełdę wieść, że konferencja właścicieli wielkich instytucji finansowych postanowiła wyprzeć młodego Stewarta z jego nowojorskich banków. Obiegały pogłoski, że i inne banki były w to wmieszane i że mają być zwołane dalsze koferencje. W parę dni później znowu nadeszły wieści, że wszystkie banki Cummingsa, króla lodowego, są zachwiane i że jego również wyparto z pola walki.

Montague nigdy jeszcze nie widział takiego poruszenia na giełdzie. Każdy człowiek, którego spotykał, miał nową paczkę wieści, coraz to dziwaczniejszych i nieprawdopodobniejszych. Zdawało się, że przed oczyma całego swiata bankowego otwarła się nagle szeroka i głęboka przepaść. Ale Montague był bardzo zajęty pewną sprawą, którą prowadził przeciwko trustowi tytoniowemu, a która właśnie wówczas znajdowała się w bardzo ważnej chwili przełomowej; nie wyobrażał też sobie, żeby wypadki na giełdzie miały go w czemkolwiek dotyczyć. Prasa, czyniąc rozpaczliwe wysiłki, by zażegnać wzburzenie — donosiła, że niebezpieczeństwo minęło, i że Dan Watterman pospieszył na pomoc zagrożonym instytucjom. Mantague wierzył tym zapewnieniom i szedł swoją drogą.

Trzy czy cztery dni po kryzysie dostał zaproszenie na obiad do swego przyjaciela, Harvey'a. Był przemęczony, po całym niemal dniu przebytym na rozprawie w sądzie, a ponieważ nikt inny nie miał wziąć udziału w tym obiedzie, postanowił nie

przebierać się już, ale wprost z biura udał się piechotą do hotelu, w którym mieszkał Harvey, a który był jednem z głównych i najchętniej przez »towarzystwo« uczęszczanych miejsc zabaw w Metropolji. Harwey zajmował całe piętro, a wszystkie, zamieszkane przez niego pokoje, było umyślnie według jego upodobania udekorowane.

— Dzień dobry, panie Montague, przywitał urzędnik Allana, który podszedł do jego pulpitu. Pan Harvey zostawił bilet dla pana.

Montague rozdarł kopertę i przeczytał napisanych w pośpiechu kilka słów, oznajmiających mu, że Harvey właśnie otrzymał wiadomości o zachwianiu jednego z banków, którego on był dyrektorem. Musiał z tego powodu wziąć udział w posiedzeniu, mającem się odbyć tegosamego wieczora. Telefonował do biura i do mieszkania Montague'a w ciągu popołudnia, ale nigdzie nie mógł go zastać.

Montague wyszedł. Nie wiedział dokąd się udać, bo jego własna rodzina wyjechała z miasta, postanowił więc zjeść samotny obiad w tymsamym hotelu, i w tym celu udał się do sali stołowej. Po obiedzie wyszedł do wspaniałego przedsionka, kupił kilka pism popołudniowych i stał chwilkę, patrząc na przechodzących ulicą ludzi.

Nagle przybysz jakiś otworzył drzwi, a Montague mimowoli obejrzał się. Był to Wınten Duval, bankier; Montague nie widział go od chwili, gdy pożegnał się z nim swego czasu w salonie pani Winnie, Duval nie zauważył Montague'a, ale prze-

szedł koło niego z ściągniętemi brwiami, i udał się do jednego z elewatorów.

W chwilę później Allan usłyszał głos za sobą;

— Jak się pan miewa, panie Montague?

Odwróciwszy się, ujrzał Lyona, gospodarza hotelu, którego niegdyś Harvey mu przedstawił.

Pan przyszedł zapewne, by wziąć udział w konferencji?

— W konferencji? zdziwił się Montague. Nie.

— Odbywa się tu tej nocy wielkie zebranie bankierów, mówił dalej tamten. Trzymają to w ścisłej tajemicy, niech pan zatem nie wspomina, że panu cośkolwiek mówiłem.

— Jak się pan ma, panie Ward? zwrócił się nagle do człowieka, który mijał ich właśnie, a dla poinformowania Montague'a dodał:

— To Dawid Ward.

Ward był znanym na giełdzie pod przydomkiem »chłopca« starego Watermana. Był to bądź co bądź »chłopiec« bardzo dobrze wynagradzany,— płacił mu bowiem stotysięcy dolarów rocznie, za administrację jednego z wielkich swoich towarzystw asekuracyjnych.

— To i ten jest tu? zapytał Montague.

— I sam Waterman także jest, rzekł Lyon. Wszedł bocznem wejściem. Wnoszę z tego, że jest to coś szczególnie tajemniczego. Wynajęli na górze aż ośm pokoi, połączonych ze sobą. Waterman wejdzie z jednej strony, a Duval z drugiej. Tym sposobem reporterzy nie dowiedzą się o niczem.

— A więc na takie to sposoby biorą się ci ludzie, uśmiechnął się Montague.

Właśnie chciałem się przekonać, czy nie ma tu gdzie jakiego dziennikarza, dodał Lyon, ale zdaje się, że nie zwąchali tym razem niczego.

Poszedł dalej, a Montague przypatrywał się ludziom, przechodzącym przez przedsionek. Widział, jak Jim Hegan wszedłszy, udał się do elewatora, w towarzystwie starszego jakiegoś jegomościa, którego Montague rozpoznał jako Bascoma, prezydenta banku »Empire«, instytucji, która była własnością Watermana. Dostrzegł też dwóch innych ludzi, których znał z widzenia jako wpływowych bankierów, a potem spojrzawszy w stronę kantoru, ujrzał wysokiego, barczystego mężczyznę rozmawiającego z urzędnikiem hotelowym.

Pod wpływem wzroku Allana odwrócił on się nagle i okazało się, że był to Bates, reporter z „Ekspressu«.

— Hm! pomyślał Montague. Dziennikarze zwąchali, mimo wszystko.

Widział jak Bates prześliznął się oczami po otoczeniu i zatrzymał się na nim wzrokiem. Montague uczynił ręką ruch powitania, ale dziennikarz nie odpowiedział. Natomiast nieznacznie zbliżył się do niego, i gdy przechodził mimo, nie patrząc wcale na niego, rzekł cichym przyspieszonym szeptem:

— Proszę pana do czytelni!

Montague stał jeszcze chwilę w zdumieniu; potem udał się w kierunku wskazanym. Bates siedział

już ukryty w olbrzymim fotelu, w najodleglejszym kącie pokoju. Montague usiadł tuż obok.

Reporter obrzucił salę szybkiem spojrzeniem i zaczął z pośpiechem:

— Przepraszam pana, ale nie chciałem, by nas ktokolwiek widział rozmawiających ze sobą. Chcę pana prosić o wielką przysługę,

— Cóż takiego?

— Chodzi mi o pewne fakta bardzo ważne. Nie mogę panu tego teraz wytłomaczyć, ale potrzeba mi pewnego pokoju w tym hotelu. Ma pan sposobność zobowiązać mnie na całe życie. Wyjaśnię panu wszystko, skoro tylko będziemy sami.

— Cóż mogę uczynić dla pana?

— Chciałbym wynająć pokój numer czterysta siedm, rzekł Bates. Jeżeli to niemożliwe, może być pięćset siedm albo sześćset siedm. Nie śmiem udać się z tem sam do urzędnika. który mnie zna. Panu jednak nie będzie robił trudności.

— Jakże mam to uczynić?

— Całkiem poprostu, niech się pan nie obawia.

— Montague spojrzał na przyjaciela i widział, że znajduje się on w stanie nadzwyczajnego podniecenia.

— Proszę pana, niech mi pan to zrobi, rzekł, kładąc dłoń na ramieniu Montague'a. I Montague zgodził się.

Wstał, udał się do przedsionka, i przystąpił do urzędnika.

— Dobry wieczór, panie Montague, rzekł tenże. Pan Harvey nie wrócił jeszcze.

— Wiem o tem, chciałbym jednak dostać pokój na dziś wieczór, bo mam tu przyjaciela, z którym chcę spędzić kilka godzin. Czy mógłby mi pan dać pokój na czwartem piętrze?

— Na czwartem piętrze? rzekł urzędnik i spojrzał na wykaz, umieszczony za nim na ścianie. A gdzie ma być — od frontu czy od oficyn?

— Czy ma pan może czterysta pięć?

— Czterysta pięć? — nie, ten numer zajęty. Mamy czterysta jeden, czterysta sześć, i po drugiej stronie kurytarza czterysta siedm.

— W takim rezie wezmę czterysta siedm.

— Cztery dolary dziennie, rzekł urzędnik, zdejmując klucz z haczka.

Nie mając pakunków, Montague zapłacił z góry i udał się za chłopcem do windy. Za nim szedł Bates i jakiś mały, suchy człowiek, niosący w ręku walizę, który również wysiadł na czwartem piętrze.

Chłopiec otworzył drzwi i wszyscy trzej weszli do środka. Garson odkręciwszy światło zaczął zapuszczać story i kręcić się po pokoju, udając, że coś robi, by zarobić napiwek. Potem wyszedł zamykając drzwi za sobą. Wówczaz Bates opuścił się na łóżko, ścisnął czoło dłońmi, i westchnął:

— O mój Boże!

Młody człowiek, który im towarzyszył, postawił był na ziemi walizę, i siedział teraz na jednem z krzeseł, w tył podany, śmiejąc się niepohamowanie

Montague w zdumieniu spoglądał to na jednego, to na drugiego.

— Mój Boże, rzekł znowu Bates. Spodziewam się, że ostatni raz w życiu zaplątany jestem w taką awanturę. Będę miał do rana siwe włosy na głowie — to nie ulega wątpliwości.

— Zapominasz pan, że ciągle jeszcze nie wiem, o co chodzi, zauważył Montague.

— Prawda!... rzekł Bates.

A potem nagle wyprostował się i utkwił w twarzy Montague'a wzrok pełen błagalnej prośby.

— Panie Montague! — zawołał. Niech nas pan nie opuszcza! Nie ma pan pojęcia, ile się napracowałem nad tem! Będzie to jedną z największych sensacji naszych czasów. Niech mi pan przyrzeknie, że nas pan nie wyda!

— Nie mogę przyrzec, rzekł pomimowoli śmiejąc się Montague zanim nie dowiem się, o co chodzi.

— Cóż kiedy boję się, że się panu to nie będzie podobało. Wyzyskałem pana w podstępny sposób, ale byłem zrozpaczony. Nie śmiałem sam zaryzykować, a Rodney nie był odpowiednio ubrany.

— Nie przedstawił pan jeszcze swego przyjaciela.

— O przepraszam! Pan Rodney, jeden z naszych współpracowników.

— A teraz proszę mi wszystko opowiedzieć, rzekł Montague, siadając.

— Chodzi o tę konferencję, zaczął Bates. Dostaliśmy wiadomość o tem przed jakąś godziną. Zbierają się w pokoju, położonym pod nami.

— I cóż z tego?

— Chcemy się dowiedzieć, co się tam będzie działo.

— Ale jakim sposobem?

— Przez okno. Mamy tu linę. To mówiąc, Bates wskazał na walizę.

Montague patrzył na niego osłupiałym wzrokiem, nie mogąc słowa wymówić ze zdumienia.

— Linę! wymamrotał wreszcie. Chce go pan spuścić na dół na linie?

— Rzecz zupełnie bezpieczna. Okno od oficyn niewidoczne.

— Ależ na miłość boską, człowieku, zawołał Allan, a gdyby lina pękła?

— O, nie pęknie, była odpowiedź. Postaraliśmy się o odpowiedni gatunek liny!

— Ale jakimże sposobem dostanie on się z powrotem?

— O, o to mniejsza. Może wyleźć po linie na górę, albo też możemy go spuścić aż na dół, na ziemię. Mamy dostateczną ilość liny.

— A jeżeli upadnie! jeżeli...

— To wszystko już ułożone, rzekł Bates swobodnie. Niech pan to zostawi Rodneyowi. Jego w tem głowa. On zwinny — zaczął karjerę jako chłopiec dżokejski. Dlatego właśnie go wybrałem.

Rodney wykrzywił twarz do uśmiechu.

— Zaryzykuję, rzekł.

Montague patrzył to na jednego, to na drugiego, niezdolny wymówić słowa.

— Powiedz mi, panie Bates — zapytał wreszcie. Czy często wypada panu posługiwać się takimi środkami?

— Raz już byłem w takiem położeniu. Chciałem dostać zdjęcia fotograficzne w sprawie jakiegoś morderstwa. Często zresztą posługiwałem się tylnemi oknami, schodami bezpieczeństwa i t. p. Byłem dawniej reportetem policyjnym, wie pan, i tam nabyłem złych nawyczek.

— A przypuściwszy, że złapią pana? zapytał Montague.

— Ba! odrzekł tamtem. Redakcjaby prędko sprawę załatwiła. Policja nie lubi następywać na pięty dziennikarzom.

Nastąpiła chwila milczenia.

— Panie Montague, rzekł Bates poważnie, wiem, że to przykra propozycja — niech pan jednak pomyśli, jakie znaczenie ma ta sprawa. Otrzymaliśmy wiadomość o konferencji, na której jest i Waterman i Duval! Zastanów się pan nad tem. Dan Waterman spotka się twarzą w twarz z Trustem naftowym! Naczelny redaktor sam posłał po mnie i rzekł: »Bates, wydostań tę historję«. I cóż miałem uczynić? Przecież nie miałem żadnego innego sposobu dowiedzenia się o tem, co się tam dzieje, oprócz...

Urwał nagle, a potem zawołał:

— Niech pan pomyśli, co to może znaczyć! Od nich zależy jutrzejsza sytuacja na giełdzie! mogą oni dokonać przewrotu we wszystkich transakcjach. Niech pan zważy, że i pan mógłby wykorzystać otrzymane informacje!

— Nie, rzekł Montague, czyniąc głową ruch przeczący, nie w ten sposób może mnie pan nakłonić.

Bates przypatrywał mu się uważnie.

— Przepraszam pana, rzekł. W takim razie może pan zechce chronić swych własnych interesów, może pan ma przyjaciół. Wszak sytuacya taka...

— Nie, i to nie, zaprzeczył uśmiechając się Montague, a wówczas Bates zaczął śmiać się głośno.

— No, to może uczyni pan to dla sportu, poprostu, aby ich wziąć na kawał.

— To prędzej...

— Pokój, ma się rozumieć, należy do pana. Może nam pan przeszkodzić, jeżeli pan zechce. W każdym razie nie potrzebuje się pan przypatrywać naszym czynnościom, jeżeli się panu nie będą podobały. My bierzemy na siebie całą odpowiedzialność, i może pan być pewnym, że na wypadek wykrycia, hotel umorzy całą sprawę. Może mi pan zaufać, że nazwisko pańskie nie będzie w to wmieszane.

— Zostanę, rzekł Montague. Zobaczę, jak się to skończy.

Bates aż podskoczył z radości i wyciągnął do niego rękę.

— Doskonale! zawołał. To mi się podoba!

Tymczasem Rodney otworzył był swoją walizę, i wyjął z niej zwój liny drucianej, bardzo lekkiej i elastycznej, i krótki kawałek deski. Na linie zrobił pętlę, a w niej umocował deskę jako siedzenie. Potem pozdejmował koce z łóżka i poskładał je, wyjął

parę grubych rękawiczek z cielęcej skóry, które rzucił reporterowi, i kłębek szpagatu, którego jeden koniec przywiązał sobie do ręki. Rzucił kłębek na ziemię, pogasił światła w pokoju, podciągnął rolety, i umieścił tłomok koców na parapecie.

— All ready! rzekł.

Bates włożył rękawice, uchwycił linę, a Rodney utwierdził pod sobą siedzenie.

— Niech pan będzie tak dobrym potrzymać koce, panie Montague, rzekł i utrzymać je o ile możności w miejscu.

Bates rozwinął spory kawał liny i okręcił ją naokoło olbrzymiego biurka, stojącego w bliskości okna. Zesunął sznur na dół, mniej więcej do połowy wysokości biurka, by tym sposobem zmniejszyć obciążenie liny.

— Baczność teraz, rzekł Rodney, przełażąc przez parapet. Potem chwycił się rękami gzymsu i powoli, stopniowo zaczął zdawać ciężar swój na linę.

— Teraz jazda! — szepnął.

Bates uchwycił linę z całych sił, i opierając się kolanami o biurko, poddawał ją cal po calu, podczas gdy Montague trzymał koce. Głowa i ramiona Rodneya zaczęły stopniowo znikać za parapetem, trzymał się jednak ciągle jeszcze gzymsu palcami.

— Baczność! powtórzył jeszcze raz i puścił gzyms. Sznur powoli zaczął się posuwać ku dołowi.

Montague był tak podniecony, że czuł przyspieszone bicie własnego serca. Bates natomiast, spokojny, zachowywał się tak, jakby wykonać miał

jakieś najzwyczajniejsze zajęcie. Wypuściwszy kilka zwojów liny zatrzymał się i szepnął:

— Niech pan zobaczy!

Montague wychylił się przez parapet. Z okna położonego poniżej szedł jasny strumień światła. Na gzymsie, wystającym ponad tem oknem, umieścił się Rodney.

— Niżej, rzekł Montague, chowając głowę, i Bates znowu popuścił nieco sznura.

— Teraz, szepnął znowu, i Montague powtórnie się wychylił. Rodney zgrabnie odsunął się był na bok, i trzymał się jednej strony okna, by nie być widzianym z zewnątrz. Uczynił gwałtowny znak ręką; Montague schował się i szepnął:

— Niżej!

Gdy spojrzał następnym razem, Rodney stał na gzymsie poniżej okna, odchylony w bok cokolwiek.

— Teraz, przymocować go! mruknął Bates. I podczas, gdy trzymał sznur, Montague okręcił linę naokoło biurka, a potem przeniósł ją na drugą stronę pokoju i przywiązał mocno do nogi od wanny.

— Zdaje się, że to wytrzyma, rzekł Bates; potem zbliżył się do okna, podniósłszy wpierw kłębek szpagatu, którego jeden koniec przywiązany był do ręki Rodney'a.

— To sygnał! rzekł. Telegraf Morse'a!

— Nie wiele pan pozostawił losowi! rzekł zdumiony Montague.

— Nie mogłem sobie na to pozwolić, — niech się pan zachowuje spokojnie!

Montague widział, że ręka przywiązana do szpagatu kilka razy została poruszona.

— O-k-n-o o-t-w-a-r-t-e, odczytał Bates, i w podnieceniu dodał:

— Na Boga, złapaliśmy ich tym razem!



ROZDZIAŁ XIX.

Montague przysunął do okna dwa krzesła i obaj usiedli, przygotowując się na długie czekanie.

— Jak się dowiedziałeś o tej konferencji? — zapytał Montague.

— Niech pan będzie ostrożnym, szepnął mu Bates na ucho. Musimy zachowywać się spokojnie, gdyż Bates będzie potrzebował ciszy, by uchwycić ich słowa.

Montague ujrzał, że znowu sznur szarpnięty, zadrgał. Bates sylabizował litery jedną po drugiej.

— W-a-t-e-r-m-a-n, D-u-v-a-l.

Mówi nam, kto jest obecny. Dawid Ward, Hegan, Prentice.

— Prentice! szepnął Montague. Ależ on jest w górach Adirondackich!

— Przyjechał dziś specjalnym pociągiem, odpowiedział tamten. Ward zatelegrafował po niego. Sądzę, że tą drogą właśnie dostaliśmy nasze wskazówki — Henryk Patterson. — To rzeczywista głowa trustu naftowego obecnie. — Bascom z banku »Empire« — to człowiek Watermana.

— Może pan wywnioskować, sądząc po tej liście, że coś ważnego jest w toku, szeptał Bates, wymieniając literami nazwiska kilku innych bankierów, naczelników niektórych najważniejszych instytucyj na Wall Street.

— Mówią o Stewarcie, telegrafował Rodney.

— To stare dzieje! mruknął Bates. Ten dawno wybrakowany!

— P-r-i-c-e, znaczył Rodney.

— Price! — zawołał prawie głośno Montague.

— Tak, odrzekł dziennikarz. Widziałem go na dole w przedsionku. Byłem pewny. że przyjdzie.

— Na konferencję z Watermanem?

— Cóż w tem dziwnego? Dlaczegożby nie miał przyjść?

— Ależ to śmiertelni wrogowie!

— O, rzucił Bates, przecież nie będzie pan wierzył takim głupstwom!

— Co pan przez to rozumie? Czy przypuszcza pan, że nie są wrogami?

— Naturalnie, że przypuszczam, rzekł Bates.

— Ależ człowieku, mogę panu przedłożyć pozytywne fakta, na dowód tego, że tak jest.

— Każdy fakt, który pan przytoczy, mogę zbić sześcioma innymi, udowadniającymi rzecz wprost przeciwną, zaśmiał się Bates.

— Ależ to nonsens! — zaczął Montague, ale Bates przerwał mu.

— Cicho! rzekł, śledząc bacznie szarpnięcia sznurkiem.

— L-ó-d, mówił sygnał.

— Aha, to Cummings, również wybrakowany, tłumaczył Bates. Z nim załatwiono się również gładko!

— Kto mianowicie? — zapytał Montague.

— Waterman. Trust ruchu parowców robił konkurencję jego kolejom nowo-angielskim, ale teraz już ogłosił bankructwo. W niedługim czasie usłyszy pan, że Waterman zagarnął całe przedsiębiorstwo.

— Myśli pan więc, że ten ostatni krach był planowany?

— Czy był planowany? Nieba — toż to było największe schrupanie drobnej zwierzyny, jakie mi się kiedykolwiek zdarzyło widzieć, od czasu jak jestem na Wall Street.

— I to Watermana dzieło?

— W spółce z trustem naftowym. Polowali wówczas na młodego Stewarta. Widzi pan — on nalał im sadła za skórę w Montanie tak, że musieli zapłacić mu dziesięć miljonów dolarów. Był jednak na tyle nierozsądnym, że przyjechał do Nowego Yorku i nabył kilka banków; a teraz oni są w posiadaniu jego banków, a i wielką część jego dziesięciu milionów też zagarnęli.

— Ależ to wprost już zimnej krwi brak człowiekowi! — rzekł Montague.

— Zachowaj pan zimną krew, będzie jej pan potrzebował dzisiejszej nocy, zauważył sucho Bates.

Montague siedział przez chwilę pogrążony w myślach.

— Mówiliśmy pierwej o Pricie, szepnął. Czy tu chodzi o Johna Price'a?

— Znam tylko jednego Price'a — była odpowiedź

— I nie wierzy pan, że on i Waterman, to śmiertelni nieprzyjaciele?

— Jestem przekonany, że Price w każdem wielkiem przedsiębiorstwie występuje tylko jako agent Watermana.

— Czyż nie jest on jednak właścicielem Tow. »Stal« w Mississippi?

— Jest tylko podstawionym właścicielem, zamiast Watermana.

— Przecież to niemożliwe! wszak Waterman jest zaangażowany w truście stalowym, który jest głównym konkurentem Tow. »Stal«.

— To tylko pozory, rzekł tamten. Jest to zwyczajny »trick«, majacy na celu wprowadzenie w błąd publiczności. Od czterech lat, t. j. od czasu, gdy Price spowodował spadek akcji »Stali« i nabył je dla Watermana, nie było rzeczywistej konkurencji między temi dwoma przedsiębiorstwami.

Montague patrzył na przyjaciela, niemy ze zdumienia.

— Mr. Bates, rzekł wreszcie. Byłem przypadkiem w ostatnich czasach w ścisłym związku z Pricem i Tow. »Stal« w Mississippi, i wiem z całą pewnością, że to, co pan mówi nie odpowiada faktycznemu stanowi rzeczy.

— Trudno odpowiedzieć coś na tak stanowcze twierdzenie, odrzekł Bates. Musiałbym oczywiście znać fakta. Ale fakta te musiałyby być bardzo przekonywujące, by uczynić wrażenie na mnie, który

śledziłem tę sprawę od początku do końca bardzo starannie. Opowiedziano mi ją wprost ze źródła i jestem w posiadaniu wszystkich jej szczegółów. Przyparłem Price'a do muru w jego własnem biurze; szkoda tylko, że moja redakcja nie chciała drukować tego wszystkiego.

Upłynęła spora chwila, zanim Montague przemówił znowu. Szukał w własnych swych myślach znaczenia słów Batesa.

— Wszak Price zwalczał Watermana — szepnął. Cała jego klika zwalczała go! To było celem wszystkich ich kroków, które inaczej nie miałyby sensu.

— Czyś pan tego zupełnie pewien? — zapytał dziennikarz. Niech się pan jeszcze raz nad tem zastanowi. A gdyby oni tylko udawali, że występują przeciwko Watermanowi?

Znowu powstało milczenie.

—Niech pan zapamięta, dodał Bates, że mówię tylko o samym Price'ie. Nie wiem nic o innych ludziach, którzy z nim szli ręka w rękę. Może oszukiwał ich... może starał się wciągnąć ich w jakąś zasadzkę...

I nagle Montague chwycił się kurczowo poręczy swego krzesła. Siedział patrząc przed siebie, oniemiały pod wpływem nagłej myśli, którą obudziły w nim słowa reportera.

— Mój Boże! — szepnął i bezwiednie powtórzył kilka razy:

— Mój Boże!...

Wszystko teraz roztaczało się przed nim zrozumiałe i jasne. Price oszukiwał Rydera! Wciągnął go w to przedsiębiorstwo kolei Północnych w Mississippi; zmusił go do zaciągnięcia pożyczki na zastaw akcji Tow. »Stal« w Mississippi obiecując może podtrzymywać te papiery na giełdzie, a zamiast tego przyczyniając się do ich spadku! Teraz może z Ryderem zrobić, co zechce — zmiażdżyć go — i za co? za co?

Montague nie mógł znaleźć wyjścia z tego labiryntu myśli. Stanął nagle jakby nad bezdenną przepaścią, przed którą wzdragała się cała jego istota. Nie mógł pogodzić się z straszną myślą, która jak błyskawica mu mózg przeszyła. Waterman! Tak to dzieło Watermana! To jego plan piekielny — jego zemsta! Przez cały ten czas przemyśliwał nad nią, na wszystkie strony otoczył Rydera sieciami.

Myśl ta wydawała się tak dziką i tak nieprawdopodobnie potworną, że Montague starał się odtrącić ją od siebie uparcie, mimo że znowu i znowu musiał do niej mimowoli powracać. Nie, nie, to niemożliwe!

Ale z drugiej strony — dlaczegożby nie? Zawsze był przekonany o tem, że ów detektyw nasłany był na niego przez Watermana. Stary bogacz od chwili, gdy pierwszy raz ujrzał Lucję, postanowił dowiedzieć się o jej sprawach finansowych. A potem nagle Montague przypomniał sobie przebłysk szatańskiej wściekłości na twarzy starca, gdy widział go w pamiętny ów dzień na pokładzie »Brunhildy«. »Będzie pan słyszał jeszcze o mnie«,

rzekł był wówczas Waterman; a potem nastąpiły całe miesiące złowróżbnego milczenia — i teraz nagle — ta wieść okropna.

Dlaczego nie? powtórnie zapytał się Montague. Cóż on zresztą wiedział tak pewnego o Tow. »Stal« w Mississippi, coby mogło być dlań dowodem, że Towarzystwo to rzeczywiście współzawodniczy z Trustem stalowym? Czyż choćby słyszał kiedykolwiek o jego stanie finansowym, oprócz tego, co opowiadał mu Ryder, a czyż Ryder nie powtarzał poprostu tego, co mu zakomunikował Price?

W tym nawale myśli, Montague w zupełności zapomniał o chwili obecnej. Sznurek, szarpnięty znów kilkakrotnie, wymienił jeszcze kilka nazwisk przybyłych potentatów miasta; on jednak nie zauważył tego.

— Cóż za powód mieliby, zapytał dziennikarza, w utrzymywaniu w tajemnicy faktu, że Price idzie ręka w rękę z Watermanem?

— Powód! zawołał Bates. Boże drogi, toż publiczność szaleje przeciw monopolom, a prezydent wypowiedział im wojnę otwartą! Gdyby się wydało, że Trust Stalowy pochłonął ostatniego swego większego współzawodnika, Bóg wie, co rząd gotówby uczynić!

— Rozumiem, zauważył Montague. A jak długo trwał taki stan?

— Cztery lata; a teraz czekają tylko na sposobność, by jak dziś módz przyprzeć Towarzystwo do muru, i wystąpić w roli dobrodzieja, obejmując jego zarząd.

— Rozumiem, powtórzył Montague.

— Niech pan słucha, rzekł Bates, wychylając się z okna. Do uszu ich dochodziły z pokoju obrad słabe dźwięki głębokiego głosu.

— W-a-t-e-r-m-a-n, telegrafował Rodney.

— Sądzę, że obrady już zaczęto, szepnął dziennikarz.

»Sytuacja nie do zniesienia«, mówił sznurek. »Koniec małych banków«.

— To jest równoznaczne z zgnieceniem opozycji, objaśniał Bates.

»Duval zgadza się«, ciągnął dalej Rodney.

Teraz już obaj słuchacze w górnem oknie nie posiadali się z niecierpliwości. Było męką dla nich czekać po kilka minut, by dostawać zaledwie okruchy wiadomości.

— Prędko załatwią się z temi mowami, szepnął Bates, a słowa jego wkrótce się sprawdziły.

Następne doniesienie, podane drogą sznurkowego telegrafu sprawiło, że Montague zerwał się z krzesła, i chwycił się znowu jego poręczy.

»Trust Gothama«.

— A, zawołał Bates. Montague milczał.

»Przeciwko Ryderowi«, mówił sznurek.

Bates uchwycił towarzysza za ramię, i nachylił się nad nim.

— Na Boga, szepnął bez tchu prawie, ciekawym, czy zechcą zniszczyć Trust Gothama.

»Odmawiają kredytu«, telegrafował Rodney, a Montague uczuł, że ręka reportera zadrżała na jego ramieniu.

»Nie chcą przyjmować weksli Rydera«, z trudem powtórzył za sznurkiem Bates.

Montague siedział niemy, jakby skamieniały.

»Jutro rano«, mówił telegraf.

Bates nie mógł powstrzymać swego podniecenia.

— Czy pan zdaje sobie sprawę ze znaczenia tych słów? szeptał. Ich bank odmówi kredytu Trustowi Gothama, nie będzie przyjmował jego weksli.

— Ależ w takim razie Trust upadnie! zawołał Montague.

— Mój Boże — to szaleństwo! mówił Bates. Chyba nie wiedzą, co czynią! Powstanie taka panika, jakiej jeszcze Nowy York nie widział! Runą wszystkie banki w City! Trust Gothama! — pomyśl pan tylko — Trust Gothama!

»Prentice sie sprzeciwia«, nadeszła następna wiadomość od Rodneya.

— Sprzeciwia się! zawołał Bates, uderzając się w kolano z hamowanem wzburzeniem. Naturalnie, że musi się sprzeciwiać. Jeżeli Trust Gothama upadnie, wówczas Związek Trustów Republiki nie wytrwa i dwudziestu czterech godzin.

»Obawia się«, sygnalizował sznur, »Patterson się złości«.

— Ten ma sporo do stracenia, mruknął Bates.

Montague zerwał się, i zaczął nerwowo chodzić tam i napowrót po pokoju.

— Jakie to straszne, jakie to straszne, powtórzył kilkakrotnie.

Przez wszystkie obrazy zniszczenia i cierpień, które słowa Bates'a wywołały przed jego duszą, myśli jego ulatywały ku małej, bladej i smutnej kobiecie, siedzącej samotnie w skromnem mieszkaniu na Riverside Drive. Wszystkie te nieszczęścia od niej wzięły początek; w jej to imieniu straszny ten dramat się rozgrywał. Montague miał przed oczyma zaciętego starca o sępiej twarzy, który w obecnej chwili przewodniczył obradom finansistów, i który dyktował prawa władcom Metropolji. A i tego człowieka myśli zwracały się ku Lucyi; jego myśli i Montague'a, z pomiędzy wszystkich ludzi, biorących udział w tej walce — jedyne!

»Waterman broni Prentice'a«, donosił Rodney. »Obstaje przy tem, by wyprzeć Rydera, wypowiedzieć mu kredyt«.

— Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że mogą go zgnieść jednym zamachem, jeśli zechcą. Ale nieba! co się będzie działo jutro w Nowym Yorku!

»Ward broni uprawnionych banków«, szła wieść następna.

— A to spryciarz! zaśmiał się ironicznie Bates. Przez »uprawnione banki« rozumie on te banki, które popierają jego syndykaty. Nie wiele on sam wskóra!

Ale nagle odezwał się w nim dziennikarz:

— Co za sensacja, co za sensacja! szepnął, uderzając się pięściami po kolanach.

Montague zapamiętał sobie tylko niedokładnie resztę doniesień Rodney'a — był zbyt zaabsorbowany własnemi myślami. Bates jednak w dalszym ciągu

sylabizował słowa jedno za drugiem. Nadeszło między innemi doniesienie, że generał Prentice, który był jednym z dyrektorów Trustu Gothama, miał głosować przeciwko wszystkim planom sanacji tego Towarzystwa. Montague pochwycił też zdanie:

»Paniką się przyda — przestraszy bowiem prezydenta«, i słyszał okrzyki, jakie Bates z powodu tych słów wydawał.

— Czy słyszał pan? wołał dziennikarz. To Waterman! Co za siła! jesteśmy dziś świadkami powstawania historji!

Po upływie niespełna pół godziny Montague, stojąc obok Bates'a ujrzał, jak ręka tegoż, szarpnięta silnie, drgnęła kilka razy.

— To znaczy »Wyciągaj!« krzyknął reporter. Dalej, żywo!

Pochwycił linę.

— Oprzyj się pan o nią z całej siły — wytrzyma, szepnął.

Zaczęli ciągnąć. Rodney pomagał im, chwytając się gzymsów i wyłażąc po trochę. Potem była jedna trudna chwila, podczas której Montague śledził okno z zapartym tchem. Teraz jednak ciężar już stał się mniejszym — Rodney zdołał uklęknąć na gzymsie, znajdującym się poniżej ich okna.

Po chwilce palce jego ukazały się na parapecie. Rodney podciągnął się na rękach, a Montague i Bates pochwycili go i z łatwością już wciągnęli do pokoju.

Chwiał się trochę na nogach ze zmęczenia. Była to chwila, podczas której wszyscy trzej nie śmieli prawie odetchnąć. Potem Rodney poskoczył do Bates'a, którego chwycił za barki.

— No bracie, krzyknął, przygwoździliśmy ich! przygwoździliśmy ich na dobre!

— Przygwoździliśmy ich, powtórzył Bates, śmiejąc się z wielkiej radości.

— Co za sensacja, wołał Rodney. Dawno już nie mieliśmy podobnej.

Obaj byli jak mali chłopcy, pełni uciechy. Ściskali się nawzajem, śmiali się i skakali po pokoju. Wkrótce jednak stali się znów poważnymi. Montague odkręcił kontakt i zamknął okno, a Rodney stanął na środku pokoju, cały rozpromieniony od wzruszenia, w ubraniu zupełnie pogniecionem, i zaczął opowiadać.

— Nie możecie sobie wyobrazić tej sceny, mówił. Gdy myślę o niej, teraz jeszcze włosy mi powstają na głowie. Pomyślcie tylko — byłem nie więcej jak na 20 stóp oddalony od Dana Watermana, który przez cały czas prawie zdawał się patrzeć prosto na mnie. Nie śmiałem uczynić najlżejszego poruszenia, z obawy, by nie być wykrytym; każdej chwili byłem przygotowany na to, że zerwie się z krzesła i pobiegnie do okna. On jednak siedział na swem miejscu, co chwila ciężką swą pięść na stół spuszczając, spoglądał wyzywająco na całą resztę zgromadzenia, i dyktował im prawa, jak swym podwładnym.

— Słyszałem go nieraz mówiącego, wtrącił Bates. Wiem, jakie czyni wrażenie.

— Miażdżył ich poprostu, mówił dalej Rodney. Można było słyszeć ciche tykània zegarków w kieszeniach obecnych, taka była cisza, gdy skończył. Scena w swoim rodzaju jedyna!

— Dotychczas jeszcze nie mogę dać wiary temu, co słyszałem, rzekł Bates.

— Nie mają pojęcia o skutkach swoich czynów, zauważył Montague.

— Przeciwnie, mówił Rodney, zdają oni sobie zupełnie dobrze sprawę z następstw swojego kroku, ale co ich to wszystko może obchodzić? Poczuli krew. Porównanie to jest bardzo trafne. Są oni podobni do sfory psów, które natrafiły na ślad. Trzeba było widzieć Watermana, z tą jego chudą, głodną twarzą. »Nadszedł czas«, rzekł on... »Wszyscy obecni tu wiedzą oddawna, że robota, do której obecnie przykładamy ręce, musiała być prędzej czy później dokonana. Musimy ich zgnieść, raz na zawsze«. A potem trzeba było widzieć, jak zwrócił się do Prentice'a, gdy ten odważył się na słowo protestu.

— Prentice'owi zatem nie podoba się to wszystko? zapytał Montague.

— To zupełnie naturalne! wtrącił Bates.

— Waterman mówił, że będzie go bronił, opowiadał Rodney, pod tym jednak warunkiem, że Prentice odda się całkowicie w ich ręce. Jak się okazuje, Związek trustów Republiki ma miljon dolarów gotówki w Truście Gothama, i pieniądze te mają być wycofane.

— Co za przebiegłość! szepnął Bates.

— Ale czekaj, zawołał Rodney. To jeszcze nie wszystko! Potem zaczęli mówić o sprawach politycznych. Oddałbym był jedno ramię, gdybym mógł był w tej chwili zrobić zdjęcie z Watermana — aby później móc przedstawić fotografię jego ludowi amerykańskiemu, i zapytać się go, co myśli o niej! Dawid Ward zauważył, że »trochę zamieszania w obecnej dobie wywrze wcale dodatni wpływ na ludzi«. A Waterman spuścił swą pięść na stół: »Kraj ten potrzebuje nauczki«, zawołał. »Zanadto już nadużywa się tu ludzi odpowiedzialnych, i zanadto ostrzą sobie na nich języki, tam w górze. Gdy ludzie pokosztują trochę ciężkich czasów, będą myśleli o czem innem, aniżeli o rzucaniu się na tych, którzy stanowią podstawę, dobrobyt kraju, i zdaje mi się, panowie, że w mocy naszej leży, położyć koniec tej kampanji radykalizmu!«

— Co za bezczelność tego starego djabła, oburzał się Bates.

— A potem Duval zawtórował mu ze śmiechem. »Wyrażając się krótko i węzłowato, panowie, zmiażdżymy Rydera i napędzimy strachu prezydentowi!«

— Czy konferencja już ukończona? zapytał Bates po chwili.

— Z wyjątkiem pożegnalnych uścisków dłoni, rzekł tamten. Gdy zaczęli chodzić po pokoju, nie śmiałem już stać przy oknie.

Nagle Bates zerwał się z miejsca.

— Chodź, rzekł. Nie mamy ani chwilki do stracenia. To dopiero początek naszej pracy.

Zaczął odwiązywać linę i zwijać ją. Rodney zdjął z okna koc i rozesłał go na łóżku, przykrywając kapą, by ukryć dziury, wytarte przez linę. Po zwinięciu tejże, wrzucił cały jej kłąb do walizy wraz z resztą przyrządów. Bates wziął swój kapelusz i okrycie, i już na odchodnem zwrócił się do Montague'a.

— Pan wybaczy, panie Montague, rzekł. Rozumie pan, że sprawa ta pochłonie jeszcze bardzo wiele czasu.

— Rozumiem, odrzekł Montague.

— Później kiedyś, postaramy się odwdzięczyć panu, dodał dziennikarz. Niech pan przyjdzie do redakcji, gdy numer już będzie pod prasą, a urządzimy uroczysty obchód tego wieczora.



ROZDZIAŁ XX.

Po wyjściu swych gości, Montague czekał jeszcze chwil kilka, by pozostawić im dość czasu na ulotnienie się z hotelu, potem zadzwonił na windę i gdy zjechała z góry, wszedł do niej.

Zatrzymała się na niższem piętrze i Montague aż drgnął ze wzruszenia, gdy drzwi się otwarły i do windy weszła grupka ludzi, pomiędzy którymi rozróżnił Duvala, Warda i generała Prentice'a. Usunął się poza chłopca, obsługującego windę, by nie być przez nikogo zauważonym.

Błyskawiczne spojrzenie, rzucone ukradkiem na generała Prentice'a, wystarczyło mu do stwierdzenia, że twarz tegoż jest śmiertelnie bladą. Generał nie przemówiwszy ani słowa do reszty towarzystwa wyszedł na dole na kurytarz. Montague zawahał się przez chwilkę, potem z nagłem postanowieniem udał się za nim. Gdy generał wychodził już z bramy hotelu, przystąpił do niego.

— Dobry wieczór, generale, rzekł. Starzec zwrócił się ku niemu, i spojrzał nań nawpół nieprzytomnemi oczyma.

— A, Montague, rzekł wreszcie zdumiony. Jak się masz?

— Bardzo dobrze, odrzekł Allan.

Na ulicy wśród długiego szeregu automobilów, poznał piękny, nowy samochód generała.

— Dokąd pan jedzie? zapytał.

— Do domu, brzmiała odpowiedź.

— Pojadę z panem, jeżeli pan pozwoli, mam panu coś do powiedzenia.

— Dobrze, zgodził się generał. Nie mógł zresztą odmówić, gdyż Montague ujął go był pod ramię, i szedł z nim w stronę automobilu; nie miał widać zamiaru dać się odprawić.

Pomógł generałowi wsiąść, potem wsiadł sam i zamknął drzwiczki za sobą. Prentice ciągle patrzył przed siebie nieruchomie, nie widząc, co się dzieje naokoło niego.

Montague obserwował go przez chwilę. Potem nagle nachylił się nad nim i rzekł bez wszelkiego przygotowania.

— Generale, dlaczego dałeś im się namówić?

— Co mówisz? wybełkotał generał.

— Pytam, powtórzył Montague, dlaczego się pan pozwolił namówić tym ludziom?

Tamten wytrzeszczył na niego oczy z wyrazem bezgranicznego przerażenia.

— Wiem o wszystkiem, rzekł Montague. Wiem co uradzono na tej konferencji.

— Jakto?... co?... Generał ciągle jeszcze nie rozumniał o co chodzi.

— Wiem, jakie przyrzeczenie kazali panu złożyć tamci. Chcą doprowadzić do upadku Trust Gothama.

Generał zrazu oniemiał ze zdumienia.

— Jakże?... krzyknął po chwili. Jakim sposobem?... Kto ci powiedział?... Jak mogłeś?...

Montague poczekał, aż generał odzyska panowanie nad sobą.

— Jam temu nie winien, wybuchnął wreszcie tenże. Co ja mogę na to poradzić?

— Może im się pan sprzeciwić, i odmówić współudziału w ich grze przewrotnej, rzekł Montague.

— A czyż nie myślisz że oni i tak dopięliby swych zamiarów? A jak długo zdołałbym się utrzymać, gdybym im się oparł?

— Niech pan się jednak zastanowi nad tem wszystkiem! Niech pan zrozumie, że to powszechna ruina! Wszyscy pokrzywdzeni zwrócą się przeciwko panu! — A opinia publiczna!

— Wiem, wiem, krzyczał generał w rozpaczy. Nie myśl, że nie zdaję sobie sprawy z tego wszystkiego — nie myśl, że nie walczyłem! Ale jestem wobec nich bezbronnym, — zupełnie bezbronnym.

Zwrócił się do Montague'a, i drżącą ręką ujął jego dłoń.

— Nigdy nie myślałem, że dożyję takiej chwili, zawołał. Odczuwać pogardę dla siebie samego — być narażonym na pogardę całego świata! Być oplwanym i znieważonym, zdanym na języki ludzkie, wleczonym przez błoto!

Staruszek umilkł, zdławiony wzruszeniem.

— Spójrz na mnie! krzyknął z nagłą gwałtownością. Spójrz na mnie! Tobie się zdaje, że jestem mężczyzną, osobą wpływową w mieście, głową poważnej instytucji finansowej, w której pokładają zaufanie tysiące ludzi. Ale to wszystko kłamstwo! Jestem tylko lalką — manekinem — hańbą dla siebie samego, hańbą dla nazwiska, które noszę!

I nagle zakrył twarz rękoma, i pochylił głowę, by Montague nie mógł widzieć jego bólu.

Nastąpiło długie milczenie. Montague nie mógł znaleźć słów pociechy dla złamanego starca. Czuł, że sama jego obecność jest dla niego nie do zniesienia.

Wreszcie generał opanował się. Zacisnął pięści i podniósł głowę.

— Wybrałem swoją część, rzekł, muszę do końca pozostać w swej roli. Uczucia moje w tym względzie nic tu nie znaczą.

Montague milczał.

— Nie mam prawa dzielić się z tobą moją boleścią, mówił dalej generał. Nie mam nawet prawa do usprawiedliwiania się przed kimkolwiek. Dla mnie nie ma już odwrotu. Jestem człowiekiem Watermana, i wypełniam jego rozkazy.

— Jakim sposobem jednak wplątał się pan w takie położenie? zapytał Montague.

— Jeden z moich przyjaciół organizował Związek Trustów Republiki. Zaprosił mnie na godność prezydenta, miałem bowiem nazwisko, które mogło mu być użyteczne. Przyjąłem, gdyż wiedziałem, że

mogę mu zaufać. Prowadziłem interesa uczciwie, i instytucja prosperowała; aż wreszcie, przed trzema laty, inni ludzie wkupili się do zarządu. Był to okres ogólnego krachu. Powinienem był wówczas zrezygnować. Myślałem jednak o rodzinie, którą muszę wyżywić; miałem też przyjaciół zaangażowanych w przedsiębiorstwie, sprawy finansowe, których niepodobna było poruczyć komu innemu. Zostałem więc — ot i wszystko! Przekonałem się, że zostałem, by stać się manekinem, malowaną figurą. A teraz już jest za późno.

— A nie może pan teraz ustąpić? zapytał Montague.

— Teraz? powtórzył generał, teraz, w chwili najkrytyczniejszej, gdy wszyscy moi przyjaciele zależni są od mojej obecności? Wrogowie moi niczego nie pragnęliby tak gorąco, bo wówczas dopiero mogliby zwalić na mnie wszystkie swoje grzechy. Zepchnęliby mnie do jednego poziomu z Stewartem i Ryderem.

— Rozumiem, rzekł cicho Montague.

— A teraz nadeszła chwila stanowcza, i poznałem prawdziwego swego pana. Co on mi każe — muszę czynić. I nawet gróźb nie potrzeba — rozumiem i bez nich. O mój Boże, Allanie, gdybym ci opowiedział niektóre rzeczy, które widziałem w tem mieście — gdybym ci opowiedział, jak gromadzi się hańbę na głowy ludzi, których zmusza się wprost do spełniania czynów niegodnych, niskich, zbrodniczych! I to ludzi, którzy uchodzą za najzacniejszych w mieście — ludzi, którzy posiwieli w służbie pu-

blicznej! To zbyt brutalne, zbyt potworne, by się dało opisać!

Nastąpiło długie milczenie.

— I nic pan uczynić nie może? zapytał Montague.

— Nic.

— Powiedz mi, generale, czy instytucja pańska spoczywa na zdrowych podstawach?

— Na zupełnie zdrowych.

— I nie uczyniłeś pan nic karygodnego?

— Nigdy.

— W takim razie — dlaczego się pan obawia Watermana?

— Dlaczego? zawołał generał. Dlatego, że jestem odpowiedzialny za 80% depozytów, a posiadam tylko 5% funduszu rezerwowego.

— Rozumiem, rzekł znów Montague.

— Muszę wybierać między Stanleyem, Ryderem a sobą samym i — Stanley Ryder będzie musiał stoczyć swą walkę bez mojej pomocy.

Nic już więcej nie mówili z sobą. Każdy z nich siedział pogrążony w własnych myślach, a jedynym odgłosem był szum samochodu, pędzącego w górę ulicą Broadway.

Montague przemyśliwał nad jakimś sposobem ratowania sytuacji. Usadowił się tak w automobilu, by móc widzieć liczby latarń ulicznych*), przesuwa-

---

*) Latarnie uliczne, stojące na rogach, oznaczają liczby ulic które są zarazem ich nazwami. A więc: ulica pierwsza, druga itd. (Przyp. tłum.)

jących się obok; przy ostatniej dotknął z lekka generała.

— Wysiądę na następnym rogu, rzekł.

Generał dał sygnał szoferowi, i automobil zatrzymał się na skręcie. Montague wysiadł.

— Dobranoc, generale, rzekł.

— Dobranoc, niepewnym głosem odrzekł generał, nie biorąc podanej mu przez młodego adwokata ręki. Allan zamknął drzwiczki od samochodu, który natychmiast oddalił się pędem.

Allan przeszedł przez ulicę, udał się na Riverside Drive, i zadzwonił do bramy domu, w którym mieszkała Lucya.

— Czy pani Taylor w domu? zapytał odźwiernego.

— Zobaczę, rzekł tenże. Montague wymienił swe nazwisko i dodał:

— Proszę powiedzieć, że przychodzę w sprawie bardzo ważnej.

Lucy wyszła naprzeciw niego sama, w stroju wieczorowym.

Jedno spojrzenie na jego zmienioną twarz wystarczyło jej, by zrozumieć, że przynosi złe wiadomości.

— Co się stało Allanie? krzyknęła.

Powiesił kapelusz i okrycie, i wszedł do salonu.

— Co się stało? powtórzyła raz jeszcze.

— Lucy, czy wiesz, gdzie się znajduje Stanley Ryder?

— Wiem, odrzekła, i prędko dodała:

— O, widzę, że się coś stało strasznego.

— Zgadłaś, rzekł Allan. Muszę się z nim widzieć natychmiast.

Patrzyła na niego przez chwilę z wahaniem, potem niepokój zwyciężył wszelkie skrupuły.

— Jest w drugim pokoju, wyrzekła, i podbiegłszy do drzwi zawołała:

— Chodź prędko!

Ryder w tej chwili ukazał się na progu.

Montague widział, że był bardzo bladym; w jego twarzy nie pozostało nic z dawnej, arystokratycznej pogody i pewności siebie.

— Panie Ryder, zaczął Montague. Właśnie wszedłem w posiadanie pewnych szczegółów, które pana w pierwszym rzędzie i bardzo ściśle dotyczą. Zdawało mi się, że powinienem je panu zakomunikować. Jutro rano odbędzie się konferencja dyrektorów, na której zapadnie uchwała, że bank, który eskontuje weksle Trustu Gothama, ma nadal wszystkie weksle tej instytucji odrzucać.

Ryder drgnął, jakby pod wpływem nagłego fizycznego bolu; jego twarz stała się ziemisto-szarą. W pokoju rozległ się tylko słaby okrzyk przerażonej Lucyi.

— Moje informacje są zupełnie pewne, mówił dalej Montague. Postanowiono zgubić pańską instytucję.

Ryder oparł się o krzesło, by nie upaść.

— Kto? kto? wyjąknął.

— Duval i Waterman.

— Dan Waterman! Słowa te wyszły z ust Lucji.

Montague zwrócił się do niej, i ujrzał przestrach w jej szeroko otwartych oczach.

— Tak, Lucy, rzekł z naciskiem.

Załkała jakoś dziwnie, zdławionym szlochem, a potem nagle wybuchnęła głośnym krzykiem.

— Powiedz — co takiego! Nie rozumiem tego wszystkiego — co to znaczy?

— To znaczy, że jestem zrujnowany, powiedział Ryder.

— Zrujnowany? powtórzyła.

— Najzupełniej. Schwytali mnie. Wiedziałem od dawna, że mnie ścigają, ale nie myślałem, że się odważą na krok stanowczy.

Zakończył wściekłem przekleństwem; Montague jednak nie spuszczał z oka Lucyi. Jej to ból leżał mu na sercu

I słyszał, jak wargi jej szeptały bezwiednie:

— To z mego powodu... z mego powodu!

— Lucy! zaczął. Ona jednak porywczo podniosła dłoń i rzuciła się ku niemu

— Cicho! on nie wie o niczem, starała się mówić z naciskiem, z trudem chwytając powietrze. Nie powiedziałam mu o niczem.

A potem znowu zwróciła się do Rydera.

— Wszak musi być jakiś sposób wyjścia, krzyknęła z rozpaczą. Z pewnością...

Ryder osunął się na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

— Ruina! zawołał. Zupełna ruina! Nie pozostanie mi ani jeden dolar.

— Nie, nie, wołała Lucya, to być nie może! objęła dłońmi czoło, starając się skupić myśli. Trzeba temu zapobiedz! Pójdę do niego i będę się starała go przebłagać.

— Nie czyń tego, Lucy, prosił Montague, zbliżając się do niej.

Ona jednak znowu porwała się, nieprzytomna prawie z trwogi.

— Ani słowa! syknęła z jakąś dziką zaciętością. Ani słowa!

I pobiegła do drugiego pokoju, z którego wyszła po chwileczce w kapeluszu i płaszczu.

— Allanie, prosiła, każ mi zawołać dorożkę

Starał się jeszczę ją powstrzymać, nie słuchała go jednak.

— Możesz pojechać ze mą, rzekła, a po drodze będziesz mówił. Sprowadź mi dorożkę! Proszę cię — oszczędź mi przynajmniej tego kłopotu!

Dał odpowiednie rozporządzenie, a tymczasem Lucya, stojąc na środku pokoju, załamywała ręce nerwowo.

— A teraz Allanie, zejdź na dół, rzekła, i zaczekaj tam na mnie.

Montague rzucił jeszcze ostatnie spojrzenie na złamaną postać Rydera, wziął kapelusz i okrycie i posłuszny opuścił mieszkanie.

Długi czas chodził tam i napowrót po przedsionku. Skoro tylko przybyła dorożka, ujrzał scho-

dzącą ze schodów Lucyę, zasłoniętą gęstym welonem. Udała się wprost do pojazdu, do którego wskoczyła, a za nią wszedł Montague. Rzuciła woźnicy adres wielkiego marmurowego pałacu Watermana, położonego w pobliżu parku, i dorożka potoczyła się szybko.

W czasie jazdy Lucya zwróciła się do Montague'a, mówiąc prędko i dobitnie:

— Wiem, co chcesz powiedzieć, ale na Boga, oszczędź mnie i sobie tej przykrości. Boli mnie, że musiałeś się dowiedzieć o tem wszystkiem — Bóg widzi, że nie moja w tem wina. Teraz to wszystko już się stało i odstać się nie może. Nie ma innego wyjścia z tej sytuacji. Muszę udać się do niego, i starać się uratować Rydera.

— Lucy, zaczął Montague, posłuchaj mnie...

— Nie chcę cię słuchać, krzyknęła porywczo, prawie histerycznie. Nie mogę słuchać żadnych argumentów. Już i tak to wszystko jest ponad moje siły.

— Pomyśl jednak o praktycznej stronie swego kroku, zawołał Allan. Czyż sądzisz, że potrafisz zatrzymać w biegu tę olbrzymią machinę, którą Waterman w ruch wprawił?

— Nie wiem, nie wiem, mówiła, powstrzymując łkanie. Mogę tylko to czynić, co leży w mojej mocy. Jeżeli posiada on w sercu choć odrobinę uczucia ludzkiego — upadnę przed nim na kolana, będę go błagała...

— Ależ Lucy, pomyśl, co czynisz. Udajesz się do jego domu w nocy! zdajesz się na jego łaskę i niełaskę.

— Nie dbam o to Allanie, — nie lękam się go. Dość już myślałam o sobie. Czas, bym teraz pomyślała o człowieku, którego kocham.

Montague przez chwilę nie odpowiadał.

— Lucy, rzekł wreszcie, ty nigdy, w żadnej okoliczności nie myślisz o sobie, a zawsze masz na oku jego tylko dobro.

— Przeciwnie, zawołała gwałtownie. Przez cały ten czas wiedziałam dobrze, że Waterman śledzi mnie. Myśl o tem prześladowała mnie w dzień i w nocy — we wszystkich niepowodzeniach, które nas ostatnimi czasy dotknęły, przeczuwałam jego robotę. I nigdy, nigdy, nie wspomniałam Ryderowi o grożącem mu niebezpieczeństwie.

— Ależ to było tylko dobrodziejstwem dla niego — zaczął Allan.

— O nie, mówiła Lucya, czepiając się drżącemi rękoma jego płaszcza. Widzisz, widzisz, ty nawet nie możesz pojąć, że jestem zdolna do czegoś podobnego! Zachowywałam tę straszną tajemnicę — bo się obawiałam!

— Obawiałaś się?

— Obawiałam się, że Ryder mnie opuści! Obawiałam się, że odwróci się odemnie! A kocham go tak bardzo! — A teraz dowiedziałeś się, mówiła dalej z pospiechem, jakiego rodzaju kobietą byłam! I jeszcze jestem na tyle bezwstydna, by ci o tem wszystkiem opowiadać. Czy po tej hańbie jestem jeszcze wogóle zdolną do odczuwania wstydu? Czy istnieje coś, coby mnie mogło jeszcze bardziej poniżyć? i cóż

innego mi pozostaje, jak udać się do Watermana, i naprawić to, co zawiniłam?

Montague nie znalazł słów w odpowiedzi na ten bezmiar męki poniżenia i skruchy.

— Rozumiesz teraz, szepnęła.

— Lucy, zaczął z prośbą w głosie.

Ona jednak pochwyciła jego rękę.

— Allanie, mówiła cicho, wiem, że uważasz za swój obowiązek powstrzymać mnie i odwieść od mego przedsięwzięcia. Ale napróżno to czynisz, moje postanowienie jest niezłomne! Nie mogę słuchać prośb twoich, które utrudniają mi jeszcze bardziej zadanie. Obrałam drogę, z której nic na świecie zwrócić mnie nie zdoła. Dlatego pragnę, byś odszedł i pozostawił mnie mojemu losowi. Chcę, żebyś odszedł zaraz — w tej chwili! Nie lękam się Watermana; nie lękam się niczego, co on mi uczynić może. Lękam się tylko ciebie, i tego, że z mojej winy jesteś nieszczęśliwym. Pozostaw mnie fali, która mnie unosi! Chcę, abyś przestał myśleć o mnie!

— To niemożliwe, Lucy, rzekł.

Sięgnęła ręką, pociągnęła za sznur sygnałowy, i dorożka stanęła.

— Chcę, byś odszedł, Allanie, krzyknęła gwałtownie. Proszę cię, wyjdź i zostaw mnie samą.

Chciał znowu zaprotestować, ale ona w szalonem wzruszeniu odtrąciła go.

— Idź, idź! krzyczała tak długo, aż Allan oszołomiony, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, ustąpił przed jej gwałtownością i opuścił dorożkę.

— Jazda, rzuciła ostro woźnicy, zatrzaskując równocześnie drzwiczki; a Montague znalazł się sam wśród jednej z aleji parku. Latarnie oddalającej się dorożki świeciły coraz słabiej, wreszcie zamigotały po raz ostatni, i zniknęły za zakrętem ulicy.



ROZDZIAŁ XXI.

Montague bezwiednie zaczął iść przed siebie. Nie miał żadnego celu, nie wiedział też dokąd dąży. Myśli jego skręciły się w jeden kłąb szalony, nieczuły na żadne wrażenia zewnętrzne. Spędził na tej wędrówce po parku i po ulicach miasta prawdopodobnie parę godzin, i gdy wreszcie przystanął i rozejrzał się, znalazł się na oświetlonym placu, a duży zegar, umieszczony ponad sklepem jakiegoś jubilera wskazywał godzinę drugą.

Spojrzał dokoła, by zorjentować się w okolicy. Tuż naprzeciw, po przeciwnej stronie ulicy stał wysoki gmach, który rozpoznał jako budynek »Expressu«, i w tej chwili przemknęła mu przez głowę myśl o Batesie. »Niech pan przyjdzie, gdy numer będzie pod prasą«, rzekł był dziennikarz.

Udał się do gmachu, i w przedsionku wszedł do windy.

— Chciałbym się zobaczyć z panem Batesem, rzekł.

— Biuro »City«, objaśnił chłopiec, obsługujący windę, jedenaste piętro.

Otworzywszy wskazane drzwi, Montague stanął naprzeciw bardzo zachmurzonego i spiąco wyglądającego chłopaka.

— Czy pan Bates jest w redakcji?

— Czy ja wiem, rzekł opryskliwie chłopiec, spuszczając się powoli ze stołu, na którym dotychczas siedział. Montague podał mu bilet, z którym wyrostek zniknął za przyległemi drzwiami.

— Tędy droga, rzekł, gdy ukazał się znowu na progu, i Montague znalazł się w olbrzymim pokoju, zastawionym biurkami i krzesłami. Panowało tu okropne zamieszanie, a podłogi nie było wcale widać z pod stosów rozmaitych gazet.

Montague zauważył, że w pokoju znajdowało się tylko około 10 ludzi, którzy już zabierali się do wyjścia.

— Tam jest pan Bates, po drugiej stronie pokoju, rzekł chłopiec.

Montague spojrzał we wskazanym kierunku i zobaczył Batesa, który siedział z głową opartą o ramię.

— Zmęczony, pomyślał Montague, i przystąpiwszy do niego, pociągnął go za rękaw, mówiąc:

— Hallo, Bates!

— Gdy jednak dziennikarz podniósł głowę, Montague cofnął się zdumiony.

— Co się stało? zawołał.

Upłynęło sporo czasu, zanim Bates odpowiedział. Głos jego był ochrypły.

— Nie przyjęli! szepnął.

— Co! zdziwił się Montague.

— Nie przyjęli, powtórzył Bates, uderzając z pasją w stół. Wyrzucili mi wszystko, zmarnowali całą moją robotę!

— Niech pan spojrzy! dodał po chwili, podsuwając Montague'owi podwójną szpaltę korekty dziennika, z olbrzymim tytułem: »Zamierzone obalenie Trustu Gothama«. W poprzek szpalt nakreślone były niebieskim ołówkiem słowa: »Wyrzucone z rozkazu zarządu«.

Montague nie mógł zrazu znaleźć słow odpowiedzi. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

— Jakże to się stało? zapytał.

— Nie ma o czem mówić! poprostu nie chcieli umieścić, odrzucili!

— Dlaczego nie udał się pan z tem do innej redakcji?

— Było już za późno. Łajdaki — nie uwiadomili mnie nawet! I Bates wyraził swoją wściekłość szeregiem przekleństw.

A potem opowiedział Montague'owi historję swego artykułu.

— Przyszedłem do redakcji o wpół do jedenastej, mówił, i zaraz udałem się z mojemi wiadomościami do naczelnego redaktora. Był niezmiernie uradowany i zachwycony, i kazał mi zabrać się do roboty: pierwsza kolumna, tyle a tyle szpalt, i t. d. Wzięliśmy się więc do pisania, Rodney i ja. On referował samą konferencję, a ja dorobiłem do tego cały sos i ozdoby. Ach Boże, co to był za artykuł! Redaktor go przeczytał i puścił do zecerni. A potem, jakoś godzinę temu, a może i dwie, gdy już formy

stały gotowe, i korektę odbito, wchodzi stary Hodges — wie pan, jest on jednym z współwłaścicieli — i zaczyna węszyć po redakcji. »A to co?« krzyczy, widząc mój artykuł i zaczyna go czytać. A potem udał się do naczelnego redaktora. Omal że nie doszło do bitki pomiędzy nimi z powodu tego. »Żadne pismo, którego ja jestem współwłaścicielem, nie umieści tego rodzaju artykułu«, powiedział Hodges i naczelny redaktor, choć grozi podaniem się do dymisji, nie może mu się sprzeciwić. Ja z mojej strony dowiedziałem się o tem wszystkiem dopiero wtedy, gdy dostałem odbitkę, ale wówczas już numer oddano pod prasę.

— A cóż jest, twojem zdaniem, powodem tego? zapytał Montague zdumiony.

— Powód? powtórzył Bates. Powodem jest sam Hodges, który jest tchórzem. »Jeżeli opublikujemy ten artykuł, rzekł on, wówczas konferencja dyrektorów banków, o której w nim mowa, nigdy nie nastąpi, a na nas spadnie odpowiedzialność za podkopanie Trustu »Gothama«. Ale to wszystko nie prawda i Hodges wie o tem. Gdyby kiedykolwiek przyszło do otwartej walki, mogliśmy dostarczyć dowodów na to, że posiedzenie w hotelu się odbyło

— Zdaje mi się rzeczywiście, że byliście pod tym względem najzupełniej kryci, rzekł Montague.

— Kryci?! Mieliśmy w rękach największą sensację, jaką kiedykolwiek dziennik jaki rozporządzał — gdyby tylko »Express« był dziennikiem! Ale Hodges nie jest wydawcą gazety — jest tylko wiernym sługą swych panów — kimkolwiek oni są.

Wiedziałem, że jego wstąpienie do »Expressu« nie oznacza nic dobrego. Był on dawniej naczelnym redaktorem »Gazety«, wie pan, i zrobił majątek na sprzedaży tego dziennika, którego wiadomości finansowe do dziś dnia redagowane są w biurach bankierów Wymana, co mogę każdemu, kto ciekaw tych rzeczy, udowodnić. Na takie to przyjemności jest się narażonym; a wobec tego — jaki cel w zbieraniu wiadomości?

I Bates wstał z przekleństwem na ustach, odtrąciwszy nogą krzesło.

— Chodź pan stąd, rzekł. Nie wiem, czy tu jeszcze kiedy wrócę.

Montague przez godzinę towarzyszył Batesowi w jego wędrówce po mieście, słuchając jego wywodów o pismach codziennych Metropolji. Potem wyczerpany zupełnie, wrócił do domu, nie udał się wszakże na spoczynek. Siedząc przy biurku, przez parę godzin rozmyślał nad wypadkami dnia ubiegłego, a w umyśle jego powstawały obrazy ruiny i zniszczenia. Położył się wreszcie, nie zdołał jednak zasnąć, gdy już nowy dzień przez zapuszczone rolety zaczął wdzierać się do pokoju.

O ósmej godzinie był już znowu ubrany, przy telefonie i kazał się połączyć z mieszkaniem Lucyi.

— Chciałbym pomówić z panią Taylor, rzekł.

— Nie ma jej w domu, była odpowiedź gospodyni.

— Proszę w takim razie zawołać służącą do telefonu.

— Tu Montague, rzekł usłyszawszy znajomy mu głos pokojówki. Gdzie jest pani Taylor?

— Nie wróciła jeszcze do domu, proszę pana, odpowiedziała dziewczyna.

Montague miał tego dnia zajęcie, którego nie mógł odłożyć. Wykąpał się więc i ogolił, i po śniadaniu udał się do swego biura. Mimo wczesnej pory dzielnicę finansową miasta zalegały tłumy, nowe wieści bowiem zaczęły już szybko szerzyć się wśród ludności. O Truście Gothama jeszcze nie mówiono. Gdy jednak opuścił gmach sądowy w czasie lunchu, kolporterzy po ulicach obwoływali najświeższe wiadomości, zapowiadające zamierzoną akcję dyrektorów banków. Lucya zatem nic nie wskórała swoją prośbą — cios został wymierzony.

Na giełdzie w tym dniu panowała niemal panika, a obawa i niepokój widoczne na twarzach ludzi, tłoczących się w sąsiedztwie większych banków i giełdy, przykre robiły wrażenie. Rozpraw sądowych jednak nie przerywano, mimo, że zagrożonym był trust Gothama, a Montague miał zastępstwo w pewnej ważnej sprawie. Wyszedł więc na miasto dopiero późno popołudniu, i chociaż o tej porze banki były już pozamykane, widział tłumy nieprzejrzane przed gmachami niektórych wielkich związków trustowych, a pisma wieczorne donosiły o rozpoczęciu runu na Trust Gothama.

W biurze swem zastał telegram od swego brata Oliwera, bawiącego jeszcze w górach Adirondackich.

Depesza opiewała: »Pieniądze w Związku Trustów Republiki. Donieś w razie niebezpieczeństwa«.

Odpowiedział telegraficznie, że niebezpieczeństwa żadnego nie ma; wybrał też dla siebie odpowiedni sposób postępowania. Miał w banku Prentice'a nieco zwyż 6 tysięcy dolarów, która to suma stanowiła większą część jego własności. Prentice zapewnił go, że Związek Trustów Republiki spoczywa na zdrowych podstawach, i Allan wierzył mu. Postanowił, że cokolwiek się stanie, nie będzie należał do bezmyślnej trzody, lecącej na oślep w ogień.

Spożył spokojnie obiad w domu w towarzystwie matki, a następnie udał się powtórnie do mieszkania Lucyi, myśl bowiem o niej prześladowała go nieustannie i nie dawała mu spokoju. W wieczornych pismach przeczytał był wiadomość o ustąpieniu Stanleya Rydera z godności prezydenta Trustu Gothama.

— Czy pani Taylor w domu? zapytał podając swe nazwisko?

— Pani Taylor prosi, by pan był łaskaw poczekać, odpowiedziała służąca. Montague usiadł więc w salonie, a po kilku minutach chłopiec mały, używany do drobnych posług, wręczył mu bilet.

Po otwarciu go, Allan przeczytał następujące słowa, nakreślone drżącą ręką:

»Kochany Allanie, jest to dowód wielkiej twej dobroci, że chcesz mi jeszcze pomagać, ale ja tego znieść nie mogę. Proszę cię, odejdź, nie chcę, byś myślał o mnie — Lucy«.

Montague czytał między tymi wierszami boleść i rozpacz straszną. Nie było jednak sposobu zaradzenia złemu. Udał się na Broadway i poszedł ku miastu.

Czuł, że musi z kimś rozmawiać, by ulżyć ciężaru, przytłaczającego mu myśli. Przypomniał sobie majora i wstąpił do klubu. Burza jednak, panująca w mieście, wymiotła stamtąd nawet tego zacnego obywatela. Wychodził właśnie, by uczestniczyć w jakiejś konferencji, i miał tylko tyle czasu, by uścisnąć dłoń Montagueowi i powiedzieć mu: »Baczność!«

Allan zatem pomyślał o Batesie, i udał się do redakcji »Expressu«. Znalazł Bates'a, zagłębionego w pracy, siedzącego przy stole w kamizelce tylko, ze stosami papieru naokoło siebie.

— Zawsze mam czas na pogawędkę, rzekł, gdy Montague chciał odejść.

— Widzę, że przecież powróciłeś pan, zauważył Allan.

— Jestem jak stary koń w kieracie, odrzekł Bates. Co mam robić?

Oparł się o poręcz krzesła, zakładając wielkie palce obu rąk w otwory rękawów kamizelki.

— Cóż, rzekł, dokazali swego.

— Tak, to prawda.

— I jeszcze nie są zadowoleni, zawołał dziennikarz. Są znowu na świeżym tropie, zwietrzyli nową zwierzynę.

— Co!? zdumiał się Montague.

— Posłuchaj pan, rzekł Bates. Udałem się do Dawida Warda, by pomówić z nim w sprawie ko-

mitetu owego banku, który ma przestać przyjmować weksle Rydera. Był ze mną Gary, reporter z »Despatch'u.« Ward, jak zwykle, mówił pół godziny; opowiadał nam o szlachetnych wysiłkach bankierów celem powstrzymania klęski, opowiadał o tem, że Związek Trustów Republiki jest w niebezpieczeństwie, i że postanowiono wdrożyć akcję ratunkową dla postawienia go na nogi. A przecież wiadomo panu, że nie było najmniejszego powodu do obaw co do Związku Trustów. »Czy mamy to wydrukować?« zapytał Gary. »Oczywiście«, odrzekł Ward. »Ale to narobi bigosu«, zauważył znowu Gary. »To jest zupełnie w porządku«, odpowiedział Ward. »Jest to faktem, zatem niech pan drukuje«. A teraz — co pan myśli o tem?

Montague siedział sztywny.

— Myślałem, że obiecali bronić Prentice'a, zawołał.

— Tak, odrzekł Bates ponuro, a teraz gubią go.

— Czy myśli pan, że Waterman wie o tem?

— Ma się rozumieć; Ward przecie nie jest niczem innem, jak jednym z jego urzędników.

— A czy myśli pan, że »Despatch« wydrukuje to wszystko?

— Nie wiem, dlaczego nie miałby tego uczynić. Zapytałem Gary'ego, czy zamierza puścić te wiadomości do numeru, a on rzekł: »Tak«. »Spowoduje to nową panikę«, zauważyłem, a on na to: »Paniki — to wiadomości«

Montague przez chwilę siedział milcząc, wreszcie rzekł:

— Mam dostateczne powody, by wierzyć, że Związek Trustów Republiki spoczywa na zupełnie pewnych podstawach.

— Nie wątpię o tem.

— W takim razie — dlaczego... Allan przerwał zaczęte zdanie.

Bates wzruszył ramionami.

— Zapytaj pan Watermana, rzekł. Chodzi mu o załatwienie jakichś dawnych rachunków, albo chce przycisnąć kogoś do muru. A może poprostu sądzi, że upadek dwu trustów — bardziej przestraszy prezydenta, niż upadek jednego, albo może chce spowodować upadek jakichś akcji. Słyszałem, że ma siedmdziesiąt pięć miljonów zarezerwowanych w celach spekulacyjnych i nie dziwiłbym się, gdyby to było prawdą.

Nastała chwila milczenia.

— Zresztą, dodał Bates, Trust naftowy odniósł nowy tryumf! Towarzystwo dla przedsiębiorstw elektrycznych jest zachwiane, — a stanowiło ono konkurencję dla jednego z ich przedsiębiorstw! Czyż to wszystko nie zeszło się razem wspaniale?

Montague namyślał się przez chwilę.

— Wiadomości te są dosyć ważne dla mnie, rzekł. Ulokowałem trochę pieniędzy w Związku Trustów Republiki. Czy myśli pan, że pozwolą mu upaść?

— Mówiłem o tem z Rodney'em, odpowiedział Bates. Mówił, że Waterman zupełnie stanowczo

obiecał pomoc Prentice'owi. A jedną rzecz można powiedzieć o starym Danie: Mimo wszystkich swych podłości — nigdy nie łamie on słowa. Sądzę więc, że i tym razem obietnicy dotrzyma.

— Ale w takim razie, dlaczego rozpuszcza takie wiadomości, zawołał adwokat.

— Czyż pan nie rozumie, rzekł Bates. Chce mieć zasługę ratowania »Związku«.

Twarz Montague'a wydłużyła się.

— Tak!... rozumiem!...

— Wszak to tak wyraźne, jak pański nos. Historja ta pojawi się w prasie jutro rano, i każdy powie, że to kaczka dziennikarska; a potem Waterman wystąpi i wspaniałomyślnie dokona aktu wybawienia. Zupełnie jak w teatrze.

— Jest to jednak dosyć ryzykowne, rzekł Montague i dodał:

— Zamierzałem uprzedzić Prentice'a, który jest dobrym moim przyjacielem; teraz jednak doszedłem do przekonania, żeby mu się to na nic nie przydało.

— Biedny stary nie może sobie poradzić, a zawiadamiając go o tem, przysporzy mu pan najwyżej noc bezsenną.

Montague wyszedł, myśląc nad nowym szeregiem problemów. Idąc do domu, minął wspaniały budynek Trustu Gothama. Przed gmachem stał długi sznur ludzi, którzy wszyscy przygotowywali się na to by spędzić noc na ulicy. Przez całe popołudnie rozgorączkowana tłuszcza oblęgała bramy, i w przeciągu kilku godzin wycofano miljony dolarów. Montague

wiedział, że gdy będzie szedł do miasta nazajutrz, taka sama tłuszcza zbierze się przed Związkiem Trustów Republiki; postanowił jednak wytrwać w swym zamiarze. Do Oliwera natomiast wysłał telegram, ostrzegając go, by przyjeżdżał natychmiast.

Przyszedłszy do domu, zastał list od Lucy Dupree.

»Kochany Allanie, pisała, słyszałeś zapewne, że Ryder został wyparty z Trustu Gothama. Dokonałam jednak połowy mego zadania — Waterman obiecał, że po złagodzeniu kryzysu postawi go znowu na nogi. Tymczasem odprawił mnie. Będzie nawet lepiej, jeżeli sobie pójdę, przypomnisz sobie, że swego czasu sam mnie do tego namawiałeś. Ryder nie może się ze mną widzieć, gdyż reporterzy włóczą się za nim wszędzie, i na pięty mu następują.

Proszę cię bardzo, nie staraj się odnaleźć mnie. Czuję wstręt do samej siebie, i nie ujrzysz mnie już więcej. Jedną tylko rzecz możesz uczynić dla mnie: Idź do Stanleya Rydera i ofiaruj mu swą pomoc — to znaczy poradę celem uporządkowania jego interesów. Nie ma on teraz przyjaciół, a znajduje się w rozpaczliwem położeniu. Uczyń to dla mnie

Lucy«.



ROZDZIAŁ XXII.

Nazajutrz, o 8-mej rano przybył pociąg z gór Adirondackich. Montague zbudził się na odgłos dzwonka telefonu. Przy aparacie był Oliwer.

— Czy widziałeś dzisiejszy numer »Despatchu?« były pierwsze jego słowa.

— Nie widziałem go, ale wiem, co w nim jest, rzekł Montague.

— O Związku Trustów Republiki? pytał Oliwer.

— Tak, opowiedziano mi wszystko, zanim wysłałem depeszę do ciebie.

— Ależ na Boga, człowieku, krzyczał Oliwer, dlaczego w takim razie nie jesteś w mieście?

— Nie wycofuję moich pieniędzy.

— Co?

— Wierzę, że wspomniana instytucja jest uczciwą i nie chcę przyczyniać się do ostatecznej ruiny Prentice'a. Telegrafowałem ci, byś ze swej strony mógł postąpić jak zechcesz.

Oliwer nie mógł znaleźć słów odpowiedzi.

— Dziękuję ci, rzekł wreszcie. Mogłeś uczynić coś więcej, mianowicie, posłać kogoś przed gmach, by zajął za mnie miejsce w szeregu. Jesteś zupełnie niepoczytalny, ale teraz nie ma czasu mówić o tem. Do widzenia! Powiedziawszy to, oddzwonił.

Montague ubrał się i zjadł śniadanie, przerzucając równocześnie oczyma pierwszą kolumnę »Despatchu«, gdzie pomiędzy nowinami dnia znalazł hiobowe wieści, dotyczące Związku Trustów Republiki. Zainteresował go sposób, w jaki podawano te wypadki do wiadomości ogółu. Mówiono tylko to, co było koniecznem, to znaczy opowiadano fakta, o których i tak wszyscy musieli się dowiedzieć. Nigdzie jednak nie było najlżejszej wzmianki o powodach tych zajść, i nie uprzedzony czytelnik, przebiegając te notatki, mógł myśleć, że wszystkie te przewroty w świecie bankowym spadały na ludzi nieoczekiwanie, jak gromy z jasnego nieba. I codzień poświęcano więcej miejsca zapewnieniom. że nieszczęścia poprzedniego dnia były ostatniemi, że już nadal żaden piorun nie uderzy.

Udając się do biura, Montague pojechał o jedną stację dalej niż zwykle, tylko, by widzieć gmach Związku Trustów Republiki. Ujrzał tam długi sznur ludzi, sięgający aż do następnej przecznicy, a w minucie, w której przypatrywał się runowi, kilkadziesiąt nowych osób przybyło i stanęło na końcu szeregu. Patrole policyi obchodziły ulice — po upływie kilku godzin musiano zaprowadzić wydawanie czekającym numerowanych biletów.

Montague szedł wzdłuż sznura ludzi, szukając swego brata. Uszedł jednak dopiero kilkanaście kroków, gdy wydał okrzyk zdziwienia. Ujrzał krótką, grubą, siwowłosą postać, którą poznał odrazu, chociaż była do niego odwrócona tyłem.

— Major Venable! zawołał.

Major odwrócił się gwałtownie.

— Montague! krzyknął. Na Boga, przyszedłeś w sam czas, by uratować mi życie!

— Cóż mogę uczynić dla pana? zapytał Allan.

— Potrzeba mi krzesła! jęknął major, którego purpurowa twarz zdawała się bliską pęknięcia od niezwykłego wysiłku. Stoję tu już dwie godziny. Jeszcze minuta, a byłbym usiadł na chodniku.

— Skądże ja tu wezmę krzesło? zapytał Montague ubawiony, z trudem powstrzymując śmiech.

— Na Broadway są sklepy, rzekł major. Wstąp pan do którego z nich i kup! Nie chodzi mi o cenę, niech pan zapłaci, cokolwiek zażądają!

Tak więc Montague wrócił i poszedł do sklepu, gdzie na wystawie zauważył był kilka wyplatanych krzeseł. Tu mógł naśmiać się do woli, podczas gdy wyjaśniał sytuację jednemu z usłużnych sprzedających, który zrozumiawszy dokładnie o co chodzi, zażądał za krzesło 10 dolarów. Dopłaciwszy jeszcze 50 centów, Montague dostał chłopca, który miał mu zanieść krzesło, i tak w tryumfie stanął przed szanownym swym przyjacielem.

— Nigdy nie byłbym przypuszczał, że zobaczę pana kiedy w takiem położeniu, zauważył. Zdawało

mi się, że pan zawsze naprzód jest o wszystkiem powiadomiony.

— Nieba, Montague! mruknął zagadnięty, włożyłem w tę instytucję około ćwierć miljona dolarów.

— Ja sam mam tu także około czwartej części tej sumy.

— Co! krzyknął major. W takim razie, co pan uczyni?

— Zostawię pieniądze w spokoju, gdzie są, rzekł Montague. Mam zupełnie wiarygodne wiadomości, że doniesienie w »Despatch« jest blagą, i że bank jest zupełnie pewny.

— Ależ człowieku, wszak sam run go zrujnuje, a run jest więcej, niż pewny.

— Ma się rozumieć, jeżeli wszyscy zachowają się tak, jak pan. Przecież pan nie potrzebuje tej ćwierci miljona, by zapłacić za śniadanie, prawda?

Major był tak skonsternowany, że nie mógł znaleźć słowa odpowiedzi.

— Lokuje pan pieniądze w towarzystwie trustowem, mówił dalej Montague, wiedząc, że ma ono tylko 5% funduszów rezerwowych. Jakże pan w takim razie może się spodziewać, że wypłaci sto procent depozytów?

— Ja też tego wcale nie oczekuję, odpowiedział major mrukliwie, spodziewam się tylko, że moje pieniądze będą należały do tych 5%. I zmierzywszy oczyma długość szeregu przed sobą, dodał:

— Zdaje mi się, że tak rzeczywiście będzie.

Na samym przedzie szeregu Montague ujrzał swego brata, który miał już tylko kilkanaście osób

przed sobą. Widocznie niewielu depozytorów Związku Trustu przeczytało pisma przed ósmą godziną rano.

— Czy i tobie potrzeba krzesła? zapytał Montague. Właśnie przyniosłem jedno dla majora.

— I on tu jest także? zawołał Oliwer. Nieba! Nie, krzesła nie potrzebuję, sądzę, że załatwię się wcześnie. Ale Allanie, powiedz mi — co właściwie się dzieje? Czy naprawdę zostawiłeś pieniądze swe w tym banku?

— Naturalnie, odpowiedział Montague. Tu nie miejsce na roztrząsanie tego — przyjdź do mnie do biura, gdy już będziesz miał pieniądze.

— Pół minuty brakowało, a byłbym spóźnił pociąg, rzekł Oliwer. Biedny Bertie Stuyvesant wstał trochę za późno i przyjeżdża specjalnym pociągiem. Ma tu około trzykroć, a suma ta była przeznaczona na zakupno nowego yachtu.

— Zdaje mi się, że niektórzy przyszli właściciele yachtów przestaną nadal nosić się z myślą ich nabycia, zauważył Allan, odchodząc.

Popołudniu tego samego dnia opowiedziano mu, jak generał Prentice, jako jeden z dyrektorów Trustu Gothama głosował przeciwko zawieszeniu wypłat tego towarzystwa, a potem jako prezydent Związku Trustów Republiki posłał Trustowi Gothama do eskontowania czek na miljon dolarów. Żadne pismo nie zamieściło tej wiadomości, którą tylko podawano sobie z ust do ust, i która wkrótce stała się w całym Nowym Yorku tematem żartów. Mówiono, że ten akt zdrady właśnie odjął odwagę

dyrektorom Trustu Gothama, i spowodował zamknięcie go.

Taki był początek paniki, której Montague był świadkiem. Wszystko stało się jota w jotę tak, jak było planowane. Cała giełda papierowa rozpadała się na strzępy — niektóre ważniejsze papiery spadały o kilka punktów od transakcji do transakcji, a Wyman i Hegan kuli gorące żelazo i przygotowywali się do zagarnięcia swego łupu. A w tym samym czasie przedstawiciele Watermana w Waszyngtonie wyjaśniali prezydentowi rozpaczliwe położenie Tow. »Stal« w Mississippi. Już podstawy dobrobytu kraju są zachwiane; a tu grozi mu nowy krach. Zdając sobie sprawę z sytuacji, która była niemal bez wyjścia, Trust stalowy oświadcza, że chętnie uczyni co do niego należy i wybawi ojczyznę — obejmując w posiadanie Tow. »Stal« w Mississippi, jeżeli tylko rząd nie będzie mu czynił wstrętów. Rząd złożył żądane przyrzeczenie, i tak spełnionem zostało ostatnie pragnienie Watermana.

We wszystkich tych przewrotach finansowych odgrywał jednak rolę jeszcze jeden czynnik, z którym nie wielu się liczyło. Czynnikiem tym były szerokie masy ludu, które dostarczyły pieniędzy dla całej tej gry — ludu, dla którego dolar nie był tylko liczmanem gracza, ale oznaczał zaspokojenie potrzeb życiowych. Byli tam przemysłowcy, potrzebujący go dla uiszczenia tygodniowej zapłaty swym urzędnikom, robotnicy, potrzebujący go dla zakupna środków żywności, dla opłacenia czynszu, bezbronne

wdowy i sieroty, dla których dolar był ostoją przed śmiercią głodową. Ci nieszczęśliwi, nie mając pojęcia o tem, że instytucje finansowe, zresztą zupełnie bezpieczne i uczciwe, mogły być umyślnie, po prostu jakby w grze hazardowej obalane i słysząc, że bank jakiś jest zachwiany, i że bramy jego oblężone są przez tłumy, żądające zwrotu swych pieniędzy, myśleli, że istnieje rzeczywiste niebezpieczeństwo, że nastał zapowiadany oddawna kryzys. Całemi hordami zwalali się na Wall Street, i cała finansowa dzielnica miasta przepełniona była przerażonymi tłumami, wśród których przesuwały się konno silne oddziały policjantów, aby umożliwić ruch uliczny.

— Ktoś zażądał dolara, jak się wyraził jeden z bankierów. I to było prawdą. Wall street operowała ciągle papierkami. I nagle ktoś zażądał rzeczywistego dolara, i okazało się, że dolar ten gdzieś się zaprzepaścił.

Na doświadczenie to, przywódcy świata finansowego nie byli zupełnie przygotowani; zapomnieli byli zupełnie o publiczności. Był to jakby jakiś wielki kataklizm przyrody, który drwił sobie z wszystkich potęg ludzkich, zadziwiając i przerażając widzów swą grozą. Na Wall Street ludzie stali jakby w dolinie, widząc z dala zbliżającą się katastrofę. Stali nieruchomi z przerażenia, patrząc na straszne chmury zbierające się ponad ich głowami. Widzieli chmury i wznoszące się kłęby kurzawy, słyszeli wzmagające się grzmoty i wiedzieli, że za chwil kilka dopadnie ich nieszczęście i w nicość ich zamieni.

Szeregi ludzi przed Trustem Gothama i przed Związkiem Trustów Republiki obejmowały teraz całe ulice, i co godzina dochodziły wieści o runach na inne banki i zakłady finansowe. Między żądającymi pieniędzy były kobiety, załamujące ręce i płaczące w nerwowem podnieceniu, byli starcy, którzy zaledwie mogli utrzymać się na nogach, byli chorzy, którzy zwlekli się z łoża boleści, i którzy stali przez dzień i noc całą, drżąc w chłodnym październikowym wietrze.

Zaczęły się też runy na kasy oszczędności; po drugiej stronie, we wschodniej części miasta niepokojące wiadomości zaalarmowały nieświadomą ludność obcą, i z szybkością błyskawicy rozeszły się po całym kraju. Donoszono już o runach w innych miastach, i tysiące i dziesiątki tysięcy banków, położonych na zachodzie, wschodzie i południu kraju, zażądało od Metropolji pieniędzy. A pieniędzy nigdzie nie było.

Tak więc władcy Trustu bankowego stwierdzili ku wielkiemu swemu niezadowoleniu, że potwór, puszczony przez nich na wolność, nie jest już posłuszny ich rozkazom. Zaczęły się runy na instytucje, w których oni sami byli interesowani. Wobec szału, jaki ogarnął tłumy, nawet 25-procentowe fundusze banków krajowych nie mogły być wystarczające. Transporty zbiorów bawełny i zboża zabrały z Nowego Jorku setki miljonów dolarów, a nie było widoków, by za granicą można było zaciągnąć pożyczkę. Gdziekolwiek się zwracano, wszędzie spotykano ten sam nieszczęsny brak pieniędzy; nie można

było ani sprzedać niczego, ani z nikąd pieniędzy pożyczyć. Ci nieliczni, którzy zdołali wydobyć swą gotówkę z banków, powynajmowali sobie schowki depozytowe, i tam w naturze pieniądze złożyli.

Tak więc, po osiągnięciu wszystkich swych celów, bankierzy zabrali się do powstrzymania katastrofy w szalonym jej pędzie. Zewsząd wysyłano do Waszyngtonu naglące telegramy, a sekretarz skarbu złożył sześć miljonów dolarów w krajowych bankach Metropolji, a potem przyjechał sam dla naradzenia się.

Zwrócono się do Dana Watermana, który wszędzie był uznanym władcą świata bankowego. Współzawodnictwo rozmaitych zakładów ustało wobec wspólnego niebezpieczeństwa. Waterman stał się nagle królem, który miał rzeczywistą, nieograniczoną władzę nad dochodami wszystkich banków w mieście. Nawet rząd oddał się w jego ręce, sekretarz skarbu stał się jednym z jego urzędników, a prezydenci banków i finansiści cisnęli się w jego biurze, jak przestraszone dzieci. Nawet najdumniejsi i najbardziej wyzywający ludzie, jak Wyman i Hegan przyjmowali jego rozkazy i pokornie słuchali jego uwag.

Wszystkie te wypadki były powszechnie znane i można je było z dnia na dzień śledzić w dziennikach. Dawniejsze czyny Watermana bywały układane i wykonywane w tajemnicy. Nikt o nich nie wiedział, nikt nawet nie podejrzewał niczego. Teraz jednak reporterzy dzienników byli obecni na posiedzeniach i śledzili Watermana gdziekolwiek się obrócił, a pu-

bliczność zaproszono na wspaniałe widowisko, na którem ten doświadczony w bitwach weteran wstawał dla odbycia ostatniej swej, rozpaczliwej kampanji, ratując honor swego kraju i wracając mu zaufanie zagranicy.

Publiczność chciwie pożerała każde jego, choćby najmniejsze słówko, i modliła się o jego pomyślność. Sekretarz skarbu siedział w gmachu sekretarjatu, blisko swego biura i pod dyrekcją Watermana rozmieszczał fundusze rządu. Trzydzieści dwa miljony dolarów włożono w ten sposób w krajowe banki, a Waterman znowu z instytucji tych zabierał fundusze, zasilając nimi kasy zagrożonych banków i trustów. Był czas, gdy niebezpieczeństwo jednego człowieka było niebezpieczeństwem wszystkich, i nikt nie mógł stać o własnych siłach. A Waterman był despotą samowolnym, strasznym.

— Dotychczas zawiadowałem swoim bankiem, rzekł jeden z prezydentów, i mam zamiar zamknąć się w nim i czekać, aż burza przejdzie.

— W takim razie, odrzekł Waterman, zbuduję mur naokoło pańskiego banku, z poza którego nigdy się pan już nie wydobędzie. Tak więc bankier ów złożył potrzebną ilość miljonów.

Ogniskiem walki był zachwiany Związek Trustów Republiki. Wszyscy wiedzieli, że upadek instytucji Prentice'a byłby klęską powszechną. Szereg czekających wypłaty depozytorów stawał się dłuższym i dłuższym, kasy były już prawie puste. Kasyerzy wzięli się na sposób bardzo powolnego uskuteczniania wypłat — potrzebowali wiecej, niż pół

godziny, by sprawdzić jeden czek — i tak zyskiwali na czasie, aż do nadejścia świeżych zasobów pieniędzy. Miejskie kasy oszczędności jednomyślnie zamknęły biura, korzystając z przysługującego im prawa i żądając dwumiesięcznego terminu dla rozpoczęcia wypłat. Banki krajowe uciekły się do ostateczności wystawiania skryptów dłużnych. Prasa nawoływała publiczność do zaufania bankom, by choć trochę podnieść ogólną depresję. Nawet kolporterom nakazano milczenie, by krzykliwe ich głosy nie potęgowały ogólnego wzburzenia. Grupy konnych policjantów przesuwały się po ulicach, oczyszczając je dla komunikacji.

Nadszedł wreszcie ów fatalny czwartek, w którym panika doszła do szczytu. Zdawało się, że szał jakiś ogarnął Wall Street. Ludzie biegali tam i napowrót z gołemi głowami, bladzi z przerażenia. Na giełdzie stali wszyscy z zapartym oddechem. Transakcji nie było żadnych, wszystkie sprzedaże ustały; można było ofiarować jakąkolwiek cenę — niemożliwem było dostać choćby dolara kredytu. Procenta wzrosły do stupięćdziesięciu i do dwustu, ale nawet za tysiąc procent nie możnaby było otrzymać większej sumy. Maklerzy stali, patrząc jeden na drugiego w ostatecznej rozpaczy. Nigdy przedtem nie widziano takiej godziny.

Dotychczas zawsze trzymano fundusze państwa z daleka od giełdy. Każdy utrzymywał, że rząd nie powinien wspierać materjalnie giełdziarzy. Teraz jednak nadeszła chwila, gdy się zdawało, że giełdę trzeba będzie zamknąć. Tysiące firm popadłoby

w bankructwo, cały przemysł kraju zostałby sparaliżowany. Nadeszła wiadomość, że zamknięto giełdę w Pittsburgu. Więc przerażeni magnaci zgromadzili się jeszcze raz w biurach Watermana. Jeszcze raz przelano do banków fundusze państwowe, a z kas banków dostały się one do Watermana. W jakie pięć minut po dojściu kryzysu do najwyższego punktu napięcia, rozeszła się wiadomość, że Dan Waterman gotów jest udzielić pożyczki w wysokości dwudziestu pięciu miljonów dolarów, po 10 procent.

Tak więc niebezpieczeństwo zostało odwrócone. Maklerzy na giełdzie skakali z radości, a cała Wall Street wyła. Przed gmachem, w którym mieściły się biura Watermana, zebrał się tłum ludzi, wznoszących okrzyki uwielbienia na cześć starego wyjadacza.

Montague dzień po dniu śledził wszystkie te wypadki. Pamiętnego popołudnia przechodził właśnie przez Wall Street i słyszał wycie tłuszczy. Odwrócił się rozgoryczony, z sercem pełnem żalu. Czyż można było wymyśleć bardziej krwawą ironię? Oto człowiek, który sam tylko z pomiędzy wszystkich ludzi ponosił winę tego strasznego nieszczęścia, obwołany publicznie jako ten, który klęskę od kraju odwrócił! Czyż mogła istnieć jaskrawsza ilustracja sposobu, w jaki władcy Metropolji zwykli znęcać się nad zaślepioną i bezradną jej ludnością?

Przed jednym tylko człowiekiem mógł Montague wypowiedzieć swe uczucia, gdyż tylko ten jeden człowiek oprócz niego wiedział całą, rzeczywistą prawdę. Z przyzwyczajenia już teraz wstępy-

wał zawsze do »Expressu«, gdy wracał od pracy i tam przez chwilę słuchał gderania Bates'a.

Bates codzień miał świeże wiadomości z samego ich źródła. Nietylko wiedział wszystko, co miało nazajutrz pojawić się w pismach, ale nawet te rzeczy, które nigdy i nigdzie nie miały być drukowane. On i Montague podsycali nawzajem swą wściekłość. Raz powodem ich gniewu był artykuł publikowany w samym »Expressie«, a podający stan obecny za naturalny skutek nieumiarkowanych mów i lekkomyślnej polityki prezydenta. Innym znowu razem oburzył ich list pewnego wybitnego duchownego, wymieniający Watermana jako następcę prezydenta.

Ludzie nie mogli się dość nadziwić wspaniałomyślności Watermana, z którą tenże na 10 procent pożyczył dwadzieścia pięć miljonów. Ale Waterman nie pożyczył własnych pieniędzy, ale pieniądze banków krajowych. A były to pieniądze, które banki krajowe otrzymały od rządu, i za które nie płaciły rządowi żadnych procentów. Jak twierdził Bates, nikomu na świecie nie udała się z taką łatwością tłusta gratka, jak ludziom, którzy założyli banki krajowe. Ci gładcy panowie założyli swe instytucje za pieniądze dostarczone przez ogół. Rząd zdeponował u nich sumy, za które nie pobierał ani centa, podczas gdy dłużnikom tych banków kazano płacić wysokie odsetki. Banki krajowe miały przywilej wydawania banknotów za kilkaset miljonów dolarów, za które również liczyli sobie odsetki, nie płacąc ich wszakże rządowi. A potem, jako korona wszyst-

kiego, używali swych zysków na przekupywanie rządu. Zapełniali sekretarjat skarbu swymi ludźmi, a będąc w kłopotach wypróżniali podziemia skarbu, przenosząc stamtąd pieniądze do własnych kas. I wobec wszystkich tych faktów, ludzie agitowali napróżno za pocztowemi kasami oszczędności. Nie chciano ich utworzyć. W innych krajach istniały banki, gdzie ludzie mogli lokować swe pieniądze bez żadnego ryzyka, gdyż nigdy jeszcze nie słyszano o runie na pocztową kasę oszczędności.

— Czasami wydaje się, mówił Bates, jakoby ludzie u nas byli zahypnotyzowani. Był pan świadkiem wszystkich skandali z towarzystwami ubezpieczeń, panie Montague; a przecież jest bardzo proste i rzucające się w oczy lekarstwo na te wszystkie niedomagania: mianowicie państwowe zakłady ubezpieczenia na życie, które nigdy nie mogłyby być zachwiane, a które nie pozostawiałyby zbywających pieniędzy dla gry hazardowej giełdziarzy na Wall Street. Wydaje się to prawie niemożliwem, ale zapewniam pana, że śledziłem tę agitację, jak może nikt inny u nas — i od początku do końca nie spotkałem się z ani jedną wzmianką w prasie odnośnie do tego środka zaradczego.

W miarę słów dziennikarza, twarz Allana przybierała wyraz niespokojny.

— Zdaje mi się, że ja sam też o tem nigdy nie pomyślałem, zawołał.

Tamten wzruszył ramionami.

— Widzi pan, rzekł. I tak wszyscy!



ROZDZIAŁ XXIII.

Montague przez dni kilka rozmyślał nad żądaniem Lucyi. Było to trudne zlecenie; zdecydował się jednak w końcu spróbować szczęścia. Udał się do domu Rydera i podał swój bilet.

— Pan Ryder jest bardzo zajęty, proszę pana... zaczął służący, tłómacząc się.

— To rzecz bardzo ważna, rzekł Montague. Proszę zanieść mu bilet. Czekał w wspaniałym przedsionku, którego powała ozdobiona była ornamentacją, przeniesioną w stanie niezmienionym z któregoś ze starych, włoskich pałaców.

Wreszcie służący wrócił.

— Pan Ryder prosi pana na górę.

Montague wszedł do windy, która zatrzymała się u drzwi prywatnych apartamentów Rydera. W środku salonu stał olbrzymi, okrągły stół, zasłany nieprawdopodobną ilością papierów. Przed tymi papierami, w głębokim fotelu siedział Ryder.

Montague nigdy nie widział tak strasznego cierpienia, odbijającego się w twarzy ludzkiej. Wytworny elegant stał się słabym starcem.

— Panie Ryder, zaczął Allan, gdy zostali sami. Otrzymałem list od pani Taylor, w którym prosiła mnie, bym odwiedził pana.

— Wiem, rzekł Ryder, to podobne do niej, a ze strony pana jest dowodem wielkiej dobroci.

— Jeżeli mogę w czemkolwiek pomóc panu... zaczął znowu Montague.

Ale Ryder potrząsnął tylko głową.

— Nie, rzekł, nie ma dla mnie ratunku.

— Mógłbym ofiarować panu pomoc prawną w uporządkowaniu interesów...

— Interesom moim nic już pomóc nie może, nie mam o czem zacząć, nie posiadam ani jednego dolara własnego.

— To prawie niemożliwe, zaprzeczył Montague.

— Jest to prawdą w całem tego słowa znaczeniu, rzekł smutnie Ryder Próbowałem już wszystkiego, przeliczałem rachunki tyle razy, że mi się w głowie mąci. Spojrzał naokoło siebie, na wszystkie porozrzucane na stole papiery, i oparł czoło na dłoniach, w rozpaczy.

— Może, gdyby ktoś ze świeżym umysłem zabrał się do tego, poddawał Montague. Nie mogę uwierzyć, by człowiek, rozporządzający tak olbrzymimi funduszami został się nagle bez centa...

— Na wszystkiem, co posiadam ciążą długi hipoteczne. W ostatnich czasach pożyczałem pieniądze na prawo i na lewo. Liczyłem na zyski, liczyłem na to, że akcje pójdą w górę. A teraz widzi

pan — wszystko na nic! i nawet nie mam na zaspokojenie wszystkich moich dłużników.

— Ależ panie Ryder, ten krach, to tylko stan przejściowy. Akcje dojdą znowu do pierwotnej swej wartości.

— Tak, ale na to lat będzie potrzeba — lat całych! A tymczasem będę musiał wszystko wysprzedać. Zmiażdżyli mnie, zniszczyli! Nie mam nawet dosyć pieniędzy na życie!

Montague siedział przez chwilę, pogrążony w myślach.

— Pani Taylor pisała mi .. zaczął.

— Wiem, wiem! niecierpliwił się tamten. Musiał jej przecież coś powiedzieć, by otrzymać to, czego chciał.

Montague nie rzekł nic.

— A przypuśćmy nawet, że dotrzyma obietnicy? mówił dalej tamten. Czynił to nieraz i dawniej — czyż jednak mam być jednym z lokajów Dana Watermana?

Nastało milczenie.

— Jak John Lawrence? mówił Ryder cichym głosem. Słyszał pan o nim? Był bankierem, jednym z najstarszych w mieście. I Waterman wydał mu rozkaz, którego on nie wypełnił. Wówczas tamten zniszczył go, zabrał mu ostatniego dolara, aż człowiek ten przyszedł do niego na kolanach. »Teraz nauczyłem pana, kto jest pańskim władcą«, rzekł Waterman. »Oto pańskie pieniądze«. Obecnie Lawrence wierzy w niego jak w Boga, i stał się bogatym i tłustym. Ale bank jego istnieje tylko po

to, by udzielać ludziom pożyczek, gdy Waterman puszcza w obieg akcje, i ściągać pieniądze, gdy Waterman kupuje.

Montague nie znalazł słów odpowiedzi.

— Panie Ryder, rzekł wreszcie. Nie mogę się teraz panu na wiele przydać, gdyż nie mam w ręku faktów. Mogę tylko powiedzieć panu, że jestem na pańskie usługi. Jeżeli pan pozwoli, uczynię dla pana wszystko, co tylko będzie w mojej mocy.

Ryder spojrzał na niego i światło padło na jego białą, zmiętą twarz.

— Dziękuję panu, panie Montague, rzekł. Pan jest bardzo dobry. Jest już znaczną ulgą dla mnie, usłyszeć przynajmniej słowa sympatji. Ja... ja.. dam panu znać...

— Dobrze, powiedział Montague, powstając. Wyciągnął dłoń, którą tamtem ujął drżącą ręką.

— Dziękuję, rzekł jeszcze raz.

Allan odwrócił się i wyszedł. Sam przebył ogromne schody. Na dole natknął się na służącego, niosącego czarną kawę na tacy.

Zatrzymał go i rzekł:

— Pan Ryder nie powinien być zostawiany sam. Trzeba posłać po lekarza.

— Dobrze, proszę pana.., zaczął służący i urwał. Na górnem piętrze rozległ się wystrzał rewolwerowy i głośnem echem rozniósł się po rozległych komnatach domu.

— O Boże! wybełkotał służący, chwiejąc się na nogach.

Więcej rzucił, niż postawił tacę na krzesło i w pośpiechu biegł na górę. Montague stał przez chwilę jak skamieniały. Ujrzał drugiego służącego, który wypadł z jadalni i również pospieszył na miejsce nieszczęścia. Potem, jakby pod wpływem nagłego impulsu, Allan odwrócił się i postąpił ku wyjściu.

— Na nicby się nie przydała moja obecność, pomyślał, a tylko zaplątałbym Lucyę w całą tę historję. Otworzył drzwi i spokojnie wyszedł na ulicę.

Nazajutrz dowiedział się z pism porannych, że Ryder postrzelił się niebezpiecznie i jest umierającym.

Tego samego ranka gazety w Denver, Colorado doniosły o samobójstwie tajemniczej, obcej kobiety, która udała się do pewnego miejscowego hotelu, i tam, w wynajętym przez siebie pokoju zażyła truciznę. Była bardzo piękną. Sądzono powszechnie, że musiała być aktorką. Nie zostawiła jednak po sobie ani skrawka papieru, ani wogóle niczego, coby mogło przyczynić się do stwierdzenia jej identyczności. Pisma zamieściły też jej fotografję. Ale Montague nie czytywał pism z Denver, i do końca życia nie wiedział, co się stało z Lucyą Dupree.

Okres paniki już przeszedł, ale finanse kraju były zupełnie zrujnowane. Serce jego przestało bić i we wszystkich głównych arterjach jego przemysłu, jak i w najdrobniejszych ich rozgałęzieniach był za-

stój. Setki firm ogłosiły bankructwo, a tysiące fabryk zamykano ciągle. Miljony ludzi pozostało bez pracy. Przez całe lato koleje były aż przeciążone ruchem. Obecnie odstawiono ćwierć miljona wozów ciężarowych, jako bezużyteczne. Wszędzie była nędza i cierpienie. Zdawało się, że jakaś olbrzymia fala zniszczenia powstała w Metropolji, i zalała cały kontynent. I nawet oceany nie powstrzymały tej fali; dotarła ona aż do Anglji i Niemiec, odczuto ją nawet w Ameryce południowej i Japonji.

Pewnego dnia, gdy Montague jeszcze pod świeżem wrażeniem przebytego doświadczenia szedł przez Fifth Avenue, spotkał Laurę Hegan, wychodzącą ze sklepu, a zdążającą ku karecie.

— Panie Montague, zawołała i zatrzymała się z przyjaznym, szczerym uśmiechem. Jak się pan miewa?

— Dziękuję, dobrze, odpowiedział.

— Przypuszczam, że musiał pan być strasznie zajęty podczas tych strasznych dni.

— Byłem zajęty raczej obserwacją, sam bowiem mało się krzątałem.

— A jak się ma Alicya?

— Jest zdrowa. Sądzę, że musiała pani słyszeć o tem, że się zaręczyła.

— Tak, rzekła Miss Hegan. Harry zaraz mi powiedział. Byłam bardzo ucieszona.

— Czy pan do miasta? dodała. W takim razie zabiorę pana z sobą.

Wszedł do powozu, który wkrótce znalazł się

w szeregu innych pojazdów na Avenue. Rozmawiali przez kilka minut, gdy nagle Miss Hegan rzekła:

— Czy nie zechciałby pan przyjść do nas na obiad w tym tygodniu, razem z Alicją?

Montague nie odpowiadał zrazu.

— Ojciec jest teraz w domu, mówiła dalej. Bardzobyśmy chcieli, żebyście państwo przyszli.

Długo patrzył przed siebie nie odpowiadając na jej zaproszenie.

— Nie, rzekł wreszcie cichym głosem, wolałbym nie przyjść.

Ton odpowiedzi jego, bardziej niż odpowiedź sama uderzyły Miss Hegan. Spojrzała na niego zdziwiona.

— Dlaczego, zaczęła, urwała jednak zaraz. Powstało kłopotliwe milczenie.

— Miss Hegan, rzekł wreszcie Montague, mógłbym się tłómaczyć utartym sposobem, mógłbym powiedzieć, że mam wszystkie wieczory zajęte, albo że wogóle nie mam czasu. Zazwyczaj nie zadajemy sobie trudu mówienia prawdy, w naszych sferach towarzyskich. Jednak, jest coś, co mnie zniewala do tego, by mówić szczerze z panią.

Nie patrzył na nią. Jej oczy jednak utkwione były w niego w zdumieniu.

— Co za powód? zapytała.

— Wolałbym nie spotykać się już z ojcem pani, odrzekł.

— Dlaczego? czy zaszło co między wami? zawołała, dotknięta przykro jego słowami.

— Nie — nie widziałem ojca pani od czasu, gdy byłem na śniadaniu u państwa, w Newport.

— A więc — co takiego?

Namyślał się przez chwilę.

— Miss Hegan, zaczął znowu, podczas tej paniki, zrobiłem bardzo bolesne doświadczenie. Przeżyłem ją w straszliwy sposób. Dotychczas nie mogę przyjść do siebie po tem wszystkiem — nie mogę wymazać z mej pamięci obrazów cierpienia, które widziałem. Dla mnie jest to rzecz straszna i zupełnie rzeczywista — to łamanie życia dziesiątek tysięcy ludzi. Dlatego nie w głowie mi teraz grzeczności życia towarzyskiego.

— Ale mój ojciec! zawołała. Cóż mój ojciec ma wspólnego z tem wszystkiem?

— Ojciec pani, odpowiedział, jest jednym z tych, którzy są odpowiedzialni za ostatnią panikę. On przyczynił się do niej i odniósł z niej korzyści.

Porwała się z miejsca, zaciskając ręce i patrząc na niego z przerażeniem.

— Panie Montague! krzyknęła.

Nie odpowiedział.

Powstało długie milczenie. Słyszał jej przyspieszony oddech.

— Czy jest pan pewnym tego? szepnęła.

— Zupełnie pewnym.

I znowu milczenie.

— Nie jestem wtajemniczona w sprawy mego ojca, zaczęła wreszcie. Nie mogę odpowiedzieć na

pańskie zarzuty. To, co pan powiedział, wydaje mi się strasznem!

— Niech pani zechce mnie rozumieć, prosił Allan. Nie mam prawa nasuwania pani podobnych myśli, i może popełniłem błąd...

— Nie, wolę wiedzieć całą prawdę, rzekła prędko.

— Sądziłem tak, odpowiedział, dlatego też byłem szczerym.

— Czy uczynił coś tak bardzo strasznego? zapytała dziewczyna nieśmiało.

— Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie. Nie mogę sądzić ojca pani, staram się tylko bronić siebie. Lękam się, aby świat wasz nie pochwycił mnie w swe żelazne kleszcze. Śledziłem karjery wielu ludzi, jedną po drugiej. Wchodzą w ten wir, który ich porywa, i stają się skorumpowanymi, nie wiedząc nawet o tem. To, co widziałem tu w Metropolji, napełniło mnie wstrętem i przerażeniem. Każdy nerw we mnie buntuje się przeciwko temu, i zamierzam walczyć z tą zgnilizną, walczyć całe życie. Dlatego nie chcę wchodzić z nią w bliższe stosunki towarzyskie. Jeżeli widzę, że człowiek jakiś popełnia czyny, które ja uważam za straszną krzywdę dla drugich, nie mogę bywać w jego domu, ściskać jego dłoni, uśmiechać się i zamieniać z nim zwykłe grzeczności.

Długa chwila upłynęła, zanim Miss Hegan zdobyła się na odpowiedź.

— Panie Montague, rzekła wreszcie, niech pan

nie myśli, że byłam obojętną wobec tych klęsk. Ale cóż ja mogę uczynić? jakie jest na to lekarstwo?

— Nie wiem, odrzekł. Chciałbym je znać. Mogę jednak powiedzieć pani, że nie spocznę, póki go nie znajdę.

— Co pan zamierza uczynić? zapytała.

— Zamierzam rzucić się do polityki. Spróbuję nauczyć ludzi rozumu! odpowiedział Montague.

KONIEC.

Do nabycia w Administracji
---„Kurjera Lwowskiego“---

	Tom.	Koron
Jean de la Bréte:		
„NAIWNA“ (tłumaczenie) . . .	I.	—·30
Hall Caine:		
„WIECZNE MIASTO“ (tłumacz.)	III.	2·—
Benedykt Dybowski:		
„PAMIĘCI ZYGMUNTA SIERAKOWSKIEGO“	I.	—·30
P. Ford:		
„PRZYGODA W POCIĄGU“ (tłumaczenie)	I.	—·30
A. K. Green:		
„KTO WINIEN?“ (tłumaczenie) .	I.	—·30
H. Heldrungen:		
„SĘDZIA ŚLEDCZY“ (tłumacz.) .	I.	—·30
Kunt Hamsun:		
„MARZYCIEL“ (tłumaczenie) . .	I.	—·30
A. Jabłonowski:		
„Z GIMNAZJALNEGO ŻYCIA“ (tłumaczenie z rosyjskiego) . .	I.	—·70
T. T. Jeż:		
„JERZY CZARNY“	I.	—·20
Anna Keary:		
„NA ZIELONEJ WYSPIE“ (tłum.)	II.	2·—

	Tom.	Koron
Anna Keary:		
„ZA WINY OJCÓW“ (tłumaczenie)	II.	2·—
Miss Kavanagh:		
„POEZJA I ŻYCIE“ (tłumaczenie)	III,	2·—
Wiliam O'Brien:		
„SYLWETKI IRLANDZKIE“ (tłumaczenie)	I.	—·60
Ouida:		
„TRZEWICZKI DREWNIANE“ (tłumaczenie)	I,	—·30
H. Pontoppidan:		
„CZERWONA CZAPECZKA“ (tłumaczenie	I.	—·30
Stefan Rycerski:		
„PUŚCIZNA BRZESZCZA“	I.	2·—
Upton Sinclaire:		
„GIEŁDZIARZE“ (tłumaczenie)	I.	2·—
Marja Walter:		
„ZWYCIĘŻONY“	I.	—·30
Marja Wysłouchowa:		
„SEWERYN GOSZCZYŃSKI“	I.	—·20
E. Zola:		
„WYBÓR NOWEL“ (tłumaczenie)	I.	—·30
Żmijewska:		
„ARTYSTA“ (tłum. z francuskiego)	I.	—·30

W IMIĘ PRAWDY

(Sprostowania faktów, dotyczących biografii Zygmunta Sierakowskiego, skreślonej przez autora „Historyi dwóch lat“)

napisał

Dr. BENEDYKT DYBOWSKI.

W tomie 3-cim dzieła obszernego, noszącego tytuł „Dzieje 1863 roku“, podpisanego przez autora „Historyi dwóch lat, podaną została charakterystyka Zygmunta Sierakowskiego, jako człowieka i jako wodza powstańców, zarazem skreślono krótką jego biografję, tudzież opisano dosyć szczegółowo ostatnie chwile życia jego.

Autor, jak sam powiada, badał w Petersburgu wszystkie źródła rossyjskie, więc przeczytał prace różnych „diejatelej“ i tak prace Gogiela, Cyłowa, Storożenki, Szamszyna, Imerytyńskiego, Murawjewa etc. Owe wszystkie traktaty autorów wymienionych sam autor ocenia bardzo słusznie, mieniąc je jako bezecne, plugawe (Gogiel), jako ohydne (Storożeńko), jako niecne (Cyłow), jako wprost kłamliwe (Imerytyński, Murawjew). A jednak gdy chodzi mu bądź o charakterystykę Zygmunta, bądź o opis jego ostatnich chwil życia, posługuje się temi niecnemi, ohydnemi, pluguwemi, kłamliwemi źródłami i świadectwami przez siebie wielokrotnie potępionemi.

Szukając źródeł historycznych dla swojej pracy w Petersburgu wśród literatury ohydnej, plugawej i kłamliwej, autor pominął źródła żywe w Wilnie, Krakowie, Warszawie i Lwowie, z których mógłby zaczerpnąć światło nieprzyćmione uprzedzeniami partyjnemi, przyczem mógłby się przekonać, że to wszystko co podał o Zygmuncie Sierakowskim jest fałszem, mającym swe źródło w oszczerstwie wrogów, godzących na wszystko, co dla nas jest drogiem i świętem.

Autor miał przed sobą mylne wiadomości, podaje np. że p. Apolonja była córką Franciszka Dalewskiego, wtedy gdy ona była jego siostrą. Następnie przedstawił sobie Zygmunta jako czerwonego rewolucyonistę, a to uprzedzenie co do czerwoności rewolucyjnej działało tak na autora, jak widok czerwonej płachty na byków hiszpańskich, to też już z góry uznał Zygmunta jako nie zasługującego na żadną sympatyę, na szacunek, lub współczucie — bo według jego zdania był to czerwony rewolucyonista, a tak go sobie przedstawiwszy stara się go następnie odmalować w najgorszem świetle. U nas w ogóle w naszem społeczeństwie panował i panuje dotąd brzydki narów, a mianowicie, że skoro tylko ktokolwiek przerasta innych nauką, potęgą umysłu, darem słowa, a szczególniej jeżeli ma swój własny pogląd na sprawy bieżące, natychmiast zaczyna się wszechstronna „nagonka". Takie wypadki obserwowaliśmy i obserwujemy często.

To co się dzieje obecnie działo się i uprzednio, napadano ongiś na Mickiewicza, na Słowackiego etc. Lecz skoro osobistość prześladowana i krytykowana przeniosła się do wieczności, rozpoczynała się era pochwał i ubóstwiania; świeży na to mamy przykład na St. Wyspiańskim.

Atoli w wypadku z Zygmuntem Sierakowskim stało się daleko gorzej. Autor „Historyi dwóch lat" sięgnął swoją niesympatyą i poza deski grobowe, on nie przebaczył Zygmuntowi jego rzekomego czerwonego rewolucyonizmu, on wespół z owymi wyżej wymienionymi niegodziwcami pozazdrościł ciszy mogilnej cieniom człowieka „którego imie dla nas znajduje się wśród tych, którzy na firmamencie dziejów ludzkości zapisani są gwiazdami złotemi".

Gdy z pośród ludzi, znających osobiście Zygmunta Sierakowskiego mała już tylko ilość pozostała przy życiu, by módz zaprotestować przeciwko fałszom, szerzonym na niego przez nieprzyjaciół naszych, a na świadectwie których autor osnuł swoje opowiadanie — ja

osobiście poczuwam się do obowiązku sprostować owe wszystkie kłamstwa, przyczem odwołuję się do tych z moich rowieśników, którzy są jeszcze przy życiu, a znali osobiście Zygmunta, ażeby poparli słowa moje, mające jedynie na celu wyświetlenie prawdy, obalenie kłamstwa.

Rozpoczynam od rozpatrzenia sylwetki Zygmunta, jaką nakreślił autor „Historyi dwóch lat". — Otóż pisze on „że Zygmunt w roku 1863 był jeszcze młody 36 letni człowiek, wzrostu średniego z twarzą zawiędłą i bladą, z włosem rzadkim, nie zdecydowanej barwy. Mimo pozornie kordjalnego obejścia, dużej i płynnej wymowy, mimo że do każdego przemawiał z litewska „serce bracie" nie budził on sympatyi. Małe, szare, nieładne oczy, zawsze gdy mówił spuszczał, a zgryźliwy, szyderczy uśmiech na ustach nie pociągał ku sobie" (Tom III str. 48). Następnie jeszcze raz na str. 86. wraca znowu autor do zewnętrznych cech postaci Zygmunta, powiadając „sam Sierakowski w batorówce z zielonym wierzchem, w kapocie bronzowej, w wojskowych rossyjskich spodniach jeszcze, swą nikłą, szczupłą postacią zawiędłego blondyna nie budził entuzyazmu". Cały opis postaci Zygmunta Sierakowskiego autor osnuł na opisach moskiewskich, stąd też jest on z gruntu fałszywy. I tak Z. S. mierzył 172 cm., więc nie był wzrostu średniego. Nie był on tłusty, lecz nie był i nikły. Twarz jego nie była zawiędła, nie miał wprawdzie rumieńców, lecz od braku rumieńców do zawiędłości jeszcze daleko. Włosy miał koloru zdecydowanego — był blondynem. Czoło miał wysokie, stanowiące więcej niż dwie 5-te całej wysokości przedniej głowy i twarzy. Oczy żywe, ruchliwe, koloru niebieskiego, małemi nie były, wzrok miał daleko widzący. Władysław Kozłowski były uczeń Żytomierskiego gimnazjum opowiadał mi, że długo utrzymywała się legenda w owem gimnazjum, według której miał Zygmunt czytać zwykły druk książkowy po przez długość auli, gdzie w owej sali na tablicy było wypisane złotemi literami nazwisko Siera-

kowskiego, jako laureata, kończącego kurs gimnazjalny ze złotym medalem. Otóż już ten fakt, gdybyśmy innych nie mieli, świadczyłby, że Zygmunt nie spuszczał oczu, gdy mówił, albowiem spuszczanie oczu jest właściwością krótkowzrocznych. Ja sam obserwowałem nieraz Zygmunta, przemawiającego w kołach towarzyskich, następnie na zjeździe kryminalistycznym w Wiedniu etc. ale nigdy i nigdzie nie spostrzegłem, ażeby miał oczy spuszczone podczas przemówień, albo przy rozmowie potocznej, jest to więc fałsz, podyktowany złą wolą.

To co autor mówi następnie o pozornej kordyalności Zygmunta, jest to obwinienie jego o nieszczerość, o obłudę, rzucać takie podejrzenie może tylko osoba, która sama uprawia to, co zarzuca innym. Wreszcie widział autor nad to wszystko jeszcze, zgryźliwy szyderczy uśmiech na twarzy Zygmunta. Otoż prędzej byłoby można przypisać jemu nos hakowaty, usta murzyńskie, oczy zezowate, uszy midasowe, aniżeli uśmiech zgryźliwy, szyderczy, albowiem twarz jego jaśniała zawsze szczerością najprawdziwszą i życzliwością serdeczną, słowem temi właściwościami, które stanowiły ów pociąg osobliwszy do osoby Zygmunta, wskutek którego wszyscy lgnęli ku niemu. To też twierdzenie, że postać Zygmunta nie budziła sympatyi jest fałszem najwierutniejszym, przeczą mu wszystkie fakty, bo czy go widzimy w otoczeniu rodzinnem, czy w gimnazjalnem, uniwersyteckiem, etc. wszędzie i zawsze budzi on nie tylko sympatyę ku sobie — lecz nadto cześć należną niepospolitemu, genjalnemu człowiekowi. Obejście się Zygmunta z każdą istotą ludzką było zawsze szczere i ujmujące, a z przyjaciółmi tak serdeczne, tak wylane, że zwykle rozrzewniał ich i rozczulał swoją miłością bezgraniczną, to też przyjaciele jego odpłacali się równą serdecznością i szczerą, gorącą miłością. Byłem raz obecny spotkaniu się Zygmunta z Bronisławem Zaleskim w Krakowie, po długiej ich rozłące. Otoż spotkawszy się prawie niespodzianie w przedsieniu Drezdeńskiego hotelu, padli obadwaj w objęcia, a wśród łez i łkania słowa przemówić nie

byli w stanie. Mogą to nazwać egzaltacyą, tak, lecz ta egzaltacya była już naturą tego pokolenia, w którym wzrósł Zygmunt, więc tu o pozornej kordyalności mowy być nie może; szczera, głęboka uczuciowość stanowiła podstawę charakteru, nad nią zapanować nigdy się nie starał Do blizkich sobie mawiał „serce", jak to jest we zwyczaju u Wołyniaków, do służby mawiał bracie, lecz tych dwóch wyrazów nie łączył nigdy ze sobą.

Widzimy z faktów tu przytoczonych, że Zygmunt budził swoją osobą nie tylko sympatyę, lecz nadto miłość szczerą i gorącą w swojem otoczeniu. Widziałem Zygmunta w rozmaitych towarzystwach tak wśród młodzieży, jak też i ludzi starszych wiekiem, wśród kobiet i mężczyzn, wśród Rossyan, Polaków i Niemców, wszędzie umiał on rozmową swoją zająć całe towarzystwo, podtrzymać ożywioną dysputę, słowem przykuć do siebie uwagę powszechną. Niemiecka rodzina generała Streflera, tego najwyżej wykształconego wojownika wśród armii ówczesnej austryackiej, redaktora uczonego wojennego czasopisma — była zachwycona Zygmuntem, wszyscy w tej rodzinie jednogłośnie wychwalali rozum, jego swobodną wesołość, jego rycerską delikatność w obcowaniu z ludźmi, a szczególniej z kobietami. Gdy podczas zabawy świątecznej w domu generała Streflera Zygmunt został wybrany na króla migdałowego (Mandelkönig) w bardzo licznem i dystyngowanem towarzystwie, „to tak umiał pokierować zabawą i tej ostatniej nadać ton i charakter podniosły, że go wszyscy chórem nazwali „ein wahrer König". Sam zaś generał Strefler nie inaczej mienił Zygmunta, jak „mein genialer Freund Sierakowski". Córka generała S., grająca przy tej zabawie wyżej wspomnianej rolę królowej migdałowej, w chwili gdy mi opowiadała o niej była już mężatką, lecz wspomnienia owych przeszłych czasów rysowały się tak świeżo w jej pamięci, że z całą dokładnością wymieniała wszystkie szczegóły i zakończyła zdaniem, że genjalny człowiek potrafi nawet z pustej dziecinnej nieomal

zabawy wytworzyć coś podniosłego, oryginalnego, zajmującego.

Rossyjski poseł Bałabin w Wiedniu, Hr. Szuwałów w Petersburgu, Generał Gubernator Ks. Suwarow, były minister oświaty Hołownin i kilka innych osób, w obec których widziałem Zygmunta, gdy wraz z nim odwiedzałem tych dygnitarzy, otaczali go głębokiem poszanowaniem i uprzejmością niezwykłą, na co chyba człowiek, który nie budzi sympatyi, nigdyby zasłużyć nie potrafił

Ale i sam autor, zapomniawszy widocznie o karykaturalnej sylwetce, którą nakreślił, nazywa Zygmunta „świetnym oficerem". Czy go widział kiedykolwiek autor na własne oczy? Zapewne że nie, bo gdyby go raz widział tylko, to nie napisałby paszkwilu o nim, opierając się na świadectwach nikczemników.

Ażeby dać pojęcie o tem, jak umiał Zygmunt jednać sobie ludzi już po krótkiej z nimi znajomości, przytoczę fakt następujący: Byliśmy z Zygmuntem u Zyblikiewicza w Krakowie wraz z Bronisławem Zaleskim i z p. redaktorem Chrzanowskim. Po godzinnej prawie biesiadzie, gdzie poraz pierwszy Zygmunt spotkał się z Zyblikiewiczem, poszliśmy wspólnie oglądać rozmaite zabytki miasta. W parę dni potem odjechał Zygmunt z żoną do Wiednia. Gdy po latach prawie dwudziestu, wróciwszy z Kamczatki spotkałem Zyblikiewicza we Lwowie, już jako marszałka krajowego, wspomniałem w czasie rozmowy o naszem widzeniu się w Krakowie, w towarzystwie Sierakowskiego i Zaleskiego. Zyblikiewicz przypomniał sobie owe chwile wielkich nadziei rzekł, że do strat największych, jakie poniosło nasze społeczeństwo i rossyjskie przez powstanie ostatnie zaliczyć trzeba śmierć Zygmunta. Gdyby autor paszkwilu o osobie Sierakowskiego, nie chciał polegać na zdaniu Zyblikiewicza odnośnie do znaczenia tej straty dla naszego społeczeństwa i dla państwa rossyjskiego, to już sam fakt, że Zygmunt potrafił wzbudzić tak wysokie o sobie mniemanie w człowieku o poglądach umiarkowanych,

z którym się widział krótko — świadczy wymownie, że był on wysoko sympatyczny i że genjalność jego przebijała się, że tak rzekę, przez wszystkie pory jego osobistości, którą nie pokochać, nie czcić, nie uwielbiać dla ludzi serca i rozumu było rzeczą niemożebną.

Ale autor pozazdrościł Zygmuntowi tych oznak miłości ku niemu, które spotkał wyrażone w rozmaitych sprawozdaniach, dotyczących osoby Sierakowskiego, toteż zarzuca im przesadę, a tę ostatnię udowodnić się stara następującą argumentacją: „Sierakowski", powiada on, nie dokonał żadnego głośnego czynu, nie napisał znakomitego dzieła, nic słowem takiego nie zrobił coby mogło mu w kraju wyrobić sławę i imie głośnem uczynić. Jezeli tu był znany, to tylko w szczupłych kołach rewolucyonistów".

Autor albo zapomina lub też świadomie udaje zapomnienie, a może tendencyjnie bagatelizuje działalność Zygmunta z perfidyą zbrodniczą, mającą na celu deprecyonowanie osoby mu niesympatycznej, bo przecie świat cały wiedział o tem, że wywalczenie zniesienia kary cielesnej w wojsku rossyjskiem tylko Sierakowskiemu zawdzięczać mamy. Dokonanie tego czynu szlachetnego, altruistycznego, było prawdziwem bohaterstwem ze strony Zygmunta, szczególniej wobec reakcyjnego usposobienia wyższych sfer biurokratycznych wojskowych i cywilnych. Wszak posądzano Zygmunta o Walenrodyzm, o chęć wzniecenia dezorganizacyi w wojsku, w tym głównym filarze państwa.. Sierakowski niezląkł się degradacyi i katorgi, któremi mu grożono, szedł niezachwiany, mężnie do celu i swoją przekonywającą wymową, swymi dzielnymi i śmiałymi memoryałami, swą niestrudzoną czynnością przeforsował uchwałę wiekopomną. Czyn ten okrył jego czoło laurem, którego znaczenia i doniosłośct żadne oszczerstwa późniejsze, lub ignorowania tendencyjne zmniejszyć nie zdołają. To zwycięstwo Zygmunta ma większe znaczenie, niż pogromy nieprzyjaciela na polu walki orężnej.

Wprawdzie Zygmunt nie napisał takiego wielkiego,

kilku tomowego dzieła, jakiemi są dajmy na to dzieła autora „Historya dwóch lat“. Ale czy to trzeba pisać dzieła wielkie, ażeby pozyskać uznanie i sławę. Zygmunt czynami cnotliwymi swego życia i krwią własną znaczył działalność swoją stokroć pożyteczniejszą i znakomitszą, niż najlepsze dzieła autorów. W zak i Chrystus nie napisał dzieła, on nawet jakoby i pisać nie umiał i nie pozostawił ani jednego słowa pisanego, a jednak sławie jego nie dorównają chyba autorowie wielolicznych dzieł. „W słowach tylko chęć widzim — w działaniu potęgę. Trudniej w cnocie dzień przeżyć niż napisać księgę“, a Zygmunt prawie całem życiem swojem dał dowody cnót wszystkich, jakie były właściwością altruistycznej jego natury

Obok przesady zarzuca autor nielogiczność którą widzi w relacyach autorów, głoszących pochwały Zygmuntowi, sam zaś, kreśląc paszkwil na niego, dopuszcza się nieraz nielogiczności, dochodzącej do absurdu. Oto podaje np. „że gdy Sierakowski zwiedzał fortece: Brześć litewski, Bobrujsk i Dynaburg, to nie myślał wcale o powstaniu, bo miał przekonanie, że chwila wybuchu jeszcze jest bardzo daleką“ (str. 47). Zapomniawszy atoli o tem co powiedział — autor już o dwie stronice dalej (str 49) twierdzi, że Sierakowski w czasie swego pobytu w Dynaburgu z kompanjami aresztantskiemi „wszedł w pewne porozumienie“.

Czy może być coś bardziej przewrotnego, a zarazem i nielogicznego, jak twierdzenia autora wyzej cytowane, przeczące sobie wzajemnie.

Autor ignoruje tendencyjnie, że Zygmunt o powstaniu nie myślał i nigdy go nie miał na celu. Wszystkie memoryały, które pisał i kolejno podawał, to na imię Cesarza, to na imię ministra Miliutina, świadczą o tem, że zatarg pomiędzy bratnimi narodami powinien byłby, według jego zdania być załatwiony drogą pokojową, przez kulturalne podniesienie poziomu moralności i inteligencyi w pośród Rossyan. On pragnął z wojska barbarzyńskiego, bitego, poniewieranego, ciemnego i rozpitego

utworzyć obrońców ojczyzny rozumnych, trzeźwych, szlachetnych. On chciał z plugawego, pogardzonego i nawskroś pijanego duchowieństwa, przez zniesienie seminaryów i Akademji duchownych, i przez wcielanie tych zakładów do instytucyi naukowych świeckich — stworzyć cały zastęp ludzi światłych, wiodących naród po drodze postępu ku wyżynom kultury, a nie jak dzisiaj ku ciemnocie i przesądom. On jasno i szczerze określił w odnośnym memoryale swoje stanowisko względem państwa i względem kwestyi t. z. polskiej. Poglądy swoje we wszelkich kwestyach, pozornie drażliwych, wypowiedział otwarcie, bez żadnych niedomawiań. wiedzieli o nich wszyscy, wiedzieli że Sierakowski pragnie autonomji dla Polski, samorządu dla wszystkich prowincyi, konstytucyi dla całego państwa. On marzył o umoralnieniu, uszlachetnieniu społeczeństw, o usunięciu pijaństwa, karciarstwa, łapownictwa etc.

Mając tak szerokie plany, ktore żadną miarą nie dają się zrealizować inaczej, jak drogą powolnego rozwoju, jasną jest rzeczą, że Zygmunt nie był i być nie mógł rewolucyonistą, on był ewolucyonistą w najściślejszem tego słowa znaczeniu. A jednak autor robi Zygmunta na każdym kroku „czerwonym rewolucyonistą“. I tak podaje na stron. 43-ej dykteryjkę, widocznie wymyśloną przez jakiegoś „moszrodzieja“, która ma świadczyć, że Sierakowski już w zaraniu życia swego był rewolucyonistą.

Oto jest ta dykteryjka, „Zygmunt, daleki jakiś krewny słynnego w tej dobie pisarza i zapamiętałego wstecznika Henryka hr. Rzewuskiego, zamieszkującego wtedy stale w Petersburgu, bywał niekiedy u niego i Rzewuski z właściwem swej naturze szyderstwem, ukazywał od czasu do czasu Sierakowskiego gościom, by wysłuchali jego teoryi skrajnie demokratycznych, jakie już wtedy wyznawał. Rzewuski umyślnie podniecał młodego zapaleńca, ażeby zebranym okazać w całej nagości „specymen nowych doktryn społeczno-politycznych“. Od kogo tę dykte-

ryjkę słyszał, autor nie podaje, wszelako tu jeszcze nazywa Zygmunta „skrajnym demokratą“, o rewolucyjności jego nie mówi jeszcze, dopiero nieco dalej na str. 45-ej oświadcza, że co jest najważniejszem w Zygmuncie Sierakowskim, że ten świetny oficer zachował pod mundurem sztabowym rossyjskim przekonania rewolucyjne młodości, za które tak wiele wycierpiał; koleją tedy idąc podnosi autor Zygmunta do stopni coraz wyższych, aż zrobił go czerwonym rewolucyonistą, a jako dowód, że ma racyę dając mu taką nazwę utrzymuje następnie, że Sierakowski, znalazłszy się raz za granicą, nie omieszkał zapoznać się i zasięgnąć wiadomości u najwybitniejszych rewolucyonistów tej doby (str. 46). Zawiązał więc stosunki z Hercenem Mazzinim, Ledru-Rollinem, Mierosławskim i Garibaldim, którego odwiedził na Capri, z wielu nakoniec emigrantami polskimi“. Otóż to wszystko ma służyć za dowód, że Zygmunt był rewolucyonistą; ale jakież to są dowody? Sierakowski odwiedzał i nawiązywał stosunki z Moltkiem w Berlinie, z Generałem Streflerem w Wiedniu, Cavourem we Włoszech z Cesarem Napoleonem i księciem Napoleonem w Paryżu, z lordem Russelem w Londynie i z wielu, wielu innymi nie rewolucyonistami, lecz konserwatystami, we wszystkich stolicach Europy, można mu więc byłoby z tej racyi z równą słusznością zarzucić tendencye konserwatywne, a nawet wstecznictwo.

Zresztą jakiego rodzaju stosunki zawiązywał Zygmunt z rozmaitemi osobami, wyżej wspomnianem autor nie podaje, bo prawdopodobnie nie wie. Co do mnie, to wiem na pewno, że Zygmunt traktował z niem nie o rewolucyi, lecz o możności rządów konstytucyjnych w Rossyi, o autonomji Polski, o samorządach prowincyi, o konieczności ścisłego przymierza pomiędzy Francją, Angliją, Rossją i Włochami. Za temat do takich rozmów, służyły krótkie memoryały, które miał ze sobą

Autor powiada, że memoryał Zygmunta pod tytu-

łem „Polskij wapros“ (kwestya polska), który w tłumaczeniu polskiem podał pułkownik S t r u ś, jest napisany bez talentu? czy tylko bez talentu „stylowo-literackiego“ czy też „historyczno-rzeczowego“, autor zamilcza dyskretnie, lecz zaznacza najzupełniej fałszywie, że ów memoryał nie miał żadnego znaczenia. Otóż oświadczenie to jego jest błędne. bo właśnie memoryał o kwestyi polskiej uznany był przez wszystkich, którzy go czytali jak np. przez ministra M i l i u t i n a, H o ł o w n i n a S z u w a ł o w a, W i t t g e n s t e i n a etc. — za słuszny i sprawiedliwy, dający możność rozwikłania sytuacyi politycznej, uważanej za niemożebną do rozwiązania. Sam nawet Cesarz A l e k s a n d e r II czytał ten memoryał i on to prawdopodobnie wpłynął na niego, gdy zamyślał nadać konstytucyę państwu.

Autor trapiony ciągle myślą, że Sierakowski był czerwonym rewolucyonistą, dokłada wszelkich starań, ażeby to swoje mylne przekonanie uzasadnić w obec czytelników, to też zmyśla sam, albo może posiłkuje się zmyśloną przez jakiegoś sobie pokrewnego umysłem, działacza politycznego dykteryjką następującą:

„Stosunki z rewolucyonistami Sierakowskiego“, powiada autor „które oczywiście ukryć się nie dały omało odrazu nie zwichnęły całej karjery rossyjskiej. Policya francuzka, która bacznie wtedy zwracała uwagę na agitatorów i agitacyę rewolucyjną, doniosła do Petersburga o podejrzanych mocno stosunkach Sierakowskiego. Był wówczas przy ambasadzie rossyjskiej urzędnikiem (Attaché) do spraw wojskowych, książe P i o t r W i t t g e n s t e i n, wielki pan, urodzony z Radziwiłłówny, dziedzic olbrzymiej fortuny Radziwiłłowskiej na Litwie, dość przychylny Polakom i jemu to Sierakowski zawdzięcza, że tym razem szczęśliwie i cało wyszedł z grożącego mu niebezpieczeństwa.

M i l i u t i n bowiem, dowiedziawszy się z doniesień policyi francuskiej o zachowaniu się Sierakowskiego w Paryżu i w ogóle zagranicą, napisał list do Wittgensteina z poleceniem, aby miał oko na Sierakowskiego, i przy

najmniejszym jego kroku podejrzanym, starał się go pod jakimbądź pozorem zmusić do powrotu do Petersburga. Wittgenstein list ten pokazał przyszłemu wodzowi powstańców i ostrzegł go, aby był ostrożniejszym. 'Sierakowski mocno rozgniewany na Miliutina byłby pozostał dłużej zapewne w Paryżu, gdyby w końcu 1862 r. wieść o chorobie żony nie nie zmusiła go do powrotu. Jadąc do Wilna, zatrzymał się w Warszawie, widział się ze wszystkimi naczelnikami spisku“. . .

Cała ta naiwnie dziecinna bajeczka, jest w całości jak to mówią. z palca wyssaną. Lecz nie dosyć było autorowi pomieścić ją w charakterystyce osobistości Sierakowskiego, lecz zaraz na tejże stronicy spotwarzył go, powiadaiąc, że był on niepospolicie próżnym i chciwym rozgłosu. Bezczelniejszej potwarzy znaleść chyba trudno. Z całego życia Zygmunta nie znam ani jednego faktu, któryby rzucał cień na jego skromność, a tymczasem autor ma bezczelność czynić zarzut próżności i chciwości rozgłosu, nie przytoczywszy na udowodnienie tego oszczerstwa żadnego faktu. Rzadko który z biografów Zygmunta zdołał należycie ocenić cechy jego osobistości, każdy oceniał go według siebie, stąd płyną owe dziwolągi psychiczne. Tak naprzykład wielbiciel Zygmunta Wacław Wołodźko, piszący pod pseudonimem „Koszczyca“, starał się wmówić w czytelników, że Sierakowski był pewnego rodzaju Wallenrodem, że nawet zniesienie kary cielesnej w wojsku rossyjskiem było mu podyktowane chęcią dezorganizacyi tej głównej podpory despotyzmu. Znałem osobiście Wołodźkę i całą jego rodzinę, z którą sąsiadowaliśmy na Litwie. Wiem że Wacław był to człowiek „narwany“, w rozmowie z nim, prowadzonej niejednokrotnie we Lwowie. nie mogłem się go nigdy dopytać na jakich podstawach doszedł on do takiego przekonania o Zygmuncie i dla czego starał się mu przypisać rys charakteru, którego on nie posiadał wcale. Z tych rozmów dowiedziałem się tylko tyle, że on sam uważał Wallenrodyzm za

cechę dodatnią i szlachetną w każdym patryocie, więc chciał nią ozdobić posągową postać ukochanego i uwielbianego przez siebie człowieka.

Inni znowu, a często najbliżsi Zygmunta, będąc sami rewolucyonistami, chcieliby go przystroić w cechy rewolucyonizmu, to samo rzec można i o osobach z poglądami klerykalnymi. Wszyscy oni jednak sądzili że przypisując właściwości takie, jakie sami posiadali, podniosą tem bardziej urok wielbionego człowieka. Inny atoli cel miał autor paszkwilu, gdy tendencyjnie rzucał, na postać Zygmunta cień nieszczerości, nawet obłudy a także kłamstwa nikczemnego, czyni on to wprawdzie ostrożnie, cytuje relacye moskiewskie, oświadczając, że one nie są wiarygodne, lecz pomimo to przytacza je, w tem widocznie przekonaniu, że choć cząstka błota przylgnie do osoby spotwarzanego. I tak powiada: „że generał gubernator Nazimow miał przyjmować Sierakowskiego uprzejmie, zaprosił go do siebie na obiad i po obiedzie Sierakowski, grając w bilard z G. gubernatorem, gdy zaczęto mówić o zaburzeniach w Polsce, miał się wyrazić, że chcąc kraj uspokoić trzeba wyrwać z korzeniem element polski“ (str. 47.)

Czy może być nad to podlejsze kłamstwo, a również podłe cytowanie całego tego ustępu przy charakterystyce Zygmunta. Nazimów czytał memoryał o kwestyi polskiej Sierakowskiego, więc wiedział dobrze, jakie są przekonania Zygmunta, on się z niemi nie tail przed nikim. Drugą dykteryjkę wziętą z relacyi moskiewskich przytacza autor w tym samym celu co i uprzednią, powiada, on „że Sierakowski przybywszy do Wilna, przed udaniem się do bandy, był pożądanym gościem w tamtejszych kołach rossyjskich i zasięgając tam różnych, ważnych wiadomości, z zapałem rozmawiał o nierozumie powstania“ (str. 65).

Autor, zrobiwszy Zygmunta osobistością nie budzącą sympatyi, nawet wstrętną fizycznie i moralnie, opowiada następnie, że dyktatura Langiewicza, w której widział Sierakowski intrygę stronnictwa białych, znie-

chęciła go ostatecznie (do czego?) tak że, ten czerwony, zapalony rewolucyonista przez miesiąc przeszło pozostaje obojętnym widzem krwawych wypadków polskich".

Widzimy z tych niewielu słów autora, że stara się on przedstawić Zygmunta jako wroga stronnictwa białych. Sierakowski nie należał do żadnej partyi, do żadnego stronnictwa, bawiąc krótko w Warszawie odwiedzał osobistości należące do stronnictwa białych; autor twierdzi, ze się widział tylko ze wszystkimi naczelnikami spisku, to jest fałsz, bo Zygmunt odwiedził arcybiskupa, Zamoyskiego i wiele innych osobistości.

Pomimo tylokrotnych zapewnień autora, że Zygmunt był czerwonym rewolucyonistą, utrzymuję na podstawie wielolicznych z nim rozmów, ze on nim nigdy nie był Według jego przekonania Polska powinna była zmartwychwstać nie mocą walki orężnej, lecz siłą logiki, rozumnej sprawiedliwości, a zarazem i z racyi nieodzownej potrzeby jej istnienia dla pomyślnego rozwoju Rossyi samej i państw europejskich. Przekonania swoje starał się szerzyć, tak wśród inteligencyi rossyjskiej, jak też i inteligencyi polskiej. Gdy Garibaldi powiedział mu słowa, które chętnie powtarzał „Italia fata, Polonia fata sara", on mu odrzekł, że uczucie sprawiedliwości nie wymarło w sercach ludzkich, ono prędzej lub później zawładnie czynnościami narodów i ludów.

Autor ironizuje, powiadając o Zygmuncie, że był w czasie dowództwa swego na Żmujdzi, niewypowiedzianie smutny i niewypowiedzianie dobry (str. 87). Dziwna zaista rzecz, wszakże i Chrystus był bardzo smutny w Ogrójcu, a któż mu ten smutek za zło brać może i brać się ośmieli. Sierakowski pozostawił żonę chorą, matkę staruszkę i siostrę ułomną i chorą — bez wszelkich środków do życia i bez wszelkiej opieki. On musiał się rozstać z marzeniami swemi, celem których było odnowienie państwa, wskrzeszenie ojczyzny, umoralnienie ludzkości. Szedł, czyniąc świadomą ofiarę ze

swego życia, bo tego żądano od niego, a on rozumiał to żądanie, jako nakaz z góry.

Że był następnie Zygmunt niewypowiedzianie dobry, to było już jego naturą, to też, gdy występował na Żmujdzi w roli dowódzcy, zmienić się nie mógł, a jego skromny ubiór, składający się z bronzowej kapoty i batorówki z zielonym wierzchem, który ośmiesza autor świadczy jednak niezbicie, że nie był on, jak chce autor, nie tylko niepospolicie, lecz nawet pospolicie próżnym. W ciągu całego swego życia Zygmunt był ewangielicznie dobrym, nikogo nigdy nie skrzywdził, nikogo nie ogadał, nie spotwarzył, a gdyby dzisiaj mógł przeczytać paszkwil na jego osobę, napisany przez człowieka mieniącego się być polakiem i piszącego dzieła wielotomowe, rzekomo na pożytek narodu, byłby z pewnością wyrzekł: „wybaczam mu, bo nie wiedział, co czynił....“

Krytyki autora, dotyczącej działalności Zygmunta, jako dowódzcy, oceniać tu nie będę, lecz powiem słowami „Posła prawdy“, że gdyby Sierakowski był największym geniuszem wojennym i partyzanckim, a polska górzystym krajem alpejskim, gdyby wodzowie najmniejszej omyłki nie popełnili, pomimo to wszystko wszakże. i wodzowie i powstańcy zginąć byliby musieli, bo ogrom massy zgniótłby naszą szczyptę. Zgnieceni i pokonani dają zawsze szerokie pole krytyki, ona jest bodaj łatwiejszą niż partyzantka

Pozostawiając więc ocenę krytyki autora na stronie, odpowiem tylko na parę zarzutów ogólnej treści, uczynionych przez autora. Zarzuca on Zygmuntowi, że pomimo długiej służby w wojsku rossyjskiem nie potrafił sobie wyrobić jasnego pojęcia o wartości bojowej szeregowców tego wojska. więc liczył na ich nieudolność. Otóż ażeby wiedzieć coś o tem, jakie miał przekonanie Zygmunt w tej kwestyi, trzeba było być w nim, a autor nawet przy nim nie był. Drugi zarzut że Sierakowski nie dowodził nigdy bataljonem, więc z tej racyi nie mógł być dobrym dowódzcą, jest wprost śmieszny. wszak zarzucają Napoleonowi, że na koniu siedzieć nie

umiał i również jak Sierakowski bataljonem nie dowodził, a jednak był wytrzymałym jeźdzcem i genialnym wodzem. Iluż to znakomitych wojowników nie przeszło w praktyce przez szkołę bataljonową, pomimo to jednak zyskali sławę genjalnych wodzów. Aleksander wielki np. nigdy majorem nie był. W ogóle mówiąc, autor „Historyi dwóch lat“, wszystkie kroki Zygmunta rozpatruje przez pryzmat uprzedzenia, niechęci — wprost nienawiści, widzi on w Sierakowskim czerwonego rewolucyonistę, a tych tendencyjnie nie cierpi.

Najsmutniejszym i najboleśniejszym faktem niechęci autora do Zygmunta, z całej jego paszkwilowej opowieści, stanowi relacja o ostatnich chwilach życia Sierakowskiego. Ona w całości osnutą została na pamiętnikach moskiewskich działaczy, które on sam nazywa nikczemnymi, pomimo to cytuje je, nadając im pozory prawdy. Dla przekonania czytelników o nikczemnej taktyce autora, „Historyi dwóch lat“ podaję z jednej strony relacye ludzi uczciwych, będących świadkami wypadków, zaś z drugiej strony relacye autora, spisane według źródeł moskiewskich, które jedynie uznał za wiarygodne.

1) Relacye Dra Trzaskowskiego, którego poznałem w Irkucku: O Zygmuncie opowiadał mi parę razy Dr. T. Jego opowiadania streszczam w następującem: Po wyniesieniu ciężko rannego Zygmunta z pola walki, udano się niosąc go na ramionach, do dworku w Skrobiszkach; towarzyszyli rannemu: Dr. Trzaskowski, komisarz obozowy. Józef Kościałkowski i adjutant Jarosław Kossakowski, prócz tego 10 szeregowców.

Niedaleko od Skrobiszek, Józef Kościałkowski miał brata przyrodniego Ildefonsa, do niego wysłał umyślnego, prosząc o powóz i konie dla rannego. Żona pana Ildefonsa odmówiła dania powozu, sam tedy Józef K. wyruszył na miejsce i zabrał przemocą konie i powóz. Po tym fakcie żona p. Ildefonsa udała się do naczelnika powiatu i wskazała miejsce pobytu Siera-

kowskiego, około godziny 8 wieczorem przybył powóz. Jarosław Kossakowski, wchodząc do pokoju, zastał Zygmunta śpiącego, a przy nim czuwającego doktora T. Nie chcąc go budzić, czekał, aż się sam przebudzi; gdy to nastąpiło, już dworek był otoczony przez moskali, którzy przyprowadzili ze sobą Kołyszkę, znalezionego w chałupie włościańskiej po drodze.

Generał Ganecki, bawiący w mieszkaniu naczelnika powiatu w Madejkach, w czasie gdy p. Ildefonsowa przybyła tam z doniesieniem o miejscu pobytu Zygmunta, wysłał natychmiast porucznika Tennera z oddziałem do Skrobiszek, ten przybył na miejsce około 12-ej w nocy.

Zygmunt miał żebra zgruchotane i wyrostki kręgów lędźwiowych. Opatrunek na razie mógł być tylko prowizoryczny, stać i siedzieć nie mógł, miał ciągłą gorączkę, pragnienie silne i czasową utratę przytomności.

Po przybyciu Tennera ten rozkazał, ażeby natychmiast ułożono rannego w powozie, który od 8-mej czekał gotowy, uwinięto Zygmunta w płaszcz i wyniesiono na barkach, przy nim usiadł Dr. T. Przed odejściem oddziału Tenner, zwracając się do żołnierzy, rozkazał „pierekałot' wsiech plennych“, w razie gdyby spotkano po drodze powstańców. Więźniowie, w ilości około 20 szli pieszo, rannych pomiędzy nimi nie było. Gdy przybyli do Madejek oddano ranionego Zygmunta pod dozór pułkowego lekarza, żadna rozmowa pomiędzy Ganeckim a Zygmuntem nie miała miejsca,

A teraz z tą krótką relacyą porównajmy opowieść cytowaną przez autora „Historyi dwóch lat“ na podstawie zapisek Korniłowa.

„Tenner przybył na folwark ze swym plutonem o godzinie 12-ej w nocy. Dokoła domu i w sieni stały warty nasze, ustawione przez Wungosa, w jednym pokoju 12 jeńców spało na podłodze, na słomie. Jeden z nich pokaźny, zuchwały mężczyzna wstał, zbliżył się do Tennera i zarekomendował się: „Kołyszko“. W sąsiedniej izbie leżał na łóżku i spał, albo udawał

że śpi, ranny Sierakowski, obok niego siedziało dwóch lekarzy w czamarkach polskich. W tymże pokoju znajdowało się do sześciu rannych. Do Tennera zbliżył się cichutko jakiś przystojny młodzieniec, skłonił i rzekł półgłosem: „Jestem adjutantem generała, hrabia Kossakowski". „Racz pan obudzić Sierakowskiego", odpowiedział Tenner, „mam rozkaz dostawić was natychmiast do Madejek". „To niemożliwe", odparł Kossakowski: „Generał jest niebezpiecznie ranny, teraz kryzys, nie wytrzyma podróży, poczekaj pan do godziny siódmej rano". Na folwarku mówiono, że nieopodal znajdują się powstańcy z band ks. Mackiewicza i mogą odbić jeńców. Tenner więc podszedł do Sierakowskiego i obudził go: „Nie mogę jechać", rzekł Sierakowski: „poczekaj pan do 7 rano, wszak będzie dla pana lepiej, gdy mnie przywieziesz żywym, niż umarłym". Tenner oświadczył stanowczo, że czekać nie może i że musi skrupulatnie wykonać otrzymany rozkaz.

Dnia 11 maja około godziny 2-giej w nocy Tenner wsadził wszystkich jeńców na podwody i gotował się do wymarszu. Dla Sierakowskiego znaleziono na folwarku bryczkę. Sierakowski zwłóczył pod różnymi pozorami, Tenner czekał jakiś czas, lecz widząc, że Sierakowski umyślnie zwłóczy, zrobił mu uwagę, mówiąc: „o panu powiadają i my wszyscy mieliśmy to przekonanie, że jesteś człowiekiem energicznym i silnej woli, widzę żeśmy się omylili". Sierakowski wybuchnął i rzekł: „a jeżeli tak to zaraz jadę". Tenner siadł z nim na bryczkę i oddział ruszył do Madejek. „Uprzedzam pana", rzekł on do Sierakowskiego. że jeżeli pana będą chcieli odbić, to nie puszczę pana żywego". „Jakże to można, wszak to rozbój zabijać jeńca, będzie to hańba przed Europą" Otrzymałem taki rozkaz i spełnię go ściśle, odrzekł Tenner.

Gdy przyjechano do Madejek, Ganecki wy-

szedł zobaczyć jeńców i oto jak o tem opowiada Korniłów, pisze autor „Historyi dwóch lat“.

„Ranny Sierakowski, z twarzą żółtą, chorobliwą, siedział na bryczce. Ubrany był po cywilnemu i na głowie miał **kapelusz cylinder“.** (Tu autor „Historyi dwóch lat“ umieścił aż dwa znaki zapytania, tak mu prawdopodobnie to kłamstwo przesadnem się być zdało, ale za to inne kłamstwa przyjął w rzekomo dobrej wierze za prawdę). „Obok niego siedział jego adjutant. Pozostali jeńcy stanęli szeregiem na drodze. Wszyscy byli ubrani w czamarki i wysokie buty myśliwskie. Oczy Ganeckiego i Sierakowskiego spotkały się i poznały się wzajemnie. Sierakowski wymienił swoje nazwisko i wskazując na siedzącego obok, młodego jeszcze człowieka, dodał: „To mój adjutant hr.-Kossakowski“. „Pan znany jesteś pod nazwą Dołęgi“, rzekł Ganecki. „Nie ja jestem Sierakowski“. „Dlaczego zatrzymałeś się pan pod Madejkami, zamiast cofnąć się dalej?“ „Chciałem wydać bitwę“. „Korzystniejby było dla pana prowadzić wojnę partyzancką a nie toczyć z nami otwartej walki“. „Tak mi się zdawało. Przegrałem bitwę dla tego, że za późno rzuciłem kosynierów na lewe wasze skrzydło“. „Dlaczego pan nie popierałeś swego skrzydła prawego“? Opierało się ono o strumień trudny do przejścia“. „Gdzie tam trudny, i strzelcy i ja z nimi przeszliśmy go bez trudności i nie straciłem ani jednego człowieka“.

Sierakowski milczał“.

Tę całą relacyę, skłamaną od początku do końca, cytuje autor w pełnem pozornie przekonaniu, że ona za wyjątkiem cylindra jest najwiarygodniejszą. Cieszy się zapewne, że Korniłów potwierdził jego własny opis twarzy Zygmunta, gdy powiada, że była żółta, chorobliwa. „A wszakże Sierakowski, będąc w silnej gorączce, miał mocne wypieki na twarzy, owinięty w płaszcz, grubo obandażowany, z obwiązaną głową leżał nieruchomy, kazde wtrząsnięcie pojazdu sprawiało mu bole dotkliwe; a tu mu każe kłamca narator dyspu-

tować z Ganeckim o przebiegu bitwy i traktuje go jako symulanta rannego, jadącego siedząco, wystrojonego w cylinder, jak na bal do naczelnika powiatu. Czy może być blaga większa i kłamstwo niezręczniejsze nad ten opis cały, i czy może być potworniejsza spekulacya na łatwierność niemyślącej publiczności, by w jej opinii obraz rannego człowieka w tej karykaturalnej przedstawił się postaci, a o to tylko chodziło autorowi „Historyi dwóch lat".

Kto z własnego doświadczenia nie zna oficerstwa rossyjskiego, ten nie może mieć wyobrażenia o stopniu kłamstwa, które stanowi ich drugą naturę. Niczem są w porównaniu z tem kłamstwem — kłamstwa arystokracyi, giełdziarzy, myśliwych etc. To też sami oficerowie sobie wzajemnie nie wierzą. Wyżsi, odbierając raporty swoich podwładnych, do tych raportów nie przywiązują najmniejszej wartości. Lecz tam gdzie wszyscy kłamią, tam kłamców niema.

Jak obecnie przytoczona relacya, tak i następne, które podaje autor ze źródeł moskiewskich, są od początku do końca kłamane. Przed wypisaniem ich tu w całości w celu wykazania, jakie nikczemne świadectwa bierze i podaje autor za prawdę, przedstawię tu po krótce fakty czerpane z najwiarygodniejszych źródeł, jakiemi są własnoręczne listy Zygmunta i dziennik jego żony Apolonji.

2) Do Wilna przywieziono Zygmunta 11/V czyli 29/IV w nocy i okólnemi drogami transportowano go leżącego w powozie, do szpitala S-go Jakóba. W szpitalu pomieszczony został w pokoju parterowym, przed drzwiami w korytarzu i pod oknem postawiono po dwóch żołnierzy, reszta straży z oficerem mieścila się w pokoju sąsiednim — oficer dyżurujący raz po raz wchodził do pokoju rannego i stale dozorował nad szyldwachami. We drzwiach szpitalowych, wiodących do pokoju chorego, żadnego okienka niebyło. Wkrótce po pierwszej operacyi wykonanej zaraz po przywiezieniu przeniesiono

chorego na pierwsze piętro, do większego pokoju. Zygmunt ruszać się nie mógł, leżał obandażowany w stałej gorączce. Straż z oficerem na jej czele była liczna.

Ganecki przybył 12/V, szedł tryumfalnie przez Ostrą-bramę z muzyką i rozwiniętymi sztandarami, polskich sztandarów, rzekomo zdobytych, jak to podają relacye moskiewskie, nie było wcale. Cały dzień bankietowano, wszyscy uczestnicy bankietów byli pijani. Po pierwszej operacyi, gdy wyjęto części zgruchotanych kości, rana powoli zabliźniać się zaczęła.

Atoli wprędce potem, ponowne ropienie się ran wykazało, że i drugie żebro było zgruchotane, co wymagało nowej operacyi i nowego długiego leżenia.

Do Zygmunta przychodził odwiedzać go siostrzeniec Murawjewa, książe Szachawskoj, kolega Sierakowskiego z ław uniwersyteckich i z Akademji wojennej, który kiedyś sam był gorącym propagatorem idei wolnościowych i rządów konstytucyjnych. Przy rozmowie przyjacielskiej Zygmunt mu powiedział, że gdyby tylko mógł stać i chciał zmykać, to zemknąłby najniezawodniej. Te słowa wyrzeczone spowodowały że do pokoju, w którym leżał chory, wpakowano sześciu żołnierzy dla straży przy pierwszej sposobności Zygmunt podziękował koledze za towarzystwo, które dzięki jemu uzyskał.

A teraz kilka wyjątków z listów pisanych przez Zygmunta, które znajdują się w posiadaniu p. Apolonji.

3) Wyjątek listu, pisanego do żony.

„Aniele, był u mnie dziś znowu ks. Szach. z polecenia Murawiewa, przez niego napisałem kartkę do Ciebie, prosząc o poszukanie notat moich pod tytułem „polskij wapros“. Szach. obiecał, że sam będzie u Ciebie, więc będzie dziś lub jutro. Trzeba jednak, ażeby u Ciebie nie było kartek moich. Gdyby się notaty nie znalazły, to trzeba będzie posłać kogoś do Petersburga. Ja oddałem jeden egzemplarz memoryału Mil. (Milewiczowi), trzeba będzie wziąść go od niego i natychmiast przeszlesz go Szach. (Murawjew życzy sobie sobie odczytać ten memoryał).

Szach. mi zakomunikował, że wczoraj i pozawczoraj rozstrzelano dwóch księży i jakiegoś obywatela

ziemskiego, tylko się nie trwóż, czyż śmierć straszna. Następnie mówił, że Mur. ma wielką ochotę i mnie jak najprędzej rozstrzelać, chociażby chorego.

Wczoraj rano srożył się na mnie, wieczorem przywołał Szach. i kazał mu jechać do mnie z następującą propozycyą.

„Si Monsieur Sierakowski aime son pays, s'il veut lui étre util, s'ıl veut conjurez le carnage, qui ruine de même la Pologne que la Russie, qu'il écrit un mémoire sur la situation du pays, sur ce qu'il y a à faire. Je lirai ce mémoire et je l'enverrai à l'Empereur"

Szach. dodał od siebie, że wtenczas przekonają się, że Wielopolski jest zdrajcą i że ks. Konstanty chytry, nieszczery.

4) Urywek z listu pisanego do siostry (Tekli Daleskiej).

Moje zdrowie jak zwykle. Na noc gorączka się wzmaga, bredzę, jestem znowu nieprzytomny, najlepiej mi jest pomiędzy 3 a 6 po południu. Kość z krzyża nadłamana, mówią że wychodzi cząstkami. Próbowałem dziś jednak chodzić, bardzo trudno, ciężko.

5) $\frac{9/21}{VI}$ Urywek z listu do członków wydziałowych.

Mes chers amis! Soyer bien sur vos gardes, Cte Schuvalov, ci devant chef de la 3-me section est à Vilna, je crois qu' il fait la haute police.

Aujourd'hui etait avec les medecins militaires Dr. Lachowicz, on a trouvé qu' encore un second os est brisé, on voulait faire l'incision (operation) mardi, j'ai prié qu'on attend jeudi. Je marche à présent la tete en arriére avec grande douleur et dificulté, je ne peux meme me representer est'ce que je pourrais descendre une montagne ou un éscalier — mal avoir des os brisés.

6) $\frac{10/22}{VI}$ Jl faudra faire l'incision, aprés l'operation je ne pourrai bouger au moins une se maine.

Odtąd przez trzy dni, mianowicie 11/23, 12/24, 13/25 nie było wieści piśmiennych, ze szpitala ustnie

komunikowano, że gorączka się wzmogła, że często bywa nieprzytomny.

Dziennik p. Apolonji

7) $\frac{12/24}{VI}$ zjechała komissya właśnie w chwili kiedy Zygmunt był w największej gorączce, liczono widocznie, że w bolach, przy braku sił fizycznych, straci siłę woli i panowanie nad sobą, sądzono więc, że wymogą zeznania. Męczono nieszczęśliwego badaniami w ciągu dwóch godzin, w końcu uniesiony gniewem zawołał: „Domagam się sądu jawnego. Nic nie wiem, ale gdybym nawet co i wiedział, tobym Wam nie powiedział.“

Z tegoż dziennika

8) $\frac{14/26}{VI}$ zawiadomiono żonę Sierakowskiego, że o 6-tej po południu przyjedzie półkownik Eslinger zabrać ją dla widzenia się z mężem.

Gdy p. Apolonję wprowadzono do pokoju, gdzie leżał Zygmunt, znalazła go spoczywającego, z głową w tył odrzuconą, z włosami nisko ostrzyżonymi, z silnemi wypiekami na twarzy. Lica i ręce pałały ogniem gorączkowym. Obok łóżka stał stół, przy tym ostatnim siedział komendant Wiatkin i jacyś inni członkowie komissyi, u drzwi stało 6-ciu żołnierzy. Dano kwadrans czasu na rozmowę. Po przywitaniu zawołał Zygmunt: „Polciu, wczoraj podpisałem wyrok śmierci na siebie — oświadczeniem, że nie wiem, lecz gdybym nawet wiedział, to nie byłbym powiedział“. Po tych słowach Zygmunta p. Apolonja zemdlała, wyniesiono ją natychmiast, dopiero przyszła do świadomości w pojeździe, tam Wiatkin oświadczył, że odtąd już co dzień widzieć się będzie z mężem.

Tegoż samego wieczora Zygmunt przesłał żonie kartkę pisaną ołówkiem na stronicy wydartej z biblii. Oto są jego słowa ostatnie adresowane do żony: „Boże, widzę, że Ciebie nikt nie przygotował, nikt nie uprzedził, iż się już po raz ostatni widzimy ze sobą. Aniele mój, dowiedziałem się wczoraj, że żyć mogę i być wolnym,

pod jednym wszakże warunkiem małym, ażebym wydał osoby, mające wpływy. Nie znam nikogo, ale uniesiony gniewem powiedziałem, że gdybym znał nawet, tobym ich nie wydał. Dano mi do zrozumienia, że podpisałem wyrok śmierci. Trzeba więc umrzeć, umrę czysty i niepokalany. Powiedz że Ty mnie sama, Aniele, czy mogłem powiedzieć inaczej. Ja Ciebie kochać będę i czuwać nad Tobą i niemowlątkiem, a potem połączę się z Tobą w Niebie".

Nazajutrz stracono Zygmunta.

9) Jeden z członków Wydziału Wileńskiego był obecny przy egzekucyi i taką przesłał korespondencyę do „Czasu":

„Od rana złowieszczy bęben ogłosił miastu nową ofiarę dla Moskwy, nowego męczennika wolności!

Po dziesiątej z rana Sierakowski otoczony tłumami wojska, z odkrytą głową, stojący mimo cierpienia niezgojonej rany, ze zwykłą swobodą na twarzy witał lud cisnący się po drodze. Po przybyciu na plac kaźni przystąpił do niego raz jeszcze agent Murawjewa i wobec szubienicy w imieniu cara obiecywał zupełne przebaczenie, umieszczenie przy boku cara i bajeczną fortunę, gdyby tylko wydał główne sprężyny rządu w Królestwie i na Litwie. Sierakowski na tę propozycyę odpowiedział: „Gdyby Twój Car swoją własną koronę na głowę mi włożył, niczego się odemnie nie dowie. Życie mi wydrzeć może, ale nie spodli". Przeczytano dekret. Sierakowski zaprotestował raz jeszcze, pożegnał się z kapłanem, padł na ziemię, ucałował ją po raz ostatni.

Kat przystąpił. Sierakowski zrzucił narzuconą mu koszulę, bo chciał ażeby do ostatniej chwili tylko przemoc go zwalczała, chciał tem protestować przeciw pogwałceniu wszystkich praw. Siepacze pociągnęli go ku szubienicy.

Ostatnie jego słowa były „Ojcze bądź wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi".

A teraz z faktami wyżej cytowanymi zechciejmy porównać relacye przytoczone przez autora, które wypisał z opowiadań działaczy moskiewskich.

A) opowieść Generała Ganeckiego, spisana przez Korniłowa, brzmi jak następuje:

„Ganecki zaraz po dostawieniu Sierakowskiego do szpitala udał się tamże. Oficer pułku Pawłowskiego gwardyi, stojący na straży, oświadczył Ganeckiemu, iż bez specyalnego pozwolenia piśmiennego od Generała Gubarnatora nie może widzieć Sierakowskiego, ale zaproponował, ażeby generał popatrzył na niego z korytarza przez niewielkie okienko we drzwiach jego pokoju. Ganecki zbliżył się do okienka i spojrzał. Pokój znajdował się na parterze, miał duże okno, wychodzące na ulicę. Sierakowski siedział pod oknem, oparty oburącz na małym stole i patrzał bacznie na ulicę, nie podejrzewając, że jest śledzony. Pokój był nieomal na równi z brukiem i Sierakowski mógł łatwo uciec. Ganecki wprost ze szpitala pojechał do W. J. Nazimowa, który się zdziwił jego wizytą. „Wracam od Sierakowskiego, rzekł Ganecki, on z pewnością ucieknie“. „Jakto ucieknie? zapytał Nazimów“ „widziałem go przed dwoma godzinami, nie wstaje z łóżka, ledwie żyje, nie dziś, to jutro umrze“. „Ucieknie, rzekł Ganecki, widziałem go przed chwilą, siedział na krześle jak zdrowy i najspokojniej patrzał przez okno“. „Więc cóż P. chcesz“ zapytał Nazimów. „W tym szpitalu“ powiedział Ganecki „służba cała, intendent, doktór i felczerzy są Polacy, ufać im nie można. Rozkaż P. ażeby Sierakowskiego leczył mój doktór pułkowy i moi felczerzy i ażeby cała służba była rossyjska. Lekarz rossyjski twierdził, że rana Sierakowskiego zgoła nie była niebezpieczną“.

Rozważmy tę opowieść na podstawie faktów wyżej przytoczonych i na nich osnutych kombinacyach logicznych:

Otóż Ganecki przybył do Wilna nazajutrz po przyniesieniu Zygmunta do szpitala. Cały pochód tryumfalny, następnie bankiet u Generał-Gubernatora — bankiet wyprawiony dla zwycięskiego wojska zajęły dzień cały. Ganecki upojony sławą „spasitiela“, upojony licznymi toastami był w stanie niepoczytalnym. Siera-

kowskiego od samego początku otoczono wojskowymi moskiewskimi lekarzami i felczerami, tylko przy wykonaniu operacyi wzywany był do porady chirurg i operator, Dr. Lachowicz. Po operacyi Zygmunt obandażowany ruszać się nie mógł.

Widzimy tedy, że cała ta opowieść Ganeckiego jest wprost brednią pijanego człowieka, który chciał „pokazat'sia" przed potomnością, że nie tylko jest „spasitielem", ale zarazem i tym bohaterem narodowym, którego staraniem zawdzięcza Rossya widowisko powieszonego Sierakowskiego, „bo gdyby nie on, toby Sierakowski uciekł na pewno", a więc podwójny laur zdobić powinien czoło jego.

Autor „Historyi dwóch lat", przytoczywszy brednie Ganeckiego, którym pozornie wierzy literalnie, robi od siebie uwagę następującą: „Jakie szlachetne funkcye dozorcy więziennego i policyanta pełnił ten pan Ganeckij, generał gwardyi rossyjskiej". Udana naiwność autora graniczy już wprost z idjotyzmem, bo żądać od generała szlachetności jest to samo co chcieć od djabła cnoty. Ale przecie rzeczą konieczną wymagać od historyka, ażeby się mógł poznać na kłamstwach i nie brał ich za podstawę do swojej opowieści, jeżeli to uczynił, uczynił rozmyślnie jedynie w celu, ażeby szkodzić sławie człowieka, do którego pałał nienawiścią niczem nie umotywowaną.

B) Opowieść autora według relacyj Imerytyńskiego (które autor „Historyi dwóch lat" nazywa kłamliwemi, a jednak podaje) brzmi: „O wyroku nie uwiadomiono jednak skazańca. W przeddzień pozwolono żonie widzieć się z nim, przyrzekając jej jednocześnie ze szczególniejniejszego rodzaju barbarzyńską ironją, że odtąd będzie mogła często męża odwiedzać. Sierakowski był spokojny i nie wątpił, że będzie ocalony (??).

W sam dzień kaźni wczesnym rankiem wpuszczono doń księdza Juljana Syrakowicza, dla przygotowania skazanego na wieczną pielgrzymkę, z której nikt nie wraca i dla udzielenia mu ostatnich pociech religijnych.

Ale wódz Litewski dość niechętnie przyjął te odwiedziny, i domagał się, ażeby spowiedź odłożyć na inny dzień, gdyż nie jest do niej przygotowany. Wreszcie na naleganie księdza ustąpił, wstał umył się i ubrał. Zmówiwszy pacierz, odbył spowiedź i komunikował, poczem zażądał herbaty i wypił jej pół szklanki. Teraz ks. Syrakowicz, który widocznie dotąd nie miał odwagi powiedzieć skazańcowi, że godziny jego są policzone, widząc, że ten nie myśli o tem, wyznał mu prawdę i prosił, by ostatnie chwile życia poświęcił modlitwie i skrusze, poczem go opuścił. Teraz zjawił się u więźnia generał Szamszyn, dowódca pułku gwardyjskich kozaków, który z rozkazu Murawjewa miał objąć komendę nad wojskiem towarzyszącem skazańcowi i oznajmił Sierakowskiemu, ażeby się zbierał. Ten czy w rzeczy samej nie przypuszczał, że go miano wieść na śmierć, czy też tylko udawał, zawołał z gniewem, by mu dano pokój, że jest chory, że nie może się ruszyć, że go zawsze badano w szpitalu“. Wtedy Szamszyn uwiadomił go o wyroku i dodał, że ten ma być wykonany natychmiast. Sierakowski, usłyszawszy to, zmieszał się nieco, zamyślił, ale wkrótce nabrał otuchy i rzekł z przymuszonym uśmiechem. „A rozumiem, czas już odegrać komedyę wyroku i ułaskawienia. Ha cóż, jedźmy więc“. Tak opowiada według relacyi autora ks. Imerytyńskij. Ale generał Szamszyn inaczej te ostatnie chwile „wodza Litewskiego“ maluje, więc autor uważa za konieczne i brednie a kłamstwa owego generała ku pożytkowi swemu przytoczyć. I tak oświadcza S., że gdy Sierakowskiemu oznajmił o wyroku, zupełnie się zmieszał i prosił o 5 minut czasu, przyczem rzekł z dzikiem wejrzeniem, że chce napisać wiersz, na co się jednak nie zgodzono“. Czy tak było nie wiemy; powiada autor, coś jednak w tem musi być prawdy dodaje, bo Struś przytacza czterowiersz, skomponowany jakoby przez Sierakowskiego w ostatnich chwilach życia i znany w Wilnie. Wiersz ten brzmi:

„Jedynym żalem będę przejętym
Gdy z życiem przyjdzie rozstanie,
Że żyć nie będę w dniu wielkim, świętym
Gdy matka Polska powstanie.

Pierwsza rzecz, że Zygmunt nigdy w życiu swojem w rymy się nie bawił i że gdyby był napisał wiersz jaki, toby go przesłał żonie, a następnie, że wiersz ten byłby pewnie lepszy od owego częstochowskiego, którym Struś uraczył Zygmunta, chcąc go tą poezyą uwiecznić. Za dobre chęci Strusia podziękować mu można, ale też zarazem i zapewnić go, że nikt w Wilnie o tem wierszu nie wiedział, bo inaczej byłby go Koszczyc z pewnością pomieścił w swoich wspomnieniach a i żona Zygmunta byłaby wiedziała o tem. Ale mniejsza, tu tylko wspomnieć wypada, że z racyi iż wiersz jest kiepski, więc go autor uważa za autentyczny, i z tego powodu prawdopodobnie uznaje brednie Szamszyna za prawdziwe, mówiąc, że w nich jednak coś musi być prawdą. Opis Imerytyńskiego, jakoby z relacyi Szamszyna spisany, różni się najzupełniej od relacyi samego Szamszyna, jest to dowód najniezawodniejszy, że obie relacye są improwizacyą i są kłamstwem wierutnem.

Co w opisie Imeretyńskiego jest jego koncepcyą własną, a co dodatkową koncepcyą autora „Historyi dwóch lat“ trudno orzec, bo nie mam przed sobą naracyi „kłamliwej“, jak sam autor powiada tego Jaśnie oświeconego; musimy jednak tajemniczy dyalog pomiędzy księdzem a Sierakowskim i innych parę ustępów jak np. wstanie i ubieranie się, mycie bez niczyjej pomocy — uznać za banalną koncepcyę samego autora, tożsamo musimy mu przypisać całą nielogiczność przy opowiadaniu następstwa faktów, bo przecie jeżeli Sierakowski ubrał się do spowiedzi, jeżeli był ubrany pijąc herbatę, to trudno zrozumieć jak go G. Szamszyn znalazł niegotowym do drogi i kazał mu się zbierać do niej, dosyć było bowiem wziąść do ręki „cylinder“, którym go obdarzył Korniłow i wyjść za Szamszynem.

Najfałszywszym i zarazem najpodlejszym z całego paszkwilu jest jednak opis jazdy na Łukiszki i relacyi o ostatnich chwilach życia Sierakowskiego.

Oto jak tę podróż opisuje autor, dopełniając słowa Imerytyńskiego swemi własnemi koncepcyami: e) „Sierakowski wsiadał do dorożki razem z księdzem i komendantem placu (??) i otoczony strażą ruszył na miejsce kaźni. Na ulicy były tłumy motłochu, zwłaszcza kobiet, spieszących za tym ponurym orszakiem, by przypatrzeć się tak pospolitemu teraz w Wilnie widowisku. Plac Łukiszek i sąsiednie wzgórza były przepełnione cizbą ciekawych żydów, kobiet i ostatniej gawiedzi miejskiej, która zachowywała się obojętnie, krzykliwie i jak każdy motłoch nieprzyzwoicie". (Wszystko co powiedziano jest fałszem).

„Sierakowski przez całą drogę na Łukiszki stał na wózku oparty jedną ręką na ramieniu księdza, drugą na woźnicy. Spojrzenie miał dzikie, mętne, a na twarzy malowała się trwoga". (To są prawdopodobnie własne koncepcye autora, on tu połączył dzikość wzroku z trwogą na twarzy). „Gdy wyjechano na plac i gdy ujrzał szubienicę, dokoła otoczoną przez wojsko, zbladł śmiertelnie i tak osłabł, że musiano go zsadzić z wózka". (I ten ustęp cały musi być własną koncepcyą autora, bo przecie on tylko wzrokiem swoim potrafił śledzić za bladością lic Sierakowskiego. Że go zsadzano z wózka, to nie jest dowód, że osłabł na widok szubienicy, bo przecie znoszono go ze schodów szpitala i wsadzono na dorożkę, gdyż sam ani iść, ani wsiadać nie mógł).

„Na placu tymczasem zaległa martwa cisza, dobosze dotąd bijący w bębny, na dany znak umilkli. Do Sierakowskiego zbliżył się ksiądz i podał mu krzyż do pocałowania. Skazaniec był teraz spokojniejszy i rzekł:

„Z przyjemnością ojcze, tylko jak się zdaje sprawa nie jest tak ważną. Mam ja w Petersburgu silne plecy i pewny jestem, że mnie ułaskawią". (Oczywista rzecz, że tej rozmowy nie słyszał chyba nikt z obcych, więc wiadomość o niej mógł tylko komunikować ksiądz

bądź ks. Imerytyńskiemu, bądź też autorowi „Historyi dwóch lat“, a ponieważ ksiądz nic nie mówił ani jednemu ani drugiemu o tej rozmowie, więc to jest najlepszym dowodem, że ją wymyślił jeden albo drugi z wyżej wymienionych kłamców). „Tę wiarę ułaskawienia zachował do ostatniej prawie chwili“ powiada autor. (Jest to kłamstwo najbezczelniejsze — bo tak z listów Zygmunta, jak też z odpowiedzi jego, danej agentowi Murawjewa, opowiedzianej przez księdza, widzimy, że wcale nie liczył on na ułaskawienie. Dlaczego wpierają na niego myśl i wiarę w ułaskawienie obaj autorowie paszkwilów — to przyczynę tego czynu łatwo zrozumieć, oniby chcieli we wszystkiem poniżyć i zbeszcześcić osobę Zygmunta, w tym względzie przypominają sobą ludzi, wymyślających na Chrystusa). „Wśród posępnego milczenia, które w wielogłowym tłumie nagle zapanowało, rozległa się komenda i wojsko sprezentowało broń, zaś audytor głosem donośnym wyrok czytać począł“. (Ta cisza która zapanowała świadczy, że ten „motłoch“, jak go nazywa autor, nie był obojętny. Ja ręczę, że gdyby się wtedy znalazło kilku ludzi odwagi i poświęcenia i zawołało na ten tłum olbrzymi „naprzód wałem, oswobodzić więzionego a na tejże szubienicy powiesić największego łotra, jakiego Rosya wydała — to dzisiaj mielibyśmy zaznaczony czyn bohaterski owego ludu) „Sierakowski stał oparty na księdzu z wyrazem trwogi śmiertelnej na twarzy, z włosem rozwianym przez wiatr, z nogami dygocącemi pod nim widocznie. Nie było w jego postawie i zachowaniu się owej męskiej powagi i spokojności „owego natchnionego heroizmu, z jakim umierał ks. Iszora, lub Kołyszko. Wyroku słuchał nieuważnie, wzrok błądził po przestrzeni, patrzał pytająco po najbliższych lub spoglądał w dal, jakby szukał tam gońca z wieścią o ułaskawieniu“. (Cały ten opis jest improwizacyą wrogą z zasady Zygmuntowi, dosyć tu przytoczyć fakt, że przed drugą operacyą prosił Zygmunt, ażeby go ostrzyżono krótko i ogolono, więc przez kilka dni urosnąć mu włosy nie mogły tak, ażeby

je wiatr rozwiewał; że nie mógł stać mocno na nogach przyczyną była rana dwukrotnie odkrywana, a w czasie operacyi ponownych, zaogniona, ropiąca. Autorowi chce się wmówić ludziom, że Zygmunt liczył na ułaskawieni.; list jego ostatni, pisany do żony świadczy najdowodniej, że o ułaskawieniu nie myślał wcale).

„Gdy audytor swoje odczytanie zakończył słowami: „skazany na śmierć przez powieszenie“ twarz nieszczęśliwego wodza powstańczego ożywiła się i zawołał głosem donośnym „że protestuje przed Rosyą i Europą przeciw temu wyrokowi“. Ale turkot bębnów zagłuszył ten protest niestety bezskuteczny, a kat ze śmiertelną, długą koszulą w ręku, zbliżył się do skazańca by ją nadziać. Wziął się do tego tak nieostrożnie, że uraził w ledwie zabliźnioną ranę“. (Rana świeżo odkryta, przez którą wydobywano kawałki zgruchotanych kości, przez dni 3 zabliźnić się nie mogła). „Sierakowski krzyknął straszliwie i odepchnął kata, wołając: „Jak śmiesz mię durniu dotykać“. (Ks. Imerytyński, jak również autor paszkwilu, używają prawdopodobnie wyrazu „durak“, więc go kładą w usta Zygmunta, lecz ten ostatni nigdy wyrazu tego nie używał). Rozdrażniony tem kat zaczął gwałtowniej brać się do delikwenta, który szarpał się, krzyczał, szamotał i walczył rozpaczliwie o życie. Gdy go nakoniec związano i powleczono pod szubienicę, tutaj jeszcze się bronił, opierał nogami o stopnie. Widok był okropny, tłum patrzący na to skamieniał. Wiele kobiet z krzykiem padało zemdlonych. Nakoniec zarzucono mu stryczek na szyję, wyrwano stołek z pod nóg i... wszystko się skończyło... Była godzina 11 rano“.

(I tu widać inprowizacyę najdowolniejszą, bo Zygmunta nie stawiono na stołek, lecz wleczono stryczkiem do góry po bloku, specyalnie urządzonym, albowiem wiedziano dobrze, że stać bez oparcia się nie może. Ciągnęły go do góry ręce tych ludzi, których od barbarzyńskiej kary cielesnej uwolnił).

Doszliśmy tu do końca paszkwilu, poświęconego Zygmuntowi przez autora. Że szakalami, a nie ludźmi

byli wszyscy ówczesni „diejatiele“ moskiewscy, to jest rzeczą łatwą do zrozumienia, bo na to są oni służalcami, ażeby być i szakalami, lecz długo zagadki odgadnąć nie mogłem, co znaczy owe szakalstwo w osobie polaka. Niewiedziałem także, kto jest tym szakalem i dla czego ukrywa swe imię przed publicznością? Objaśnił całą tę kwestyę fakt, który mi zakomunikowano, mianowicie, że „autor jest płatny, więc jest sprzedawcą swojego pióra, temu, kto zapłaci najwięcej“. „Historya dwóch lat“, „Dzieje 63 roku“ są to „geschäfta“ pieniężne i nic nad to. Gdym badał dalej, chcąc się dowiedzieć, w czyim interesie leżeć może ogłaszanie takich paszkwilów — powiedziano, że to się czyni w interesie partyi, która za misę soczewicy sprzedać gotowa ojca, matkę i ojczyznę całą. — Piękna partya!


LIBRARY
TORONTO
UNIVERSITY
JUN
26
1980

